



Mary Alice

MONROE



Raj na ziemi

Żółw morski - łac. Caretta caretta. Tropikalny żółw morski o twardej skorupie i dużej głowie.

PROLOG

Zapadał zmierzch. Czerwone słońce powoli chowało się za wybrzeżem Karoliny Południowej. Lovie Rutledge stała samotnie na wydmie i z lekkim uśmiechem patrzyła na dwójkę płowowłosych dzieci, które z piskiem uciekały przed falami. Chłopiec nie mógł mieć więcej niż cztery lata, ale bez wahania wbiegał do wody, wyciągając przed siebie patyk, niczym rycerz walczący mieczem. Potem obracał się na pięcie i biegł na plażę, umykając przed ścigającymi go falami, które jednak i tak go dopadały. Z kolei dziewczynka... Mogła mieć siedem, może osiem lat i była już doświadczoną wojowniczką. Tańczyła na czubkach palców, zbliżała się do spienionej fali i instynktownie wyczuwała ostatnią chwilę, w której jeszcze mogła się wycofać. Potem wybuchała wysokim śmiechem.

Lovie pomyślała, że dziewczynka jest bardzo podobna do jej ciemnowłosej córki Cary. A chłopiec, którego właśnie w tej chwili fala zalała od stóp do głów, przypominał jej syna Palmera. Matka dzieci nieopodal zbierała z piasku porzucone wiaderka i łopatki. Chowala zabawki do płóciennej torby i trzepała ręczniki.

Lovie miała ochotę zawołać do niej: zostaw to wszystko i patrz na dzieci! Posłuchaj ich śmiechu! Tylko małe dzieci mają taki szczęśliwy śmiech. Posłuchaj, one mówią ci, kim jesteś! Ciesz się tymi chwilami, bo miną szybciej, nim się obejrzysz! A potem, zanim się zorientujesz, staniesz się kimś takim jak ja - starą, samotną kobietą, która oddałaby wszystko za choćby jeden spokojny wieczór w towarzystwie własnych dzieci.

Skrzyżowała ręce na piersiach i westchnęła głęboko. Oczywiście, nie mogła tego powiedzieć młodej matce. Byłoby to niegrzeczne, a poza tym bez sensu. Ta kobieta miała umysł zaprzątnięty myśleniem o rzeczach, które jeszcze musiała zrobić. Lovie wiedziała, że nieznajoma nie zrozumiałaby ostrzeżenia, przynajmniej dopóki jej dzieci nie dorosną i nie odejdą z domu. A potem, pewnego dnia przypomni sobie to późne popołudnie i widok dzieci biegających po plaży, a wtedy... Wtedy zacznie żałować, że nie trzymała ich za ręce i nie bawiła się razem z nimi.

Matka dzieci poskładała ręczniki, wrzuciła je do torby, wyciągnęła dzieci z wody i na tle rozświetlonego zachodzącym słońcem nieba poprowadziła je przez wydmy, aż wszyscy troje zniknęli z oczu Lovie. Na plaży znów zapanowała cisza. Kończył się kolejny dzień. Po mokrym piasku skakał jakiś ptak. Wysokie trawy na wydmach kołysały się, poruszane wieczorną bryzą. Przymknęła oczy i wsłuchiwała się w odgłosy wieczoru, wiedząc, że ten spokój nie potrwa dłużej niż kilka dni. Była połowa maja i w Karolinie Południowej wkrótce rozpocznie się sezon turystyczny.

Niedługo również pojawią się tu jej ukochane żółwie.

Przez dłuższą chwilę patrzyła na ciemniejącą powierzchnię wody, wyczuwając, że żółwie są już niedaleko i czekają na chwilę, gdy instynkt każe im wyjść na brzeg. Każdego roku, odkąd sięgała pamięcią, robiła, co mogła, by pomóc im przetrwać okres lęgowy. Możliwe, że wśród tegorocznych matek znajdą się takie, którym przed dwudziestu laty pomagała po raz pierwszy w życiu dotrzeć do wody. Uśmiechnęła się na tę myśl.

Poczuła, jak fale obmywają jej stopy. Przed wielu laty, jako mała dziewczynka, ona również bawiła się w uciekanie przed falami, tak samo jak jej dzieci i wnuki. Ale dzisiaj nie przyszła tu szukać zabawy, lecz pociechy. Stała bez ruchu, zapatrzona w horyzont. Do jej oczu napłynęły łzy. Widok matki z dziećmi przywołał wspomnienia, które były równie radosne, co bolesne. Czas płynął zbyt szybko, lata przesypały się przez jej palce niczym ziarenka piasku.

Otarła łzę z policzka. Przed nią rozciągała się nieskończona przestrzeń błękitu. To nie był odpowiedni czas na łzy. Żyła na tyle długo, by wiedzieć, że los, podobnie jak morze, nie zawsze gra uczciwie. Wciąż jednak wierzyła, że jeśli będzie przestrzegać zasad, to pewnego dnia...

Pewnego dnia co? - zapytała siebie, nagle przestraszona i smutna. Nadal nie była pewna, czego brakuje w jej relacji z dziećmi, a szczególnie z córką. Gdy Cara i Palmer byli mali, bawili się pod jej czujnym okiem na tym samym kawałku plaży. Wtedy wszyscy troje byli ze sobą blisko, cieszyli się swoim towarzystwem. Teraz jednak jej dzieci dorosły i dystans między nimi zwiększał się z każdym rokiem.

Odwróciła się i ruszyła przez wydmy, gdzie za trzema prywatnymi działkami stał jej dom. Wyglądał jak wysepka, zasłonięty przed oczami ciekawskich rzędem rozrośniętych oleandrów. Ściany, niegdyś jaskrawożółte, teraz były wyblakłe od słońca i wtapiały się w połacie dzikich pierwiosnków, które gęsto porastały wydmy. Lovie kochała każdą ścianę i deskę tego domku. Dla niej nie był to tylko letni dom, lecz magiczne miejsce, gdzie ona i jej dzieci byli bezgranicznie szczęśliwi.

Popatrzyła na zachód. Niebo było coraz ciemniejsze. W wieczornej ciszy dochodził do niej tylko szum wiatru w wysokich trawach porastających wydmy oraz uderzenia fal o brzeg. Westchnęła i złożyła ręce jak do modlitwy. Miała prawie siedemdziesiąt lat. Nie mogła sobie pozwolić na żale, rozpamiętywanie przeszłości i rozmyślanie o tym, co by było, gdyby... Miała konkretne rzeczy do zrobienia. Dom na plaży, wraz ze wszystkimi jego sekretami, trzeba było przekazać w dobre ręce. Minione lata kosztowały ją zbyt wiele wyrzeczeń, by teraz miała to wszystko zaprzepaścić. Nie pozwoli, by tajemnice wyszły na jaw. Ucierpiałaby na tym reputacja zbyt wielu osób.

Tylko w jednym upatrywała nadziei.

- Boże - modliła się, z trudem dobywając słowa z zaciśniętego gardła. - Nie chcę się skarżyć. W końcu znasz mnie dobrze. Ale w Biblii napisano, że

zawsze, gdy zamykasz jakieś drzwi, to jednocześnie otwierasz okno. Modłę się więc do Ciebie, byś otworzył mi owo okno. Wiesz, jak przedstawiają się sprawy między Carą a mną. Potrzeba cuda, by zapanowała między nami zgoda. Ale Ty potrafisz czynić cuda. Proszę Cię, Panie, tylko o tę jedną rzecz. O nic więcej nie będę Cię już prosić. Odejde spokojna, jeśli będę wiedziała, że wszystkie sprawy zostały uporządkowane. Zresztą i tak przecież odejde - uśmiechnęła się ze smutkiem. - Wiem o tym. Proszę, Panie, wysłuchaj tej jednej modlitwy. Nie ze względu na mnie, ale dla Cary. Pozwól mi jeszcze raz zobaczyć moje dziecko. Przeprowadź ją do domu.

*Po około dwudziestu latach życia w wodzie
samice żółwia docierają na brzeg, gdzie się urodziły,
i tam na plaży składają jaja. Przebywają setki mil,
niejednokrotnie przez cały Atlantyk, dźwigając ważący
sto pięćdziesiąt kilogramów czerwono-brązowy odwłok
wypełniony setkami zapłodnionych jaj.*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W ciągu ostatnich lat Cara wielokrotnie myślała o podróży do domu, ale zawsze na przeszkodzie stawały jakieś inne plany, jakieś umówione spotkanie albo po prostu jej własne emocje. Teraz, zmęczona długą podróżą, przebywała ostatni odcinek nadmorskiej równiny, kierując się w stronę oceanu. Niegdyś była to kraina bawełny. Cara nie odwiedzała tych stron od ponad dwudziestu lat. Dorastając, marzyła o wyjeździe. Dokądkolwiek, byle tylko stąd uciec.

Mijała rzadkie lasy, farmy wystawione na sprzedaż, magazyny o płaskich dachach, billboardy z wypłowiałymi od słońca reklamami orzeszków ziemnych, brzoskwiniowe sady i samochody do przewozu bydła. Był koniec maja i w Karolinie Południowej wiosna przechodziła już w upalne lato. Cara uprzytomniła sobie, że żółwie niedługo rozpoczną sezon lęgowy, i zaśmiała się ironicznie.

Gdyby ktoś rok wcześniej powiedział jej, że wraz z nastaniem kolejnej wiosny wybierze się do Charlestonu na dłuższą wizytę u matki, najpierw by się roześmiała, a potem odparła, że to absolutnie niemożliwe. Po pierwsze praca nie pozwalała jej na takie ekstrawagancje. Każdy dzień miała wypełniony co do minuty. W najlepszym wypadku mogłaby sobie pozwolić na jednodniowy wypad, tak jak to miało miejsce, gdy przyjechała na pogrzeb ojca. Po drugie Charleston był ostatnim miejscem na ziemi, które miałyby ochotę odwiedzić, a

jej matka ostatnią osobą, którą pragnęłaby oglądać. Po wielu latach wrogości obecnie panowało między nimi uprzejme zawieszenie broni i był to chyba najlepszy z możliwych stan rzeczy.

Jednak jej matka jak zwykle wykazała się doskonałym wyczuciem czasu. Dokąd uciekamy, gdy nagle wszystko legło w gruzach? Do domu, to oczywiste. Cara mocniej zacisnęła dłonie na kierownicy. Jak to się mogło stać, że jej uporządkowane życie do tego stopnia wymknęło się spod kontroli? Po dwudziestu dwóch latach niezależności, budowania kariery i sukcesów, oto nagle znów znalazła się na tej cholernej drodze prowadzącej na wybrzeże.

Bezpośrednią przyczyną był list matki. Poprzedniego dnia Lovie jak zwykle przysłała kwiaty na urodziny córki. Cara odwinęła bibułę i ciężki zapach gardenii wypełnił całe mieszkanie. Poczowała się jak w otoczonym murem ogrodzie matki w Charlestonie: stara magnolia rozpościerała szerokie, lśniące liście, a obok białe gardenie walczyły o miejsce z pnącym jaśminem. Otworzyła list napisany znajomym charakterem pisma i przeczytała:

Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, kochana Caretto!

Zawsze gdy czuję zapach gardenii, myślę o Tobie.

Od czasu śmierci ojca wszystko się nieustannie zmienia. Teraz przyszedł czas, bym i ja uporządkowała swoje sprawy. Przyjedź do domu, Cara, choćby na krótko. Nie na Tradd Street, ale do domku na plaży. Zawsze byliśmy tam szczęśliwi, prawda?

Proszę, nie mów, że jesteś zbyt zajęta i nie możesz się wyrwać. Czy pamiętasz nasze powiedzenie: „Zajmij się swoimi urodzinami”? Zrób sobie prezent i wybierz się na kilka dni do swojej starej matki. Proszę, Cara, skarbie, przyjedź do domu jak najszybciej. Ojca już nie ma i musimy zrobić tu porządku.

Uściski, Mama.

Może to zapach gardenii sprawił, że Cara nagle poczuła się samotna. Może było to wzruszenie wywołane faktem, że ktoś pamiętał o jej urodzinach. A może przygnębienie z powodu utraty pracy. W każdym razie po raz pierwszy od czasu gdy miała osiemnaście lat, Cara rozpaczliwie i głęboko zatęskniła do matki.

Zapra gnęła wrócić do domu, gdzie kiedyś była szczęśliwa.

Przekroczyła rzeki Ashley i Wando, zjechała z autostrady i znalazła się na nowej drodze łączącej stały ląd z wysepką o nazwie Isle of Palms. Przed nią rozciągał się zapierający dech w piersiach widok na błękitne niebo i zielonkawe bagna. Połacie falujących traw przecinał jaskrawobłękitny kanał, a równoległe do niego mniejsza struga Hamlin Creek obudowana pomostami, przy których cumowały łódki. Kolejny zakręt i oto oczom Cary ukazał się Atlantyk w całej okazałości.

Znów była na Isle of Palms. Już sama nazwa przywodziła na myśl palmowe drzewa i spokojne, słoneczne popołudnia na plaży. Od stu lat było to ulubione lotnisko mieszkańców Charlestonu i Columbii. Przyjeżdżali tu, gdy upał w mieście stawał się nie do zniesienia. Przyjeżdżali promem, mieszkali w bungalowach rozrzuconych wśród sosen i dębów, a wieczorami tańczyli do muzyki granej przez głośne big-bandy. Wiele lat później do wyspy doprowadzono mosty i drogi. W dzieciństwie Cara spędzała tu każde lato w towarzystwie matki i starszego brata, Palmera. Żyli bez dyktatu zegara, w rytmie wyznaczanym przez słońce. To były bardzo szczęśliwe wspomnienia.

Słyszała, że w 1989 roku huragan o nazwie Hugo obrócił całą wyspę w gruzy, ale nie sądziła, by wywarło to wielki wpływ na krajobraz. Kiedyś było tu senne miasteczko, w centrum którego znajdowały się obok siebie sklep spożywczy, monopolowy i żelazny. A wokół mnóstwo stoisk z pocztówkami i restauracji pod gołym niebem. Dalej znajdował się Ocean Boulevard - rząd skromnych domków letniskowych, a za nimi nadbrzeżne wydmy.

Teraz ze zdumieniem przekonała się, że wydm, na których niegdyś się bawiła, już nie ma. Na ich miejscu wznosiła się ściana drewnianych domów w pastelowych kolorach, które zupełnie zasłaniały widok na morze. Cara obróciła głowę w lewo i popatrzyła na resztki świata sprzed huraganu.

Niektóre rzeczy pozostały jednak niezmiennie. Nad jej głową przeleciało stado pelikanów, niczym szwadron bombowców. Otworzyła okno i wciągnęła w płuca świeże morskie powietrze. Zapadał już zmierzch. Cara powoli przejechała jeszcze dwie przecznice i ze ściśniętym sercem zatrzymała samochód przed odsuniętym od ulicy jasnożółtym domkiem z lat trzydziestych, przycupniętym na skraju niedużej wydmy.

Na tle nowych budynków, otoczonych ogrodami urządzonymi przez architektów krajobrazu, dom jej matki wyglądał jak wspomnienie z przeszłości. Otaczały go wysokie trawy, jaskrawe floksy i żółte pierwiosniki. Niski dach i szerokie, wygodne werandy wyglądały tu równie naturalnie, jak palmy. Cara nie widziała tego domku od dwudziestu lat i teraz przyszło jej do głowy, że podczas gdy ona zajęta była swoim życiem w Chicago, domek przez cały czas cierpliwie na nią czekał.

Skreśliła w boczną zwirową uliczkę i zaparkowała na tyłach. Omal nie wybuchnęła śmiechem, gdy zobaczyła obok werandy starego, lśniącego volkswagena garbusa. A więc mama nadal jeździła Złotym Zukiem? To był jej znak rozpoznawczy. Wszyscy wiedzieli, że gdy ten samochód pojawia się w okolicy, oznacza to przybycie Olivii Rutledge. Olivia przyjechała na wakacje i czeka na gości.

Cara zastanawiała się, czy ona również jest teraz tylko gościem. Czy więzy krwi stanowiły wystarczający powód, by nazwać Primrose Cottage swoim domem? Czy długie godziny spędzone na pracy w ogródku, zamykaniu okiennic przed burzą i bujaniu się na ogrodowej huśtawce dawały jej jakieś prawa?

Chyba nie, pomyślała z westchnieniem. Poza tym kiedyś z wściekłością wykrzyczała matce, że nie życzy sobie mieć nic wspólnego ani z rodzicami, ani z tym miejscem.

A jednak łącząca ją z domem więź przetrwała. Wspomnienia wracały lawiną. Cara wysiadła z samochodu i bezwładnie oparła się o drzwiczki, zastanawiając się, jak ma powitać matkę. Szukała jakichś słów, które pozwoliłyby przełamać lody, a jednocześnie zachować poczucie dumy i odpowiedni dystans. Zamierzała zostać tu tydzień, najdalej dziesięć dni. Pewna, że jeśli przekroczy ten limit, to matka znów zacznie doprowadzać ją do szału, znów padnie wiele ostrych słów i pojawią się następujące w takich wypadkach długie okresy wrogiego milczenia. Z westchnieniem przesunęła ręką po czole. A może przyjazd tutaj był błędem?

Gdzieś w oddali zaszczekał pies, a potem za domem rozległ się melodyjny kobiecy głos. Cara obróciła się. Ścieżką prowadzącą od plaży szła drobna kobieta w słomkowym kapeluszu z wielkim rondem, długiej dzinsowej spódnicy i jaskrawoczerwonej koszulce. W ręku niosła duże, czerwone wiadro - wyraźny znak, że była jedną z Miłośniczek Żółwi. Serce Cary zabiło mocniej, ale nie poruszyła się i czekała w milczeniu. Z tej odległości nadchodząca kobieta wyglądała jak młoda dziewczyna. Wydawała się taka beztroska. Nucać głośno jakąś melodię, zatrzymywała się co parę kroków, by podziwiać kolejny rosnący przy ścieżce polny kwiat.

Wszystkie przygotowane wcześniej zdania, starannie obmyślane słowa w jednej chwili wyparowały z głowy Cary.

- Mamo! - zawołała w końcu, gdy kobieta była już tylko o parę kroków od niej.

Matka zatrzymała się jak wryta i obróciła głowę w jej stronę. Jasnoniebieskie oczy pod rondem kapelusza zabłysły radośnie. Odstawiła wiadro i wyciągnęła ramiona w powitalnym geście.

- Caretta!

Cara nie znosiła tej wersji swojego imienia, ale teraz jak dziecko pobiegła ścieżką i rzuciła się w ramiona matki. Była od niej o głowę wyższa, toteż zawsze w takich sytuacjach czuła się jak słoń przy porcelanowej lalce.

- Tęskniłam za tobą - powiedziała Olivia z twarzą przy policzku córki. - Wreszcie wróciłaś do domu.

Cara oddała uścisk, ale żadne słowa nie chciały jej przejść przez gardło. Dzielilo je zbyt wiele lat milczenia. Odsunęła się o krok i dopiero teraz uważniej spojrzała na twarz matki. Poczula wstrząs. Olivia Rutledge była już starą kobietą. Błada twarz, kości policzkowe jeszcze bardziej wyraziste niż kiedyś, oczy pozbawione blasku. Matka zawsze była szczupła, ale teraz wydawała się wręcz wychudzona.

Cara zastanawiała się, jak to możliwe, by matka do tego stopnia się zmieniła w tak krótkim czasie. Po raz ostatni widziały się przed osiemnastoma miesiącami, na pogrzebie ojca. Wtedy jeszcze Olivia nadal była piękna i pełna wdzięku. Oczywiście miała już sześćdziesiąt dziewięć lat, ale należała do kobiet, które otrzymały od losu smukłą, dziewczęcą sylwetkę i twarz naturalnie świeżą, jak polne kwiaty, które uwielbiała. Ojciec mawiał, że ożenił się z nią, bo uroda idealnie harmonizowała z jej wnętrzem. Tak, to akurat stwierdzenie okazało się prawdziwe. Wszyscy ją kochali, Cara jednak знаła cenę, jaką okupiony był uśmiech matki.

- Co u ciebie słycać? - zapytała, przypatrując się jej badawczo. - Dobrze się czujesz?

Olivia lekceważąco machnęła ręką.

- Dobrze, dobrze. Nic nie może powstrzymać upadku Rzymu. Już przestałam z tym walczyć. Ale za to ty wyglądasz wspaniale!

Cara spojrzala na swoją pomietą białą koszulkę i dzinsy. Wstała tego dnia przed świtem, ochlapała twarz zimną wodą i ubrała się w pośpiechu, nie zawracając sobie głowy makijażem ani fryzurą. Włosy luźno opadały jej na ramiona.

- Gdzie tam. - Wzruszyła ramionami. - Jestem brudna i śmierdę hamburgerami.

- Dla mnie wyglądasz wspaniale. Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś! Omal nie zemdlalam z wrażenia, gdy zadzwoniłaś i powiedziałaś, że przyjeżdżasz. Bogu dzięki.

- Mamo, Bóg nie ma z tym nic wspólnego. Napisałaś, że chcesz, bym przyjechała, więc jestem.

- To ty tak myślisz. A ja jestem już stara i wiem swoje. Ale nie kłóćmy się o to. Modliłam się, byś przyjechała do domu, i moje modlitwy zostały wysłuchane.

Ruszyły powoli w stronę domku. Lovie zatrzymała wzrok na twarzy córki.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Jak? - zdziwiła się Cara.

- Jakbyś była wstrząśnięta.

- Nie wiem. Wydajesz mi się jakaś inna. Chyba... szczęśliwa.

- Ależ oczywiście, że jestem szczęśliwa! Dlaczego miałoby być inaczej?

Cara wzruszyła ramionami.

- Nie wiem... Sądząc po liście, spodziewałam się raczej, że czujesz się samotna, może trochę przygnębiona. W końcu od śmierci taty nie minęło tak wiele czasu.

Twarz Lovie drgnęła, ale Cara jak zwykle nie potrafiła odczytać emocji, jakie kryły się za uśmiechem matki.

- Nie chciałam, żeby ten list wywarł na tobie przygnębiające wrażenie.

- Brakuje ci ojca?

Olivia pogładziła córkę po policzku.

- Brakuje mi ciebie. Szczególnie gdy jestem tutaj. Spędziłyśmy tu kiedyś szczęśliwe chwile, prawda?

Cara skinęła głową, poruszona.

- Tak. Ty, ja i Palmer. - Nie wspomniała o ojcu. Rzadko przyjeżdżał do domku na plaży. Zwykle wolał zostać w mieście albo podróżować. I choć w rodzinie nigdy nie mówiło się o tym głośno, wszyscy uważali, że tak jest lepiej.

- Och, tak - zaśmiała się Lovie cicho. - Palmer też.

- Jak się miewa mój szalony braciszek?

- Już nie jest szalony. Szkoda. Cara uniosła brwi.

- I ty to mówisz? Pamiętam, jak kiedyś obydwójce z tatą staraliście się go sprowadzić na dobrą drogę...

Matka tylko roześmiała się i zapytała:

- Jak długo możesz zostać?

- Tydzień.

- Tak krótko? Cara, zawsze jesteś taka zajęta. Proszę, zostań trochę dłużej!

Cara zastanawiała się przez chwilę. Właściwie nic jej nie zmuszało do powrotu, a mama nie wyglądała najlepiej.

- Może uda mi się zostać trochę dłużej. Właśnie dlatego lubię podróżować samochodem. Sama podejmuję decyzję, gdzie i kiedy jadę. Na razie nie umiem określić daty powrotu do Chicago. Nie przeszkadza ci to? - dodała z wahaniem.

- Absolutnie nie. Bardzo mi to odpowiada - ucieszyła się Olivia, skręcając na wysypaną piaskiem ścieżkę prowadzącą do drzwi domu. - Wejdz. Musisz być bardzo zmęczona po podróży. Jesteś głodna? Nie przygotowałam kolacji, ale coś się znajdzie.

- Nie rób sobie kłopotu. Przez całą drogę jadłam coś w samochodzie.

- O której wyjechałaś z Chicago?

- Przed piątą rano - ziewnęła Cara.

- Ale po co tak się spieszyłaś? Przecież mogłaś rozłożyć sobie podróż na dwa, trzy dni i przenocować gdzieś po drodze. O tej porze roku w górach jest pięknie.

- Och, przecież mnie znasz. Gdy już gdzieś jadę, to chcę dotrzeć do celu jak najszybciej.

- To prawda - pokiwała głową jej matka. - Zawsze taka byłaś.

Wchodząc po schodkach na werandę, Cara dostrzegła kolejne oznaki świadczące o tym, że dom powoli chyli się ku upadkowi. Czas nie był dla niego łaskawy, a z bliska wyglądało to jeszcze gorzej. Weranda zapadała się, krzewy rozrosły się jak w dżungli, w jednym oknie brakowało okiennicy, a farba na ścianach łuszczyła się i odpadała płatami.

- Przydałby się tu mały remont - zauważyła.

- Biedny, stary dom... Przez cały czas wystawiony na porywy wiatru i działanie wilgoci.

- To za dużo na ciebie jedną. Czy Palmer trochę ci pomaga?

- Palmer? No cóż, stara się, ale ma dosyć swoich spraw. Dom, firma, rodzina. - Olivia zawahała się, jakby chciała dodać coś jeszcze, ale w ostatniej chwili zrezygnowała. - Ma własne kłopoty. Ja jakoś sobie tutaj radzę. Och, spójrz na te pierwiosnki - wskazała na najbliższą kępkę. - Pięknie kwitną w tym roku, prawda? Czujesz ten cytrynowy zapach?

Cara nie była pewna, czy matka rozmyślnie zmienia temat rozmowy, ale walizka coraz bardziej ciążyła jej w ręku, toteż upajanie się zapachem pierwiosnków było ostatnią rzeczą, na jaką miała w tej chwili ochotę.

- Jestem wykończona - przyznała. - Muszę położyć gdzieś bagaże i napić się czegoś zimnego, najchętniej z odrobiną alkoholu.

- Co byś powiedziała na dzin z tonikiem? Szeroki i promienny uśmiech Cary wystarczył za całą odpowiedź.

Weszły na werandę pełną starych wiklinowych mebli i zardzewiałych narzędzi ogrodniczych. Lovie przystanęła i zsunęła z nóg zapiaszczone buty. Gdy oparła rękę o ścianę, Cara zauważyła na jej palcu pasek jasnej skóry w miejscu, gdzie wcześniej przez czterdzieści dwa lata tkwiła ślubna obrączka z dużym brylantem.

- Mamo, gdzie jest twoja obrączka? - zapytała ze zdziwieniem.

Olivia wyraźnie się spieszyła.

- Zdjęłam ją po śmierci ojca. Nosiłam ją właściwie tylko po to, żeby sprawić mu przyjemność. Nie lubiłam jej. Przeszkadzała we wszystkim, a już tutaj, na plaży, było z nią istne skaranie boskie. Chyba dam ją Copperowi, będzie miał dla swojej przyszłej żony.

Copper był młodszym dzieckiem Palmera i jako jedyny męski spadkobierca nazwiska Rutledge, ukochanym wnukiem Olivii.

- Wytrzymaj buty, proszę - zwróciła się Olivia do córki. - Do tego domu nanosi się mnóstwo piasku.

Cara posłusznie Zaszurała nogami o wycieraczkę.

- Co robiłaś na plaży tak późno?

- Szukałam żółwich gniazd. Są już dwa!

- Zdawało mi się, że lepiej ich szukać rano - uśmiechnęła się Cara z rozbawieniem.

- To prawda, ale chciałam tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku. Znasz mnie przecież. Gdy zaczyna się sezon, nie potrafię usiedzieć spokojnie. Nie ruszałam tych jaj i zastanawiam się teraz, czy dobrze zrobiłam. Są trochę za blisko brzegu - potrząsnęła głową. - Wydział Ochrony Środowiska zaostrzył ostatnio przepisy. Nie pozwalają ruszać jaj, jeśli nie ma wyraźnego zagrożenia. Ale sama nie wiem... Jeśli przyjdzie wysoka fala...

- Mamo, podjęłaś już decyzję, więc zostaw te gniazda w spokoju - westchnęła Cara, która w swojej pracy codziennie musiała podejmować wiele decyzji i nigdy nie potrafiła zrozumieć podobnych wahań. Wiedziała jednak, że bardziej od niezdecydowania matki irytuje ją sama wzmianka o żółwiach. Wiecznie te żółwie. Od maja do października, rok po roku, odkąd tylko sięgała pamięcią, jej matka nie potrafiła myśleć o niczym innym.

- Wiem, masz rację. Teraz już i tak nie mogę ich przenieść - zachmurzyła się Olivia. - Chodź, zrobię ci tego drinka.

Cara weszła do domu i czas natychmiast cofnął się o dwadzieścia lat. Domek matki był jednym z nielicznych ocalałych pierwszych budynków wzniesionych na wyspie. Pomimo kiepskiego stanu nadal był wygodny. Matka utrzymywała drewniane ściany i podłogi w nienaganej czystości. Myślą przewodnią podczas urządzania niewielkich pomieszczeń była wygoda. Na podłodze leżały przetarte wschodnie dywaniki, na kremowych ścianach wisiały rodzinne fotografie i pejzaże wyspy malowane przez miejscowych artystów, spośród których wielu było przyjaciółmi Olivii. Miękkie i wygodne, choć zupełnie niedobre sofy i fotele, stłoczono przed dużym oknem, z którego rozciągał się zapierający dech widok na ocean.

Pamiątki rodzinne i antyki przechowywane były w domu w Charlestonie, z dala od huraganów, dzieci i rozbawionych gości. Tutaj przywożono tylko rzeczy gorszej jakości. Przyjaciele Cary z dzieciństwa zawsze lubili do niej przychodzić, bo pani domu nigdy nie gderiała: „Zabierz te nogi!”, „Ostrożnie!”, „Nie dotykaj tego!”. W lodówce o każdej porze dnia stała mrożona herbata, a w spiżarni ciastka. Życie na plaży toczyło się niespiesznym rytmem.

Poszła za matką korytarzykiem prowadzącym do dwóch sypialni - jej i Palmera. Każdy kąt tego domu był pełen wspomnień.

- Twój pokój jest gotowy - powiedziała Lovie, otwierając drzwi. - Czy chcesz, żebym zamknęła okno?

- Nie - odrzekła Cara, z przyjemnością wdychając świeże morskie powietrze.

- W łazience są czyste ręczniki.

- Dobrze.

- Jest też mydło, szampon i szczoteczka do zębów.

- Przywiozłam swoją, ale dziękuję.

- Na ciepłą wodę trzeba chwilę poczekać.

- Pamiętam - uśmiechnęła się Cara. Lovie niespokojnie złożyła ręce.

- W takim razie zostawię cię tu, żebyś mogła się umyć.

Jeszcze raz obrzuciła córkę spojrzeniem pełnym tęsknoty i wyszła. Cara z westchnieniem ulgi postawiła walizkę na podłodze. Pierwsza runda poszła całkiem nieźle, pomyślała. Rozmasowała kark i rozejrzała się po pokoju. Wyglądał zupełnie tak samo jak przed dwudziestu laty. Łóżko z kutego żelaza nakryte dziwaczną różową narzutą zajmowało większą część podłogi. Bładoróżowe zasłonki powiewały nad sosnową komodą z różowym marmurowym blatem. Obok okna znajdowały się wąskie drzwi na werandę.

Był to dziewczęcy pokój, skromnie umeblowany, lecz wygodny. W miejscu plakatów z gwiazdami rocka wisiały teraz widoczki z palmami, ale wszystkie stare książki Cary nadal tkwiły na swoim miejscu. Przesunęła ręką po znajomych grzbietach. „Hobbit”, „Wichrowe wzgórza”, „Zen i sztuka konserwacji motocykli”. Słowa i myśli, które kształtowały umysł nastolatki.

Spostrzegła swoje odbicie w lustrze i stanęła jak wryta. Wrażenie było zupełnie surrealistyczne. Tu, w tym dzieciennym pokoju, niemal spodziewała się zobaczyć chudą dziewczynkę z prostymi włosami i oczami pełnymi łez. Biedne, żałosne dziecko.

Cara w przeciwieństwie do matki nie uchodziła za piękność. Według panujących na Południu standardów była za wysoka, za chuda, miała za mały biust i za duże stopy. Pełne usta w szczupłej twarzy również sprawiały wrażenie zbyt wydatnych. A poza tym odziedziczyła po ojcu ciemne włosy i oczy. Palmer, jej brat, był z kolei drobnej budowy jak matka, miał również jej jasne włosy i niebieskie oczy.

Lovie jednak zachwycała się urodą córki i czasem nazywała ją mewą śmieszką. Cara przysunęła twarz do lustra i przyłożyła dłonie do policzków. Z brzydkiego kaczątka wyrósł piękny łabędź. Teraz, w dojrzałym wieku, była uważana za bardzo atrakcyjną kobietę.

Jednak dawno przestała być dzieckiem, nie była również młoda. W lustrze widziała, że jej skóra zaczyna wiotczeć, w kąciakach oczu i ust pojawiają się

zmarszczki, a na skroniach pierwsze pasma siwych włosów. Wyglądała na równie zmęczoną życiem, jak ten stary dom.

Postanowiła położyć się na chwilę i zrzuciła ubranie. W samej bieliźnie wsunęła się do łóżka i ziewnęła. Tylko pięć minut, pomyślała sennie.

Pościel była świeża, morskie powietrze przyjemnie owiewało jej skórę i powieki natychmiast stały się ciężkie. Dotychczasowe życie w Chicago wydało jej się naraz bardzo odległe. Odgłos fal oceanu uderzających miarowo o brzeg działał jak kołysanka. Przez umysł przewijały się obrazy ostatnich dni, obrazy wydarzeń, które popchnęły ją do tej podróży. Wszystko zaczęło się we wtorek rano, gdy w biurze zadzwonił telefon i nieoczekiwanie została poproszona do gabinetu Davida Alexandra. Wiadomo było, co to oznacza. Równie dobrze mogliby jej zaproponować wycieczkę samochodem w towarzystwie mafii.

Jadąc windą na trzydzieste piętro, zastanawiała się, dlaczego jej po prostu nie zastrzelą. Nawet daleko posunięty pracoholizm nie uchronił jej od perspektywy zwolnienia z pracy i odcięcia od źródła dochodów. Straciła ważnego klienta, ale w branży reklamowej coś takiego jest na porządku dziennym. Dotychczas jej kariera przebiegała wspaniale. Owszem, teraz zdarzyła jej się wpadka, ale przecież już pracowała nad pozyskaniem kolejnego klienta. Idąc korytarzem, wyraźnie uświadamiała sobie niezwykłą, pełną napięcia ciszę, od czasu do czasu przerywaną tylko dzwoniącym gdzieś za ścianą telefonem. Przy ścianach stały opróżnione szafki na dokumenty, a co gorsza, obok wind stali uzbrojeni strażnicy. A więc plotki nie kłamały, w firmie odbywała się czystka na masową skalę.

Spocona jak mysz weszła do gabinetu pana Alexandra i sztywno usiadła na krześle. Wszystko odbyło się zgodnie z jej przewidywaniami. Szef poinformował ją nosowym, wysokim głosem, że jest mu ogromnie przykro, ale jako osoba odpowiedzialna za cały dział, to właśnie ona będzie musiała ponieść konsekwencje wynikające z utraty klienta. Cara skrzyżowała nogi, złożyła ręce na kolanach i skamieniała z przerażenia patrzyła przez okno, słuchając gładkich

zdań o wysokości przysługującej jej odprawy. Wreszcie, gdy ta upokarzająca sesja dobiegła końca, wstała, grzecznie podziękowała panu Alexandrowi za poświęcony jej czas, dodała, że zgłosi się po odbiór swoich rzeczy później, a potem, eskortowana przez uzbrojonego strażnika, zjechała na dół.

Wróciła prosto do swego niewielkiego, zagraconego mieszkania nad jeziorem. Kupiła je, bo było blisko wody - po wielu latach życia z dala od domu rodzinnego w duszy Cary wciąż pobrzmiwały nuty nostalgii. To mieszkanie nie było jednak bezpieczną przystanią, gdzie można się schronić i leczyć rany zadane przez wrogi świat. Nie było tu śladów ważnych wydarzeń z przeszłości. Na ścianach nie wisały żadne pamiątkowe fotografie. Minimalistyczny wystrój wnętrza, zimne, wpadające w błękit szarości, brak bibelotów i osobistych drobiazgów. Patrząc na to wnętrze, niewiele można się było dowiedzieć o osobowości czy zainteresowaniach lokatorki. Było to jedynie miejsce, do którego Cara wracała na noc i gdzie trzymała swoje rzeczy.

Ale na całym świecie nie miała nic innego.

Wstrząsnął nią zimny dreszcz, gdy uświadomiła sobie, że w wieku czterdziestu lat nie ma przyjaciół ani żadnych zainteresowań, nie ma nic oprócz pracy. Zbyt długo odkładała wszystko na później, skupiała się wyłącznie na życiu zawodowym, a teraz nagle rozpadło się ono jak domek z kart. I oto Cara znów znalazła się w domu swej matki, w łóżku, w którym spała jako dziecko, równie zagubiona i niepewna siebie jak w wieku osiemnastu lat.

W jakiś czas później poczuła na skroni dotyk matczynej dłoni, a na czole delikatny pocałunek, ale nie była pewna, czy to jawa, czy sen.

*Samice żółwia wracają na okres lęgowy do miejsca,
w którym przyszły na świat. Co skłania je do powrotu?
Geny czy wyuczone zachowanie? Może kierują się
węchem, może słuchem, może orientację ułatwia
im pole magnetyczne Ziemi. Nikt tego nie wie.*

ROZDZIAŁ DRUGI

Blask księżycy w Karolinie Południowej jest delikatny i kojący, ale światło słońca ostre i przenikliwe. Cara uchyliła powieki i jej wzrok zatrzymał się na otwartym oknie. Zamiast dźwięku silników samochodowych i klaksonów słyszała śpiew ptaków. Dopiero po chwili przypomniała sobie, gdzie jest. W jednym błysku wróciło do niej wspomnienie długiej podróży i utraty pracy. Naciągnęła poduszkę na głowę i w tej samej chwili usłyszała dzwonienie telefonu za ścianą.

Gdy stało się oczywiste, że nikt inny go nie odbierze, odrzuciła poduszkę, obciągnęła koszulkę i jak krab wypęzła na korytarz. Telefon, jedyny w domu, stał na drewnianym stoliku.

- Halo? - rzuciła ochrypłym głosem.

W słuchawce przez chwilę panowało milczenie, a potem jakaś kobieta zapytała niepewnie:

- Olivia?

- Nie, to nie Lovie - odrzekła Cara, tłumiąc ziewnięcie. - Jestem jej córką.

- Och - wykrztusiła rozmówczyni i znów zamilkła. - Nie wiedziałam, że Lovie ma córkę - dodała wreszcie.

Cara przetarła oczy i w milczeniu czekała na ciąg dalszy.

- Czy mogę rozmawiać z pani matką?

Nikt nie zadawał jej tego pytania od ponad dwudziestu lat. Odwróciła głowę i spojrzała w stronę salonu. Wszędzie panowała cisza.

- Nie ma jej.

- Ale... znalazłam ślady żółwi!

Sądząc po panice w głosie, musiała to być jedna z nowicjuszek zwerbowanych przez matkę do grupy Miłośniczek Żółwi.

- To świetnie - ziewnęła Cara w słuchawkę. - Dziękuję za wiadomość. Powiem mamie, kiedy wróci.

- Zaraz, proszę chwilę poczekać! Jestem na plaży przy Szóstej Alei. Co mam teraz zrobić? Czy mam tu poczekać?

- Naprawdę nie wiem - westchnęła Cara. - I nawet nie będę próbowała zgadywać. Nie piłam jeszcze kawy.

Usłyszała kroki na werandzie i dodała szybko:

- Proszę chwilę poczekać, mama chyba wraca.

Drzwi otworzyły się, ale zamiast matki stanęła w nich młoda blondynka z kaskadą włosów opadających na oczy. Była w ciąży, kwiecista sukienka z taniej bawełny wznosiła się jej na brzuchu. W rękach dźwigała kilka wypchanych plastikowych toreb z zakupami.

Zamknęła za sobą drzwi nogą, spojrzała na Carę bez zdziwienia i nie witając się nawet, poszła do kuchni. Najwyraźniej czuła się tu jak u siebie w domu. Po chwili z kuchni rozległo się trzaskanie drzwiczek od szafek.

Cara obciągnęła koszulkę i zawołała donośnie:

- Przepraszam bardzo, ale kim pani jest?

- Mama nic pani o mnie nie wspominała? - zdziwiła się dziewczyna.

Miała akcent charakterystyczny dla wiejskich obszarów Południa.

Cara przypomniała sobie, że poprzedniego dnia zasnęła bez kolacji i nie zdążyła nawet porozmawiać z matką. Ta dziewczyna na pewno była sąsiadką albo dochodzącą pomocą domową.

W słuchawce telefonu znów rozległ się zniecierpliwiony głos:

- Halo? Halo? Jest pani tam jeszcze?

- Mam tu telefon w sprawie żółwi - zawołała Cara w stronę kuchni. -

Może pani wie, gdzie jest moja mama?

- Ja odbiorę.

Nieznajoma podeszła bliżej i dopiero teraz Cara zauważyła, że ma do czynienia z nastolatką. Dziewczyna miała ładną twarz lalki, okrągłe policzki i pełne usta. Gdy zauważyła, że Cara patrzy na jej brzuch, obronnym gestem przyłożyła do niego dłoń. Jej jasnoszare oczy natychmiast zlodowaciały i pojawił się w nich wyzywający wyraz. Przez chwilę obie kobiety w milczeniu mierzyły się wzrokiem.

- Halo? Halo? - rozległo się znów w słuchawce. Dziewczyna wzięła słuchawkę do ręki i demonstracyjnie odwróciła się plecami do Cary, a potem z wielką pewnością w głosie zaczęła podawać instrukcje. A to gówniara, pomyślała Cara z urazą, ale tylko wzruszyła ramionami i wycofała się do swojej sypialni. Kimkolwiek była ta dziewczyna, przynajmniej wiedziała, co powinna zrobić zniecierpliwiona miłośniczka żółwi. Po drodze Cara zauważyła, że drzwi do pokoju jej brata są otwarte, więc zajrzała do środka. Na niezaścielonym łóżku leżała różowa koszula nocna z falbankami.

A więc rozwiązanie zagadki okazało się proste. Dziewczyna była gościem matki. Koniec nadziei na rodzinną intymność. Domek był mały, z trudem wystarczał dla dwóch osób, trzy oznaczały ciasnotę. Gdyby wiedziała wcześniej...

Podniosła poduszkę z podłogi i usiadła na łóżku. Właściwie to mogła się tego spodziewać. Dla matki zawsze inni byli ważniejsi od niej, tylko w domku na plaży Olivia bez reszty poświęcała uwagę córce. Cara miała nadzieję, że i tym razem...

Zacisnęła usta i westchnęła żałościwie. Już w dzieciństwie nauczyła się dbać o siebie i niczego nie oczekiwać od innych. W ostrym świetle poranka pokój stracił wiele ze swego uroku. Narzuta na łóżku była wypłowiała, a farba na ścianach pożółkła. W domku brakowało klimatyzacji i choć teraz jeszcze przez

otwarte okno wpadał orzeźwiający wietrzyk, Cara wiedziała, że do południa zrobi się tu bardzo duszno. Zaczęła żałować pośpiesznej decyzji o powrocie do domu.

Zbyt wiele stresów i zbyt mała ilość snu zrobiły swoje. Cara poczuła narastający ból głowy. Opadła na poduszki, wyciągnęła się wygodnie i zapadła w głęboki sen.

Toy Sooner stała przy zlewie i postukując nerwowo butem o podłogę, myła dzbanek do kawy. Następnie starannie odmierzyła sześć łyżeczek świeżo zmielonych ziaren, wsypała je do filtra i nacisnęła guzik ekspresu. Lovie lubiła napić się świeżej kawy po powrocie z plaży. Do kawy Toy kupiła pudełko świeżych pączków. Nie przelewało jej się, ale chciała choć w ten sposób podziękować pani Lovie, choć ta wielokrotnie powtarzała, że niczego nie oczekuje w zamian za swą gościnność i dobre serce.

Toy nie przywykła, by ludzie dawali jej coś za darmo. Pobyt u Lovie był jak sen. Nigdy jeszcze nie mieszkała w tak ładnym domu. Miała tu dla siebie cały pokój, a co najważniejsze, nikt na nią nie krzychał ani jej nie bił. Dopiero tutaj przekonała się, że posiłek może być przyjemnością, że można jeść na czystym obrusie, używając serwetek i kompletu sztuców!

Jadały regularnie i nie była to zupa z puszki ani hamburgery z papierowej torebki, tylko prawdziwe obiady z warzywami. Lovie rozmawiała z nią, jakby Toy była kimś, do kogo warto mówić i kogo warto słuchać. Nie traktowała jej jak niewdzięcznej, nic nie wartej gówniary, która była na tyle głupia, że pozwoliła sobie zrobić dziecko. A takie słowa Toy usłyszała od własnych rodziców. Obydwoje stali w drzwiach przyczepy kempingowej, w której mieszkali, i nawet nie wpuścili jej do środka. „Skoro byłaś wystarczająco dorosła, żeby zamieszkać z Darrylem, to jesteś też wystarczająco dorosła, żeby poradzić sobie z dzieckiem”. To wszystko, co mieli do powiedzenia. Jacy rodzice tak postępują? Nie chcieli jej pomóc, nawet wtedy gdy powiedziała im, że Darryl ją

uderzył. Napomknęli tylko, że powinna pójść do kościoła i modlić się o odpuszczenie grzechów.

Lovie jednak powtarzała jej wiele razy, że miłość nie jest grzechem. Brak miłości to największy grzech, mówiła. Najgorszy. Pani Lovie była najbardziej świętą osobą, jaką Toy spotkała w całym swoim życiu, toteż ufała jej bez zastrzeżeń. Przy pani Lovie czuła się kimś innym, kimś lepszym.

Dlatego nie mogła pojąć, dlaczego córka pani Lovie nie docenia zalet własnej matki. Gdyby spędziła kilka dni z moją, myślała Toy z goryczą, od razu poszłaby po rozum do głowy.

Od chwili gdy usłyszała o przyjeździe Cary, miała złe przeczucia. Pani Lovie powiedziała jej, że Caretta zajmuje jakieś bardzo ważne stanowisko w firmie reklamowej w Chicago. Toy знаła ten typ kobiet. Pochodziły z dobrych domów, kończyły najlepsze szkoły, miały ładne ubrania i piękne domy. W głębi duszy pielęgnowały przekonanie o własnej wyższości. Były pewne siebie i nie musiały nikomu nic udowadniać. Nigdy.

Dlatego właśnie bogaci zawsze pozostaną bogaci. To było jak członkostwo w klubie, do którego przyjmowano według nieznanego nikomu z zewnątrz kodu. Toy zauważyła spojrzenie, jakim Cara obrzuciła jej brzuch. Przeżyła już w życiu wiele upokorzeń, ale takie spojrzenia zawsze ją bolały, zwłaszcza w domu, w którym do tej pory zaznała wiele szczęścia.

Starannie zmiotła rozsypaną kawę z blatu szafki.

Bardzo dbała o czystość i starała się utrzymać cały dom w idealnym porządku. Tam gdzie dorastała, panował wieczny bałagan, wszędzie leżały porozrzucane ubrania i papiery, a pranie nigdy nie było zrobione na czas. Toy nie pamiętała, by kiedykolwiek widziała w domu rodzinnym czyste, porządnie poskładane ręczniki w szafie czy kwiaty na stole. To był zupełnie inny świat. Otworzyła szafkę i poczuła dreszcz podniecenia na widok równo poustawianego porcelanowego serwisu.

Bardzo nie chciała się stąd wyprowadzać, ale chyba nie miała innego wyjścia. Lovie pragnęła, by jej córka spędziła tu całe lato, i choć Toy była przekonana, że Cara nie wytrzyma tak długo, nie chciała im przeszkadzać. Wiedziała, że dla pani Lovie spotkanie z córką jest bardzo ważne, a dla pani Lovie Toy gotowa była zrobić wszystko.

Wyłożyła pączki na talerz i usłyszała kroki na werandzie. W drzwiach kuchni stanęła pani Lovie.

- Dzień dobry! - zawołała Toy radośnie. - Już myślałam, że zostanie pani na plaży aż do popołudnia!

- Chyba jeszcze nie jest tak późno? - zaniepokoiła się Lovie, z trudem łapiąc oddech.

Toy zmarszczyła brwi.

- Może pani usiądzie? Przyniosę wodę i kawę.

- Dziękuję ci bardzo - sapnęła Lovie, opadając na krzesło. Toy postawiła przed nią pączki.

- Znalazła pani dzisiaj jakieś gniazda? Twarz Olivii natychmiast się rozjaśniła.

- Już trzecie! I znalazłyśmy je już za trzecim razem! Szkoda, że nie widziałaś twarzy Emmi! Sto pięćdziesiąt cztery jaja, możesz to sobie wyobrazić? Niestety, samica ulokowała gniazdo na samym środku ścieżki prowadzącej na plażę.

- Niezbyt mądrze wybrała - uśmiechnęła się Toy.

- Na pewno nie miała pojęcia, że to droga na plażę. Musiałyśmy przenieść jaja. Tam są wysokie wydmy, więc bez trudu znalazłyśmy bezpieczne miejsce. W sumie był to udany dzień.

- Ale jest pani zmęczona - zauważyła Toy.

- Och, czuję się całkiem dobrze, tylko trochę brakuje mi tchu.

- Nic panią nie boli?

- Nie.

- A czy dostała pani wiadomość od tej ochotniczki z Szóstej Alei? -
dopytywała się Toy, podsuwając Olivii fiolkę z tabletkami.

- Dostałam, dziękuję - odrzekła Lovie, krzywiąc się na widok lekarstw.

- Proszę, pani Lovie, przecież pani wie, że to konieczne. Kupiłam paczki, żeby łatwiej było przełknąć tabletki. Bardzo proszę, niech pani nie odkłada tego na później.

Olivia skrzywiła się, ale Toy nie zamierzała ustąpić i stała nad nią jak kat nad grzeszną duszą. Lekarz poprosił ją, by pilnowała pani Rutledge w kwestii regularnego przyjmowania leków.

- A czy znalazłyście to gniazdo właśnie przy Szóstej Alei?

Lovie głośno przełknęła tabletki i przecząco potrząsnęła głową.

- To był fałszywy alarm. Samica tylko przespacerowała się po plaży i wróciła. Szukałyśmy bardzo dokładnie, ale nie znalazłyśmy żadnego gniazda. Przypuszczam, że to ta żółwica, która później złożyła jaja przy Siedemnastej Alei. Ślady wyglądały podobnie.

Lovie złapała oddech i popatrzyła na resztę tabletek z rozpaczą na twarzy.

- No, jeszcze tylko kilka - tłumaczyła łagodnie Toy.

Lovie przełknęła dwie różowe pigułki i zatrzęsła się z obrzydzenia.

- No, już - sapnęła. - Nie mam pojęcia, po co zawracam sobie tym głowę.

- Proszę tak nie mówić. Dobrze pani wie, po co. Musi pani być tu z nami jeszcze przez wiele lat.

Lovie popatrzyła na nią ciepło.

- Chciałabym dotrzeć przynajmniej do końca lata.

- Och, będzie pani żyła o wiele dłużej. Już zaczęłam się rozglądać za prezentem gwiazdkowym dla pani. Ale to prawda, że lato jest najlepsze. Odkąd pojawiły się żółwie, wydaje się pani bardzo szczęśliwa.

- A teraz jeszcze Caretta wróciła.

Uśmiech dziewczyny zgasł. Lovie przechyliła głowę na bok i przyjrzała się Toy uważnie.

- Widziałyście się już?

Toy odsunęła krzesło i niezgrabnie usiadła przy stole.

- Przez chwilę. Odebrała ten telefon o śladach żółwia, a ja właśnie wtedy wróciłam ze sklepu. Obie byłyśmy zaskoczone.

- Myślałam, że poznacie się wczoraj wieczorem, po twoim powrocie z kina. Ale ona od razu usnęła i nie zdążyłam jej o tobie powiedzieć.

- Domyśliłam się. Patrzyła na mnie tak, jakbym... No, po prostu nie była zadowolona, że mnie widzi.

- Cara nigdy nie należała do wylewnych osób. Toy prychnęła.

- Słowo daję, nie mogę uwierzyć, że to pani córka. Jeszcze nigdy nie widziałam dwóch bardziej różnych od siebie kobiet.

Lovie zaśmiała się cicho, a potem rzekła ze smutkiem:

- Jestem pewna, że ona by się z tobą zgodziła. Toy skrzywiła się i zaczęła oglądać paznokcie.

- Tak się zastanawiałam. Może powinnam się stąd wynieść, przynajmniej na jakiś tydzień, żebyście mogli przez jakiś czas побыć same.

- A dokąd chcesz się wynieść?

- Może wróciłabym na tydzień do Darryla.

- To nie wchodzi w grę.

Ostry ton Lovie sprawił, że Toy podniosła głowę. Opiekunka wyprostowała się na krześle, jej oczy zabłyśły.

- Tylko na tydzień. On chce, żebym wróciła.

- Nawet o tym nie wspominaj.

- On mnie kocha.

Przez długą chwilę siedziały naprzeciwko siebie w milczeniu. W końcu Lovie wyciągnęła rękę i położyła ją na dłoni Toy.

- Gdy zaproponowałam ci, żebyś tu zamieszkała, chciałam, byś poczuła się tu jak w domu. Dobrze nam było razem, prawda? - Dziewczyna skinęła

głową. - Więc dlaczego sądzisz, że teraz chcę się ciebie pozbyć? Bo mamy gościa?

- To nie jest pierwszy lepszy gość, tylko pani córka.

- Ty również jesteś dla mnie jak córka.

Toy znów opuściła głowę i wpatrzyła się w drobną dłoń Olivii. Szczupłą, o wystających kostkach i bladej skórze, przez którą prześwitywały niebieskie żyłki. Poczowała, że do oczu napływają jej łzy.

- Proszę, powiedz, że zostaniesz - odezwała się Lovie cicho.

Dziewczyna skinęła głową.

Cara spojrzała na zegar; dochodziło południe. Głowę miała ciężką i nadal czuła się senna, ale nie mogła przecież spędzić całego dnia w łóżku. Sięgnęła po krótkie spodenki i poszła do kuchni.

Czuła się w tym domu dziwnie, nie na swoim miejscu. Matka wyburzyła kilka ścian i zamiast dawnych, niewielkich pokoików powstało jedno duże pomieszczenie, od frontu i od tyłu wychodzące na zadaszoną werandę. Po lewej stronie wąski korytarzyk prowadził do dawnych dziecięcych sypialni, przedzielonych wspólną łazienką. Po prawej znajdowała się duża sypialnia, druga łazienka oraz mała kuchnia, pełna lśniących sprzętów, których kiedyś tu nie było. Jedynym meblem, jaki pamiętała, był stary kredens na naczynia. Przez przeszklone drzwiczki widać było resztki porcelanowego serwisu przekazywanego z pokolenia na pokolenie. Cara wybrała białą-niebieską filiżankę i rozejrzała się. Gorąca kawa była w termosie, a obok stał talerz z pączkami.

Zabrała kawę i pączki na werandę i usiadła na dużym fotelu bujanym. Przed nią rozciągał się widok na niskie wydmy, za którymi leniwie przetaczał się ocean.

- Tu jesteś! - usłyszała i odwróciła głowę. Zza rogu domu wyszła matka w szortach koloru khaki i koszulce z żółciem na piersi. Na głowie miała baseballową czapkę. Cara leniwie pomachała jej ręką.

Lovie wspięła się na schodki, przytrzymując się poręczy i oddychając ciężko. Zaniepokojona Cara podbiegła i przytrzymała ją za ramię.

- Dobrze się czujesz?

- To tylko wiek - westchnęła Lovie.

- Kiedy ostatni raz byłeś u lekarza?

- Jestem bardzo blisko zaprzyjaźniona z doktorem Pittmanem. Za każdym razem, gdy kicham, mówi mi „na zdrowie”.

- Pytam poważnie, mamó. Nigdy nie miałaś takich kłopotów z oddychaniem.

Lovie zatrzymała się na schodku i popatrzyła na córkę z ukosa.

- Cara, kochanie - powiedziała z lekką irytacją - nie widziałaś mnie od dość dawna. Twoje wspomnienia nie są najświeższej daty. Już od lat często brakuje mi tchu.

Cara w milczeniu weszła za nią na werandę. Po przebyciu ostatniego schodka Lovie głęboko zaczerpnęła powietrza.

- Widzisz? Już wszystko w porządku. Jestem jak żółw, chodzę powoli, ale dotrę dosłownie wszędzie. A ty jak się czujesz?

Cara zauważyła na twarzy matki drobne kropelki potu, ale nie powiedziała już nic więcej.

- Przepraszam za wczorajszy wieczór. Nie chciałam tak od razu zniknąć, ale łóżko wyglądało niezwykle zachęcająco... Położyłam się tylko na chwileczkę, a gdy otworzyłam oczy, był już ranek.

- Nie rób sobie żadnych wyrzutów. Na pewno byłeś bardzo zmęczona po podróży. Będziemy miały jeszcze bardzo dużo czasu, żeby porozmawiać. Wyśpałaś się?

- Nie, jakoś nie. Nadal mam ciężką głowę. Chyba zaczynam odreagowywać stresy.

- To normalne. Wielu ludzi, którzy przyjeżdżają tu z północy, potrzebuje kilku dni, żeby dojść do siebie. Może jutro wybierzesz się z nami na plażę na poszukiwanie żółwich gniazd? Świeże powietrze i słońce dobrze ci zrobią.

- Kiedyś bardzo lubiłam się opalać, ale teraz już nie. Za dużo się naczytałam o zmarszczkach i raku skóry. Teraz wolę cieszyć się słońcem, nie wychodząc z domu. A poza tym nie zapominaj, że ja nie chcę mieć nic wspólnego z żółwiami.

Lovie tylko machnęła ręką.

- W takim razie chodź z nami dla towarzystwa. Pamiętasz Emmaline Baker? Bardzo chciałyby cię znowu zobaczyć.

Przed oczami Cary stanęła twarz przyjaciółki z dawnych lat.

- Emmi tu jest?

- Co roku przyjeżdża na wakacje ze swoimi chłopcami. Pytała o ciebie.

- Ja też bardzo bym chciała zobaczyć się z nią, ale nie dzisiaj. Może później - odrzekła Cara. Nie miała w tej chwili głowy do towarzyskich pogaduszek.

Lovie spojrzała na nią z ukosa i usiadła z wdziękiem na bujanym fotelu.

- Usiądź, Caro, porozmawiamy chwilę.

Cara posłusznie weszła za matką na werandę. Lovie zdjęła czapkę i wachlowała nią twarz. Cara przyjrzała się matce uważnie i z trudem stłumiła jęk. Włosy matki, niegdyś gęste i złociste, teraz były całkiem siwe i tak przerzedzone, że prześwitywała między nimi skóra głowy. Cara nie umiała przejść nad tym do porządku dziennego.

- Może przynieść ci szklankę wody? - zapytała niepewnie.

- Nie. Zaraz przygotuję coś na lunch. Na pewno jesteś bardzo głodna.

- Nie rób sobie żadnego kłopotu z mojego powodu - zaprotestowała Cara gorąco. - I tak prawie nigdy nie jadam regularnie. Już do tego przywykłam.

- Jesteś o wiele za szczupła i bardzo blada. Cara roześmiała się.
- A ja właśnie myślałam to samo o tobie... Lovie szeroko otworzyła oczy.
- Naprawdę? Ale cóż ja mogę kogokolwiek obchodzić? Jestem już staruszką, a ty kobietą w kwiecie wieku! - Obrzuciła długim spojrzeniem włosy luźno opadające na ramiona córki, pogniecioną koszulkę, tę samą, w której Cara przyjechała z Chicago, i luźne niebieskie spodenki. - Zawsze potrafiłaś znaleźć najlepszego fryzjera w okolicy, ale wyglądasz na zmęczoną i zestresowaną. Masz podkrążone i trochę przekrwione oczy.

- Cudownie - mruknęła Cara, powoli popijając kawę. Znow zaczynała ją boleć głowa.

- Nie jesteś przypadkiem chora? Na początku lata nietrudno złapać grype.

- Nie, tylko boli mnie głowa.

- Ach... nadal masz z tym problemy?

- Niestety.

- Uhm. Widzisz? To wszystko z powodu stresów. Gdy byłaś mała, głowa zawsze zaczynała cię boleć przed klasówką, pamiętasz? Albo gdy... - urwała.

- Gdy tata wpadał w szal - dokończyła za nią Cara. Matka uśmiechnęła się blado i zapanowało niezręczne milczenie.

- Zapomniałam ci powiedzieć, że ktoś dzwonił, gdy cię nie było - powiedziała Cara po chwili, sięgając po pączka. - Jakaś kobieta znalazła żółwie gniazdo.

- O której to było?

- Jakoś przed południem. Ta dziewczyna odebrała telefon.

- A, tak. To był fałszywy alarm. Ta dziewczyna?

- powtórzyła Lovie. - Zapewne chodzi ci o Toy Sooner?

Cara wiedziała, że niezbyt dobrze sobie radzi z ukrywaniem emocji.

- Toy? Nie wiedziałam, że tak ma na imię. Nie przedstawiłyśmy się sobie. Patrzyła na mnie tak, że wołałam się oddalić na bezpieczną odległość. A kim ona właściwie jest? I czy nie jest trochę za młoda na ciążę?

Lovie patrzyła na nią tak samo jak wtedy, gdy Cara była jeszcze dzieckiem i mówiła z pełnymi ustami.

- Tak, jest bardzo młoda. To prawie dziecko. Biedne dziecko. Ale takie rzeczy się zdarzają, jak sama wiesz. Nawet w Charlestonie.

Cara wzniosła oczy do nieba i sięgnęła po serwetkę.

- Mamo, nie jestem zgorszona, tylko zastanawiam się, co ona tutaj robi właśnie teraz.

- Masz na myśli: właśnie teraz, gdy ty przyjechałaś? Czy tak?

- Szczerze mówiąc, tak. Przecież nie pojawiam się tu zbyt często. A właściwie to raz na dwadzieścia lat. Miałam wrażenie, że chcesz spędzić ze mną trochę czasu. Jestem głupia, bo łudziłam się, że będziemy tylko we dwie - dodała z nieoczekiwaną goryczą w głosie.

- Cara, daruj sobie ten ton. Zaprosiłam cię, bo naprawdę chciałam spędzić z tobą trochę czasu.

- Rozumiem. A tę Toy zaprosiłaś, bo...?

- Ja jej nie zapraszałam. Cara, Toy nie jest tu gościem. Ona tu mieszka. Nie mogłam jej przecież wyrzucić z powodu twojego przyjazdu.

- Mieszka tu? Od kiedy? Przecież sezon dopiero się zaczął.

- Ja przyjechałam w styczniu, a Toy pojawiła się w marcu.

- W styczniu?! Przecież nigdy nie pojawiałaś się tu tak wcześnie!

Dlaczego przyjechałaś w środku zimy? Pokłóciłaś się z Palmerem?

- Nie, nie pokłóciłam się z Palmerem, dlaczego tak sądzisz? Ale nie mogę, czy też raczej nie chcę już mieszkać sama. Jestem na to za stara. Powiedziałam o tym Flo i ona poznała mnie z Toy.

Na twarzy Cary odbiło się niezrozumienie.

- Pamiętasz chyba Florence Prescott, naszą sąsiadkę? - dodała Lovie tonem wyjaśnienia.

- Oczywiście, że pamiętam. To ta ruda z wielką szopą włosów.

- Teraz już jest całkiem siwa. Ale nie wiem, czy pamiętasz również, że Flo przez wiele lat pracowała w pomocy społecznej w Summerville. W ciągu tygodnia mieszkała w mieście, a w weekendy i wakacje remontowała stary dom rodzinny na wyspie. W końcu jej matka zaniemogła i wtedy Flo postanowiła przejść na emeryturę i zamieszkać tutaj, by się nią opiekować. Boże, to już chyba dziesięć lat. Ależ ten czas leci. Bardzo się z nimi zaprzyjaźniłam. Mam szczęście, że mieszkają tuż obok.

- Ale co to wszystko ma wspólnego z Toy?

- Właśnie do tego zmierzam. Flo nadal pracuje jako wolontariuszka w schronisku dla kobiet i gdy jej kiedyś powiedziałam, że chcę zamieszkać na wyspie na stałe i wolałabym mieć jakieś towarzystwo, od razu przystąpiła do działania. Opowiedziała mi o młodej dziewczynie, która doskonale by się do tego nadawała.

- Znalazłaś ją w schronisku dla kobiet?

- Mówisz to tak, jakby chodziło o psa - obruszyła się Olivia. - Tak, była w schronisku, biedactwo. Po to właśnie są takie miejsca, i Bogu dzięki. Kobiety muszą mieć dokąd pójść, gdy obawiają się o swoje życie i zdrowie.

- Wiem, wiem, nie musisz mi tego tłumaczyć. Przecież stale wpłacam pieniądze na konto schroniska w Chicago.

Matka w zamyśleniu pokiwała głową.

- Nie bez powodu opowiadam ci historię Toy. Rozmawiałam z nią o tym i ona też uznała, że najlepiej będzie, gdy wszystkiego się dowiesz. Toy zaszła w ciążę z chłopakiem, z którym mieszkała i którego zostawiła, gdy ją uderzył.

- Uderzył ją?!

- Właściwie to pobił. Dziecku nic się nie stało, ale Toy bardzo się przestraszyła i odeszła.

- I bardzo dobrze zrobiła. Za to ma u mnie dziesięć punktów. Ale jest za młoda na to, żeby mieszkać z chłopakiem i zachodzić w ciążę. A co z jej rodziną?

- Okropni ludzie, którzy nie chcieli jej przyjąć z powrotem do domu. Wyrzucili ją i nazwali dziwką. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak okrutnie się z nią obeszli. Jak można zrobić coś takiego własnemu dziecku?

Owszem, Cara potrafiła to sobie wyobrazić. Poczula nagły przypływ sympatii do dziewczyny. Dobrze знаła takie historie. Ulice miasta nie były przyjaznym miejscem, zwłaszcza dla kogoś tak młodego.

- Ile ona ma lat? Szesnaście? Siedemnaście?

- Prawie osiemnaście. Ale wygląda na mniej. Cara poczuła, jak coś ścisną ją za gardło.

- Ja też wyjechałam z domu, gdy miałam osiemnaście lat.

Matka popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- Ale to przecież zupełnie co innego! Wyjechałaś, bo sama tego chciałaś. Obydwoje z ojcem próbowaliśmy wybić ci to z głowy, ale ty zawsze byłaś uparta i bardzo pewna siebie. Toy jest zupełnie inna. To tylko biedne, wystraszone dziecko!

Cara zamknęła oczy, usiłując nie pokazać po sobie cierpienia, jakie sprawiły jej te słowa. Nie mogła uwierzyć, że jej matka mówi takie rzeczy po tym wszystkim, na co naraziła własną córkę. Czyżby zapomniała, że Carę także wyrzucono z domu? Może wolała o tym nie pamiętać?

- Toy nie miała się gdzie podziać - tłumaczyła Lovie. Ja też nie miałam się gdzie podziać, pomyślała

Cara. O mnie się nie martwiłaś?

- Więc po prostu wzięłaś ją do siebie? - zapytała, otwierając oczy.

- Wydawało mi się, że to doskonale rozwiązanie. Ja potrzebowałam towarzyski, a Toy miejsca, gdzie mogłaby zamieszkać.

Cara podniosła dłonie.

- To twoje życie.

- Znów chcesz się ode mnie odciąć - oskarżyła ją matka.

- Nie - odrzekła spokojnie, powstrzymując gniew. - Po prostu się nie wtrącam. Jest pewna różnica.

Znów zapadła między nimi znajoma, bolesna cisza. Ból głowy Cary nasilał się coraz bardziej. Jej matka patrzyła na ocean.

- Jestem pewna, że polubisz Toy, jeśli tylko dasz jej szansę. Na początku może wydawać się trochę szorstka, ale ona jest jak żółw. Pod twardą skorupą kryje się bezbronna istota, która potrzebuje opieki i miłości - powiedziała Lovie, kładąc rękę na dłoni córki. - Spróbuj odnosić się do niej przyjaźnie, proszę. Zrobisz to dla mnie?

Cara ze znużeniem odchyliła się na oparcie fotela, myśląc z goryczą: dlaczego bronisz Toy, a nie mnie? Dlaczego wolisz ją od własnej córki? Nie była w stanie stłumić zazdrości o tę obcą dziewczynę. Od wielu lat jej stosunki z matką były uprzejme, lecz dalekie od ciepła. Dzieląca je odległość była im obu na rękę. Ale teraz, gdy patrzyła na twarz Lovie znajdującą się tak blisko jej twarzy, dzieląca je przestrzeń wydała się nagle ogromna, niemal nie do przebycia.

- Dobrze, mamó - powiedziała, cofając rękę. - Postaram się.

*W końcu samica żółwia dociera na znajome tereny
i czeka w pobliżu brzegu, aż nad Atlantykiem
wzędzie księżyc. Jej domem jest morze,
ale instynkt podpowiada, by pozostawiła
za sobą wszystko, co zna i złożyła jaja na plaży,
w zupełnie jej obcym środowisku. Czy to miejsce
jest bezpieczne, czy też powinna popłynąć
jeszcze trochę dalej?*

ROZDZIAŁ TRZECI

Ból głowy Cary przeszedł w migrenę, która zagoniła ją z powrotem do łóżka. Lovie położyła jej na czole zimny kompres i nakazała nie myśleć, tylko rozluźnić wszystkie mięśnie. Cara pokiwała głową, ale doskonale wiedziała, że równie dobrze mogłaby nakazać sobie przestać oddychać. Nie miała pracy, dochodów ani żadnych planów na przyszłość. Przez najbliższe tygodnie spokój umysłu był dla niej czymś nieosiągalnym. Poruszyła się niespokojnie i zdjęła kompres z czoła. Choć było to do niej niepodobne, poczuła się zupełnie bezradna. Przyłożyła dłonie do twarzy i rozplakała się.

W końcu łzy przestały płynąć, a Cara, z podpuchniętymi oczami, poczuła ten dziwny niepokój, jaki nadchodzi przy wyczerpaniu. Obróciła głowę i wpatrzyła się w oleander kołyszący się za oknem. Czas przestał się liczyć. Chmury napływały szybko od strony lądu, zmieniając błękit nieba w szarość. Przy dźwiękach syreny przeciwmgielnej duży kontenerowiec wypływał z portu na pełne morze. Cara również czuła się jak statek otoczony przez gęstą mgłę.

Miała zaledwie osiemnaście lat, gdy wyjechała z Charlestonu i udała się na Północ. Było jej wszystko jedno, gdzie się znajdzie, byle dalej od Południa. Tu oczekiwania wobec kobiet określone były jasno i wyraźnie. Powinna

ukończyć szkołę wybraną przez rodziców, wyjść za mąż i osiedlić się gdzieś w pobliżu. Południowa mentalność nie przewidywała odstępstw od tego programu.

Ona jednak miała inne plany. Tonąc we łzach, opuściła dom rodzinny i trafiła do Chicago. Atmosfera tego wielkiego miasta na Północy znacznie lepiej odpowiadała jej osobowości niż tradycjonalizm i staroświecki urok Charlestonu. Zamieniła więc słoną wodę na słodką, południowy akcent na północny, przysięgając sobie, że w życiu będzie się kierować rozumem i inteligencją, a nie kobiecym wdziękiem.

Dała z siebie wszystko. W ciągu dnia pracowała jako sekretarka w firmie reklamowej, a wieczorami, gdy jej koleżanki wyprawiały się do barów w poszukiwaniu mężczyzn, chodziła do szkoły. Do dziś dnia odczuwała dumę na myśl, że zdobyła dyplom ukończenia studiów, ucząc się wieczorami przez siedem długich lat. Potem były podyplomowe studia ekonomiczne. A wszystko to bez żadnego wsparcia czy pomocy finansowej ze strony rodziców. To była cała Cara. Wierzyła głęboko, że jeśli będzie pracować ciężiej niż inni, to w końcu wygra wyścig.

I tak się stało, choć wyścig okazał się maratonem. Przez piętnaście lat żmudnie wspinała się po szczeblach służbowej kariery, od recepcjonistki aż po stanowisko dyrektora działu handlowego. Prowadziła szybkie i intensywne życie, ubarwione drobnymi luksusami, na które wreszcie było ją stać. Nie uważała się za bogaczkę, ale mogła sobie pozwolić na wyjście do teatru, butelkę dobrego wina, pewne inwestycje, kupno ładnego mieszkania i urządzenie go sprzętami odpowiednimi dla kobiety o jej pozycji.

Od czasu do czasu w tym życiu pojawiali się również mężczyźni. Nie były to trwałe związki, ale też nie tego Cara szukała. Najdłużej spotykała się z Richardem Selbym - całe cztery lata. Był prawnikiem i pracował w tej samej firmie co Cara. Pewny siebie, inteligentny i przystojny. Czy to była miłość? Nigdy jej sobie nie wyznali - to nie było w ich stylu - ale istniało między nimi głębokie porozumienie.

W sumie można było uznać jej życie za całkiem udane.

A teraz to wszystko runęło jak domek z kart. Straciła pracę i przekonała się, że nie ma żadnych przyjaciół. Lubiała być panią sytuacji, przygotowywała się i zabezpieczała w przewidywaniu najgorszego, a jednak nie dostrzegła w porę niebezpieczeństwa. Teraz czuła się pusta i wyprana z wszelkich emocji, no może oprócz lęku. Gdyby koledzy z pracy mogli ją teraz zobaczyć, na pewno wybuchnęliby śmiechem. Solidna, władcza pani Rutledge zwinięta w kłębek na łóżku w domu swojej matki.

Podciągnęła koc wysoko pod brodę i ukryła twarz w poduszce pachnącej morzem. Wiatr zza okna niósł zapach deszczu. Cara znów przymknęła oczy.

Obudziło ją stukanie. Otworzyła oczy i ze zdziwieniem stwierdziła, że w pokoju panuje półmrok. W korytarzu paliło się światło. Matka, ubrana w cienki letni sweter i przepasana fartuszkami, stała przy oknie, próbując wcisnąć wilgotną, wypaczoną ramę we framugę. Po szybie spływały pierwsze krople gwałtownego deszczu.

- Która godzina? - wychrypiąła Cara, unosząc się na łokciu.

- Przepraszam, że cię obudziłam - odrzekła Lovie, której wreszcie udało się domknąć okno. - Ależ leje. Jak twoja migrena? - dodała, podchodząc do łóżka.

- Już trochę lepiej. Jak długo spałam? Która godzina? - powtórzyła Cara, oblizując wyschnięte usta.

- Prawie czwarta. Przez cały dzień zbierało się na deszcz, a teraz rozpętała się potężna burza. Bogu dzięki. Deszcz oczyści powietrze.

Odsunęła kosmyk włosów z czoła córki.

- Ten sen był ci potrzebny. Ale może teraz coś byś zjadła? Ugotowałam zupę.

Cara uśmiechnęła się blado, lecz z wdzięcznością.

- Właśnie tak mi się wydawało, że czuję jakiś zapach. Mogę dostać szklanek wody?

- Oczywiście. Zaraz ci przyniosę.

Cara usiadła na łóżku. Pulsowanie w skroniach było nieznośne, ale udało jej się utrzymać oczy otwarte i wkrótce mdłości trochę ustały. Na zewnątrz hulał wiatr. Burza była gwałtowna, ale zanosilo się na to, że szybko minie. Na uginających się nogach Cara poszła do łazienki i ochlapała twarz zimną wodą. Gdy wróciła, matka stała już przy łóżku z tacą pełną jedzenia. Obok naczyń stał wazonik z kwiatami.

- Proszę bardzo! Rosół z kurczaka, chleb, woda i przede wszystkim aspiryna.

Cara poruszała się bardzo powoli; każdy gwałtowniejszy ruch powodował nową falę przeszywającego bólu. Wsunęła się pod koc i oparła plecami o poduszki.

- Czuję się jak pacjentka w szpitalu - zażartowała.

- Po prostu jesteś w domu, skarbie. Często miewasz takie migreny?

- Od czasu do czasu. Zwykle wtedy, gdy za dużo pracuję, za mało śpię i tak dalej. Czasami po czekoladzie albo kofeinie. Ostatnio pojawiają się niestety nieco częściej.

- To dziedziczne - stwierdziła matka stanowczo, stawiając tacę na kolanach córki. - Twoja babcia Beulah miała takie okropne migreny, że zamykała się w sypialni na kilka dni i szczelnie zasłaniała okna. My, dzieci, musieliśmy bawić się na dworze, a po domu chodzić bez butów i na paluszkach. Tak samo służba. Pamiętam, jak kiedyś śmieliśmy się z pokojówki, która miała dziurawą pończochę.

Cara ostrożnie wzięła do ust pierwszą łyżkę zupy.

- Boże, zapomniałam już, jakie to pyszne. Lovie rozpromieniła się.

- Jeśli migreny są dziedziczne - zastanawiała się Cara, mieszając zupę łyżką - to powinnam mieć również jakieś geny umożliwiające zrobienie takiego rosółu. I fasolki... i sosu do mięsa... Widać ten talent pozostaje ukryty bardzo głęboko - dodała z uśmiechem i westchnęła.

- To nie ma nic wspólnego z genami. Rutyna, tylko i wyłącznie. Jako matka czuję się w obowiązku przekazać ci wszystkie rodzinne przepisy.

Cara ponuro wpatrzyła się w miseczkę.

- Co się stało, skarbie? - zaniepokoiła się Olivia. - Wyglądasz na zmartwioną. Chcesz o czymś porozmawiać?

- Nie, nic. Jeszcze nie teraz - dodała po chwili. Lovie pokiwała głową i poszła w stronę drzwi.

- Mamo - zawołała za nią Cara. - Dziękuję ci. Za zupe.

- Nie musisz mi dziękować. Jestem twoją matką. To mój obowiązek i przyjemność.

- Wiem, ale... dziękuję za wszystko.

Lovie wytarła dłonie w fartuch i skinęła głową. W jej oczach błysnęła wdzięczność.

- Masz zjeść wszystko, słyszysz? Przyjdę później po tacę.

Cara opadła na poduszki i westchnęła. Pierwsze kroki były bardzo wyczerpujące.

Deszczowa pogoda utrzymywała się przez cały świąteczny weekend. Odwołano wszystkie parady i pikniki. Lovie jednak cieszyła się z deszczu. Był już bardzo potrzebny roślinom. Poza tym zachmurzone niebo stanowiło przyjemną odmianę i pretekst, by zająć się wiecznie odkładanymi domowymi obowiązkami. Na przykład przeglądaniem zdjęć.

Olivia już od lat zamierzała uporządkować je i powkladać w albumy, ale zawsze brakowało jej na to czasu. Fotografie leżały więc poupychane bez ładu i składu w pudełkach. Część zdążyła już przejrzeć, odkąd zamieszkała tu na stałe, wiele jednak wciąż czekało na swoją kolej.

Wyjęła je teraz i rozłożyła na kuchennym stole. Tak była zaabsorbowana ich przeglądaniem, że nie usłyszała odgłosu otwieranych drzwi.

- Nadal przeglądasz te zapleśniałe zdjęcia? - zaśmiała się Florence Prescott, wchodząc do kuchni.

Lovie podniosła głowę i obdarzyła przyjaciółkę szerokim uśmiechem.

- Kochana, ja mam tego tyle, że do końca życia nie zdążę ich wszystkich przejrzeć.

- A jak się czujesz? - zapytała Flo z lekkim niepokojem. - Czy coś się zmieniło?

- Nie, i nie spodziewam się żadnych zmian.

- To chyba nie powód do zmartwienia? - upewniła się Flo, siadając obok przyjaciółki. Była średniego wzrostu i szczupłej budowy ciała. Skóra pod ciemną opalenizną dopiero teraz zaczynała trochę wiotczeć i tylko gęste, śnieżnobiałe włosy świadczyły o tym, że Florence ma już sześćdziesiąt pięć lat. Jej głos wibrował niezwykłą energią.

- A co słyhać poza tym? Jakoś tu cicho. Gdzie jest Toy?

- Poszła do sklepu. Mówiła, że chce przyrządzić jakiś deser. Nie wiem, czy to dlatego, że zamierza mnie utuczyć, czy też jej rozszalałe hormony domagają się jakiegoś zaspokojenia.

- Pewnie jedno i drugie - zaśmiała się Flo. - Ale jeszcze nie widziałam twojej córki marnotrawnej. Czy ona naprawdę istnieje, czy tylko ją sobie wymyśliłaś?

- Jeśli mi nie wierzysz, to idź i zajrzyj do sypialni. Ale wolałabym, żebyś tego nie robiła. Śpi.

- Znowu? Ona przez cały czas tylko śpi. Chyba nie jest chora?

- Ma migrenę. Od kilku dni nie wychodzi z zaciemnionego pokoju. Ale karmię ją rosołem i już dochodzi do siebie.

- Domowe jedzenie to najlepsze lekarstwo - pokiwała głową Florence. - Więc dlaczego ona nadal śpi?

- Sama się nad tym zastanawiam. Może po prostu jest wyczerpana. Pracuje bardzo ciężko i sama mówi, że czuje się wypalona. Wiesz, że po kilka

razy w miesiącu jeździ do Nowego Jorku albo Los Angeles? Nie miałam o tym pojęcia. Nie wyobrażam sobie, jak można tak żyć. W tę i z powrotem, w ciągłym ruchu. Jej to chyba odpowiada, ale ja jestem zbyt wielką domatorką na taki tryb życia. - Lovie zacisnęła usta i spojrzała w stronę sypialni, zastanawiając się, czy ten dziwny wyraz, który dostrzegła w oczach córki, to smutek, czy może poczucie porażki.

- Wydaje mi się, że coś jeszcze jest nie tak. Cara chyba ma chorą duszę, ale nie chce ze mną o tym rozmawiać - dodała po chwili.

- Przecież to nasza Caretta. Byłabym trochę zaniepokojona, gdyby nagle zaczęła ci się zwierzać.

- Dlaczego tak mówisz?

- Ile lat jej tu nie było? Dwadzieścia? A ile razy przyjeżdżała tu, żeby prosić cię o radę? Albo żeby po prostu pobyc tutaj i poprzeglądać z tobą zdjęcia? Chyba ani razu.

Ta uwaga była dla Lovie bardzo bolesna.

- Ma swoje życie i wiecznie jest zajęta.

- Pewnie dlatego, że tak jej wygodniej. Ciągłe się kłócić.

- Nie kłóćmy się!

- Może nie podnosicie głosu, bo jesteście na to zbyt dobrze wychowane, ale zawsze wyczuwało się między wami napięcie. Wiem, że nie pytałaś mnie o zdanie, jednak uważam, że przydałaby wam się jedna porządna, głośna awantura. Obydwie powinnyście wszystko z siebie wyrzucić.

- Co za pomysł! - oburzyła się Lovie, wyraźnie poirytowana. - Przecież dobrze nas znasz i wiesz, o co chodzi! Cara po prostu osiadła daleko od domu. To naturalne, że powstał między nami dystans emocjonalny. Zresztą zawsze była samotniczką.

- Samodzielność to nie to samo co samotność.

- Co masz na myśli? - zdumiała się Olivia.

- Czy Cara spotyka się z jakimś mężczyzną?

- Nie mam pojęcia, chociaż wiele razy ją o to pytałam. Ale to bardzo drażliwy temat. Przez jakiś czas spotykała się z Richardem Selbym ze swojej firmy. Zawsze zauważam, gdy po raz drugi wspomni to samo męskie nazwisko. Jednak wydaje mi się, że gdyby nadal był dla niej ważny, to już by do niego zadzwoniła. A do tej pory nie dzwoniła do nikogo. - Lovie przypomniała sobie pusty wzrok córki wpatrzonej w okno. - Myślisz, że czuje się samotna?

- A skąd mam wiedzieć? Możliwe. Nawet jeśli świetnie sobie radzi w pracy, to gdy wraca do domu, staje się zwyczajną kobietą.

Lovie odłożyła zdjęcia na bok.

- Mówiłam ci przecież, że jest bardzo zajęta. Wiecznie gdzieś jeździ albo chodzi do teatru. Widziała wszystkie ostatnie spektakle.

Flo spojrzała na nią przenikliwie.

- Sama chyba dobrze wiesz, jak samotnie można się czuć, nawet mając mnóstwo zajęć.

Olivia nic na to nie odpowiedziała.

- Przepraszam - dodała po chwili Flo. - Znasz mnie przecież. Zawsze najpierw mówię, a dopiero potem myślę. Ty nigdy pierwsza nie rzuciłabyś we mnie kamieniem. Zrób to teraz.

Jej przyjaciółka ze słabym uśmiechem potrząsnęła głową.

- Za to właśnie lubię cię najbardziej. Tak sobie myślę, że chyba odgadłaś, co dolega mojej córce.

Wzięła do ręki jedną z fotografii, przedstawiającą ciemnowłosą, mniej więcej trzynastoletnią dziewczynkę o długich rękach i nogach. Cara siedziała zwinięta jak kot wśród gałęzi starego orzecha i czytała książkę.

- Popatrz na nią - powiedziała Flo z uczuciem. - Już wtedy była wiecznie skrzywiona.

Lovie zaśmiała się cicho.

- Pamiętam, jak robiłam to zdjęcie. Bardzo lubiła to stare drzewo. Wchodziła na nie, gdy chciała poczytać albo po prostu pomyśleć. Zawsze wyglądała, jakby dźwigała na barkach ciężar całego świata.

- Dziewczynki w wieku dojrzewania często sprawiają takie wrażenie. To przez tę zmienność nastrojów.

- Może. Gdy była mała, byliśmy sobie bardzo bliskie, ale potem zaczęła się ode mnie oddalać. Bardzo wyraźnie mnie odpychała.

- W tym wieku to też jest zupełnie normalne.

- Lecz również bardzo bolesne - westchnęła Olivia. - Wciąż mnie odpycha. Ale to jeszcze nic w porównaniu z jej stosunkiem do ojca. Z nim walczyła na każdym kroku. Czasem aż się o nią bałam. Wiesz, jaki on miał charakter. Cara lubiła wyprowadzać go z równowagi.

- No i dobrze.

- Flo!

- O co chodzi? Znasz przecież moje zdanie na temat Strattona. Świeć Panie nad jego duszą, chociaż boję się pomyśleć, gdzie on teraz odpoczywa.

Lovie zacisnęła usta, ale nie skomentowała tej wypowiedzi. Na najmniejszą wzmiankę o Strattonie Flo wpadała w wojowniczy nastrój. Nie znosiła go, zresztą ze wzajemnością. To wszystko jednak należało już do przeszłości.

- Chciałam mieć zdjęcie Cary na tym orzechu i cieszę się, że je zrobiłam - powiedziała Lovie, wracając do poprzedniego tematu. - Huragan wyrwał to drzewo z korzeniami. Szkoda - westchnęła. - Gdy Cara poczuje się lepiej, na pewno zauważy brak ulubionego drzewa.

- Może zapytasz ją, co jeszcze pamięta z tamtych czasów? To powinien być dobry początek poważnej rozmowy.

- Och, Flo, to wszystko już dawno minęło. Po co odkurzać niedobre wspomnienia? Po raz pierwszy przyjechała tylko po to, żeby mnie odwiedzić. Nie chcę psuć nastroju.

- Wolisz wmieść śmieci pod dywan - stwierdziła Flo. - A czy już rozmawiałaś z nią o... o sobie?

- O mnie? Nie, skąd. Przecież dopiero przyjechała.

- Jest tu już od kilku dni! Znam cię dobrze, Olivio. Będziesz trzymać wszystko w tajemnicy, żeby nie burzyć spokoju.

- Nie. Za kilka dni idę do lekarza. Wtedy chcę jej powiedzieć.

- Na pewno jej powiesz?

- Oczywiście!

Flo znów zatrzymała przenikliwe spojrzenie na twarzy przyjaciółki. Po chwili westchnęła uspokojona i podniosła się.

- Muszę jeszcze zajrzeć do Mirandy. Złapała lekkie przeziębienie, ale w tym wieku trzeba uważać. Och, mało brakowało, a zapomniałabym, po co tu przyszedłam! Dziś rano znaleziono martwego żółwia na Sullivan Island. Młoda samica. Biedactwo. Wpadła pod śrubę motorówki, zapewne w zatoce. To już szósty martwy żółw w tym sezonie. Nie jest dobrze, a to na pewno jeszcze nie koniec.

- Sezon dopiero się zaczął. Samice są jeszcze w wodzie. Dajmy im trochę czasu. Mam przeczucie, że to będzie doskonały sezon. Najlepszy ze wszystkich - stwierdziła Olivia, patrząc z uśmiechem na zdjęcie Cary.

*Żółwie morskie z gatunku *Caretta caretta* mają
niezwykle duże głowy z potężną szczęką
w kształcie dzioba, ich bębenki uszne porasta skóra.
Odnaczają się bardzo dobrze rozwiniętym
zmysłem węchu oraz niezawodnym instynktem
przetrwania, dzięki któremu ten gatunek żyje
na Ziemi ód czasów prehistorycznych.*

ROZDZIAŁ CZWARTY

Mniej więcej po tygodniu snucia się po domu w piżamie Cara uznała, że dość już tej melancholii. Rankiem zaczęła w sypialni, dopóki nie usłyszała trzaśnięcia drzwi wyjściowych. Lovie i Toy wyszły. Każdy rano wyglądał tak samo. Najpierw dzwonił telefon, jakaś podniecona ochotniczka oznajmiała, że znalazła kolejne gniazdo, a potem Lovie i Toy wrzucały potrzebne im rzeczy do czerwonego plastikowego wiaderka i szły na plażę.

Brak chmur na horyzoncie, jak niegdyś mawiali z Palmerem po wyjściu ojca do pracy. Cara wzięła prysznic i choć strumień wody z trudem przedzierał się przez zatkane kamieniem sitko, francuskie lawendowe mydło, grube ręczniki i balsam do ciała o zapachu gardenii, które matka zostawiła dla niej w łazience, bardzo poprawiły jej nastrój. Zauważyła również, że mama rozpakowała jej walizkę.

Mama zawsze sprzątała jej pokój. Owszem, dzięki temu był czysty, Cara jednak wiedziała, że dla Lovie jest to dobry pretekst, by przejrzeć rzeczy córki. Któregoś dnia wsunęła głęboko do szuflady z bielizną paczkę prezerwatyw zawiniętych w brązową papierową torebkę i nie rozczarowała się - gdy wróciła z plaży, w domu czekała na nią potężna awantura. Lovie próbowała jednocześnie

prawić córce kazanie i znaleźć jakiś wiarygodny powód, dla którego grzebała w jej szufladach. Nigdy jednak nie powiedziała o tych prezerwatywach ojcu.

Cara otworzyła szafę i zobaczyła eleganckie spodnie, jedwabne bluzki oraz czarną wizytową sukienkę. Jej szafa w Chicago pękała od ubrań stosownych do pracy w dużym mieście, ale nie było tam nic odpowiedniego na plażę. W końcu wybrała szykowny jedwabny kostium w jasnozielonym kolorze oraz skórzane sandały z paseczków, które znakomicie wyglądały na Michigan Avenue. Przejrzała się w lustrze i zobaczyła wysoką, szczupłą, ciemnowłosą kobietę ubraną z miejskim szykiem, który tu, na tej zalanej słońcem wyspie, wydawał się zupełnie nie na miejscu. Mimo wszystko zrobiła sobie jeszcze makijaż, spryskała się perfumami i zwinęła włosy w węzeł.

Słońce zdążyło już rozproszyć poranną mgłę. Zanosilo się na piękny dzień. Cara poczuła burczenie w żołądku i poszła do kuchni. Szybko przygotowała sobie śniadanie, zjadła je i przerzucając pisma leżące na stoliku, uświadomiła sobie, że dopada ją dobrze znajoma nerwowość. Nie przywykła do myśli, że ma dużo czasu i nie goni jej żaden termin. Czuła potrzebę, by coś zrobić.

Owszem, potrzebowała wakacji, od dawna nie miała urlopu, ale teraz nadszedł czas na konstruktywne działania. Powinna zadzwonić do kilku osób i obmyślić jakiś plan działania, może umówić się na kilka spotkań. W końcu miała liczne kontakty w branży i dobrą reputację.

Tylko że nie miała ze sobą komputera ani komórki. Jakim cudem mogła o nich zapomnieć? Wypadła z miasta jak burza, zdecydowana odciąć się od wszystkiego, ale zamiast poczucia wolności dominującą emocją stawała się irytacja. Bez dostępu do poczty elektronicznej Cara czuła się jak bez ręki.

Snując się po domu, spostrzegła na gzymsie kominka kilka fotografii, których tam wcześniej nie było, i z ciekawością podeszła bliżej. Najpierw jej uwagę przyciągnęło zdjęcie oprawione w srebrną ramkę, przedstawiające ją samą w wieku kilkunastu lat. Siedziała na drzewie i czytała książkę. Poczuła

ukłucie w sercu i przez okno poszukała wzrokiem miejsca, gdzie kiedyś rósł stary orzech, ale drzewa już nie było. Cara odstawiła fotografię na kominek i sięgnęła po następną.

Największe ze zdjęć zrobiono na werandzie domu w Charlestonie.

Opalony Palmer w marynarskim mundurze z błyszczącymi guzikami otaczał ramieniem szczupłą Julię w jasnym letnim kostiumie. Wszyscy dokoła kpili, że Palmer poślubił dziewczynę, która była najbardziej podobna do jego matki, ale Carze te żarty nigdy nie wydawały się zabawne. Kryło się w nich więcej niż tylko ziarno prawdy. Po obu stronach Palmera i Julii siedziały ich dzieci, Linnea i Cooper.

Było tu jeszcze jedno zdjęcie Linnei, oprawione w porcelanową ramkę w kwiaty. Cara wzięła je do ręki. Jej bratanica była ładną dziewczynką o urodzie, która stanowiła ciekawe połączenie wyglądu obydwójga rodziców. Cara zastanawiała się przez chwilę i policzyła, że Linnea skończy wkrótce dziewięć lat. Miała uroczy, uwodzicielski uśmiech Palmera, ale we wszystkich innych szczegółach przypominała matkę i babkę: niebieskie oczy, jasnoblond włosy i porcelanowa cera. Z kolei Cooper odziedziczył geny rodziny Rutledge. Miał mocno zarysowaną szczękę, szerokie czoło i nos, który już teraz zapowiadał się na duży. Zamiast uśmiechu na jego twarzy malował się grymas. Cara próbowała sobie przypomnieć, ile jej bratanek ma lat, ale ze wstydem stwierdziła, że po prostu nie wie. Na zdjęciu wyglądał na jakieś pięć. W jego oczach, ciemnobrązowych jak oczy Cary i jej ojca, było jednak coś, co przyciągnęło jej uwagę: wrażliwość skrywana głęboko za maską brawury.

Odstawiła fotografie i zamyśliła się głęboko. Nie miała własnych dzieci, niekoniecznie z wyboru, raczej dlatego, że tak jej się życie ułożyło, a to były jedyne dzieci w rodzinie. Wysyłała im prezenty na urodziny i na Boże Narodzenie, otrzymywała uprzejme, bezosobowe podziękowania i na tym kończyły się ich kontakty. Tych dwoje pewnie nawet nie poznałoby jej na ulicy.

Podjęła nagłą decyzję, podeszła do telefonu i wykręciła numer domu Palmera. Był to ten sam numer, który pamiętała z dzieciństwa. Po czterech sygnałach odezwał się jakiś niechętny głos.

- Palmer? - zapytała Cara ze zdziwieniem. O tej porze powinien być w pracy. Spodziewała się, że Julia odbierze telefon.

Zapadła kłopotliwa cisza.

- Mama?

- Nie - zaśmiała się Cara. - To ja, Cara. Co u was słychać?

- Cara? Coś takiego... Co za niespodzianka! Wszystko u ciebie w porządku?

- Tak, tak. Jestem na wyspie.

- Poważnie? To świetnie. Jak długo tu zostaniesz?

- Niezbyt długo.

- Przyjechałaś służbowo czy dla przyjemności?

- Dla przyjemności.

- Naprawdę? - powtórzył Palmer. Wydawał się szczerze zdziwiony. - A to mnie zaskoczyłaś!

- Nie zaczynaj znów, Palmer - roześmiała się Cara. - Jestem w domu na wyspie. Mama zaprosiła mnie w odwiedziny, a że akurat miałam kilka wolnych dni, więc jestem.

- Zaprosiła cię? - powtórzył Palmer z namysłem. - Więc poznałaś jej współmieszkanekę?

Po tonie jego głosu Cara natychmiast zorientowała się, że jej brat nie akceptuje Toy Sooner. Przypomniała sobie obietnicę złożoną matce i westchnęła.

- Spotkałam ją przelotnie, ale ona raczej schodzi mi z oczu, a ja od przyjazdu prawie przez cały czas miałam migrenę i nie otwierałam do nikogo ust. Teraz już czuję się lepiej. Słuchaj, zobaczyłam zdjęcia Coopera i Linnei i

zdziwiłam się, jak bardzo urosli. Właściwie to dzwonię dlatego, że chciałabym się z wami zobaczyć.

- Jasne, Cara! Julia przygotowuje coś specjalnego na kolację. Kiedy możesz przyjechać?

Cara uśmiechnęła się mimowolnie. Południowy akcent jej brata był tak zaraźliwy, że ona również, nie wiedząc kiedy, zaczęła już przeciągać sylaby.

- A kiedy by wam odpowiadało?

- Dziś po południu wyjeżdżam do Charlotte, by załatwić kilka pilnych spraw. Zostanę tam do końca tygodnia. Właśnie się pakuję... Może w sobotę? Będziesz tu jeszcze? To całe trzy dni...

Cara spojrzała za okno i zobaczyła czyste, błękitne niebo. Pierwszy tydzień jej pobytu tutaj trudno było uznać za wakacje. A poza tym bardzo chciała zobaczyć bratanków.

- Masz to jak w banku - odrzekła.

- To świetnie - ucieszył się. - Wszyscy będziemy cię wyczekiwać. I przywieź ze sobą mamę, dobrze? Powiedz jej, że wnuki bardzo się za nią stęskniły. Od zimy zajrzała tu tylko kilka razy. Zaszła się na wyspie jak krab pustelnik. Martwię się o nią.

- To przyjeźdź na wyspę. Przecież to nie tak daleko.

- Właściwie czemu nie. Wakacje już się zaczęły i dzieci nie chodzą do szkoły. Może wpadniemy na kilka dni.

- Mama bardzo by się ucieszyła - stwierdziła Cara, ale zaraz przypomniała sobie o Toy. - Tylko że trochę tu teraz ciasno.

- Ale my już nie zatrzymujemy się w tym domku - stwierdził Palmer głosem niezwykle podobnym do głosu ojca. - Mamy własny dom na wyspie Sullivan. Tuż obok latarni. Tylko że przeważnie wynajmujemy go komuś na lato i w rezultacie sami rzadko z niego korzystamy.

W jego głosie brzmiała wyraźna duma i Cara pomyślała, że interesy jej brata muszą iść bardzo dobrze, skoro stać go było na letni dom na wyspie Sullivan.

- Przyjedźcie około czwartej - mówił Palmer. - Popływamy trochę łódką. Pewnie dawno tego nie robiłaś. Wypijemy kilka drinków i popatrzymy na zachód słońca, jak za dawnych czasów.

- Fantastycznie, Palmer - odrzekła Cara z prawdziwą radością. - Czy mam coś ze sobą przywieźć?

- Skoro już pytasz... Pamiętasz tę budkę przy Shem Creek, w której sprzedają krewetki?

- Nie, ale mogę jej poszukać.

- Musisz pamiętać, na pewno. Mają świeżutkie krewetki, sprzedawane prosto z łodzi. Zjeżdżasz z Coleman Street przy stacji benzynowej. Ta budka stoi tuż przy dokach. Kup krewetki, a ja ci wrócę pieniądze. Sam bym po nie pojechał, ale wracam z Charlotte dopiero w piątek, a Julia w tym czasie wybiera się z dziećmi do swojej matki i też wracają w piątek. Zrobimy mus krewetkowy.

- To propozycja nie do odrzucenia - ucieszyła się Cara. W młodości była to jej ulubiona potrawa. Ciekawe, czy Palmer o tym pamiętał i chciał sprawić siostrze przyjemność.

- No, to jesteśmy umówieni. Pozdrów ode mnie mamę. Do zobaczenia.

Pożegnali się tak bezpośrednio, jakby po raz ostatni rozmawiali ze sobą dopiero wczoraj. Tak to jest z rodziną, uświadomiła sobie Cara, patrząc na słuchawkę. Nawet po wielu latach rozdzielenia jedna rozmowa wystarczała, by znów nawiązać kontakt.

W domu panowała zupełna cisza. Cara była sama. Po chwili namysłu jeszcze raz sięgnęła po słuchawkę. Boże, jakież ten stary aparat był niewygodny w porównaniu z komórką. Wykręciła swój numer domowy i odsłuchiwała wiadomości. Tak jak przypuszczała, kilku kolegów z pracy nagrało wyrazy współczucia. Niektórzy zostali wyrzuceni razem z nią, co do innych nie była

tego pewna. Zanotowała wszystkie numery. Richard dzwonił wiele razy i coraz bardziej zmartwionym głosem dopytywał się, dlaczego jej komórka milczy. Poczula wyrzuty sumienia, że nie odezwała się do niego wcześniej. Nawet nie zawiadomiła go, że wyjeżdża z Chicago. Czy on przeżywał zwolnienie z pracy równie mocno?

Richard. Przed oczami stanęła jej jego wyrazista twarz, ciemne włosy z pierwszymi śladami siwizny. Dzielili ze sobą wszystkie triumfy i upadki. Wszyscy w agencji wiedzieli o ich związku i po cichu mu sprzyjali, domyślając się, że jeśli tych dwoje nie zdąży omówić projektu w biurze, to dokończą pracę w domu. Cara i Richard często żartowali, że łączy ich coś o wiele lepszego od miłości.

Spojrzała na zegarek. Była dziesiąta piętnaście, a w Chicago o godzinę wcześniej. Richard mógł jeszcze spać. Cara postanowiła najpierw zadzwonić do Adele Tillwell, znajomej łowczyni talentów. Przyniosła z sypialni elektroniczny notes, długopis i papier, rozłożyła je przy telefonie i wykręciła znajomy numer.

Na szczęście Adele sama odebrała telefon i po krótkiej wymianie uprzejmości przeszły do rzeczy. Cara nie była zdziwiona, że Adele wiedziała już o jej zwolnieniu.

- Zrobię, co będę mogła, ale sytuacja na rynku pracy nie wygląda różowo - stwierdziła Adele. - Szczególnie na poziomie stanowisk, które cię interesują. Twoja macierzysta szkoła zarzuciła rynek absolwentami.

Cara poczuła przypływ paniki.

- Ale mam dobrą opinię i długą listę osiągnięć.

- Owszem, to prawda. Jest coś odpowiedniego dla ciebie, ale...

- Mów dalej - zachęciła Cara.

- Ale trzeba na to poczekać.

Cara w myślach zaczęła szybko obliczać, jak długo może przeżyć bez dochodów. Odprawa była hojna, jednak...

- Nie mogę czekać zbyt długo.

- Cara, ja nie mam na to wpływu. To może potrwać co najmniej kilka miesięcy.

- Boże, nie znoszę sytuacji, nad którymi zupełnie nie panuję.

Adele roześmiała się i napięcie nieco opadło.

- Przecież ty też masz tu coś do powiedzenia. Rozejrzyj się, a i ja o tobie nie zapomnę. Teraz jesteś moją najważniejszą klientką. Wiele ci zawdzięczam. W przeszłości bardzo mi pomagałaś.

- Nic mi nie jesteś winna, ale w każdym razie bardzo ci dziękuję.

- Możesz uruchomić własne kontakty. Czy jest jakieś miejsce, gdzie szczególnie chciałabyś pracować? Zastanów się.

Przez chwilę rozmawiały o rozmaitych firmach.

- No dobrze - stwierdziła w końcu Adele. - Przyślij mi listę faksem.

- Nie mogę. Cofnęłam się do średniowiecza. Gdybyś zobaczyła telefon, z którego korzystam...

- No to e-mailem.

- Nie mam tu komputera.

- To gdzie ty właściwie jesteś, na Syberii?

- Nie - roześmiała się Cara. - W letnim domu mojej matki. Wyjeżdżałam z Chicago w takim pośpiechu, że niczego ze sobą nie zabrałam. Ale to nie ma znaczenia, bo i tak nie zostanę tu długo, a poza tym jest jeszcze zwykła poczta.

- A kiedy wracasz do Chicago?

- Pewnie w przyszłym tygodniu.

- Zobaczę, co uda mi się znaleźć do tego czasu. No i możesz jeszcze zadzwonić do Richarda Selby'ego, on też ma swoje kontakty.

Do Richarda?

- Tak, dobrze, Adele, jeszcze raz ci dziękuję. Do zobaczenia - rzekła Cara i powoli odłożyła słuchawkę. Przez dłuższą chwilę siedziała nieruchomo, zastanawiając się nad ostatnimi słowami Adele, która dała jej wyraźnie do zrozumienia, że Richard ma teraz mocną pozycję na rynku pracy. Czy to

możliwe, by jednak nie został zwolniony z agencji? W umyśle Cary chaotycznie wirowały pytania i wątpliwości. Bez zastanowienia wykręciła domowy numer Richarda.

Po piątym sygnale włączyła się automatyczna sekretarka. Cara odłożyła słuchawkę, nie zostawiając żadnej wiadomości. Czyżby jednak był w pracy?

Nie miała najmniejszej ochoty dzwonić, do agencji, wysłuchiwać wyrazów współczucia i udzielać krępujących wyjaśnień, ale nie zwykła odkładać niczego na później. Musiała wiedzieć. Wzięła głęboki oddech i znów podniosła słuchawkę.

- Dzień dobry, tu biuro Richarda Selby'ego.

- Dzień dobry, Trish - odrzekła Cara, ze wszystkich sił starając się zachować swobodny ton. - Mówi Cara Rutledge.

- Witam panią! Zastanawialiśmy się, gdzie się pani ukrywa!

Uklucie było bolesne.

- Nigdy nie zamierzałam szukać kryjówki - stwierdziła Cara lodowato.

- Och - zająknęła się sekretarka. - Chciałam tylko powiedzieć, że pan Selby kilkakrotnie próbował do pani dzwonić. Martwił się o panią.

- Naprawdę? Zupełnie niepotrzebnie. Dostałam wiadomość od matki i musiałam natychmiast wyjechać z Chicago w pilnej sprawie rodzinnej.

- Mam nadzieję, że wszystko jest w porządku?

- Tak, dziękuję. - Cara urwała na chwilę, po czym zapytała, zdobywając się na jak najbardziej obojętny ton: - Rozumiem, że pan Selby nadal pracuje w agencji? Czy tak?

Trish odpowiedziała radosnym śmiechem.

- Oczywiście, że tak! A nawet został awansowany! Nie wiedziała pani o tym? Teraz jest wiceprezesem!

Serce Cary zaczęło bić szybciej. Wszystkie elementy układanki powoli tworzyły jasny obraz. Richard pracował w dziale prawnym i musiał wcześniej wiedzieć o zbliżających się zwolnieniach na dużą skalę. Musiał wiedzieć, że

również i jej nazwisko znalazło się na liście. I właśnie dlatego w kluczowym momencie wyjechał z miasta. I to w dodatku w dzień jej urodzin... Co za tchórz.

- Pani Rutledge?

- Cóż za wspaniała wiadomość - skomentowała spokojnie. - Na pewno jesteście teraz bardzo zajęci przeprowadzką.

- Nie, właściwie już skończyliśmy. Pan Selby po prostu nie chciał rozgłaszać tej nowiny przed zwolnieniami. Och... - urwała nagle sekretarka. - Bardzo mi przykro, pani Rutledge, że panią również to dotknęło. Ale chyba wiedziała o tym pani wcześniej?

- Oczywiście - odrzekła Cara, czując, że brakuje jej tchu.

- Pan Selby jest teraz na zebraniu, ale wiem, że chciałby z panią porozmawiać. Dzwonił do pani wiele razy. Powiem mu, że nie ma pani w Chicago. Czy zostawi pani jakiś numer telefonu?

- Nie - powiedziała chłodno Cara. - Będę w podróży. Proszę powiedzieć Richardowi, że zadzwonię do niego później, na domowy numer.

Odłożyła słuchawkę. A więc wszystko jasne, pomyślała ponuro. Koniec iluzji. Bliskość, zaufanie, wszystkie godziny, które spędzili razem w ciągu tych czterech lat, wszystko to w jednej chwili przestało się liczyć. Miała wrażenie, że wściekłość dosłownie ją rozsadzi. Przez chwilę walczyła z pokusą, by zadzwonić na domowy numer Richarda i nagrać mu na sekretarce wszystkie słowa, jakie cisnęły jej się na usta. Po chwili jednak zacisnęła dłoń w pięść i zrezygnowała z tego pomysłu. Nie, nie będzie więcej dzwonić do tego sukinsyna. Tego tylko brakowało, by z ironicznym śmiechem puszczał jej wiadomość znajomym przy drinku. Zapewne gratulowałiby mu, że tak skutecznie i w ostatniej chwili wymknął się z pułapki. Cara z rozpaczą zacisnęła powieki. Jak mógł jej to zrobić? Nie miała pojęcia, że Richard jest taki okrutny i bezwzględny. Przynajmniej wobec niej nigdy się tak nie zachowywał. Nie byli co prawda małżeństwem, ale... Przypomniała sobie wiele szczęśliwych chwil, jakie stały się ich udziałem.

Siedziała na krześle i długo patrzyła na ocean, a potem nagle wybuchnęła głośnym śmiechem. Śmiała się i śmiała, i nie mogła przestać. Początkowe niedowierzanie i kpina z samej siebie stopniowo przerodziły się w beztroską, żywiołową wesołość. To wszystko było zbyt żalosne, zbyt absurdalne. Cóż za piekielna kombinacja astrologicznych wpływów sprowadziła na nią tę serię katastrof? Skończyła czterdzieści lat, straciła pracę, a teraz jeszcze rzucił ją mężczyzna. Gdyby miała psa, zapewne przejechałby go samochód. Co jeszcze się wydarzy?

Poczuła, że jeśli natychmiast nie wyjdzie z domu, chyba zwariuje. Szybko podniosła się z krzesła, pochwyciła jeden ze słomkowych kapeluszy matki i wyszła na słońce. Za domem skręciła na wąską ścieżkę między pustymi działkami. Było to jedyne miejsce na wyspie, gdzie pozostało jeszcze tak wiele wolnej przestrzeni. Jej matka miała szczęście, że mieszkała akurat tutaj i nic nie zasłaniało jej widoku na ocean.

Ścieżką wspięła się na piaszczysty pagórek, potem okrążyła wysoką wydmy. Cara po raz kolejny poczuła się zadziwiona widokiem niebieskiej, roziskrzanej przestrzeni, która nieoczekiwanie wyłoniła się spoza wydmy. Nie dochodziły tu żadne odgłosy oprócz szumu fal i krzyków mew. Daleko we mgle widać było sylwetkę statku handlowego, a bliżej, przy brzegu, rząd brodzących wśród fal pelikanów. Widok oceanu uspokajał Carę i zmuszał do zapomnienia o wszystkich problemach. Powoli zeszła z wydmy i znalazła się na plaży.

Po tej stronie wyspy, z dala od hoteli i restauracji, nie było wielu turystów. Cara zauważyła tylko jedną grupkę plażowiczów rozciągniętych na kolorowych ręcznikach pod parasolami wetkniętymi w piasek i ruszyła w ich stronę. Trochę dalej znajdowało się molo, przy którym można było dostać coś zimnego do picia. Matki w kostiumach bikini, pilnujące dzieci rozchlapujących fale, patrzyły z zaciekawieniem na jej jedwabny kostium. W pewnym momencie zauważyła drewniany płótek otaczający skrawek wydmy. Do płotka

przymocowany był plastikowy znak ostrzegawczy. Cara uśmiechnęła się. Tu znajdowało się jedno z żółwich gniazd, a znak zapewne umieściła jej matka.

Zanim dotarła do mola, zaczęły ją piec ramiona. Minęła grupę nastolatków grających w siatkówkę plażową i weszła w cień czerwonych parasoli restauracji „Banana Cabana”. W klimatyzowanym budynku przywitał ją boski chłód. Usiadła przy ścianie, pod neonową reklamą piwa, i zamówiła sałatkę z krewetek oraz dietetyczną colę. Porcja okazała się ogromna. Wbijając widelec w coś zielonego, Cara poczuła na sobie czyjeś spojrzenie. Obróciła głowę i dostrzegła parę niebieskich oczu o dokładnie takim samym odcieniu jak ocean.

Mężczyzna siedział przy barze, opierając się łokciami o blat, i patrzył na nią przenikliwie. Spłowiła niebieska koszula opinała szerokie ramiona, gęste włosy były jasnobrązowe i potargane od wiatru, a policzki przyciemniał jednodniowy zarost. Emanowała z niego dojrzała siła. Siedział w towarzystwie trzech kolegów, na pierwszy rzut oka miejscowych bywalców, którzy wpadli do ulubionego baru na piwo.

Rudy brodacz po prawej stronie mówił mu coś do ucha, również patrząc w jej stronę. Jego wzrok prześliznął się po jej postaci od czubka głowy aż po buty, a potem mężczyzna uśmiechnął się szeroko i odwrócił głowę do telewizora.

Cara poczuła, że policzki ją palą. Jej sandałki, które w mieście mogły zachwycić, tu wyglądały po prostu idiotycznie. Szybko zawołała kelnerkę, podała jej kartę kredytową i niemal wybiegła z restauracji, nie oglądając się za siebie.

Słońce na ulicy oślepiało, ale rozwścieczona Cara nie zwracała uwagi na piekące ramiona. Ta złość była dobra, dała jej wreszcie poczucie jakiegoś celu. Szła ulicą, rozglądając się na prawo i lewo, wreszcie zobaczyła niewielki butik z zawieszoną nad drzwiami klatką z dużą papugą. Ptak pogwizdywał i skrzeczał, zwracając na siebie uwagę przechodniów.

- Dobra robota - powiedziała Cara do papugi i weszła do środka. Młoda sprzedawczyni natychmiast wyszła zza lady i obrzuciła ją fachowym spojrzeniem.

- Co mogę dla pani zrobić? - zapytała pogodnie.

- Potrzebna mi przymierzalnia - stwierdziła Cara krótko. Idąc pomiędzy półkami, zgarnęła dwie pary szortów, cztery bawełniane koszulki, cienki dres, doskonały na wieczór na plaży, dwa kostiumy kąpielowe, długą, czarną bawełnianą sukienkę w hawajskie kwiaty i niebieski ręcznik plażowy. Weszła do przymierzalni i po chwili wyłoniła się stamtąd ubrana w szorty w kolorze khaki oraz białą koszulkę. Sprzedawczyni ze śmiechem odcięła ceny i ostrożnie zapakowała do torby jedwabny kostium.

- Czy coś jeszcze?

- Sandały - stwierdziła Cara, wymownie wskazując na swoje nogi. - Potrzebne mi są wygodne sandały do chodzenia po plaży. Takie, którym nie zaszkodzi, jeśli zamokną. Będę dużo chodzić.

- Takie są najlepsze - odrzekła dziewczyna, podnosząc stopę. Cara popatrzyła na jej niezgrabne sandały z szerokimi paskami na grubej gumowej podeszwie i pomyślała, że ona sama nigdy by na coś takiego nie zwróciła uwagi.

- Dziewiątka - rzuciła krótko. Zdjęła te, które miała na nogach, i wyrzuciła je do kosza na śmieci.

- Może jeszcze to? - zaproponowała sprzedawczyni z lekkim uśmiechem, pokazując Carze granatową baseballową czapkę z symbolem Karoliny Południowej, przedstawiającym palmę i półksiężyc. Cara zaśmiała się i nałożyła czapkę, a słomkowy kapelusz wrzuciła do torby. Przed wyjściem ze sklepu przejrzała się w lustrze. Kark i ręce miała opalone, a nogi zupełnie białe.

- Wyglądam jak typowa turystka - stwierdziła.

- Teraz już pasuje pani do tej wyspy - uśmiechnęła się dziewczyna.

*Chociaż samica już jest zmęczona i głodna,
najtrudniejsza część zadania dopiero przed nią.
W ciągu jednego sezonu lęgowego,
w dwutygodniowych odstępach,
powstają przeciętnie cztery gniazda.*

ROZDZIAŁ PIĄTY

Lovie siedziała zgarbiona na lekarskiej leżance i drżącymi palcami zapinała guziki bluzki. Radioterapia wysysała z niej wszystkie siły. Gdyby jeszcze niszczyła raka... Ale gdybanie nie miało w tym przypadku żadnego sensu. Rak był faktem, a kuracja niewiele pomagała. Lovie miała tylko nadzieję, że dzięki niej pożyje o kilka miesięcy dłużej, nic więcej.

Zastanawiała się, czy nadszedł już czas, by powiedzieć o chorobie dzieciom. Guza odkryto w grudniu i Lovie przeżyła wstrząs. Była odrętwiała ze strachu. Guz już wtedy był duży, nieoperacyjny, a prognozy ponure. Lovie długo się zastanawiała przed podjęciem decyzji, a w końcu, podobnie jak przez wszystkie lata życia, doszła do wniosku, że lepiej będzie oszczędzić dzieciom długiego cierpienia i zachowała wiadomość dla siebie.

Poza tym Palmer zupełnie zatrułby jej życie. Był z nią bardzo mocno związany i na pewno zacząłby się niepotrzebnie zamartwiać. No bo czy jest sens przejmować się tym, co nieuniknione? Lovie od rana do nocy musiałaby słuchać o specjalistach, do których jej syn zamierza zadzwonić, i o szukaniu najlepszej terapii. Julia natomiast zostałaby zmuszona do podjęcia się roli głównej opiekunki, a Lovie wiedziała, że jej synowa po prostu się do tego nie nadaje. Była dobrą kobietą, jednak długotrwała opieka nad chorą teściową wytrąciłaby ją z równowagi. Zresztą Lovie była przekonana, że Julia bardziej przejęłaby się zakłóceniem rytmu swojego uporządkowanego życia niż chorobą teściowej.

Mógłby z tego wyniknąć tylko chaos, na którym najbardziej ucierpiałyby dzieci. Nie wspominając już o tym, że Palmer nigdy w życiu nie pozwoliłby matce opuścić domu w Charlestonie i przyjechać samotnie na wyspę.

A Cara... Lovie zapięła ostatni guzik i bezwładnie opuściła ręce na kolana. Nie miała pojęcia, jak zareagowałaby córka. Może wzięłaby urlop, przyleciała do Karoliny i kompetentnie zajęła się organizacją leczenia, a może tylko przysłałaby kwiaty.

Lovie słyszała wiele opowieści innych chorych na raka pacjentów. O dzieciach, które w ogóle nie odwiedzały chorych rodziców, o starych przyjacielach, którzy nawet nie podnosili słuchawki telefonu, o braciach i siostrach, którzy udawali, że nie ma żadnego raka, przekonani, że jeśli będą ignorować chorobę, to ona po prostu zniknie. Czyżby tak bardzo obawiali się samej myśli o śmierci, że woleli odwracać się i patrzeć w drugą stronę? Nic dziwnego, że śmiertelnie chorzy czuli się ogromnie samotni.

Lovie zadrżała, patrząc niewidzącym wzrokiem na zimne zielone ściany. Chłód przenikał ją do szpiku kości. Była okropnie zmęczona, miała ochotę się rozplakać, i w dodatku, jak zwykle po terapii, zbierało jej się na mdłości. Nie mogła się już doczekać powrotu do domu. Usiadła wreszcie w ulubionym fotelu na werandzie i posłucha szumu fal.

Na odgłos pukania do drzwi podniosła głowę. Do pokoju wszedł doktor Pittman. Zawsze wydawał się gdzieś spieszyć, a mówił tak szybko, że trudno go było zrozumieć. Lovie uważała, że po części spowodowane to było błyskotliwą inteligencją - usta nie nadążały za myślami - a po części tym, że studiował na Północy, w Harvardzie czy Yale. Uważano go za jednego z najlepszych specjalistów, Lovie jednak trochę przeszkadzał jego młody wiek.

- Dzień dobry, pani Rutledge - powiedział teraz, nie odrywając wzroku od karty pacjenta. Olivia wymamrotała coś uprzejmie w odpowiedzi.

W ślad za lekarzem do pokoju wsunęła się Toy. Niech Bóg błogosławi to dziecko, pomyślała Lovie. Toy była przy niej przez cały czas, wozila ją na

terapię i niezliczone wizyty u lekarzy, czasami czekała na nią godzinami, i ani razu Lovie nie usłyszała od niej nawet jednego słowa skargi. Transport był bardzo ważny, ale poza tym Toy robiła jeszcze zakupy, zajmowała się domem i nawet chodziła z Lovie do kościoła na niedzielne msze. No i rozmawiała z nią. Po naświetlaniach, gdy Lovie czuła się pólżywa, siadała w fotelu i po prostu słuchała pełnej życia paplaniny swej młodej towarzyszkii. Nie miała pojęcia, co by bez niej zrobiła. Toy Sooner była kimś więcej niż opiekunką, była darem od Boga.

Lovie wyciągnęła do niej rękę i Toy natychmiast ją uścisnęła.

- Bóg kazał opiekować się chorymi - powiedziała Lovie z wdzięcznością.
- Ale ty chyba za bardzo wzięłaś to sobie do serca. Dostaniesz nagrodę w niebie. Nie miałam pojęcia, że to zajmie aż tyle czasu.

Dziewczyna tylko machnęła ręką.

- Siedziałam w poczekalni, oglądałam telewizję i czytałam. A tak przy okazji, panie doktorze, to przydałoby się kilka nowszych czasopism. Najświeższe jest sprzed czterech miesięcy.

Lekarz obojętnie pokiwał głową.

- Wygląda pani na zmęczoną - zauważyła Toy, patrząc uważnie na twarz Olivii. - Może w drodze do domu wstąpimy gdzieś na koktajl mleczny?

- Ja dziękuję. Mój żołądek na razie tego nie zniesie. Ale możemy się gdzieś zatrzymać, przyda się tobie i dziecku.

- Chciałbym, żeby pani więcej jadła - zwrócił się lekarz do Lovie. - Wciąż traci pani na wadze.

- Spróbuję - odrzekła machinalnie.

- Czy coś pani ostatnio dolega? Jakies boleści? - wypytywał lekarz, zerkając na nią znad karty ciemnymi oczami.

Owszem, miała wiele dolegliwości, ale lekarz dobrze wiedział, że nie jest w stanie ich wyleczyć.

- Radzę sobie z bólem dzięki tym tabletkom, które pan mi przepisał.

- Gdyby tabletki już nie pomagały, to proszę do mnie zadzwonić, dobrze?
- rzekł lekarz, składając kartę. - No cóż, to na razie wszystko. Nie jestem zadowolony, że przerywa pani terapię. Wolałbym, żeby przyjeżdżała tu pani do końca lata. Lovie przymknęła oczy i westchnęła.

- Przerwała pani terapię?! - zawołała Toy ze zdumieniem.

- Tak, kochanie - odrzekła Lovie spokojnie i znów zwróciła się do lekarza: - A jeśli będę ją kontynuować przez całe lato, tak jak pan radzi, to czy zostanę wyleczona?

- Nie - odrzekł lekarz ostrożnie. - Naświetlania nigdy nie leczą. Ale o tym już przecież rozmawialiśmy, prawda?

- Prawda - potwierdziła Olivia stanowczo. - Doskonale to rozumiem. Rozumiem również, że nie pożyję dłużej niż do końca lata, tak?

Lekarz uśmiechnął się z trudem. Toy zacisnęła palce na dłoni Lovie.

- Więc niech mi pan powie, panie doktorze, czy gdyby zostało panu tylko jedno lato do przeżycia, to chciałby je pan spędzić na naświetlaniach?

- Być może. Gdybym dzięki temu miał szansę dożyć jesieni.

Lovie lekko wzruszyła ramionami.

- Lato mi wystarczy, pod warunkiem, że będzie udane.

- Ale przecież pani nie wie tego na pewno! - zawołała Toy.

Lovie przeczuwała, że jeśli natychmiast jej nie powstrzyma, to dziewczyna będzie ją przekonywać całymi godzinami. - Może pani jeszcze wyzdrowieć!

- Posłuchaj, dziecko - westchnęła Olivia. - Ja już podjęłam decyzję. Szkoda czasu na pobożne życzenia. Chcę się cieszyć każdą minutą, którą Bóg łaskawie mnie obdarzy. A chora i wyczerpana nie dam rady cieszyć się życiem, prawda? Dlaczego mam spędzać tę resztkę czasu, jaki został mi dany, czekając na śmierć, skoro jest we mnie jeszcze trochę życia? To moja ostateczna decyzja. Żadnych więcej naświetlań.

Toy zamilkła i jej oczy napelniły się łzami. Lekarz pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Dobrze - powiedział, wyciągając bloczek recept z kieszeni fartucha. - Nie będziemy się więcej spotykać tu, w szpitalu, ale chciałbym być informowany o pani stanie. Oczywiście będę w kontakcie z pani lekarzem. Są jednak pewne sprawy, dotyczące opieki nad panią, które będzie pani musiała uzgodnić z rodziną. Nie wiemy, jak szybko nowotwór będzie się rozszerzał. Można tylko mieć nadzieję, że ostatnia seria naświetlań zahamuje tempo na jakiś czas. Ale nadejdą dni, gdy będzie pani potrzebowała opieki, jakiej pani Sooner nie jest w stanie zapewnić. Musi pani postarać się o dodatkową pomoc albo zastanowić nad przeprowadzką do domu opieki.

- Nie! Pani Lovie nigdzie nie musi się przeprowadzać. Ja przy niej będę! - zawołała szybko Toy.

Doktor Pittman spojrział na nią ze współczuciem.

- Kiedy urodzi się pani dziecko?

- We wrześniu.

- Zdaje sobie pani chyba sprawę z tego, że właśnie wtedy pani Rutledge będzie najbardziej potrzebowała pomocy? Taka opieka jest ogromnie absorbująca. Jak pani sobie z tym poradzi?

Tym razem to Lovie odpowiedziała za Toy:

- Mam dorosłe dzieci, a poza tym, jak sam pan wspominał, istnieją organizacje, do których mogę się zwrócić po pomoc. Nie chcę iść do domu opieki.

- Zapiszę pani numer pewnej osoby z opieki społecznej, która została przeszkolona do udzielania pomocy rodzinom chorych. Być może pani bliscy nie będą w stanie podjąć tak ważnej decyzji. Trzeba wziąć pod uwagę wiele rzeczy. Może zechce pani również porozmawiać ze swoim księdzem. - Podał jej karteczkę z numerem telefonu. - Żałuję, ale nic więcej nie mogę dla pani zrobić. Życzę wszystkiego dobrego i proszę być ze mną w kontakcie.

Po wyjściu z gabinetu Lovie odetchnęła z ulgą. Miała spokój z lekarzami na całe lato.

- Dlaczego nie powiedziała mi pani wcześniej, że chce pani przerwać terapię? - zapytała Toy.

- Dopiero dzisiaj się na to zdecydowałam.

- Musi pani powiedzieć Carze, że jest pani chora.

- Nie. I tobie też zabraniam, rozumiesz?

- Ale...

- Toy, mówię jasno i wyraźnie. Nie chcę, żeby Cara o tym wiedziała. W każdym razie jeszcze nie teraz.

- Nie rozumiem, dlaczego chce ją pani chronić - oburzyła się dziewczyna.

- Skoro tak świetnie radzi sobie w życiu, to z tym również powinna sobie poradzić!

- Nie chodzi mi o to, żeby ją chronić. Ale jeśli powiem jej teraz, to nie uda mi się już porozmawiać z nią o niczym innym. Poza tym Cara wydaje się jakaś zmieniona. Są ważniejsze sprawy, które chcę z nią omówić, a mam mało czasu. Jeśli bardzo mi się pogorszy, to wtedy jej powiem. Ale na razie musisz mi zaufać. Obiecuj, że ty też jej nie powiesz.

- No dobrze - zgodziła się Toy niechętnie. – Ale nie podoba mi się to. Ja na jej miejscu wolałabym wiedzieć.

- A czy ty powiedziałaś swojej matce, kiedy będziesz rodzić?

- To co innego - spłoszyła się dziewczyna.

- Na pewno? A może po prostu obawiasz się, że i tak nic by jej to nie obeszło? Toy, kochanie, wiem, jak się czujesz. Może ja obawiam się tego samego co ty.

Toy przygryzła dolną wargę i skinęła głową.

- A teraz jestem już bardzo zmęczona i chcę wrócić do domu. Dzisiaj już nie będziemy się więcej martwić. Mamy na to całe lato. Postarajmy się, żeby to lato było niezapomniane.

Zaproszenie na kolację u Palmera wyrwało wszystkie trzy mieszkanki domku na plaży z letargu. Musiały zrezygnować na to popołudnie ze zwykłego stroju plażowego i włożyć coś bardziej wyszukanego. Gdy Cara weszła do salonu, Lovie spojrzała na nią i zaniemówiła.

- Nie masz zamiaru się przebrać?

Cara popatrzyła na swój nowy dres z białymi lampasami wzdłuż nogawek.

- Miałam zamiar pójść w tym.

- Na kolację? - zdumiała się jej matka.

- Mamo, przecież będziemy pływać łódką!

- Wyglądasz, jakbyś się wybierała na siłownię! Masz tu tyle ładnych ubrań, dlaczego nie włożysz czegoś innego? Wysokie obcasy, odrobina szminki i kobieta od razu wygląda i czuje się lepiej! Wszystkie niewiasty z Południa dobrze o tym wiedzą!

Cara wstrzymała oddech.

- Ale ja przez ostatnie dwadzieścia lat mieszkałam w Chicago.

- Urodziłaś się na Południu i nigdy o tym nie zapominaj. Nie można się odciąć od własnych korzeni. To się ma we krwi.

- Rozumiem. Przyszła pora na wykład? Oczy Lovie zabłysły.

- Martwię się o ciebie, Caretta. Jesteś silną kobietą, ale siła bez elastyczności daje tylko twardość. Gdy jesienią wieją silne wiatry od morza, drewniane domy pękają i wałają się, ale palmy uginają się z wiatrem i dzięki temu mogą przetrwać wszystko. To właśnie jest sekret kobiet z Południa. Siła, elastyczność i piękno. Nigdy nie bywamy twarde.

Cara przymknęła oczy i policzyła w myślach do dziesięciu.

- Jeśli się przebiorę, to dasz mi spokój?

Lovie ze słodkim uśmiechem poprawiła apaszkę.

- Przebierz się, o ile sama tego chcesz, kochanie.

Cara przebrała się w nową sukienkę w hawajskie kwiaty i rozpuściła luźno włosy. Do tego włożyła złote kolczyki w kształcie kółek i kolorowe bransoletki na przeguby obu rąk. Aby sprawić przyjemność matce, pomalowała usta na jaskrawoczerwony kolor.

- Wyglądasz bardzo egzotycznie - zachwyciła się Lovie.

Cara musiała przyznać, że w tym stroju czuła się swobodnie i na miejscu. Sukienka pasowała do atmosfery wyspy.

Toy ubrała się w długą czarną spódnicę i czarną bluzkę z dzianiny, która opinała się na brzuchu. Przez cały czas była milcząca i jakby nieobecna duchem. Cara pomyślała, że Toy przypomina lalkę z japońskiego teatru, prawie niezauważalną podczas trwania spektaklu. Dziewczyna próbowała się wymówić od kolacji, Lovie jednak była nieugięta i oświadczyła, że jeśli Toy zostanie w domu, to ona też. Ostre spojrzenie matki uświadomiło Carze, że Lovie dobrze wie, jaki jest stosunek Palmera do dziewczyny, jednak nie zamierza się tym przejmować. Przypomniała sobie obietnicę złożoną matce, ugryzła się w język, zadzwoniła do brata i zostawiła mu na sekretarce wiadomość, żeby przygotował się na przybycie większej liczby gości.

Pogoda była doskonała: czyste niebo, niska wilgotność powietrza i lekki, orzeźwiający wietrzyk. Most Ben Sawyer został podniesiony, a pod nim przepływała weekendowa flotyła łodzi. Trzy kobiety grzecznie zajęły miejsce w kolejce oczekujących na przejazd samochodów. Z otwartych okien auta stojącego przed nimi niosły się dźwięki starych przebojów.

- Hej, to piosenka o tobie - zauważyła w pewnej chwili Toy. - Słyszysz? Caretta, Caretta... - zanuciła.

- Nie, to Corrina, Corrina - odrzekła Cara sucho.

- Możliwe. Nie znam tej piosenki, jest stara. Starsza ode mnie.

- Ode mnie też - wymamrotała Cara z rozbawieniem. - Wolalabym się nazywać Corrina, a nie Caretta, jak zółw.

- Powinnaś być dumna, że masz imię na cześć tych pięknych zwierząt - obruszyła się jej matka.

- Cieszę się tylko, że nie wpisali mi do metryki pełnej łacińskiej nazwy tych potworów. Caretta Caretta!

- Chciałam, ale ojciec mi nie pozwolił. Nie śmieję się, mówię poważnie!

- To na drugie imię też miałabyś Caretta? - roześmiała się Toy z tylnego siedzenia.

Cara postukała palcami o kierownicę, zastanawiając się nad tą nagłą zmianą atmosfery. Siedziały tu i żartowały zupełnie swobodnie, choć jeszcze kilka dni wcześniej panowało między nimi wyraźne napięcie. Cara i Toy zachowywały uprzejmy dystans. Cara jednak szybko zauważyła, jak wiele wysiłku Toy wkłada w prace domowe, i z każdym dniem jej respekt dla dziewczyny rósł. Toy potrafiła godzinami rozmawiać o wszystkim z jej matką i Cara trochę jej tego zazdrościła. Istniało między nimi porozumienie, jakiego Lovie nigdy nie udało się osiągnąć z własną córką.

W końcu opuszczono most i samochody ruszyły. Przekroczyły rzekę, potem bagna i znalazły się w Mount Pleasant.

- Po drodze musimy kupić krewetki - przypomniała sobie Cara, wypatrując zjazdu z Coleman Boulevard. - Może wiecie, gdzie jest ta budka?

- Przy Shem Creek - odrzekła matka. - Pierwszy skręt w lewo.

Niemożliwe, żebyś tego nie pamiętała, przecież przyjeżdżałaś tu wiele razy z ojcem.

- Wybiórcza pamięć - mruknęła sucho Cara. Zjechała z autostrady i zagłębiła się w labirynt wąskich uliczek starej dzielnicy. Rosły tu ogromne, omszone dęby, a pomiędzy nimi stały urocze domki. Zgodnie ze wskazówkami Palmera skręciła kilkakrotnie w prawo, wyminęła rząd wielkich nowych budynków i dotarła do ślepej uliczki. Na starym drewnianym szyldzie widniał napis: „Krewetki Shruda. Przynęty i sprzęt do połowów”.

Była to dość szumna nazwa jak na drewnianą szopę, za którą cumowało kilka łodzi do połowu krewetek. Rybacy wyladowywali właśnie sieci z krewetkami z dużego kutra, śmiejąc się i pokrzykując do siebie. Cara wysiadła z samochodu i podeszła do budki. Na burcie kutra stał mocno zbudowany rybak w poplamionych dżinsach, czerwonej koszulce i podniszczonych, ciężkich buciorach. Był nieogolony i gdy pochylał się nad siecią, ciemne włosy opadały mu na oczy. Gdy Cara podeszła bliżej, odwrócił głowę i spojrzał na nią.

To był mężczyzna z baru. Wiedziała, że on również ją rozpoznał, bo po krótkiej chwili zastanowienia uśmiechnął się do niej szeroko. Był to zaczepny, prowokujący uśmiech. Cara odwróciła się plecami do mężczyzny i usłyszała jego głośny śmiech.

- A niech go - mruknęła i poszła do budki. Matka i Toy pakowały już krewetki do torby.

- Wszystko gotowe? - zapytała Cara, wyciągając portfel.

- Karta kredytowa do niczego ci się tu nie przyda - uśmiechnęła się matka.

Cara wyciągnęła kilka banknotów i położyła je na ladzie. Kątem oka zauważyła, że mężczyzna z kutra idzie w ich stronę.

- Reszty nie trzeba - rzuciła szybko i pociągnęła matkę do samochodu.

- Nie rozumiem, po co ten pośpiech - obruszyła się Lovie, zapinając pas.

- Nie chcę, żeby Palmer musiał na nas czekać.

- Czekać? Na litość boską! Przecież przyjeżdżanie dokładnie na wyznaczoną godzinę to zupełny brak dobrych manier! Zwolnij, Cara, udowodnij, że jesteś dobrze wychowana!

Palmer Rutledge stał na mostku kapitańskim Bostońskiego Wielorybnika i trzymając w jednej ręce puszkę z piwem, szerokimi gestami drugiej wskazywał nowe, luksusowe budynki wzniesione na wybrzeżu. Lovie i Toy siedziały obok na pluszowej kanapie ocienionej płóciennym daszkiem. Cara zajęła miejsce na rufie, w pełnym słońcu.

Szeroki, kręty kanał Intracoastal Waterway pełen był leniwie przesuających się łodzi, żaglówek i motorówek. Po obu jego stronach wznosiły się budynki i pomosty do cumowania, w większości nowe. W młodości Cara i jej przyjaciele skakali z tych pomostów i przepływali przez kanał, docierając do wąskiego skrawka lądu po drugiej stronie, gdzie chwilę odpoczywali, a potem płynęli z powrotem. Teraz byłoby to równie niebezpieczne jak próba przejścia przez czteropasmową autostradę.

Cara patrzyła na swego brata z przyjemnością. Palmer w każdym calu był chłopakiem z Południa, tu było jego miejsce, tu czuł się u siebie. Pozostał równie ruchliwy, jak w dzieciństwie. Matka nazywała go Panterą ze względu na zwinne ruchy i uważne, przenikliwe spojrzenie. Teraz, gdy był starszy, zaokrąglone policzki i zarys brzuszka nad gumką spodenek wskazywały na znaczny poziom zadowolenia z życia oraz zamiłowanie do potraw z grilla i piwa.

- Ciociu Caretto, chcesz coś do picia?

Cara podniosła głowę i spojrzała na Linneę, która z trudem utrzymywała równowagę, stojąc na szeroko rozstawionych nogach z puszką coli w ręku.

- Dziękuję, kochanie - uśmiechnęła się, biorąc od niej napój. - Jesteś wzorową gospodynią. Palmer, czy zdajesz sobie sprawę, jaką masz wspaniałą córkę? Nie wylała ani kropli. Chodzi po pokładzie jak baletnica.

- Raczej jak pijany marynarz - uśmiechnął się jej brat.

- Tatusiu!

- Skarbie, ja tylko żartowałem. Wiem, że starasz się, jak możesz.

- Mama powiedziała, że skoro ona musi zostać w domu i zająć się kolacją, to ja mam być gospodynią na łodzi - wyjaśniła dziewczynka z przejęciem. - Czy chcecie coś jeszcze?

- Tylko buzi - uśmiechnęła się Cara. Dziewczynka cmoknęła ją głośno w policzek i zwróciła się do Lovie.

- Babciu, a ty masz ochotę czegoś się napić?

Jej brat stał obok Palmera, śledząc każdy ruch ojca sterującego łodzią. Niestety Palmer był zbyt zajęty rozmową z dorosłymi, by zwracać uwagę na syna.

- Tatusiu, czy mogę potrzymać koło sterowe? Bardzo cię proszę - odważył się w końcu zapytać chłopiec.

- Idź, usiądź na chwilę przy babci - odrzekł Palmer niecierpliwie.

Copper skrzywił się żałośnie, ale posłusznie usiadł obok Lovie i Toy. Po chwili jednak znów się podniósł i ukradkiem stanął za plecami ojca, wpatrując się w nie błagalnie. Cara miała ochotę roześmiać się głośno. Palmer tak samo zachowywał się przy swoim ojcu, a ten również wiecznie go od siebie odganiał. Uważaj, co robisz, braciszku, pomyślała.

Czerwone słońce zniżało się już do linii horyzontu, gdy zawrócili w stronę Charlestonu. Woda przybrała piękny różowy odcień. Wpłynęli do przystani.

- Popatrz, ciociu Caro, tam jest Fort Sumter! - zawołała Linnea, wskazując na wysepkę położoną niedaleko wejścia do przystani.

Cara z uśmiechem skinęła głową. Linnea przysunęła się do niej bliżej.

- Wiesz, ciociu, że z tego fortu padły pierwsze strzały w wojnie secesyjnej?

Cara była tak zdziwiona, że nie odpowiedziała. Palmer jednak wybuchnął głośnym śmiechem.

- Ona myśli, że jesteś Jankeską! Sama widzisz, do czego prowadzi życie na Północy!

Lovie uśmiechnęła się lekko i pokiwała głową.

- Skarbie - wyjaśnił w końcu Palmer, gdy już przestał się śmiać - ciocia Cara nie jest Jankeską.

Linnea popatrzyła na niego ze zmieszaniem.

- Ale przecież mieszka w Chicago!

- Tak, ale urodziła się i wychowała tutaj, w Charlestonie, tak samo jak ty.

Linnea spojrzała na Carę uważnie.

- Nie przejmuj się, kochanie - powiedziała jej ciotka. - To nie twoja wina, że nie wiedziałaś. Wyjechałam stąd na długo przed twoimi narodzinami.

- Ależ jesteś stara - zakpił Palmer. - Jednak ja i tak już zawsze będę twoim starszym bratem i oczkiem w głowie mamy.

Cara poczuła ukłucie w sercu. Nie miała żadnych wątpliwości, że to zaledwie przedsmak tego, co ją jeszcze czeka. Palmer zawsze kpił sobie z poważnych tematów - był to jego nader skuteczny sposób na radzenie sobie z nimi.

Uspokojona Linnea usiadła obok ciotki. Wszyscy zamilkli, gdy Palmer wprowadzał łódź do przystani. Miasto wznoszące się na nadbrzeżu za mocną metalową balustradą wyglądało imponująco, zwrócone starą częścią w stronę oceanu.

- Już prawie jesteśmy w domu - odezwała się Linnea i wskazała na brzeg.
- Nasz dom jest tam!

Cara podniosła głowę i wstrzymała oddech, patrząc ponad wysokimi masztami w stronę Bay Street. To był dom, w którym spędziła dzieciństwo. Przejęta tym widokiem, nie zauważyła, że Lovie obserwuje ją uważnie z lekkim uśmiechem na ustach i jakby coś rozważa w myślach. Gdyby to dostrzegła, jej dobry nastrój natychmiast prysłby jak bańka mydlana.

*Pod osłoną nocy samica żółwia wychodzi na brzeg
i powoli pełźnie w stronę suchego, wysoko
położonego miejsca na plaży.
Tylko samice wychodzą na plażę. Samiec,
gdy wkrótce po narodzinach dotrze do wody,
prawdopodobnie już nigdy więcej z niej nie wyjdzie.*

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Dom matki stał przy wąskiej, ocienionej dębami uliczce, wśród innych podobnych zabudowań. Była to dzielnica pastelowych domków, kościołów i ogrodów, pełna staroświeckiego uroku i wyraźnie odcinająca się od reszty miasta. Olivia i Stratton Rutledge kupili ten dom tanio, na początku lat sześćdziesiątych, wkrótce po narodzinach Cary. Lovie pokochała go od pierwszego wejrzenia i nie zawiodła się - dom okazał się wielką przygodą. Podczas budowy basenu w ogrodzie odkryto mnóstwo zagrzebanych w ziemi skarbów. Odnowienie budynku i doprowadzenie go do stanu pierwotnej świetności zabrało lata, ale okazało się warte wysiłku. Lovie szczyciła się tym, że dom corocznie wpisywano na listę obiektów godnych obejrzenia.

Cara jednak dobrze wiedziała, że w tym ocienionym starymi dębami domu nie zawsze panowało rodzinne szczęście. Ze ściśniętym sercem stanęła przed drzwiami, mając u boku matkę i Toy. Z wnętrza dochodziły piski dzieci i tupot stóp na schodach, a po chwili drzwi otworzyła szeroko uśmiechnięta Julia.

- Jesteście wreszcie! Już myśleliśmy, że gdzieś zginęłyście. Ile czasu trzeba, żeby tu dotrzeć z przystani?

- Chciałam się przejechać po okolicy - wyjaśniła Cara.

- Wchodźcie, dzieci już nie mogą się was doczekać.

Julia była drobna i szczupła. Sukienka w kwiaty dobrze harmonizowała z jej jasnymi, niebieskimi oczami. Cara nie widziała jej od lat i teraz zamiast energicznej dziewczyny ujrzała przed sobą dojrzałą, elegancką kobietę. Niegdyś długie, jasne włosy Julia teraz nosiła krótko obcięte i jak zwykle miała nienaganny makijaż. Jednak pomimo uśmiechu na jej twarzy widać było ślady napięcia i jakiś nowy, twardy wyraz.

Poprowadziła Lovie i Toy na werandę. Cara została we wnętrzu domu. Chciała obejrzeć pomieszczenia, które tak dobrze pamiętała z dzieciństwa. Dom był wspaniałym zabytkiem architektury. Kochała te obszerne, wysokie pomieszczenia, wyłożone drewnianą boazerią, ze wspaniałymi kominkami i lśniącymi podłogami z sosny. Przez te lata zaszły tu jednak pewne zmiany. Zakurzone tapety, które Cara pamiętała, zostały zastąpione nowymi, o jasnych, żywych kolorach - malinowa w jadalni, ciemnozielona w bawialni od frontu, niebieska w gabinecie. Zamiast ciężkich, aksamitnych kotar w oknach wisiały jedwabne zasłony.

Na tle tego wszystkiego stare meble, własność rodziny od pokoleń, prezentowały się jeszcze dostojniej.

- Wyglądasz tak, jakbyś wypatrywała jakiegoś ducha - zauważył Palmer, podchodząc do niej ze szklanką dzinu z tonikiem. Zdażył się już przebrać w eleganckie spodnie i jedwabną koszulę polo.

- Masz na myśli tatę? - uśmiechnęła się Cara, przyjmując od niego drinka.

Palmer podniósł wzrok na wielki portret Strattona Rutledge'a wiszący nad schodami.

- Ten sukinsyn wciąż tu jest. Nigdy mi się nie udało przed nim uciec.

- Przecież mogłeś to zrobić.

Jej brat potrząsnął głową i zdobył się na wymuszony uśmiech.

- Odziedziczyłem po nim firmę. Mieszkam w jego domu. Noszę jego nazwisko. Co mam jeszcze powiedzieć? Już przestałem uciekać przed swoim przeznaczeniem.

Cara popatrzyła mu prosto w oczy.

- Każdy z nas sam tworzy własne przeznaczenie.

Oczy Palmera zabłyśły nad szklanką z bourbonem, ale nic na to nie odpowiedział.

- Cieszę się, że znów cię widzę - odezwał się po chwili. - Wyglądasz pięknie, jak zawsze. I wcale nie zmaląłeś - uśmiechnął się.

Byli prawie równego wzrostu. W dzieciństwie Palmer nie mógł darować siostrze, że jest od niego wyższa. Pod koniec okresu dojrzewania przerósł ją, ale zaledwie o dwa centymetry.

- Ale i tak jestem wyższy od ciebie - powiedział teraz z satysfakcją.

- Grubszy też - odparowała Cara. Palmer jowialnie poklepał się po brzuchu.

- Owszem, proszę pani. To efekt zawarcia związku małżeńskiego. No ale skąd ty miałabyś o tym wiedzieć.

- Dotychczas udawało mi się tego uniknąć - odrzekła Cara z zimną krwią.

- Kobieto, skąd ty wzięłaś te swoje poglądy? Na pewno nie wyniosłaś ich stąd, z Południa. Gdybyś tu została, już dawno miałabyś męża i gromadkę dzieci. Oho, widzę, że zaczynasz się jeżyć.

- Gdybyś tylko słyszał te wszystkie kazania, które wygłasza mi mama. Mam już dość tego tematu.

Palmer zaśmiał się ze zrozumieniem, obracając szklankę w rękę.

- Jak długo tu zostaniesz?

- Sama nie wiem. Mama chciałaby, żebym została dłużej, ale szczerze mówiąc, już zaczyna mnie nosić. Nie mam tu nic do roboty.

- Cara, Cara. - Palmer potrząsnął głową. - Widzę, że nie możesz się doczekać, kiedy wreszcie opuścisz nasz raj na ziemi i wrócisz do swojego zimnego miasta. Nigdy tego nie zrozumiem. Wspominałaś, że mama napisała do ciebie list? - dodał z zainteresowaniem.

Cara skinęła głową, poważniejąc.

- Tak. Od lat panowało między nami coś w rodzaju zawieszenia broni, ale wydaje mi się, że po śmierci ojca dla mamy wszystko się zmieniło. Wolałabym myśleć, że za mną tęskniła, ale prawdopodobnie chce po prostu, żebym jej pomogła uporządkować wszystkie rzeczy.

Palmer skrzywił się leciutko i Cara zdała sobie sprawę, że dotknęła jakiegoś drażliwego punktu.

- Co uporządkować?

- Nie mam pojęcia. Może chodzi o wszystkie rupiecie zgromadzone na strychu albo o rozparcelowanie sprzętów z tego domu. Skoro mama już na dobre przeniosła się na plażę, to zapewne myśli o sprzedaży domu w mieście. Nie rozmawiała o tym z tobą?

Palmer zachmurzył się, przypatrując się jej z dziwnym napięciem.

- Nie - odrzekł powoli. - Nie rozmawiała.

- Myślę, że...

- Więc jak ci się tu teraz podoba? - przerwał jej, wskazując na salon.

Ta nagła zmiana tematu zdumiała Carę. Cóż, widocznie Palmer jest zły, że matka wcześniej nie spytała go o radę.

- Wygląda zupełnie inaczej niż kiedyś - odrzekła, idąc za nim do słonecznego pomieszczenia. - Bardziej, nie wiem, jak to określić... młodzieńczo? Weselej. Widać tu rękę doskonałego dekoratora wnętrz.

Jej brat wyraźnie się rozpromienił.

- To wszystko robota Julii. Będzie bardzo zadowolona, jeśli ją pochwalisz. Sama nadzorowała prace, do najdrobniejszych szczegółów. Myślałem, że dostanę oczopląsu od tych wszystkich próbek materiału, które znosiła do domu.

- Powiem jej. Wyszło doskonale. - Pokiwała głową i po chwili dodała, zaglądając w głąb szklanki:

- A mama nie miała nic przeciwko tym zmianom?

- Nie, a dlaczego miałyby mieć coś przeciwko? - zdziwił się Palmer.

- Bo ja wiem? Tak długo tu mieszkała...

- Nie, nawet jej się to spodobało - odrzekł jej brat z niezachwianą pewnością siebie. - Julia bardzo lubi zajmować się urządzeniem wnętrza, a mnie właściwie jest wszystko jedno, więc wszyscy są zadowoleni. Ale wydaje mi się, że takie tradycyjne wnętrza nie są w twoim stylu. Podobno wolisz bardziej nowoczesne. Patrząc na salon, Cara zastanawiała się, czy to w dalszym ciągu jest prawda.

- Możliwe - odrzekła z lekkim uśmiechem. - Ale kobieta zawsze ma prawo zmienić zdanie.

- Mam w każdym razie nadzieję, że nie zmieniłaś swoich upodobań kulinarnych. Kolacja powinna być już gotowa. Julia! - zawołał.

Jego żona wyjrzała przez drzwi.

- Tak, kochanie?

- Przynieś mojej siostrze coś do przegryzienia, a ja zajmę się musem. Za kilka minut powinien być gotowy. Zrobiłem go specjalnie dla ciebie. - Mrugnął do siostry.

Te słowa sprawiły jej wielką przyjemność. A więc jednak pamiętał, jaka była jej ulubiona potrawa.

Kolację podano w malinowej jadalni, na stole ozdobionym wysokimi, białymi świecami. Pod sufitem kryształowy żyrandol jarzył się światłem niczym księżyc w pełni. Rozmawiali o starych czasach. Palmer mówił najwięcej. Cara siedziała u szczytu długiego, mahoniowego stołu i słuchała niezliczonych historyjek i anegdotek z okresu dzieciństwa ich obydwójga. Jej brat odziedziczył po ojcu dar barwnego opowiadania i wszyscy słuchali go z wielką przyjemnością, wtrącając od czasu do czasu własne komentarze.

Toy na początku przybierała znużony wyraz twarzy, ale i ją wciągnęła atmosfera opowieści Palmera. Ale w miarę, jak wieczór się rozkręcał, a wino znikało z butelek, Cara zaczęła dostrzegać w głosie brata coraz więcej goryczy. Opowiadane historie stawały się coraz mroczniejsze, a w miłą atmosferę

wkradło się napięcie. Gdy Palmer w końcu odsunął krzesło i wstał, kobiety odetchnęły z ulgą.

- Chyba trzeba otworzyć następną butelkę - powiedział przeciągle, zbierając ze stołu część naczyń.

- Poczekajcie, zaraz wrócę.

Gdy wyszedł, Lovie spojrzała znacząco na Julię, a ta natychmiast podniosła się z miejsca.

- Chodźcie, dzieci. Pocałujcie babcię i ciocię Carę na dobranoc.

Szybciutko!

Toy również pojęła aluzję.

- Pani Lovie, jestem już bardzo zmęczona. Czy mogłabym się na chwilę położyć na kanapie?

Na twarzy Lovie odbiła się ulga.

- To chyba dobry pomysł. Jak chcesz, to możesz sobie włączyć telewizor. Ale nie usypiaj, bo niedługo musimy wracać do domu.

W chwilę po wyjściu Toy do jadalni wrócił Palmer z kolejną butelką wina w rękę. Na ten widok Lovie zgarnęła serwetkę z kolan i położyła ją na stole.

- Synu, myślę, że na tym zakończymy wieczór - powiedziała. - Kolacja była znakomita. Bardzo ci dziękuję.

Palmer zatrzymał się pośrodku pokoju, wyraźnie zaskoczony.

- Nie, nie, nie jedzcie jeszcze! - powiedział błagalnie. - Jest jeszcze wcześnie, a ciebie, mamó, tak rzadko ostatnio widzujemy... - Rozejrzał się i dopiero teraz zapytał: - A gdzie są dzieci?

- Julia poszła położyć je do łóżek - wyjaśniła Lovie.

Palmer zmarszczył brwi, w jego oczach zabłysnął gniew.

- I dlaczego ta głupia baba już je zabrała? Julia!

- krzyknął, podchodząc do schodów. Cara patrzyła na niego wstrząśnięta.

- Tak? - odezwała się Julia z góry nieco zbyt pogodnym głosem.

- Co ty tam, do diabła, robisz?

- Kładę dzieci do łóżek. Jest już późno.

- Cicho, Palmer - wtrąciła Lovie łagodząco. - Nie krzycz jak przekupka.

Pozwól jej zająć się spokojnie dziećmi.

- Mogą iść spać później. Chcę, żeby spędziły więcej czasu z tobą - upierał się Palmer.

Cara patrzyła na niego z przerażeniem. Widok podpitego, wykrzykującego groźnie mężczyzny budził w niej znajome i przerażające skojarzenia.

- Dzieci były już zmęczone i prawie zasnęły podczas kolacji, nie zauważyłeś? Są jeszcze małe. A ja jestem stara i też wolałabym się już położyć. Poza tym przecież mieszkam niedaleko i możecie mnie odwiedzać, kiedy tylko zechcecie - łagodziła Lovie.

Palmer zachmurzył się.

- Odkąd się wyprowadziłaś, wszystko się zmieniło, wszystko. Dzieciom brakuje twojego zbawiennego wpływu. Julia to dobra dziewczyna, ale, powiedzmy sobie szczerze, nie ma twojej klasy.

Cara spojrzała na niego ostro, zaskoczona, że jej brat mówi tak o swojej żonie w obecności matki i siostry.

- A właściwie dlaczego się od nas wyniosłaś? - ciągnął Palmer. - Przecież to zawsze będzie twój dom, tak samo jak mój.

- Jakie to szlachetne z twojej strony - mruknęła Cara.

- Bo tak jest! - oburzył się Palmer. - Nigdy nie chciałem, żeby mama wyjeżdżała! To ona się uparła.

Dolał wina do kieliszka siostry, rozlewając trochę na stół.

- To prawda - łagodziła Lovie, zakrywając ręką swój kieliszek. - Wiem, że chciałeś, żebym została, i jestem tym bardzo wzruszona, ale szczerze mówiąc, najlepiej czuję się w domku na plaży. Zawsze tak było, przecież wiesz.

- Zawsze kochałaś bardzo ten dom - odrzekł Palmer z naciskiem, znów napełniając swój kieliszek.

Cara i Lovie wymieniły zmartwione spojrzenia.

- Ale skoro już przy tym jesteśmy - dodał, rozsiadając się wygodnie i opierając łokcie na stole - to porozmawiajmy rozsądnie. - Popatrzył Lovie prosto w twarz. - Dobrze, mamó, powiem to najprościej, jak potrafię. Chcę, żebyś tu wróciła i znów zamieszkała z nami. Teraz jesteś za daleko.

- Tam, gdzie jestem, niczego mi nie brakuje.

- W tej ruinie, która ledwie trzyma się kupy? Wystarczy jedna dobra burza i z tego domu zostanie kupa gruzu.

- Ten dom przetrzymał już więcej huraganów, niż potrafisz zliczyć - odrzekła Lovie obronnie.

Palmer uniósł dłoń.

- Stan domu to jedna sprawa. A druga to fakt, że nie rozumiem, po co najmowałaś tę dziewczynę, skoro mogłaś mieszkać z nami. Ale to wszystko drobiazgi. Jednak to co najważniejsze wyszło na jaw przy ostatnim rozliczeniu podatków. Wartość tego skrawka ziemi w ciągu ostatnich lat niebotycznie wzrosła. - Oczy Palmera rozbliły; pochylił się niżej nad stołem. - Ta bezwartościowa ruina stoi na niemal bezcennym kawałku ziemi. Na tej wyspie nie ma już wolnych terenów pod zabudowę. Dlatego przy ostatnim rozliczeniu podatkowym zaczęło mi skakać ciśnienie.

Lovie z przejściem pochyliła się w stronę syna.

- Palmer, dlaczego nie wnioskowałeś o ulgę? Przecież w grudniu, gdy się stąd wyprowadzałam, mówiłam ci, żebyś to zrobił!

- Skorzystałem z ulgi, ale i tak podatek wzrósł bardzo znacząco.

Większość twoich pieniędzy, mamó, jest zainwestowana, a że sytuacja na giełdzie wygląda niezbyt różowo, przychody w gotówce są bardzo niewielkie. Po prostu nie ma sensu dłużej trzymać tej działki.

- Ja nie mam dużych potrzeb.

- Nie o to chodzi, mamó. Posłuchaj. Bez względu na to, w jakim stanie jest dom, razem z działką wart jest co najmniej siedemset, może nawet osiemset

tysięcy. A może i więcej. Głównie dlatego, że naprzeciwko znajdują się trzy puste działki. Dwie z nich są w tej chwili własnością Towarzystwa Ochrony Wybrzeża i nigdy nie zostaną zabudowane.

Cara uniosła brwi. Nie wiedziała o tym. Ten fakt sprawiał, że wartość posiadłości matki znacznie wzrastała.

- Doszedłem do wniosku - ciągnął Palmer - że gdyby udało mi się kupić tę trzecią działkę, która leży dokładnie naprzeciwko twojego domku, to razem mielibyśmy dwa najlepsze kawałki ziemi na wyspie. Można by tam postawić dwa domy, w taki sposób, żeby nie zasłaniały sobie nawzajem widoku na ocean. I wtedy ten teren byłby wart miliony. Byłby bezcenny.

- Ta działka już teraz jest dla mnie bezcenna - stwierdziła Lovie cicho.

- No tak, mamo, oczywiście, wiem o tym. Ale trzeba kuć żelazo, póki gorące. Powinniśmy kupić tę drugą działkę, zanim ktoś inny sprzątnie nam ją sprzed nosa.

- A czy wiesz, do kogo ona należy? - zapytała Cara. Palmer potrząsnął głową.

- Nie, ale moi ludzie już to sprawdzają. To tylko kwestia czasu.

- Domyślam się, że chcesz, żebym sprzedała ci moją działkę już teraz? - zapytała Lovie.

W jej głosie było coś, co zaalarmowało Carę - ton żelaznej nieugiętości. Zerknęła na twarz matki - była blada i bardzo poważna. Palmer dla kontrastu był mocno zaczerwieniony, a w oczach miał błysk psa gończego, który trafił na trop zwierzyny.

- Myślę, że powinniśmy o tym porozmawiać - powiedziała Cara powoli. - Zastanowić się nad możliwościami.

Lovie obróciła się w jej stronę.

- A czy ty też chcesz, żebym sprzedała ten dom?

- To nie zależy ode mnie - odrzekła Cara z zaskoczeniem.

- Dlaczego ją pytasz? - obruszył się Palmer, co z kolei rozzłościło jego siostrę.

- Należę do rodziny i mam prawo przynajmniej wyrazić zdanie na ten temat!

- Jakie prawo? Nie było cię tu przez dwadzieścia lat i nadal uważasz, że masz jakieś prawa?

- Cara - wtrąciła matka tonem, który sprawił, że obydwójce skupili na niej uwagę. - Czy ty chcesz, żebym sprzedała dom na wyspie?

Cara przygryzła wargę i zastanowiła się. Umiejętność zdystansowania się i obiektywnego spojrzenia na każdą sytuację zawsze była jej mocną stroną. Gdy po chwili odezwała się, jej głos brzmiał spokojnie i stanowczo.

- Jeśli to, co mówi Palmer, potwierdzi się, i te dwie działki pozostaną niezabudowane, dom na wyspie będzie lepszą lokatą kapitału niż jakikolwiek bank. W pełni bezpieczną. A jeśli chodzi o potrzebne fundusze, to akurat z tym nie powinno być problemu. - Podniosła wzrok na brata. - O ile wiem, pieniądze mamy są zainwestowane w obligacje państwowe. Nie można na nich stracić, chyba że państwo zbankrutuje. Więc moim zdaniem, mam, powinnaś podjąć decyzję zgodnie ze swoim sumieniem. To twoja ziemia i twoje życie. Ciesz się jednym i drugim.

Twarz Lovie złagodniała i pojawił się na niej lekki uśmiech nadziei.

- A ty nie masz żadnych udziałów w domu na wyspie? - zapytał Palmer.

To było nieładne pytanie i sprawiło Carze przykrość. Znów spojrzała na matkę. Lovie siedziała skupiona, nisko pochylona nad stołem.

- Nie - odrzekła Cara szczerze. - Dom należy wyłącznie do mamy i mam nadzieję, że spędzi tam jeszcze wiele szczęśliwych lat.

Palmer odchylił się do tyłu, splatając ręce na brzuchu.

- Czy aby mnie nie oszukujesz? Wydaje mi się dziwne, że po tylu latach wróciłaś tutaj i nagle zainteresowałaś się porządkowaniem rzeczy w domu na wyspie i sprawami finansowymi.

Cara jednak nie pozwoliła się sprowokować.

- Palmer, mówiłam ci już, że przyjechałam, bo mama mnie o to prosiła.

Nie kierowała mną chęć zysku. Nie jestem bogata, ale stać mnie na wygodne życie. Dobrze wiesz, że zawsze jakoś sobie radziłam i nie korzystałam z pomocy rodziny. - Urwała na chwilę i dodała jeszcze z ironicznym uśmiechem:

- Doszłam do pieniędzy, korzystając ze starych, sprawdzonych metod - zarobiłam je. Nie muszę niczego brać od mamy.

- Skarbie - odparował Palmer przeciągle - to ja doszedłem do pieniędzy zgodnie ze starymi, sprawdzonymi metodami. Odziedziczyłem je. - Roześmiał się i ten śmiech częściowo rozładował napięcie przy stole. - Mamo, bądź rozsądna - zwrócił się do Lovie.

- Oprócz spraw finansowych musimy pomyśleć o twoim zdrowiu. Wyglądasz pięknie jak zawsze, ale niestety nie stajesz się młodsza. Nie powinnaś mieszkać tam sama. My jesteśmy w mieście, lekarze też. Jeśli coś się stanie, to kto udzieli ci pomocy? Co ze mnie byłby za syn, gdybym cię zostawił samą na tym odludziu?

- Doceniam twoją troskę - odrzekła Lovie sucho - ale przecież nie jestem sama. Mam przyjaciółki i Toy.

Wspomnienie imienia dziewczyny było błędem. Lovie natychmiast sobie to uświadomiła i umilkła. Palmer zacisnął dłonie w pięści.

- O tym też musimy porozmawiać! Co ty właściwie wiesz o tej dziewczynie? Przecież ona może cię doszczętnie okraść!

- Na litość boską... - westchnęła Lovie, potrząsając głową.

- A nawet jeśli nie okaże się złodziejką, to w czym może ci pomóc dziewczyna, która ledwie dźwiga coraz większy brzuch? Jak ona ma się tobą opiekować? Jest taka młoda, że nawet o siebie nie potrafi dobrze zadbać! - Palmer zapalczywie uderzył pięścią w stół. - Ja nie chcę, żeby moje dzieci musiały się zadawać z kimś takim jak ona. Co ty w ogóle wiesz o jej pochodzeniu? I jaki to przykład dla Linnei?

Cara spojrzała na drzwi, zastanawiając się, czy Toy może usłyszeć krzyki jej brata. Oczekiwała ostrej riposty matki, ale widząc jej bezradnie opuszczone ramiona, poczuła, że sama musi wkroczyć do akcji.

- Wystarczy już, Palmer - powiedziała tonem, od którego jej podwładni w Chicago sztywnieli z lęku. - Nic nie wiesz o tej dziewczynie i potępiasz ją tylko dlatego, że jest w ciąży! No, no, przyganiał kocioł garnkowi! Pamiętam pewne wydarzenie sprzed lat...

Palmer zmienił się na twarzy, ale wystarczyło mu przyzwoitości, by odwrócić wzrok.

- Widzę, że ty też pamiętasz - mruknęła Cara, oszczędzając mu omawiania szczegółów. Mówiła o czasach szkoły średniej, gdy Palmer przy każdej okazji zabierał pewną dziewczynę do myśliwskiego domku ojca. Znajomość zakończyła się tak, jak można było przewidzieć. Pewna suma pieniędzy przeszła z ręki do ręki i Palmer szczęśliwie wywinął się od odpowiedzialności. W tej chwili Cara nie potrafiła sobie przypomnieć imienia tej dziewczyny i była pewna, że brat również go nie pamięta. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają, pomyślała ze smutkiem.

Nastąpiła niezręczna chwila ciszy. Cara wzięła głęboki oddech. Przedłużanie tego wieczoru nie miało żadnego sensu.

- Chyba wystarczy już wspomnień jak na jeden raz - powiedziała. - Mama postanowiła zamieszkać na stałe na wyspie i sama wybrała sobie towarzyszkę. A z tego, co widzę, Toy jest porządną, pracowitą dziewczyną i radzi sobie bardzo dobrze. Stara się, jak potrafi, czego na przykład ja nie mogę o sobie powiedzieć. - Przeniosła wzrok na matkę. - Przepraszam cię, mamó, że zachowywałam się dotychczas jak manekin, ale zdaje się, że ten wieczór przywrócił mi energię. Przypomniałam sobie, kim jestem i dlaczego stąd wyjechałam. Palmer, muszę ci z przykrością powiedzieć, że stałeś się dokładnie takim samym tyranem domowym jak ojciec. Nie poznaję cię.

W oczach jej brata błysnęło niedowierzanie, ale już po chwili jego twarz wykrzywił nieprzyjemny grymas.

- Przykro mi, jeśli zmieniłaś zdanie na mój temat - odrzekł lodowato - ale nie zapominaj, droga siostrze, że nie było cię tu od dość dawna. Ty zajmowałaś się swoim życiem, a na mnie spadł obowiązek opieki nad mamą.

- Traktujesz ją jak dziecko! - wybuchnęła Cara.

- Nie jesteś jej mężem, tylko synem, i powinienes okazywać więcej szacunku! W końcu to jej pieniądze. Mama doskonale potrafi sobie radzić z własnymi finansami, ale wydaje mi się, że kontrola nad nią sprawia ci satysfakcję. Tak samo jak ojcu.

Palmer zastygł na chwilę. Cara przypomniła sobie chłopca, którym niegdyś był, i serce jej się ścisnęło na widok gładkiego uśmiechu, jaki pojawił się na jego twarzy.

- Jestem bardzo obowiązkowym synem. Sama zapytaj.

Cara przeniosła spojrzenie na matkę.

- Wiesz przecież, że nie mam głowy do liczb - powiedziała Lovie głosem dochodzącym jakby z wielkiego oddalenia.

- Porównujesz mnie do ojca? - wybuchnął Palmer.

- No cóż, może i jestem do niego podobny. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Ale mów, co chcesz, prawda jest taka, że gdy ty byłaś w Chicago, ja zostałem tutaj i to ja musiałem sobie radzić z jego alkoholizmem i podłością. Gdy umarł, Julia kazała odmalować cały dom, żeby się pozbyć smrodu cygar i bourbona. A ja zajmowałem się mamą, opiekowałem się nią i obydwójce wiemy, że nie chodziło wyłącznie o pieniądze.

- Ton Palmera stawał się coraz bardziej agresywny. Po chwili utkwiał wzrok w twarzy Cary i ciągnął dalej:

- Ojciec przekazał firmę mnie, nie tobie. Cały majątek zostawił mnie. A wiesz, dlaczego? Nie dlatego, że mnie kochał bardziej, to oczywiste - prychnął z

goryczą. - Ale dlatego, że ty odwróciłaś się do niego plecami. Nigdy ci tego nie wybaczył.

Przez chwilę patrzyli na siebie w ciężkim milczeniu.

- A ja nigdy mu nie wybaczyłam tego, jak nas traktował - powiedziała Cara w końcu. - Ani tego, jak traktował ciebie, mamó..

Lovie spuściła wzrok i znów instynktownie skuliła ramiona. Cara poczuła, że serce jej się ściska. Dobrze pamiętała to potulne wcielenie matki z dzieciństwa.

Gdy o niej myślała, przychodziły jej do głowy dwa słowa: „podporządkowana” i „usłużna”. Podczas rodzinnych kolacji, które odbywały się przy tym samym stole, Olivia zazwyczaj milczała albo krążyła między jadalnią a kuchnią, przynosząc potrawy. Odzywała się tylko wtedy, gdy ktoś ją o coś zapytał, i nigdy, ani razu nie przeciwstawiła się mężowi. Cara walczyła z nim bezustannie; każda ich rozmowa natychmiast zmieniała się w kłótnię. Ich spory przypominały pojedynki rewolwerowców, a matka i Palmer tylko uchylali się przed przecinającymi powietrze pociskami. Obydwoje podziwiali siłę i odwagę Cary, nie rozumieli jednak, że była to jej desperacka próba przetrwania.

Stała teraz naprzeciwko brata i powiedziała z zimną furią:

- Może lepiej nie wywlekajmy przeszłości.

- Niestety, przeszłość ma wpływ na teraźniejszość - odparł Palmer, już zupełnie trzeźwy. - Pozwól, że przedstawię ci krótko wszystko, co się zdarzyło w czasie, gdy cię nie było.

- Palmer... - wtrąciła Lovie błagalnie.

- Mamó, przecież widzę wyraźnie, że Caretta nie ma pojęcia, jak wyglądają rodzinne sprawy. A w rodzinie nie powinno być żadnych tajemnic. Ona ma prawo wiedzieć.

Cara tylko wzruszyła ramionami.

- O czym mam wiedzieć? Przecież zawsze było oczywiste, że to tobie tato przekaże firmę. I bez względu na prawo pierworództwa, w tym wypadku to

posunięcie uważam za sprawiedliwe. Ja tej firmy nie chciałam, a ty na nią zasłużyłeś. Wiele zniosłeś i ciężko pracowałeś, by ją odziedziczyć.

Palmer krótko skinął głową.

- Ale to nie wszystko, co ojciec mi zostawił. Jest coś jeszcze.

Wiedziałaś, gdybyś poczekała do odczytania jego testamentu.

- Nie wracajmy do tego - westchnęła.

- Ale powinnaś wiedzieć, że ojciec zostawił mi prawie cały swój majątek.

Cara spojrzała na matkę, nie dowierzając własnym uszom.

- Nie zostawił ci połowy? Ale mam, przede wszystkim to były przecież twoje pieniądze!

- W chwili śmierci ojca wszystko było zapisane na jego nazwisko. Nawet dom - wyjaśnił Palmer.

- Nie - szepnęła Cara, nie odrywając wzroku od matki, ale Lovie siedziała wpatrzona we własne ręce. Jak mogła pozwolić, by odebrał jej wszystko?

Dziwne uwagi na temat domu, jakie wtrącał w trakcie wieczoru brat, naraz stały się zrozumiałe.

- Odebrałeś mamie dom? - wykrztusiła Cara przez zaciśnięte gardło.

Na twarzy jej brata odbiła się wściekłość.

- Ależ nie, do cholery! Za kogo mnie uważasz? Nic jej nie odebrałem, tylko ten sukinsyn zapisał go mnie, żeby zrobić mamie na złość! Chciałem jej ten dom oddać! Przecież tak było, chyba nie zaprzeczysz - przeniósł wzrok na matkę.

Lovie ze łzami w oczach skinęła głową.

- Nic nie rozumiem - stwierdziła Cara.

- Ojciec... - zaczął Palmer, ale Olivia mu przerwała.

- Może ja to wyjaśnię - powiedziała cichym, opanowanym głosem. - Nie chciałam przyjąć tego domu. Dałam go Palmerowi razem ze wszystkim, co się w nim znajduje. - Podniosła głowę i spojrzała w oczy córki. - Ty nigdy nie chciałaś niczego od rodziny. Mówiłaś to bardzo wyraźnie. A Palmer chciał, dla

Julii i dzieci. Kochali ten dom, dbali o niego i zasłużyli, by go mieć. Byli tu szczęśliwi. A ja też chciałam, żeby wróciło tu szczęście, żeby mieszkała tu szczęśliwa rodzina. Nie wiem, jakie motywy kierowały waszym ojcem, ale w ostatecznym rozrachunku to była moja decyzja. Nie Strattona i nie Palmera, tylko moja.

Cara patrzyła w oczy matki. Dziwne, ale to, co usłyszała przed chwilą, bardzo ją zraniło. Nie chodziło o dom - argumenty matki były bardzo logiczne - takie rozwiązanie wydawało jej się sprawiedliwe. Ale bolało ją to, że nikt o niej nawet nie pomyślał. Wiedziała, że sama jest sobie winna; mając osiemnaście lat wyjechała z domu wbrew woli rodziców, nie oglądając się za siebie. Ale żeby zupełnie ją zignorować? Gdy zmarł ojciec, czuła się bezpiecznie zakotwiczona w swoim życiu i testament niewiele ją obchodził. Teraz jednak grunt usuwał jej się spod nóg. Wyrzucono ją z pracy, zostawił ją mężczyzna, a teraz jeszcze okazało się, że własna rodzina również traktuje ją jak obcą.

Na twarzy matki odbiła się troska.

- Jeśli chciałabyś mieć coś z tego domu, jakiś mebel, obraz czy coś innego...

- Ależ oczywiście - wtrącił pośpiesznie Palmer. - Powiedz, co byś chciała.

Popatrzyła na niego bez słowa, czując, jak po jej wnętrzu rozlewa się lodowate zimno. Był to jej stary mechanizm obronny - odgradzała się od otoczenia wysokim murem, który wielokrotnie w ciągu minionych lat oszczędził jej cierpień. Mur pojawił się po raz pierwszy dwadzieścia dwa lata wcześniej, przy tym samym stole. Osiemnastoletnia Cara poinformowała wówczas rodziców, że zamierza studiować na Uniwersytecie Bostońskim. Ojciec, jak zwykle nietrzeźwy, siedział tam, gdzie teraz Palmer, a mama, ze wzrokiem wbitym w talerz, po drugiej stronie stołu - tu, gdzie teraz siedziała Cara.

- Co ty sobie właściwie myślisz? - wrzasnął wtedy ojciec. - Wydaje ci się, że kim jesteś, smarkulo? Zrobisz to, co ja ci każę. Spróbuj tylko oddalić się choćby o krok od tego miasta, od tego domu, a wyrzeknę się ciebie! Nie

pojedziesz do Bostonu, to koniec dyskusji. Nie będę tolerował takiej arogancji, szczególnie ze strony osiemnastoletniej smarkuli, którą wychowano na prawdziwą damę! Przynosisz wstyd mamie i mnie! Gdzie ty idziesz? Wracaj tu zaraz! Caretta! Wracaj, bo jak nie, to nie zostawię ci ani jednego dolara, ani kawałka mebla, nic ode mnie nie dostaniesz, rozumiesz?!

Ta scena wciąż w niej tkwiła. Cara podziwiała piękno rodzinnych antyków, ale wiedziała, że każdy przedmiot pochodzący z tego domu, choćby najmniejszy drobiazg, stałby się dla niej kulą u nogi, uwiązany u szyi kamieniem, który pociągnąłby ją na dno. Teraz, tak samo jak wtedy, potrzebowała przede wszystkim wolności.

- Dziękuję, nie - powiedziała równym głosem. - Dom i wszystko, co się w nim znajduje, jest własnością twoją i Julii, nie moją. Jestem wdzięczna, że mi to wyjaśniłeś.

Nie miała ochoty na kolejne upokorzenia. Znowu poczuła, że atmosfera tego domu przygniata ją, dusi, nie pozwala oddychać swobodnie. Bała się, że za chwilę straci panowanie nad sobą i wybuchnie płaczem albo histerycznym śmiechem.

Wstała i mechanicznie przeszła przez rytuał pożegnań. Zawołano Toy, Julia również zeszła z góry i cała grupa stanęła w progu. Palmer pochylił się i cmoknął siostrę w policzek.

Przez otwarte drzwi do środka wpadł nagły poryw zimnego wiatru.

*Jeśli miejsce nie wydaje się dobre, jeśli samica
natrafi na korzeń drzewa albo kamień
lub też wyczuje obecność jakiegoś intruza,
wraca do morza, nie składając jaj.
Taka nieudana próba nazywana jest fałszywym legiem.*

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dojechały do domu w milczeniu. Może padło już zbyt wiele słów, a może za mało, w każdym razie przez całą drogę żadna z kobiet nie odezwała się ani razu. Grube chmury wisiały nisko na niebie i ciemność rozpraszały jedynie światła nielicznych domów.

Lovie siedziała z tyłu razem z Toy i patrzyła na sztywne ramiona córki i jej dłonie mocno zaciśnięte na kierownicy. Cara reagowała tak od dzieciństwa. Gdy ktoś ją uraził, napinała mięśnie i zamykała się w sobie. Nie sposób było wtedy do niej dotrzeć. Palmer zachowywał się zupełnie inaczej - płakał i narzekał. Cara nigdy się nie skarżyła. Gdy ktoś ją zapytał, jak się czuje, odpowiadała krótko: „Dobrze” i odwracała wzrok.

Zatrzymały się przed domem. Cara bez słowa otworzyła drzwi i zniknęła w kuchni. Gdy po chwili weszła tam Lovie, Cara szybko odstawiła szklankę z wodą, rzuciła krótkie „dobranoc” i zniknęła natychmiast w swoim pokoju.

- Ja chyba też pójde się położyć - powiedziała Toy odległym, nieobecny głosem.

- Dobrze się czujesz?

- Jestem po prostu zmęczona - odrzekła dziewczyna, odwracając wzrok.

Lovie podeszła powoli do kuchenki i zapaliła gaz pod czajnikiem. Gdy woda zawrzała, Lovie zaparzyła w dwóch kubkach ziołową herbatę. Milczenie Cary nie wróżyło niczego dobrego. Zbyt wiele było między nimi takich dni. Flo

miała rację, trzeba wreszcie porozmawiać i wszystko wyjaśnić, a nie zostało na to już zbyt wiele czasu.

Zdecydowanym krokiem podeszła do drzwi sypialni córki i zapukała.

- Caretta?

Żadnej odpowiedzi.

- Cara?

Tym razem za drzwiami rozległy się kroki i Cara otworzyła. Była już w piżamie i bez makijażu, gotowa do snu. Za nią na łóżku Lovie zobaczyła otwartą walizkę.

- O co chodzi, mamo? - zapytała Cara z westchnieniem.

- Myślę, że powinniśmy porozmawiać.

- Teraz? - zdziwiła się jej córka. - Jestem bardzo zmęczona. - Zauważyła jednak na twarzy Olivii rozczarowanie i dodała łagodniej: - Ty też na pewno jesteś zmęczona. Bardzo pobladłaś.

- Tak, ale nie usnę, dopóki nie porozmawiamy.

- Rozmowy jakoś nigdy nam nie wychodziły.

- To prawda.

- Ale dlaczego właśnie teraz? Właśnie dzisiaj? Wzrok Lovie zatrzymał się na walizce.

- Wydaje mi się, że to oczywiste. Poza tym lepiej późno niż wcale.

- Może już jest za późno.

- Dopóki człowiek żyje, nigdy nie jest za późno. Chodź, zaparzyłam herbatę.

Zaniosły parujące kubki do salonu. Lovie zapaliła dwie lampki, stwarzając przytulny nastrój. Cara usiadła w kącie sofy, podwijając nogi pod siebie. W ciemnych oczach błyszczała czujność. Jej matka zajęła fotel naprzeciwko.

- Na pewno nie wolisz poczekać z tym do jutra? - zapytała Cara. - Jest już prawie jedenasta.

- Nie, nie.

- Powinnaś mi o tym powiedzieć wcześniej - oznajmiła Cara.

Lovie doskonale wiedziała, co córka ma na myśli; to było oczywiste.

- Wiem. Chciałam ci powiedzieć, ale nie sądziłam, że to wypłynie akurat dzisiaj.

- Palmer jest przekonany, że przyjechałam tu, żeby zabrać jakieś rzeczy.

- Palmer to kochany chłopak i nie wiem, co bym bez niego zrobiła przez te wszystkie lata, ale lubi mieć nad wszystkim kontrolę. To chyba brak poczucia bezpieczeństwa. Po części jestem temu winna. Dawałam mu, co tylko mogłam, ponieważ Stratton... Wiesz przecież, jaki był ojciec. Tobie też było ciężko, ale Palmerowi, jako jego synowi, dostawało się w dwójnasób.

- Mamo, wiem o tym, ale uważam, że Palmer przesadza. Dlaczego się na to zgadzasz? - zapytała

Cara z desperacją. - Tato to trochę co innego, ale Palmer jest twoim synem! Nie masz ochoty na niezależność? Nie chcesz wiedzieć, gdzie są twoje pieniądze?

- Nic mnie nie obchodzi, gdzie są moje pieniądze - zdecydowanie odrzekła matka. - Nigdy mnie to nie obchodziło. Dlaczego miałabym się nimi zajmować? Mnóstwo z tym kłopotu. Ojciec zawsze zajmował się wszystkimi sprawami finansowymi i dopóki żył, to on płacił rachunki. A teraz, gdy go nie ma, Palmer robi to za mnie.

- I zobacz, do czego to doprowadziło. Jesteś stanowczo zbyt ufna.

- Palmer to dobry chłopak. Cara, on był przy mnie przez te wszystkie lata, gdy mieszkałaś daleko stąd. Nie mówię tego, żeby ci sprawić przykrość, po prostu próbuję bronić Palmera, bo on na to naprawdę zasługuje.

- Kochany Palmer.

- Cara...

- Zawsze miałyśmy z tym problem, prawda? Zawsze stawałaś po jego stronie, a przeciwko mnie.

- Nie staję po niczyjej stronie - odparła Lovie ze znużeniem.

- Właśnie że tak! Tylko że sama tego nie widzisz. Przez całe życie to robiłaś i przez całe życie doprowadzało mnie to do szału. Po prostu siedzisz bezwolnie i patrzysz, kiedy oni przejeżdżają po tobie jak walec drogowy. Nie mogę na to patrzeć. Dlaczego nie próbujesz być silniejsza?

- Taka jak ty? Bo ja jestem inna. Ty pod tym względem o wiele bardziej przypominasz ojca.

Cara poczuła się, jakby matka uderzyła ją w twarz.

- Wcale nie jestem do niego podobna!

Lovie podniosła głowę, zdumiona tak gwałtowną reakcją.

- Aż tak bardzo rani cię to porównanie? Zawsze myślałam, że wolisz być podobna do ojca niż do mnie, że wolisz być silna niż słaba.

- Wolę, żebyś mnie nie porównywała do nikogo, a już na pewno nie do niego.

- No cóż - westchnęła Lovie. - Dobrze, dobrze. Nie miałam na myśli niczego złego, mówię zupełnie szczerze. Żałuję, że ja w twoim wieku nie byłam równie silna jak ty.

- Trzeba było spróbować. Lovie przymknęła oczy.

- Przepraszam, mam - powiedziała Cara po chwili. - Wiem, jaki był ojciec, i wiem, że go kochałaś. Tylko nigdy nie mogłam zrozumieć, że to wystarczający powód, by przez wiele lat znosić takie upokorzenia.

- Nigdy tego nie zrozumiesz - odrzekła Lovie z dziwnym napięciem.

- Dlaczego? Przecież nie jestem dzieckiem. Kochałaś go, wiem. - Na chwilę przymknęła oczy, po czym otworzyła je i wyrzuciła z siebie: - Ale ja nienawidziłam tego sukinsyna.

Lovie wstrzymała oddech, ale po chwili powiedziała spokojnie:

- Ja też.

Cara bezwładnie opuściła rękę i wpatrzyła się w matkę. Przez dłuższą chwilę żadna z nich się nie odzywała. W końcu Cara odwróciła się do okna.

Lovie przyglądała się jej uważnie. Prosty nos, wydatne kości policzkowe i pełne usta - jej córka była jednak bardzo podobna do ojca.

- Może wyjaśnimy sobie niektóre nieporozumienia? - zaproponowała Olivia.

Cara otarła oczy i znów zwróciła się do matki.

- Z taką nadzieją tu przyjechałam. Wydawało mi się, że może uda nam się do siebie zbliżyć. Wyobrażasz to sobie? - Pokręciła głową z rezygnacją. - Ale to nie ma wielkiego znaczenia. Jutro wracam do Chicago.

- Tak szybko?

- Widzę, że nie jestem ci do niczego potrzebna, a szczerze mówiąc, zostawiłam w Chicago bałagan, który muszę jakoś uporządkować. Nie powinnam już tracić więcej czasu.

- Och, Cara. Mówisz tak, bo czujesz się zraniona.

- Nie, potrzebuję tylko złapać trochę dystansu.

- Masz wrażenie, że zostawiliśmy cię własnemu losowi - powiedziała Lovie powoli, starannie dobierając słowa. - Palmer dostał wszystko, a ty nic.

- Mamo, proszę cię...

- Pytałaś, o co mi chodziło, gdy ci napisałam, że trzeba tu uporządkować pewne sprawy. Spróbuję ci to wyjaśnić. Po śmierci ojca postanowiłam zamieszkać tutaj, na wyspie. To nie była decyzja podjęta pod wpływem impulsu. Obiecałam to sobie już dawno. Miało to być coś w rodzaju prezentu dla mnie samej. Ta myśl podtrzymywała mnie na duchu w trudnych chwilach.

Cara spojrzała w jasnoniebieskie oczy matki.

- To dlaczego zwlekałaś z tym tak długo?

- Miałam swoje powody, ale planowałam to od dawna. Jak sądzisz, po co zrobiłam gruntowny remont kuchni?

- Przypuszczałam, że chcesz wynajmować ten dom na lato.

- Tak powiedziałam Strettonowi. Wiedziałam, że zgodzi się na remont, jeśli przekonam go, że to rodzaj inwestycji - wyjaśniła Lovie z konspiracyjnym

uśmiechem. - Ale zrobiłam ten remont dla siebie. Chciałam tu zamieszkać, a dla kogoś w moim wieku taki mały dom jest znacznie wygodniejszy. Bez tych wszystkich antyków, o które przez cały czas trzeba dbać. Tu wreszcie mam święty spokój. Myślę, że ty to rozumiesz. Zawsze podziwiałam twoją niefrasobliwość w kwestii prowadzenia domu.

Ten nieoczekiwany komplement zaskoczył Carę. Lovie znów pogрузzyła się w myślach.

- Spędziłam czterdzieści lat w tym wielkim domu - powiedziała powoli. - I muszę powiedzieć, że te urocze stare siedziby, które wszyscy podziwiają, sprawiają mnóstwo kłopotów. Byłam niewolnikiem tego domu. Ciągłe jest coś do pomalowania, zainstalowania, tynkowania czy wymiany. Dobry sztukator w tym mieście jest wart tyle kilogramów złota, ile sam waży. Miałam już dość zamartwiania się o wszystko, odkurzania tych mebli i zaciągania zasłon, żeby słońce nie zaszkodziło tapicerce. A już szczególnie dosyć miałam tego wiecznego przyjmowania gości.

- Myślałam, że kochasz ten dom.

- Kiedyś go kochałam. Mówię o całym tym życiu, nie tylko o domu. Musiałam spełniać rolę żony twojego ojca, matki was obojga, udzielałam się w kościele, szkole, w firmie. To wszystko pochłaniało mnóstwo czasu. Zaproszenia, podziękowania, kampanie polityczne, wydarzenia kulturalne, niekończące się telefony i spotkania w takiej czy innej sprawie, przygotowywanie posiłków, sprzątanie po posiłkach, lekarze, dentyści, ogród, zakupy. Zawsze był jakiś guzik do przyszywania albo kwiatek do podlania. I prowadzenie samochodu. Boże, ile ja się najeździłam! Chyba parę lat spędziłam w myjniach, kilka następnych na martwieniu się o ciebie i o Palmera, gdy zaczęliście jeździć samodzielnie, a na koniec martwiłam się o siebie i o Strattona, bo zaczęliśmy się starzeć. Życie kobiety jest po brzegi wypełnione obowiązkami, bo kobieta to oś, wokół której wszystko się kręci. Sumiennie wypełniałam swoje

obowiązki. Owszem, było w tym życiu wiele pięknych chwil. Ale to wszystko odeszło wraz ze śmiercią Strattona.

Lovie odwróciła wzrok i przez chwilę milczała. Gdy znów się odezwała, głos miała nabrzmiąły od emocji.

- Popęłniłam jeden błąd, Caro. Nie wywalczyłam sobie odrobiny samotności każdego dnia. Nie pozwalałam sobie na to, żeby usiąść spokojnie, zastanowić się, pomodlić, naładować akumulator. Byłam nieustannie zajęta. W tym wielkim domu było tyle rzeczy do zrobienia, że w końcu zupełnie się wypaliłam. Pewnie mogłabym zrzucić winę na kogoś czy na coś, ale w głębi serca wiem, że sama jestem za to odpowiedzialna. Tylko w lecie było inaczej - dodała, rozjaśniając się. - Gdy przyjeżdżałam tu, na wyspę. To miejsce było dla mnie wybawieniem. Zawsze je kochałam. Tu czuję się wolna i szczęśliwa.

- Ja też zawsze się tutaj tak czułam - przyznała Cara.

- Naprawdę? Tak mi się wydawało. I byłam pewna, że ty zrozumiesz, jak ważny jest dla mnie ten dom. Dla mnie, dla ciebie i dla całej rodziny.

- Hm - mruknęła Cara, nie mając ochoty popadać w nadmierne sentymenty. - Cieszę się, że tak szczerze sobie pogadałyśmy. Zbyt rzadko nam się to zdarzało.

- W takim razie zostań dłużej.

- Mamo, nie mogę. Nie jestem już małą dziewczynką i nie mam całych wakacji dla siebie.

- Dla mnie nadal jesteś małą dziewczynką.

- To nie jest najlepsza pora na wakacje. Muszę się zająć wieloma sprawami. Nie mogę ci teraz tego wyjaśnić. Może w przyszłym roku.

- Nie, Caro. Nie w przyszłym roku. Teraz.

Cara opuściła nogi na podłogę, podeszła do matki i wzięła ją za rękę.

- Przepraszam, mamo, ale naprawdę nie mogę. Jestem już spakowana. O świcie wyjeżdżam.

- Tak wcześnie?

- Naprawdę muszę wracać.
- Gdybyś została jeszcze kilka dni, to może...
- Zostawiłam dom, rachunki... Mamo, muszę przecież zarabiać na życie.

Jeśli wyjadę wcześniej rano, to wieczorem będę w Chicago.

- Rozumiem. Wrócisz tu niedługo?
- Postaram się.

Lovie wysunęła rękę z dłoni córki. Wiedziała, że Cara już nie wróci, i poczuła się bardzo stara i ogromnie zmęczona.

- Idź do łóżka, kochanie. Ja zostanę i dopiję herbatę.

Noc była niespokojna. Silny wiatr rozgonił chmury, odsłaniając jasno migoczące gwiazdy. Lovie stanęła na werandzie i odnalazła wzrokiem Wielki Wóz. Zapaliła latarkę z czerwoną żarówką, która nie odstraszała żółwi, zarzuciła na ramiona stary sweter i ruszyła w stronę plaży. Było już po północy.

Musiała się przejść. Wiek nie pozwalał jej wędrować tak długo i daleko, jak miałyby ochotę, ale chciała znów znaleźć się wśród wydm, poczuć pod stopami piasek. Teraz, gdy Russella już nie było, tylko spacer po plaży podtrzymywały ją na duchu.

Russell...

Och, jakże za nim tęskniła. Był jej najlepszym przyjacielem i największą miłością. Gdyby żył, opowiedziałaby mu o rozmowie z Carą i poprosiłaby o radę.

Powoli szła wąską ścieżką, oświetlając sobie drogę wątlą strużką czerwonego światła. Wkrótce wyłonił się przed nią zarys pierwszej wydmy. Lovie wspięła się na szczyt i wyczerpana opadła na kolana. Starość to okropna rzecz, pomyślała. Kiedyś dobiegała tą samą ścieżką aż do morza, rzucała się w fale i energicznie przepływała spory dystans. Boże, jak to było dawno.

Zsunęła buty i zanurzyła stopy w piasku. To było jej ulubione miejsce do opalania. Tu czuła bliską więź ze wszystkim, co kochała - z morzem, plażą, domem.

I tutaj spotykała się z Russellem.

Leżąc na piasku, przymknęła oczy i spróbowała sobie wyobrazić, że jego ramiona znów ją otaczają. Im starsza się stawała, tym łatwiej jej było poczuć jego obecność przy sobie i coraz częściej oddawała się takim marzeniom. Nie sądziła, by było w tym coś złego. Wyobrażała sobie, że leżą razem na starym kocu w czerwono-czarną kratę, który zawsze zabierała, przychodząc tutaj. Włosy Russella były tak jasne, że przy opalonej skórze wydawały się białe. Ona sama nosiła wtedy długi, jasny warkocz. Nocą Russell rozplatał go powoli i rozkładał na kocu, by podziwiać jej włosy w blasku księżyca.

Miała wtedy trzydzieści dziewięć lat, a on czterdzieści jeden. Wiedziała, że dane jest im tylko to jedno lato. Obydwoje mieli rodziny i pozycję społeczną - więzy, których nie mogli i nie chcieli zrywać. Pokusa była wielka, ale obydwójce od samego początku rozumieli, że ich związek może potrwać tylko do jesieni.

Skrawek wydmy w odludnej części wyspy stał się ich oazą. Nie można ich było zobaczyć z żadnego domu. Oświetlał ich jedynie księżyc, a dokoła słychać było tylko szum traw. Lovie mocno zacisnęła powieki i wyobraziła sobie, że Russell jest przy niej. Gdy udało jej się wyciszyć myśli, mogła niemal usłyszeć jego głos z ledwo wyczuwalnym południowym akcentem.

- Russell, nie wiem, co mam zrobić - powiedziała głośno. - Słyszałeś, co mówił Palmer o wartości tego kawałka ziemi? Nie miałam pojęcia, że moja działka może być aż tyle warta. Wiesz, jak wiele ten dom znaczył dla mnie przez wszystkie minione lata, gdy czułam się samotna i tęskniłam za uczuciem. Tutaj czuję, że jesteś blisko, i nie sprzedałabym tego domu za nic w świecie. Ale nie zostało mi już dużo życia. Komu powinnam zostawić tę ziemię? Muszę podjąć jakąś decyzję. Palmer chciałby kupić moją działkę. Potem na pewno komuś by ją sprzedał. Nie mogę znieść tej myśli, ale wiem, że warta jest mnóstwo pieniędzy! Pomyśl tylko, co mogłabym zrobić z taką ilością pieniędzy!

A co byś chciała zrobić?

- Och, gdybym znowu była młoda, to podróżowałabym po świecie! Jest tyle miejsc, które chciałabym zobaczyć! Ale jestem stara i chora. Taka podróż to już nie dla mnie. Ubrania mnie nie interesują. Biżuterię planuję rozdać. Rzeczy są dla mnie tylko bezwartościowym ciężarem. Jeszcze gorzej, rozpraszają uwagę. Jednak muszę być rozsądna. Te pieniądze bardzo by się przydały moim dzieciom. I mam jeszcze wnuki. Pieniądze zapewniłyby im dobry start w życiu. Mogliby za nie opłacić studia, kupić dom, i tak dalej. Chciałabym, żeby mnie dobrze wspominali. No i jeszcze Toy, oczywiście. Muszę jej jakoś pomóc. Co ja mam zrobić? Jeśli zostawię tę ziemię wnukom, ludzie zaczną się zastanawiać, skąd ona się wzięła. Pojawią się pytania i w końcu ktoś się dogrzebie odpowiedzi. Zbyt wiele poświęciłam, by na koniec stracić godność i dobre imię. Powiedz, co powinnam zrobić?

Wiesz, co ja bym zrobił.

- Wiem. Zawsze chciałeś zostawić tę ziemię Towarzystwu Ochrony Wybrzeża. Ja też bym tego chciała, ale nie jestem pewna, czy to właściwe wyjście. I musiałby mi pomóc ktoś, komu mogłabym bez reszty zaufać.

Cara?

- Cara wyjeżdża.

Jeszcze tu jest. Powinnaś z nią porozmawiać. Przecież tego chcesz.

- Nie mam już czasu. Wyjeżdża jutro rano. Potrzebny byłby cud, żeby została.

Cuda zdarzają się każdego dnia.

- Dokąd ty idziesz? Proszę, nie zostawiaj mnie! Nigdy cię nie zostawię.

- Russell! - zawołała Lovie, siadając na piasku.

Wyciągnęła rękę, ale napotkała pustkę. Znowu była sama i wiedziała, że Russell już nie wróci. Oparła łokcie na kolanach i naciągnęła sweter na ramiona. W blasku księżyca plaża przybrała srebrzysty odcień. Zamieciony wiatrem piasek był gładki jak szkło.

Naraz spostrzegła jakieś poruszenie w miejscu, gdzie fale uderzały o brzeg. Drgnęła i przyjrzała się uważnie, bojąc się głośniejszemu oddechnąć. Z morza, niczym prehistoryczny stwór, wylaniał się jakiś ciemny, przysadzisty kształt. To była samica żółwia!

Zwierzę wypełzło na piasek, podniosło łeb i przez chwilę zdawało się węszyć. Lovie czekała, wstrzymując oddech, aż zwierzę podejmie decyzję. W końcu żółwica powlokła się ciężko prosto w jej kierunku, zatrzymując się chwilę, by odpocząć.

Lovie wiedziała, że to trochę potrwa. Razem z ładunkiem jaj samica żółwia ważyła ponad sto pięćdziesiąt kilogramów. Pod wpływem nagłego impulsu Lovie ostrożnie spelzła z wydmy na drugą stronę, a potem, najszybciej jak potrafiła, pośpieszyła do domu. Bez pukania weszła do sypialni córki i lekko potrząsnęła Carę za ramię.

- Cara. Cara, obudź się.

Cara poderwała się gwałtownie, szeroko otwierając oczy.

- To ja, kochanie. Obudź się, chcę ci coś pokazać. Szybko.

- A co takiego? - wymamrotała jej córka nieprzytomnie.

- Chodź. Wciągaj dzinsy. Żółwica wyszła na brzeg. Musisz to zobaczyć.

- Och, mammo...

Lovie rzuciła jej dzinsy, koszulkę i sandały, a potem niecierpliwie wyprowadziła na chłodną, wilgotną noc. U stóp wydmy Lovie przyłożyła palec do ust i obydwie kobiety, starając się zachowywać jak najciszej, zbliżyły się do brzegu oceanu.

Była pora odpływu. Szeroki ślad biegnący w stronę wydmy wyraźnie odcinał się od wygładzonego falami piasku. Podążyły śladem i po chwili zobaczyły żółwicę, która łapami kopała głęboką jamę.

Przycupnęły w cieniu najbliższej wydmy i niemal przez godzinę obserwowały pracujące nieustrudzenie zwierzę. Jedną z tylnych łap żółwica pogłębiała dziurę, a drugą odsuwała wykopany piasek dalej. W końcu

znieruchomiła i znów zapadła cisza. Lovie podprowadziła Carę bliżej, wiedząc, że podczas składania jaj żółwice zapadają w trans i przestają zwracać uwagę na otoczenie.

Noc była piękna i niemal bezwietrzna. Stan Lovie zbliżony był do euforii. Nie sposób było z góry określić, gdzie i kiedy samica żółwia złoży jaja i trzeba było wiele szczęścia, by zobaczyć to na własne oczy. Popatrzyła na siedzącą obok córkę. Cara obserwowała cały spektakl oczami otwartymi szeroko, jak u dziecka. Lovie uśmiechnęła się do siebie w duchu, wiedząc, że jej córka na zawsze zapamięta tę noc.

Siedziały tak jeszcze przez godzinę, od czasu do czasu wymieniając spojrzenia, w milczeniu, które zamiast oddalać, zbliżało je do siebie. Żółwica z wielkim wysiłkiem złożyła, jedno po drugim, ponad setkę skórzastych jaj. Z jej oczu płynęły przy tym strumienie słonych łez. Łzy matki, pomyślała Lovie. Łzy obowiązku, poświęcenia, rezygnacji i akceptacji, a także samotności - bowiem po złożeniu jaj samica nigdy już nie wróci do gniazda. Nie płacz, powiedziała w duchu do zwierzęcia. Wszystkie matki wcześniej czy później muszą zostawić swe dzieci własnemu losowi. Podniosła dłoń i otarła łzy czające się w kąciakach jej własnych oczu.

W końcu wszystkie jaja znalazły się w gnieździe i zwierzę przysypało je piaskiem, znów używając do tego tylnych łap, a potem powlokło się do wody. Lovie i Cara szły z tyłu niczym gwardia honorowa. Żółwica wlokła się powoli i z wysiłkiem, odpoczywając co chwila, ale im bliżej była wody, tym jej ruchy stawały się bardziej energiczne. Z wyraźną ulgą zanurzyła się w falach i jej czerwono-brązowa skorupa rozbłysła w blasku księżyca.

- Wracaj do domu, jesteś już wolna! - zawołała za nią Cara.

Księżyc świecił wysoko na niebie i na wodach oceanu leżała smuga blasku. Zwierzę zamachało łapami i w jednej chwili przeistoczyło się z bezkształtnego, ciężkiego stworzenia w istotę pełną wdzięku i piękna. Żółwica jeszcze raz podniosła głowę, jakby na pożegnanie, a potem zanurkowała pod

powierzchnię wody i zniknęła. Lovie bezwiednie weszła za nią do wody.

Wyczuwała przed sobą niezmierną, kuszącą głębię, pełną piękna i tajemnic.

- Mamo? Mamo, wracaj, weszłaś za daleko!

Lovie zamrugała oczami i dopiero teraz zorientowała się, że woda sięga jej już do kolan.

- Daj mi rękę - zakomenderowała Cara.

- To było piękne, prawda? - westchnęła jej matka.

- Tak piękne, że zapierało dech w piersiach. Nigdy nie sądziłam, że tyle w tym magii.

- Widziałam ten spektakl już wielokrotnie, ale zawsze czuję się tak podniecona, jakby to był pierwszy raz - wyznała Lovie, stając obok córki.

- Ciekawa jestem, jak tam jest... - powiedziała Cara w zamyśleniu, wskazując na ocean. - Taka wielka przestrzeń. Zanurzyć się pod powierzchnię... Nie potrafię sobie tego wyobrazić.

- Myślę, że to musi być uczucie podobne do śmierci. Chcesz za nią pójść, zżera cię ciekawość, ale najpierw musisz przekroczyć granicę między dwoma światami... Jeden krok, jeden ostatni oddech, i płyniesz - powiedziała Lovie cicho i pod wpływem nagłego impulsu dodała: - Cara?

- Tak, mamo?

- Ja niedługo wyruszę w tę podróż.

Na twarzy Cary odbiło się zaskoczenie i niezrozumienie.

- Co takiego?

- Mam raka. Wiem, że to brzmi bardzo dramatycznie, ale nie mam pojęcia, jak ci to najlepiej powiedzieć, więc mówię zwyczajnie.

Cara na chwilę zamarła, czując, jak przez jej umysł przelatują tysiące chaotycznych myśli.

- Nie! - wykrzyknęła. - Raka? Raka czego?

- Płuc.

- Ale przecież nie palisz już od wielu lat!

- Wiem. Ja też to powiedziałam, gdy dostałam pierwsze wyniki badań. Jestem już po jednej serii naświetlań, ale nic mi nie pomogły. Może najwyżej zyskałam trochę czasu.

- Od jak dawna wiesz?

- Od grudnia.

- Jak bardzo ten rak jest zaawansowany?

- Dosyć zaawansowany. Najkrócej mówiąc, po prostu umieram.

Cara była tak wstrząśnięta, że nic nie powiedziała. Lovie wzięła ją za rękę.

- Jesteś bardzo blada.

Cara bezwiednie zacisnęła palce na jej dłoni.

- Umierająca. Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej? Dlaczego nie zadzwoniłaś? Przecież natychmiast przyjechałabym do domu!

- Nie chciałam, żebyś przyjeżdżała tylko z powodu mojej choroby.

- Choroby? Przecież powiedziałaś, że umierasz!

- Tak.

- Zaraz, poczekaj chwilę - rzuciła Cara, próbując się zdobyć na opanowanie. - Skąd wiesz, że umierasz? U jakiego lekarza byłaś? Są nowe metody leczenia, jest wiele szpitali... Możemy tam pojechać! Słyszałam o pewnym onkologu...

- Przestań. Nic już nie da się zrobić, mogę tylko uporządkować sprawy związane z domem. Próbuję się tym zająć już od jakiegoś czasu, ale nie za bardzo mi wychodzi. Przykro mi z powodu tego, co zdarzyło się dzisiaj u Palmera. Powinnam sama powiedzieć ci o tym wcześniej, ale chciałam, żebyśmy najpierw spędzili trochę czasu razem i porozmawiali o różnych rzeczach, a nie tylko o tym, kto co dostanie po mojej śmierci. To taka strata czasu, a ja już nie mam go zbyt dużo. Och, Cara, nie rozumiesz? To tak samo jak z tą żółwią. Wreszcie uwolniła się od swojego ciężaru. Bardzo tęsknię do tej chwili, ale wiem, że najpierw muszę uporządkować wszystkie moje sprawy.

Ten czas, który mi pozostał, chciałabym spędzić z tobą. Chciałabym, żebyśmy poznały się bliżej. Cara zamilkła i do jej oczu napłynęły łzy.

- To dlatego prosiłaś mnie, żebym tu przyjechała?

- Tak.

- Och, mam... - szepnęła i usiadła na piasku, chowając twarz w dłoniach.

- Mam wrażenie, że ziemia usuwa mi się spod nóg. To wszystko jest zupełnie nierealne. Zaledwie wczoraj użalałam się nad sobą i zastanawiałam się, co złego może mnie jeszcze spotkać. Jednak nawet w najczarniejszych wizjach nie przewidziałam... Nie teraz. Jeszcze nie.

- Nie płacz - pocieszała ją matka, przykucając obok. - Dzisiaj przeżyliśmy razem coś pięknego.

Cara skinęła głową, ocierając łzy.

- Tak.

- Żałuję, że Palmer nie mógł tego z nami zobaczyć.

- Czy on wie?

- Nie mówiłam nikomu poza Florence i Toy. Obydwie bardzo mi pomogły w ciągu tych ostatnich miesięcy. Ale teraz już koniec z naświetlaniami, i mam nadzieję, modłę się o to, że jakoś dotrwam do końca lata.

- Do końca tego lata? I to wszystko?

- To wystarczy, Caro. Wiem, to bardzo egoistyczne z mojej strony, ale chciałabym cię prosić, żebyś tu ze mną została. Wiem, jak trudno ci wyrwać się z pracy na tak długo, ale może coś wymyślisz.

Cara westchnęła głęboko i spojrzała w niebo, na jasno świecące gwiazdy. Cała chaotyczna plątanina wydarzeń z ostatnich tygodni przyprowadziła ją właśnie tutaj, do tej chwili. Wzięła matkę za rękę i uścisnęła ją delikatnie.

- Oczywiście, że zostanę, tak długo, jak długo będziesz mnie potrzebować. Zaopiekuję się tobą. Obiecuję, że cię nie zostawię.

- A twoja praca?

- Nie martw się o to. Och, mam, ja też mam ci wiele do powiedzenia.

*Tylnymi łapami żółwica wykopuje w piasku
jamę głęboką na czterdzieści pięć
do pięćdziesięciu pięciu centymetrów.*

ROZDZIAŁ ÓSMY

Toy obudziła się wcześnie. Nie mogła spać dłużej, nawet gdyby chciała. Dziecko było już duże i coraz mocniej uciskało na jej pęcherz. Tak wiele rzeczy zmieniało się w jej ciele. Brzuch wyraźnie sterczał do przodu, a piersi stały się niewiarygodnie wielkie. Darrylowi by się to podobało, pomyślała, i jej uśmiech zgasł.

Ostatniego wieczoru siedziała samotnie przed telewizorem w salonie Rutledge'ów, podczas gdy pozostali gadali i gadali w nieskończoność. Toy nie znosiła tego domu; cała sytuacja była dla niej nieznośna. Usłyszała wiele z tego, co zostało powiedziane. W każdym razie słyszała dokładnie każde słowo tego nadętego Palmera z czerwoną twarzą. Najbardziej zadziwiło ją, że Cara stanęła w jej obronie i odważyła się powiedzieć bratu prosto w oczy, co o nim myśli. Ta niedostępna Królowa Śniegu... Kto by pomyślał?

Przez całą noc Toy biła się z myślami, zastanawiając się, czy powinna wrócić do Darryla. A potem przyszedł do niej we śnie. Uśmiechał się ładnie, był bardzo opiekuńczy i przez cały czas na nią patrzył.

Darryl nigdy by nie pozwolił, żeby ktoś wyrażał się o niej tak jak Palmer. Ale nie tylko dlatego chciała do niego wrócić. Bolało ją również milczenie Lovie, która nie wypowiedziała ani jednego słowa w obronie swojej młodej przyjaciółki. Czyżby uważała, że ponieważ Toy jest biedna, to na pewno ją okradnie? Wielu bogatych ludzi tak myślało. Przecież nigdy w życiu nie ukradłaby niczego pani Lovie! Ze strzępków rozmowy odniosła raczej wrażenie, że to jej własny syn ją okradał, bo z czystej zachłanności chciał sobie

przywłaszczyć coś, co nie należało do niego. Jakby mało mu było, że dostał dom. Jezu, gdyby to jej ktoś podarował taki dom, to już do końca życia niczego więcej by nie pragnęła.

Ale wiedziała, że nikt jej nie zrobi takiego prezentu. Ludzie podobni do niej nie mieszkali w takich domach. Wszystko, o czym Toy śmiała marzyć, to miłe, czyste, słoneczne miejsce, które mogłaby urządzić tak, jak nauczyła ją pani Lovie. Położyłaby na stołach kolorowe obrusy, rozstawiałaby jednakowe talerze do posiłków, a w oknach zawiesiłaby firanki. Byłby to szczęśliwy dom jej, dziecka i Darryla. Toy umiała sprawiać, by inni czuli się przy niej szczęśliwi, i była pewna, że Darryl pragnie powrotu jej i dziecka. Potrzebował tylko trochę czasu na oswojenie się z sytuacją. Cięża Toy była dla niego zaskoczeniem. Na pewno nie chciał jej uderzyć ani mówić tych wszystkich okropnych rzeczy. Był dobrym człowiekiem i wiedziała, że ją kocha. Była również pewna, że pokocha dziecko, gdy tylko je zobaczy.

A może powinna do niego zadzwonić i wysondować jego nastawienie? Co prawda obiecała pani Lovie, że tego nie robi, ale...

Myśląc o tym wszystkim, umyła twarz i włożyła sukienkę, która już stawała się przyciasna w pasie. Nie udało jej się zasunąć suwaka na plecach. Wyszła z sypialni i pociągnęła nosem. Czyżby w powietrzu unosił się aromat kawy?

- Dzień dobry! - zawołała Cara z uśmiechem.

Toy, która właśnie stanęła w progu kuchni, poczuła takie zaskoczenie, że nie odpowiedziała. Po raz pierwszy zobaczyła Carrettę Rutledge na nogach przed jedenastą, a już na pewno nie spodziewała się, że ujrzy ją zajętą parzeniem kawy i przygotowywaniem grzanek.

- Napijesz się kawy?

- Eee, mhm, bardzo chętnie. Dziękuję - wyjąkała Toy. Sięgnęła po kubek, ale Cara już stawiała przed nią filiżankę.

- Może być ta? To jedna z moich ulubionych.

- Mnie się najbardziej podobają te w różowe kwiaty.

- Limoges. Masz dobry gust. Mama też je lubi najbardziej.

Toy rozpromieniła się z radości, ale zachowała czujność.

Z tostera wyskoczyły dwie grzanki. Cara posmarowała je masłem i położyła na talerzykach, a potem postawiła na stole dżem i ser.

- Nie jestem najlepszą kucharką na świecie, ale na początek to nam powinno wystarczyć. Masz ochotę na coś jeszcze? Płatki albo jajka? Dziecko potrzebuje sporo paliwa.

- Zrobię sobie coś później. Na razie to zupełnie wystarczy - odrzekła Toy, zerkając na Carę niepewnie. Księżniczka Rutledge w szortach koloru khaki wyglądała jak modelka z ilustrowanego pisma. Toy czuła się przy niej tłusta i niezgrabna jak wieloryb. Nieświadomie sięgnęła ręką za plecy, próbując dopiąć suwak sukienki.

- Pozwól, że ci pomogę - powiedziała Cara, stając za nią. - Chyba nie powinnam cię prosić, żebyś wciągnęła brzuch. Wydaje mi się, że ta sukienka nie posłuży ci już długo. Może wybierzemy się razem na zakupy i poszukamy czegoś większego?

- Nie trzeba, dziękuję - rzuciła Toy szybko. - Zamierzam uszyć sobie kilka sukienek. A gdzie jest pani Lovie? Zwykle wstaje pierwsza.

- Niech pośpi dzisiaj dłużej - odrzekła Cara, siadając naprzeciwko Toy przy stole.

Posmarowała grzankę grubą warstwą dżemu truskawkowego i wgryzła się w nią ze smakiem. Toy bacznie obserwowała każdy jej ruch. Cara odznaczała się naturalną elegancją i tego ranka wydawała się znacznie swobodniejsza niż zwykle.

- Zgadnij, co widziałyśmy z mamą wczoraj w nocy - powiedziała z błyszczącymi oczami. - Samicę żółwia! Przyglądałyśmy się, jak kopie dołek, składa jaja i wraca z powrotem do oceanu. Jakież to wspaniałe stworzenie!

- Myślałam, że nie lubi pani żółwi - zdziwiła się Toy.

- Teraz już lubię - odrzekła Cara z uśmiechem. - Jak mogłabym ich nie lubić po takim spektaklu?

- To było wczoraj wieczorem? A gdzie ja wtedy byłam?

- Spałaś już, nie było sensu cię budzić. Dobrze zrobiliśmy, prawda?

Właściwie to mama dość brutalnie mnie obudziła i wygoniła na plażę. Chyba chciała spędzić ze mną trochę czasu sam na sam. - Cara wytarła usta i zatrzymała poważne spojrzenie na twarzy dziewczyny. - Wczoraj w nocy mama powiedziała mi o swojej chorobie.

Toy odłożyła grzanekę i zamarła.

- Rozmawialiśmy o wielu rzeczach, o których powinniśmy porozmawiać już dawno. Mama opowiedziała mi też, że opiekowałaś się nią przez te wszystkie miesiące, wozilaś ją do szpitali i na zabiegi i czasem musiałaś czekać całymi godzinami. To na pewno nie było łatwe.

- To zupełnie nic w porównaniu ze wszystkim, co ona dla mnie zrobiła.

- Dokonałaś bardzo wiele dobrego i jestem ci za to wdzięczna z całego serca. Ale teraz cię wyręczę. Postanowiłam zostać tu do końca lata. Pomogę wam. Nie martw się, że odbiorę ci pracę, chcę tylko ułatwić wam życie. Mogę wziąć na siebie wszystkie sprawy do załatwienia poza domem, w tym również zakupy, gdy ty będziesz zmęczona. Jestem bardzo marną kucharką, więc jeśli chcesz jadać przyzwoicie, to będziesz musiała nadal gotować. No i mama zapewne potwierdzi, że nie najlepiej znam się na sprzątaniu. Szczerze mówiąc, kiepska ze mnie gospodyni domowa. Zupełnie się nie znam na prowadzeniu domu. Więc uwierz, będziesz nam bardzo potrzebna. Chciałam ci to powiedzieć już teraz, a później możemy porozmawiać o szczegółach.

Toy przez chwilę siedziała w milczeniu, zastanawiając się nad tym, co usłyszała. Cara wydawała się bardzo pewna siebie i kompetentna, zupełnie inna niż wcześniej. Widocznie jednak kochała matkę.

- Cieszę się, że pani Lovie powiedziała o chorobie. To nie było w porządku, że ja o tym wiedziałam, a pani nie. Chyba chciała panią chronić.

- Mama ma taki zwyczaj. Lubi ukrywać problemy i udawać, że wszystko jest w najlepszym porządku. A teraz chyba przyszła moja kolej - to ja muszę ją chronić. Nie, nie przed tobą! - uśmiechnęła się na widok twarzy dziewczyny.

- Przed Palmerem? Cara uniosła brwi.

- Możliwe. On jeszcze nie ma pojęcia o raku. Nie jestem pewna, jak zareaguje, gdy się dowie.

- Może będzie chciał zabrać panią Lovie do miasta?

- Postaram się do tego nie dopuścić. Ale na pewno będzie próbował. Przyznaję, że martwi mnie Palmer. Mama podporządkowuje mu się tak jak kiedyś ojcu. Nadal nie potrafię o tym myśleć spokojnie - westchnęła Cara. - Dorastałam, patrząc, jak mama zaspokaja wszystkie zachcianki ojca i podporządkowuje mu się bez reszty... pewnie dlatego niezależność była dla mnie zawsze tak ważna. Kobieta nie powinna oczekiwać, że mężczyzna będzie się nią opiekował.

- Dlaczego nie? Ja właśnie tego oczekuję.

- Lepiej tak nie myśl. Jeśli oczekujesz, że mężczyzna porwie cię w ramiona i sprawi, że wszystkie twoje problemy znikną jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, to czeka cię wielkie rozczarowanie. Lepiej polegać wyłącznie na sobie. Ja już się o tym dobitnie przekonałam.

- Ale ja chyba jestem bardziej podobna do pani Lovie. Trochę staroświecka. Nie chcę robić kariery, chcę tylko wyjść za mąż i mieć udaną rodzinę. Zawsze o tym marzyłam. I wiem, że Darryl dobrze się zaopiekuje mną i dzieckiem.

Cara nie odpowiedziała, ale uważnie słuchała każdego słowa. Skrępowana Toy zaniósł talerz do zlewu i dołała kawy do obu filiżanek.

- Jest coś jeszcze, co chciałabym pani powiedzieć - rzekła z wahaniem. - Na temat wczorajszego wieczoru.

- A co takiego?

- Słyszałam, co Palmer o mnie mówił, Cara zmarszczyła brwi.

- Bardzo mi przykro. To było podle.

- Tak - wzruszyła ramionami Toy, skubiąc skórę przy paznokciu. - Ale chyba już przywykłam. Wielu ludzi podobnie ocenia nastolatki w ciąży. Od razu zakładają, że nie mamy żadnych zasad moralnych. Ale słyszałam też, co mu pani odpowiedziała. - Podniosła wzrok i dodała: - Dziękuję.

Cara uśmiechnęła się do niej życzliwie.

- Nie ma za co. Palmer nie jest taki zły, naprawdę, tylko trzeba mu od czasu do czasu trochę utrzyć nosa. Julia powinna się tego wreszcie nauczyć.

- On jej nie pozwala nic powiedzieć. Cara znów się zachmurzyła.

- Jaki ojciec, taki syn - mruknęła.

- To znaczy, że mąż pani Lovie traktował ją tak samo?

- Tak, tylko znacznie gorzej - odrzekła Cara posepnie.

Toy zaniemówiła z wrażenia. Nie sądziła, że takie rzeczy mogą się przydarzyć dystygowanym kobietom z Południa.

- Nie wierzę. - Pokręciła głową. - Kto mógłby źle traktować panią Lovie? Przecież to wielka dama, taka miła i uprzejma dla wszystkich.

- Większość źle traktowanych kobiet to miłe i uprzejme dla wszystkich damy. Tylko takie jędze jak ja nie pozwalają wchodzić sobie na głowę.

Toy roześmiała się głośno, rozładowując napięcie.

- Wcale nie jest pani jędzą. - Zauważyła, że Cara zerknęła na nią z ukosa, i dodała ze śmiechem: - No, w każdym razie już nie.

Cara roześmiała się serdecznie.

- Mów mi po imieniu. Ale żarty na bok. Nie uważam, by kobieta, która nie daje sobą pomiatać albo nie pozwala się bić, była jędzą. Świadczy to raczej o poczuciu godności i szacunku do siebie.

- Czy to znaczy, że twój ojciec bił panią Lovie?

- Chcę po prostu powiedzieć, że bicia nie można usprawiedliwić w żaden sposób. Absolutnie żaden, koniec i kropka. Jednak słowa mogą być jeszcze gorsze. Bardziej trujące. Nie zostawiają widocznych blizn, chociaż potrafią

zabijać. W naszym domu, gdy dorastałam, nieustannie panował stan wojny. Wszyscy wyszliśmy z tego poranieni. Ja uciekłam, a mama została. Nie mam pojęcia, co jeszcze musiała przejść przez te wszystkie lata.

- Widocznie bardzo go kochała - powiedziała Toy cicho.

Cara przez długą chwilę przyglądała się jej uważnie, dumając nad odpowiedzią.

- To tym gorzej dla niej, nie sądzisz? Toy pochyliła głowę nisko nad stołem.

- Nic nie można poradzić na to, że się kogoś kocha bardzo mocno.

- Zawsze można coś poradzić. Zawsze jest jakiś wybór.

Toy poczuła, jak jej policzki czerwienieją ze złości. Gdy słyszała podobne słowa, zawsze odnosiła wrażenie, że coś z nią jest nie tak. Wielu znajomych pytało ją, dlaczego znosi upokorzenia doznawane od Darryla, który często ją popychał czy publicznie oskarżał o najgorsze. Pytali, dlaczego z nim nie zerwie. Ona jednak nie była w stanie tego zrobić i czuła się przez to podle. Wiedziała, że przyjaciele, podobnie jak teraz Cara, chcieli jej tylko pomóc, ale przez to zawsze czuła się gorsza i głupsza od innych.

- Łatwo ci mówić - odrzekła teraz. - Nigdy nie byłaś na moim miejscu. Co możesz o tym wiedzieć? Na pewno miałaś swoje problemy, ale byłaś bogata, chodziłaś do dobrej szkoły, stały przed tobą szanse, jakich nie dostają dziewczyny takie jak ja. Ludzie mówią mi o wiele gorsze rzeczy niż Palmer, a ja muszę siedzieć cicho, bo nic innego nie mogę zrobić. Myślisz, że jesteś taka mądra, bo skończyłaś college i jesteś kimś ważnym w pracy. Ale co możesz wiedzieć o moim życiu?

- Nie trzeba wybitnej inteligencji ani pieniędzy, by zrozumieć, że gdy mężczyzna upokarza albo bije kobietę, to jej nie kocha. To się nazywa znęcanie, a nie miłość. Taki facet odczuwa potrzebę władzy, chce kontrolować kobietę.

- Ale Darryl taki nie jest! - zawołała Toy obronnie. - Jest dla mnie bardzo dobry. To się zdarzyło tylko raz, a potem bardzo żałował!

- Oni wszyscy później żałują, ale znów to robią. Toy poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

- Nie! - wykrzyknęła. - Nie mów tak o nim! On wcale nie jest podobny do twojego ojca. Kocham go! Będziemy rodziną. Mam zamiar dzisiaj do niego zadzwonić.

Odepchnęła krzesło, podniosła się niezgrabnie i wyszła na werandę. Cara poczuła wyrzuty sumienia. Nie zamierzała upokarzać dziewczyny, chciała ją tylko ostrzec. W swojej firmie widziała wiele kobiet, które przychodziły do pracy posiniaczone. Po jakimś czasie zawsze opuszczały się w obowiązkach i wówczas Cara musiała wkroczyć do akcji i skierować je na terapię, chroniąc w ten sposób przed utratą posady. Z reguły najtrudniej było je przekonać, że nie zasługują na takie traktowanie.

Westchnęła ciężko i poszła za Toy na werandę, w pół drogi jednak zatrzymał ją dzwonek telefonu. Podeszła do stolika i podniosła słuchawkę.

- Halo?

- Lovie? - zapytał jakiś kobiecy głos.

- Nie, mówi Cara. Jestem jej córką.

- Rany boskie, Cara! To ja, Emmi!

- Emmaline Baker? - zapytała Cara z niedowierzaniem.

- A ile znasz na wyspie osób o tym imieniu? Słyszałam, że przyjechałaś, ale oczywiście nawet nie zadzwoniłaś! Co z ciebie za przyjaciółka?

- Przepraszam. Byłam chora i trochę się tu działo różnych rzeczy.

- Mniejsza o to. Co robisz dzisiaj? Bardzo bym chciała się z tobą spotkać.

Cara z lekkim uśmiechem oparła się o ścianę. Próbowала sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni widziała Emmy. Dwadzieścia lat temu? Coś koło tego. Emmy była wysoką dziewczyną z długimi rękami i nogami i szerokim uśmiechem. Cara najbardziej podziwiała jej włosy: długie, kręcone i rude jak marchewka. Emmi miała ostry język i ogromny temperament. Chodziły do innych szkół i na początku wakacji zawsze porównywały swoje świadectwa.

Najczęściej szły łeb w łeb i choć były bliskimi przyjaciółkami, ta niewinna rywalizacja utrzymywała się przez wszystkie lata ich znajomości. Myśl o niej przez cały rok szkolny dopingowała Carę do nauki. Ciekawe, jak Emmi wygląda teraz? - zastanawiała się. Czy nadal jest tak energiczna i pyskata jak kiedyś, czy z wiekiem złagodniała?

- Ja też bym chciała cię zobaczyć - powiedziała do słuchawki. - Podobno zostałeś fanką żółwi?

- A tak. Twoja mama mnie w to wciągnęła. Ale potrzebowała na to trzydziestu lat - roześmiała się Emmi. - Pamiętasz, jak kazała nam codziennie rano chodzić na plażę i szukać śladów?

- Nie wiem, kto tego bardziej nie cierpiał, ty czy ja.

- Prawdę mówiąc, to właśnie dlatego dzwonię. Zauważyłam rano ślady akurat naprzeciwko waszego domu.

- Wiem. Wczoraj w nocy widziałyśmy z mamą, jak żółwica składała jaja. Mama oznaczyła to miejsce muszlami.

- Nie żartujesz? To super! Masz szczęście, jak każdy nowicjusz. Ja szukam śladów już dwa lata, ale jeszcze nie widziałam składania jaj. Czy Lovie przyjdzie ogrodzić gniazdo? Wydaje mi się, że jest w bezpiecznym miejscu.

- Nie, mama nie czuje się dzisiaj najlepiej. Coś ci powiem. Ja tam pójdę, a ty pokażesz mi, jak się to robi. Możemy się spotkać na wydmie.

- Najwyższa pora. Już myślałam, że mnie unikasz. Dawno się nie widziałyśmy.

- Wiem - westchnęła Cara. - Dobrze, zaraz tam będę.

Odłożyła słuchawkę i znów westchnęła ciężko. Emmi była jedyną z jej przyjaciółek, którą traktowała jak siostrę i której mogła bez obawy powierzyć wszystkie swoje największe sekrety. Rozumiały się zawsze bez słów i mogły na siebie liczyć w każdej sytuacji. Dobrze będzie ponownie ją zobaczyć.

Wysłała na werandę i stanęła obok Toy.

- Czy to dzwonił ktoś ze znajomych? - zapytała dziewczyna.

- Emmi Baker. Byłyśmy kiedyś przyjaciółkami. Toy skinęła głową. Na jej twarzy malował się dziwny smutek.

- Toy, to co mówiłam wcześniej... Może za bardzo się wymądrzałam. Nie chciałam ci sprawić przykrości. Nie znam twojego chłopaka. Opowiedziałam ci o mamie, bo chciałam, żebyś poczuła, że nie jesteś sama. Wiele kobiet przeżywa to samo i nie ma żadnego znaczenia, czy są bogate, czy biedne, wykształcone i inteligentne, czy nie. Nie zamierzałam cię oceniać. Po prostu obchodzi mnie twój los, i to wszystko.

Dziewczyna lekko wzruszyła ramionami.

- W porządku. Wiem, że nie chciałaś powiedzieć niczego złego.

- Naprawdę zastanawiasz się nad powrotem do Darryla?

- Kiedyś do niego wrócę. - Toy zawahała się lekko. - Czy naprawdę chcesz, żebym tu mieszkała podczas twojego pobytu?

Pokusa była wielka. Wystarczyłoby jedno słowo, by Toy spakowała walizkę i zniknęła. Cara mogłaby spędzić całe lato tylko z matką. Popatrzyła na wystający brzuch dziewczyny, gęstą szopę jasnych włosów i oczy obwiedzione czarną kredką. Właściwie niczym się od siebie nie różniły. W wieku osiemnastu lat Cara także była samotna i nie miała dokąd pójść. Tylko że Cara miała mnóstwo determinacji i poczucia godności, podczas gdy Toy... Toy miała tylko swoje dziecko i marzenia o rodzinie.

- Naprawdę tego chcę - stwierdziła stanowczo.

- Posłuchaj, umówiłam się z Emmi przy gnieździe z jajami. Trzeba je oznaczyć. Chcesz iść ze mną? Nie wiem, co powinnam ze sobą zabrać.

- Zostanę tutaj. Pani Lovie może się obudzić. Wszystko, czego potrzebujesz, jest w tym czerwonym wiaderku przy drzwiach. Emmi będzie wiedziała, co trzeba zrobić.

- Na pewno nie chcesz ze mną pójść? Mogłybyśmy zostawić mamie kartkę.

- Ja też jestem zmęczona - odrzekła Toy bezbarwnym tonem, patrząc jej w oczy.

- No dobrze - ustąpiła Cara. - Wrócę za jakąś godzinę i przygotuję lunch. Nałożyła czapeczkę i okulary słoneczne, a potem sięgnęła po wiaderko.

- Nie mogę uwierzyć, że dałam się wmanewrować w opiekę nad żółwiami! - roześmiała się głośno na odchodnym.

Odebrał telefon po piątym sygnale.

- Cześć, Darryl - powiedziała Toy niepewnie. W słuchawce zapadła chwila ciszy.

- Kto mówi?

- To ja.

- Toy?

- No tak. Pomyślałam, że zadzwonię do ciebie i zapytam, co słyhać.

Znów nastąpiła chwila ciszy, jeszcze dłuższa niż poprzednio. Toy nerwowo obracała w palcach kabel telefonu.

- To miło, że dzwonisz - powiedział wreszcie Darryl z ironią. - Gdzie ty się, do diabła, podziewasz?

- Tęsknisz za mną?

- Dawno się nie widzieliśmy, mała. Toy przygryzła wargę.

- Więc co u ciebie?

- Wszystko w porządku - odrzekł, ale po jego głosie poznała, że jest wściekły, i nie była pewna, czy to dobry znak, czy zły.

- U mnie też wszystko w porządku. I dziecko miewa się dobrze. Zdziwiłbyś się, gdybyś mnie teraz zobaczył. Jestem strasznie gruba.

- A więc nie pozbyłaś się go.

To nie było pytanie. W głosie Darryla wyraźnie dźwięczała złość.

- Przecież ci mówiłam, że tego nie zrobię. To nasze dziecko, Darryl.

- To nie jest moje dziecko. Też ci to mówiłem.

- Wiesz, że jest twoje. Nie byłam z nikim innym.
- Dobrze - przerwał jej Darryl ostro. - Jak wolisz. To twój brzuch i twoje życie.

Toy gwałtownie wciągnęła oddech.

- Muszę już kończyć.

- Poczekaj chwilę - powiedział Darryl szybko. - Toy?

- Jestem - szepnęła, przyciskając słuchawkę do ucha.

- Źle zrobiłaś. Nie powinnaś mnie tak zostawiać. Wróciłem do domu i ciebie nie było. Co to miało znaczyć?

- A ty nie powinieneś wyrzucać moich rzeczy na ulicę. Denise mi o tym powiedziała. Nawet nie pozwoliłeś mi ich zabrać.

- Miałem prawo być na ciebie wściekły. Wszystko między nami szło dobrze, a ty musiałaś to popsuć.

- Nie chciałam! Ale wystraszyłeś mnie.

- Bałaś się mnie? - zapytał Darryl uniesionym głosem.

- Właściwie to nie ciebie. Bałam się o dziecko.

- No i sama widzisz. To dziecko psuje nam szyki. Mówiłem ci, że tak będzie, i miałem rację. Oboje jesteśmy na to za młodzi.

- Ale ja jestem w ciąży. Nie da się tego odwrócić. I nawet nie próbuj mówić takich rzeczy! Nie pozbędę się dziecka.

Usłyszała, że Darryl zaciąga się papierosem.

- W takim razie wszystko między nami skończone.

- Chyba tak - odrzekła cicho Toy.

- Toy, skarbie, zastanów się jeszcze, co robisz. Bardzo mi ciebie brakowało. Nie musisz ode mnie odchodzić. Wiesz, że żałuję swojego postępowania. Po prostu wpadłem w złość. Gdzie teraz jesteś?

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Co to znaczy, że nie możesz mi powiedzieć? Czego się boisz?

Wiedziała, że Darryl znów wpada w złość, i natychmiast zaczęła go uspokajać.

- Niczego się nie boję. Boję się tylko tego, że jeśli cię zobaczę, to będę chciała do ciebie wrócić.

W głosie Darryla pojawił się uwodzicielski ton.

- A co w tym byłoby takiego złego?

- Nic. Ale jeszcze nie jestem na to gotowa. Chcę tu zostać do końca ciąży. A potem, gdy dziecko już się urodzi i znów będę wyglądać tak jak przedtem, wtedy możemy być razem.

- To chyba dobry pomysł. Toy poczuła przypływ nadziei.

- Wiem, że pokochasz nasze dziecko, gdy je tylko zobaczysz. Jestem tego pewna. Ja się będę nim zajmować, ty nie będziesz się musiał o nic martwić.

- Zaraz. Przecież ci mówiłem, że nie jestem gotowy na ojcostwo.

- Ale przecież już jesteś ojcem - zdumiała się i w tej samej chwili usłyszała w słuchawce głos jakiejś kobiety. - Kto tam jest z tobą? - zapytała z napięciem.

- Pewna dziewczyna - wyjaśnił Darryl bez skrępowania.

- A co ona tam robi?

- A jak ci się wydaje? Ciebie tu nie ma. Sama wybrałaś.

- Ty świnió! - wykrzyknęła Toy przez łyzy i ciężko dysząc, cisnęła słuchawkę na aparat. Poczowała drobne skurcze w dole brzucha. Oparła się o ścianę i głęboko oddychając, próbowała rozmasować bolące miejsca. Było gorzej, niż przypuszczała. Miała nadzieję, że Darryl za nią tęskni i będzie namawiał ją do powrotu. Kupa śmiechu. On już ma inną kobietę. I to pewnie nawet nie pierwszą.

W chwilę później telefon znów zadzwonił. Toy podniosła słuchawkę.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że znam twój numer.

- Darryl, nie możesz tutaj dzwonić! Ani tym bardziej przyjechać.

Rozumiesz?

- Nie mów mi, co mogę robić, a czego nie. I nie zapominaj, że należysz do mnie. Przyjadę po ciebie, gdy tego zechcę. A ty wtedy grzecznie wrócisz ze mną do domu, tu gdzie twoje miejsce.

- Możesz mnie zabrać tylko razem z dzieckiem.

Darryl jednak już odłożył słuchawkę. Toy poczuła, że serce zaczyna jej głośno dudnić. On zawsze musiał mieć ostatnie słowo. I zwykle spełniał wszystkie groźby, to nie były jedynie czcze przechwałki.

Patrzyła na telefon, przygryzając usta. Teraz już nie czuła złości, tylko strach.

Za każdym razem gdy Cara myślała o Emmi, przypominała sobie naukę całowania w wakacje po skończeniu siódmej klasy. We trójkę, razem z Tomem Petersonem, siedzieli w cieniu pod werandą domu Emmi i grali w butelkę. Cara już nie pamiętała, kto zaproponował tę rozrywkę - zapewne Emmi - utkwiała jej jednak w pamięci milcząca rywalizacja między nimi dwiema o to, którą Tom pocałuje najpierw. Obydwie się w nim podkochiwały, choć był od nich niższy i szczuplejszy. Ale miał rozmarzone oczy i gdy się uśmiechał, pokazywał białe zęby, na widok których przeszywał je dreszcz.

Tom pierwszy zakręcił butelką. Dzień był upalny i Cara czuła, że na czole i nad górną wargą zbierają się jej kropelki potu. Nie odrywając wzroku od butelki po coli, otarła twarz przedramieniem. Butelka kręciła się i kręciła. Cara wstrzymała oddech i zerknęła na twarz Toma. On z kolei wpatrzony był w rude włosy Emmi, zebrane w dwa kucyki i przewiązane żółtymi wstążkami. Cara doskonale wiedziała, że Emmi jest dziesięć razy ładniejsza od niej, i pożałowała, że rano nie pozwoliła, by mama zaplotła jej włosy w warkocze.

W końcu butelka przestała wirować i zatrzymała się, wskazując szyjką na Care, która zaczerwieniła się z wrażenia, nagle onieśmielona. Tom również był czerwony jak burak, a Emmi siedziała cicho i rysowała palcem kółka na piasku. Tom popatrzył na Care, otarł usta i z miną skazańca pochylił się w jej stronę.

Cara czuła na sobie przeszywające spojrzenie Emmi. Przymknęła oczy i przyjęła swój pierwszy w życiu pocałunek. Do tej pory pamiętała dziwną iskrę, jaka wówczas przez nią przebiegła od stóp do głów. To było to!

Choć sporo lat jeszcze musiało minąć, zanim dane jej było pogłębić te zainteresowania, od pierwszej chwili wiedziała, że całowanie stanie się jedną z jej ulubionych rozrywek. Co do Toma, w następnej kolejce przyszło mu pocałować Emmi i odtąd już przy niej pozostał. Obydwoje chodzili do tej samej szkoły i po jakimś czasie stali się nierozłączni. W lecie jednak cała trójka trzymała się razem niczym trzej muszkietierowie. Opalali się, wieczorami chodzili do kina, a w dzień starannie omijali żółwie gniazda. Potem Emmi i Tom zaczęli studia na tym samym uniwersytecie, a po ich skończeniu wzięli ślub. Cara była druhną.

Jeszcze później ich drogi się rozeszły i kontakt się rozluźnił. Ale choć nieczęsto do siebie pisywały, Cara wiedziała, że Tom dostał pracę w Coca-Coli i oboje przeprowadzili się do Atlanty. Emmi wkrótce po ślubie urodziła dwóch synów.

Teraz Cara już z daleka zauważyła sylwetkę kobiety, która siedziała na wyrzuconym przez fale pniu i grzebała patykiem w piasku. Spod ronda kapelusza wysuwały się kosmyki ognistych rudych włosów. Gdy Cara podeszła bliżej, kobieta odwróciła się w jej stronę i na jej twarzy rozblęsnął promienny uśmiech.

- Cara!

- Emmi!

Ze śmiechem rzuciły się sobie w ramiona.

- Nic się nie zmieniłaś - stwierdziła Emmi ze szczęśliwym uśmiechem.

- Ty też nie - odrzekła uprzejmie Cara, pomijając milczeniem fakt, że Emmi bardzo przytyła. Była jednak tak wysoka, że dodatkowe kilogramy nie psuły jej sylwetki - stała się po prostu duża. Twarz jednak, usiana drobnymi piegami, wciąż wyglądała bardzo młodzieńczo.

- Och, ty kłamczucho - roześmiała się szczerze.

- Dobrze cię znowu widzieć - stwierdziła Cara z uczuciem. - Ile to już lat?

- Za wiele. Ale szybko minęły, prawda? Więc nie wyszłaś za mąż?

Cara wzruszyła ramionami.

- Co mogę powiedzieć? Sprzątnęłaś mi Toma sprzed nosa, a potem...

Emmi roześmiała się, ale Cara dosłyszała w tym śmiechu nutkę napięcia.

- A jak się miewa Tom? Jest tu z tobą? Bardzo bym go chciała zobaczyć.

- Zaraz, gdzie on teraz jest? Muszę się zastanowić. Gdzieś w Południowej Ameryce. Nadal pracuje w Coca-Coli i teraz właśnie nadzoruje otwarcie nowej fabryki w Peru. Ciągłe gdzieś wyjeżdża i przeważnie nie ma go w domu. A ja już mam dość siedzenia tam samotnie, więc przyjechałam tutaj. Umówiliśmy się, że podczas wakacji będziemy od siebie odpoczywać. Mniej więcej tak jak twoi rodzice - dodała, grzebiąc czubkiem sandała w piasku.

Cara spoważniała. Jej matka przyjeżdżała na wyspę, by uciec przed ojcem, ale Emmi o tym nie wiedziała. Choć były bliskimi przyjaciółkami, Cara nigdy nie opowiadała o problemach dotyczących rodziny. Matka wpoila jej, że domowych brudów nie pierze się publicznie.

- Odkąd urodzili się chłopcy, przyjeżdżaliśmy tu na każde lato, a także na Boże Narodzenie czy Święto Dziękczynienia. A w zeszłym roku moi rodzice przeszli na emeryturę, przenieśli się na Florydę i zostawili mi dom na wyspie. No więc jestem. - Emmie wzruszyła ramionami.

- A jak tam twoi chłopcy? Przypuszczam, że to wysokiej klasy surferzy, opaleni na brąz i łamiący połowę serc na wyspie?

- Tak i nie. Czasami wpadają na weekend. James, starszy, to typowy kujon. Studiuje medycynę i nie chce tracić czasu na wakacje, więc siedzi w akademiku. John z kolei ma pracę i swoich przyjaciół. Trochę surfuje, gdy tu przyjeżdża, ale nie zdarza się to często. Woli być w Atlancie. W tym wieku rzadko kto ma ochotę spędzać wakacje z matką.

- Więc jesteś tu zupełnie sama? - zapytała Cara.

- Owszem, i nawet nie wiesz, jak bardzo mnie to uszczęśliwia! Jestem wolna jak ptak, hurraaa!

Cara roześmiała się, patrząc, jak Emmi trzepocze rozłożonymi ramionami.

- Wcale nie spoważniałaś przez te lata!

Emmie zdjęła kapelusz i przyglądała włosy. Cara dopiero teraz zauważyła w nich siwe pasma.

- Niestety, spoważniałam. Jednak teraz ponownie próbuję wprowadzić do mojego życia odrobinę szaleństwa. Ale zostawmy to na razie. Opowiedz mi o sobie! Podobno jesteś ważną szychą w firmie reklamowej w Chicago. Zawsze wiedziałam, że do czegoś w życiu dojdiesz.

Cara z westchnieniem usiadła obok przyjaciółki na wyrzuconym przez ocean na brzeg palmowym pniu. Tak jak w dzieciństwie, obydwie wyciągnęły przed siebie nogi. Przy mocnych, opalonych nogach Emmi nogi Cary wydawały się bardzo szczupłe i zupełnie białe.

- Byłam kimś ważnym - mruknęła, grzebiąc nogą w piasku. - Wyrzucili mnie. Tuż przed przyjazdem tutaj. Szłam do pracy, myśląc o nowym kliencie, którego zamierzałam zdobyć, a w godzinę później uzbrojony strażnik odprowadził mnie do drzwi. Nie polecam nikomu takiego doświadczenia.

- Jak to? - zdumiała się Emmi. - A co takiego zrobiłaś? Zdefraudowałaś roczny budżet firmy czy wkroczyłaś do stołówki z uzi w rękę?

Cara musiała się roześmiać.

- Powiedzmy, że to były swego rodzaju wiosenne porządki.

- Bardzo mi przykro...

- Takie rzeczy się zdarzają, a w tej branży zdarzają się częściej, niż przypuszczasz. Ale i tak nikt nie wierzy, że coś takiego może się przytrafić właśnie jemu.

- Więc jak sobie teraz radzisz? To znaczy, masz z czego żyć, czy czeka cię żebranie na ulicy? Kiedyś obiecywałyśmy sobie, że zawsze będziemy sobie pomagać w potrzebie. - Urwała na chwilę. - Czy dlatego tu przyjechałaś?

Cara potrząsnęła głową.

- Na razie nie głoduję - zaśmiała się. - Pracowałam tam wiele lat i dostałam dużą odprawę. Ale wolałabym ci powiedzieć, że mam wielki pakiet akcji giełdowych. Mogę sobie pozwolić na urlop do końca lata. Agentka już szuka dla mnie nowej posady i na pewno coś znajdzie. Mam nadzieję, że nie będę musiała przejść na twoje utrzymanie.

- Jeśli to będzie konieczne, nie ma sprawy. Zawarliśmy braterstwo krwi, pamiętasz?

- Boże, jakie to były dobre czasy. Teraz nikt by się chyba na coś takiego nie odważył.

- My byśmy się odważyły.

- Tak myślisz? - zadumała się Cara. - Wiesz, dzisiaj rano uświadomiłam sobie, że utrata pracy w efekcie końcowym okazała się szczęśliwym zrządzeniem losu. Gdyby mama zachorowała rok temu, to nie mogłabym z nią zostać przez kilka miesięcy. A teraz mogę.

- Zaraz, bo czegoś chyba nie wiem. Twoja mama jest chora?

- Ma raka.

Emmi spojrzała na nią wstrząśnięta.

- Pani Lovie? Och, nie!

- Dowiedziałam się dopiero wczoraj. Rak płuc. Nieoperacyjny.

- Och, nie, nie, nie! Dlaczego właśnie ona? To okropne!

Cara skinęła głową.

- Poprosiła mnie, żebym została tu przez całe lato, a ja się zgodziłam. Rok temu nie mogłabym tego zrobić.

- Mogłabyś.

- Ale kosztem utraty pracy. Zresztą, czym jest utrata pracy w porównaniu z utratą matki?

Emmi smutno potrząsnęła głową.

- Tak mi przykro, Caro. Nie mogę o tym myśleć spokojnie. Cała wyspa będzie w rozpacz. Wszyscy znają twoją mamę jako działaczkę na rzecz ochrony żółwi.

- Pamiętasz, jak oznaczala flagami gniazda, w których lada chwila miały się wykluć małe?

Emmi skinęła głową.

- Czasem nawet sama im w tym pomagała. Teraz nie wolno tego robić. Przepisy zostały bardzo zaostrzone.

Cara nic nie wiedziała o przepisach, uświadamiała sobie tylko, że podczas następnego sezonu lęgowego jej matki już tu nie będzie.

- Trudno mi uwierzyć, że mama naprawdę umiera. Nie mogę się z tym pogodzić. Gdy ją widzę, myślę sobie: no dobrze, jest chora. Ale nie dociera do mnie, że jej życie się kończy. To lato wydaje mi się strasznie długie, ale gdy pomyślę o tym, co czeka mamę, wówczas staje się rozpaczliwie krótkie.

- Wyobraź sobie, jak ona się musi czuć z tą świadomością.

- To jest najbardziej zdumiewające. Nie zauważyłam w niej żadnego lęku.

- A co... - zaczęła Emmi, ale przerwała, słysząc wołanie jakiejś kobiety, która właśnie zbliżała się do nich, idąc przez plażę. Emmi podniosła rękę i pomachała.

- To Florence Prescott - wyjaśniła. - Pamiętasz ją chyba?

- Oczywiście - odrzekła Cara. W dzieciństwie Flo była dla niej jak ciotka. Niewiele się od tego czasu postarzała. Białe jak mleko włosy odcinały się od opalonej twarzy. Ubrana była w zieloną koszulkę z dużym żółciem na piersiach.

- Przecież to Cara Rutledge we własnej osobie - wysapała, podchodząc do pnia. - Co u ciebie słyhać, skarbie?

Objęły się z taką samą swobodą, jak kiedyś, gdy Flo każdego dnia rano wkraczała bez pukania do kuchni Olivii na kawę.

- Wszystko w porządku. Świetnie wyglądasz! Cieszę się, że znowu cię widzę.

- Ty też dobrze wyglądasz - stwierdziła Flo, zdejmując okulary przeciwsłoneczne. - A Lovie mówiła, że od przyjazdu wyglądasz jak z krzyża zdjęta.

- Już mi lepiej.

- Ta wyspa służy każdemu. Powinnaś się tu częściej pojawiać.

Cara z uśmiechem pokiwała głową.

- Zostanę tu przez całe lato.

Flo natychmiast spoważniała i w jej oczach błysnęło zrozumienie.

- Więc w końcu ci powiedziała? Cara skinęła głową, zaciskając usta.

- To dobrze, trzeba było to załatwić. Ona cię teraz potrzebuje. Bardzo za tobą tęskniła.

Cara poruszyła się niespokojnie. Nigdy nie przypuszczała, że matka może za nią tęsknić albo jej potrzebować.

- To będzie trudny okres dla nas wszystkich - ciągnęła Flo - ale musimy się jakoś trzymać.

- Tak się właśnie zastanawiałam - wtrąciła Emmi. - Będziemy musiały zastępować Lovie przy gniazdach przez całe lato. Trzeba będzie ustalić dyżury.

Flo pokręciła głową.

- Lovie nie da sobie odebrać tej przyjemności. Te żółwie to całe jej życie.

- Nie - stwierdziła Cara stanowczo. - Są jeszcze inne sprawy, którymi musi się zająć. Możliwe, że będzie potrzebowała pomocy przy żółwiach. One już wystarczająco długo odbierały mi matkę.

Flo przyjrzała się jej i powiedziała powoli:

- Nigdy nie mogłaś zrozumieć, co twoja mama widzi w tych żółwiach. I pewnie nigdy nie zrozumiesz tego do końca. Ale wierz mi, Caretto, jeśli odbierzesz jej tę radość, to zabijesz ją szybciej niż jakikolwiek rak. Te żółwie trzymają ją przy życiu. Zasłużyła sobie na to, żeby móc się nimi zajmować.

Cara nie odpowiedziała.

- Wiesz przecież, jak bardzo twoja mama wyczekuje sezonu - ciągnęła Flo. - Ona tym żyje. Znajduje gniazda, oznacza je, wstaje rano, żeby szukać śladów, albo siedzi do późna przy jajach i czeka, aż wszystkie małe się wyklują. Wszystko notuje, wydaje biuletyn, wygłasza wykłady, uczy dzieci, wita turystów i sama nie wiem co jeszcze. Nianczy te żółwie, jakby to były jej własne dzieci. A do tego wiadomo, że ludzie, którzy mają w życiu jakiś cel, zwykle żyją dłużej, wolniej się starzeją i są życzliwsi światu.

- Oczy Flo zabłyśły w uśmiechu. - Nawet jeśli przez cały czas myślą tylko o jednym. Co zostanie Lovie, jeśli odbierzesz jej żółwie? Tylko choroba, nic więcej. I czekanie na śmierć. Widziałam to wielokrotnie i krew mi się burzy na samą myśl o takim obrocie spraw. Teraz bardziej niż kiedykolwiek Lovie potrzebuje czuć się częścią naszej grupy. To ona ją stworzyła.

Emmi energicznie pokiwała głową. Cara bezradnie przesunęła ręką po włosach.

- Więc co powinniśmy zrobić?

Flo utkwiała w niej przenikliwe spojrzenie.

- Powinnaś się do nas przyłączyć.

- Ja?!

- Ty.

Cara potrząsnęła głową.

- Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł. Dziękuję za propozycję, ale ja chyba nie należę do tego typu kobiet.

- Nie sędzę, żeby był jakiś szczególny typ.

- Na pewno tak. Trzeba mieć rozwinięty instynkt macierzyński.

Flo spojrzała na nią z ukosa.

- I sędzisz, że ty go nie masz?

- Nie - odrzekła Cara, patrząc jej prosto w oczy.

- Właśnie to próbuję wam powiedzieć.

Florence wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Akurat! Po prostu sama siebie nie znasz. Wystarczy jedno gniazdo z wykluwającymi się żółwikami, a natychmiast zmienisz zdanie. Dobrze, powiem ci, co proponuję. Mama chce spędzić to lato z tobą. Ale może nie dawać sobie rady ze wszystkimi obowiązkami, więc ty przejmiesz te, które wymagają większej siły fizycznej. Możesz na przykład wstawać rano i sprawdzać ślady, a potem zaglądać do gniazd wieczorem. Lovie może prowadzić dokumentację i redagować biuletyn, a na plażę zaglądać wtedy, gdy będzie miała siłę i ochotę. W ten sposób zaoszczędzimy jej poczucia, że ktoś odbiera jej obowiązki.

Cara skrzywiła się boleśnie.

- Ależ to zajmuje mnóstwo czasu. Flo, przecież wiesz, że obserwowanie żółwi nigdy mnie zbytnio nie pociągało.

- Daj spokój - wtrąciła Emmi, szturchając ją w żebra. - Twoja mama poprosiła mnie o pomoc w zeszłym roku. Przyznaję, na początku nie chciało mi się wstawać, szczególnie że chłopców nie było i nikomu nie musiałam przygotowywać śniadania. Ale znasz przecież swoją mamę. Skończyło się na tym, że każdy dzień zaczynałam od spaceru po plaży. Czułam się wspaniale i nie mogłam się doczekać, kiedy zajdzie słońce i będę mogła usiąść z innymi przy gnieździe. Opieka nad żółwiami bardzo nas ze sobą połączyła. Znowu poczułam się na tej wyspie jak w domu. Przed chwilą mówiłaś, że lato wydaje ci się bardzo długie. Przyda ci się jakieś zajęcie. A przede wszystkim nawiążesz jeszcze bliższy kontakt z mamą.

- A ona teraz cię potrzebuje - dodała Flo.

Cara uświadomiła sobie, że to zdanie jest najważniejszym argumentem. Próbowała wymyślić jakieś dobre rozwiązanie, ale nic jej nie przychodziło do głowy.

- Pomożecie mi? - zapytała w końcu. - Nie mam pojęcia, jak to się robi.

- Oczywiście. O nic się nie martw. Zresztą najlepszą nauczycielkę masz w domu.

Emmie zarzuciła jej ręce na szyję.

- Tak się cieszę, że wróciłaś.

*Samica składa okrągłe, skórzaste jaja do jamy,
po dwa, trzy lub cztery naraz. W każdym gnieździe
znajduje się od osiemdziesięciu
do stu pięćdziesięciu jaj.*

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Na wybrzeżu w Karolinie Południowej lato zaczyna się już w maju, gdy szkoły zamykają podwoje i plaże zalewają tłumy rozkrzyczanych dzieci z kolorowymi ręcznikami i deskami surfingowymi. Domy stojące przy linii wody są zwykle obleżone przez cały sezon aż do września, gdy zaczyna się nowy rok szkolny.

Dla Cary lato zaczęło się od pierwszego dnia spędzonego w towarzystwie Miłośniczek Żółwi. Wkrótce po przyjęciu jej do drużyny zadzwonił telefon z doniesieniem o odnalezieniu śladów samicy na wysokości Dwudziestej Drugiej Alei. Na twarzy Lovie, która odebrała telefon, pojawił się tajemniczy i wielce intrygujący uśmiech.

- Przynieś czerwone wiaderko - nakazała córce.

Z wiaderkiem w ręku poszły do samochodu. Ranek był pochmurny i wiał chłodny wiatr. Jechały krętą drogą, potem przecięły Palm Boulevard i skrzyły w stronę plaży. Cara prowadziła, a Lovie siedziała obok, przytrzymując obiema rękami czapkę, spod której wysuwały się pasma srebrzystoblond włosów. Wyglądała w tej chwili bardzo młodo.

Cara zostawiła samochód przy piaszczystej bocznej drodze i pomogła wysiąść matce. Zabrały wiaderko i poszły wąską ścieżką wiodącą do oceanu. Z otwartych okien mijanych domów dochodził zapach kawy i smażonego bekonu. W połowie drogi Lovie zatrzymała się i zanosła głębokim kaszlem. Cara przypomniała sobie, że słyszała podobny kaszel kilkakrotnie w domu, i w jej umyśle zapaliła się lampka alarmowa.

- Mamo, dobrze się czujesz? Nie przeziębiałaś się?

- Nie, nie, to tylko przez to suche powietrze i piasek.

- Powinnaś unikać wysiłków. Może niepotrzebnie cię tu przywiozłam.

- Bzdura, czuję się zupełnie dobrze. Lekarz mówił, że ruch jest mi potrzebny. Chodź, poszukamy tych śladów. - Lovie odchrząknęła i dodała kpiąco: - Mam nadzieję, że wiesz, jak wyglądają ślady żółwia?

- Tak, mamo - zaśmiała się Cara, przypominając sobie pewne wydarzenie z dzieciństwa. Po raz pierwszy w życiu wybrała się na poszukiwanie śladów i po niedługim czasie wróciła pędem do domu, krzycząc z entuzjazmem, że znalazła. Lovie zadzwoniła do Emmi i Flo i wszystkie cztery spotkały się na plaży tylko po to, by obejrzeć ślady ciągnika wywożącego śmieci.

Teraz jednak dostrzegły wyraźny ślad samicy, ciągnący się od wody aż do niewielkiego zagłębienia w piasku. O parę kroków dalej znajdował się spory dołek, wyraźnie zrobiony ludzkimi rękami. Najprawdopodobniej były to pozostałości po wielkim zamku z piasku zburzonym przez fale.

- Idioci - mruzczała Lovie pod nosem, podchodząc bliżej. - Można budować zamki, ale nie wolno robić takich dziur! Czy oni nie zdają sobie sprawy, że żółwica może tu wpaść?

- Ten, kto budował zamek, pewnie w ogóle nie pomyślał o żółwiach - wzruszyła ramionami Cara. - Nie wszyscy są takimi fanatykami jak ty.

- A powinni. Żółwie były na tej plaży znacznie wcześniej od ludzi - prychnęła Lovie i z namaszczeniem podała córce metalowy drążek zakończony poprzeczką. - Proszę, to jest moja sonda. Teraz należy do ciebie. W kręgu

Miłośniczek Żółwi uważana jest za coś w rodzaju orderu, więc traktuj ją z należyty szacunkiem. Tylko kilku osobom pozwałam sprawdzać gniazda. Chcę cię nauczyć, jak się to robi, więc uważaj.

Narysowała krąg na piasku i podzieliła go na cztery części, a potem, poruszając się z wdziękiem, pokazała Carze, jak należy trzymać drążek i ostrożnie zagłębiać go w piasku.

- Ważne, żeby nie wpychać go za szybko, bo jeśli trafisz na komorę z jajami, sonda przebije się na wylot przez piasek i może je uszkodzić. Rób to powoli i delikatnie, o tak. Spróbuj.

Nie wiadomo dlaczego, Cara zaczęła się denerwować. Ustawiła drążek między lekko ugiętymi nogami i ostrożnie zagłębiła go w piasku.

- Nie tak szybko - upominała ją Lovie. - Dlaczego ty zawsze musisz się śpieszyć?

Cara wzięła głęboki oddech i spróbowała jeszcze raz.

- Ludzie teraz ciągle się śpieszą. - Kręciła głową jej matka, siadając na piasku. - I po co ten pośpiech? Życie to nie wyścig. Wszyscy dotrzemy do mety, prędzej czy później. A gdy już ją widać, wtedy człowiek zaczyna żałować, że biegł, zamiast iść powolutku. Tu się nie zdobywa żadnych nagród. Więc spokojnie, Cara. Poruszaj się powoli, jak żółw. Ostrożnie. Na gniazdo zawsze trafia się niespodziewanie, tak jak w życiu.

Cara przypomniała sobie zajęcia tai chi, na które kiedyś chodziła. W końcu złapała właściwy rytm. Nakłuwała piasek raz za razem, wyczuwając opór i pozostawiając za sobą mnóstwo niewielkich otworów. Naraz, w chwili gdy zupełnie tego nie oczekiwała, drążek natrafił na pustą przestrzeń i zagłębił się tak mocno, że ledwie zdołała go wyciągnąć.

Poczuła euforię i spojrzała na matkę z triumfem. Lovie pokiwała głową.

- Gratuluję. Przeszłaś chrzest bojowy i teraz już jesteś pełnoprawnym członkiem Towarzystwa Miłośniczek Żółwi. - Podniosła się i znów zakaszła.

- Dobrze, a teraz bierzemy się do roboty. To gniazdo znajduje się o wiele za blisko linii wody. Najbliższy przypiływ zniszczy je z pewnością. Musimy przenieść jaja. Zobaczmy, co tu mamy.

Uklęła na piasku i ostrożnie zaczęła grzebać w nim rękami. Cara przyglądała się jej przez chwilę, a potem dołączyła z drugiej strony. Po chwili spod piasku wyłoniły się jaja. Lovie delikatnie wyciągnęła jedno z nich i podała ostrożnie córce.

- Wygląda zupełnie jak piłeczka pingpongowa - zdziwiła się Cara. - Tylko miękka i skórzasta.

- Można je przenieść tylko teraz, w ciągu dwudziestu czterech godzin od złożenia, ale nie wolno nimi potrząsać ani ich obracać, bo zarodek może się odczepić od skorupki - wyjaśniła Lovie. Wzięła jajo i z pietyzmem ułożyła je w wiaderku na warstwie wilgotnego piasku.

Wygrzebały wszystkie jaja z jamy i przeniosły je w bezpieczne miejsce, położone dalej od wody. Cara wykopała łopatką jamę głębokości łokcia, starając się imitować wydłużony kształt prawdziwego żółwiego gniazda, a potem starannie ułożyła w niej wszystkie sto cztery jaja.

- Wiesz co? - powiedziała w pewnej chwili, podnosząc głowę i uśmiechając się szeroko. - To niezła zabawa. Kto by pomyślał!

Dziękuję ci, Boże, pomyślała Lovie. Dziękuję ci za tę ostatnią zabawę z moją córką.

Nad wyspą zapadał czerwcowy zmierzch. Wieczór był chłodny i pochmurny, ale właściciele „Dunleavy Pub” nie mogli narzekać na brak klientów. Miejscowi i turyści tłoczyli się przy wystawionych na zewnątrz stolikach pod parasolami. Cara i Emmi wypatrzyły wolne miejsce w kącie i zdołały go dopaść wcześniej niż mężczyzna z wielkim, czarnym labradorem. Zamówiły piwo i pikantne skrzydełka kurczaka i zaczęły się rozglądać dokoła, wypatrując znajomych twarzy.

Cara przypomniała sobie na nowo, jak wiele radości sprawiało jej zawsze towarzystwo Emmi. Dobrze było rozmawiać zupełnie swobodnie, nie zastanawiając się nad doborem słów, i śmiać się na cały głos, gdy przyszła jej na to ochota. Od wielu lat życie towarzyskie Cary ograniczało się do znajomych z pracy, przy których nieustannie musiała mieć się na baczności, by nie powiedzieć za wiele ani za mało, by zawsze wkroczyć w porę ze stosowną ripostą i nie przeoczyć żadnego istotnego słowa. Przy Emmi mogła porzucić czujność. Kiedyś zawsze dzieliły się sekretami i doskonale wyczuwały swoje nastroje. To się nie zmieniło. Po drugiej butelce piwa Emmi oparła się o blat stolika i zajrzała przyjaciółce w oczy.

- Czym się tak martwisz?

Cara już chciała powiedzieć „niczym”, ale słowa same popłynęły jej z ust.

- Rozmawiałam dzisiaj z Adele, znajomą agentką, która szuka dla mnie posady. Zadzwoiła bardzo zdenerwowana i zapytała, co ja jeszcze robię na tej wyspie.

- A na czym polega problem?

- Problem to ja - uśmiechnęła się Cara krzywo. - Wcześniej prosiłam, by umówiła mnie na kilka rozmów, ale to było, jeszcze zanim dowiedziałam się o chorobie mamy. Szczerze mówiąc, nie spodziewałam się, że Adele znajdzie coś tak szybko. Gdy usłyszała, że zamierzam tu zostać przez całe lato, no cóż... powiedzmy, że nie była uszczęśliwiona. Ale nie to mnie martwi.

- Nie żałujesz chyba decyzji o spędzeniu wakacji na wyspie?

Cara westchnęła ciężko.

- Nie, ale moja sytuacja nie wygląda dobrze. Adele miała dla mnie kilka bardzo interesujących propozycji, z których prawdopodobnie nie zdążę skorzystać. Nawet siedząc tutaj, muszę spłacać raty kredytu w Chicago i co miesiąc regulować rachunki. No i pozostaje jeszcze kwestia wizerunku. Im dłużej mnie tam nie ma, tym bardziej sprawia to wrażenie, że uciekłam z podwiniętym ogonem.

- Posłuchaj, skarbie, nie chciałabym, by to zabrzmiało brutalnie, ale czy rzeczywiście zamierzasz tu zostać do końca lata?

- Przecież już ci mówiłam.

- A czy możesz sobie na to pozwolić, nie tracąc mieszkania?

- Do końca lata, owszem. Ale nie dłużej.

- W takim razie zapomnij o tym wszystkim. Po co się martwić, skoro to i tak w niczym nie pomoże? Jesteś tutaj i uważam, że podjęłaś najlepszą z możliwych decyzji.

Cara powoli wypuściła oddech.

- Wiesz, trochę ci zazdroszczę - dodała Emmi. - Naprawdę. Ty przynajmniej sama decydujesz o własnym losie. A ja od kilku lat czuję się zawieszona w próżni.

- Emmi, czy wszystko u ciebie w porządku? Przyjaciółka odczekała chwilę, aż kelnerka, która podeszła, by zabrać puste butelki, oddali się od ich stolika, a potem powiedziała, nie kryjąc frustracji:

- Sama nie wiem. Chyba czuję się trochę samotna.

- Myślałam, że cieszy cię ta samotność.

- Czasami, tak. Ale w domu jest za cicho. Brakuje mi tego rodzinnego zamieszania. Tu nikomu nie jestem potrzebna.

- Kiedy Tom ma wrócić? Twarz Emmi zastygła.

- Kto to może wiedzieć? Cara spojrzała na nią badawczo.

- Widzisz, to jest tak - westchnęła Emmi. - Jakies pięć lat temu Tom dostał znaczący awans. Jego nowe stanowisko wymaga, żeby dużo czasu spędzał w podróżach. Jeździ po całym świecie i prawie nigdy nie ma go w domu. Chłopcy osiągnęli taki wiek, że woleli spędzać czas z kolegami, uprawiać sport albo pracować. Wiesz, jak to jest. A ja byłam dobrą żoną. Przez całe lato siedziałam w klimatyzowanym domu i czekałam na powrót Toma albo na kolację z chłopcami. A potem okazało się, że siedziałam tak również przez

resztę roku. Piekłam dużo ciast, dużo jadłam, piłam dużo wina, no i przytyłam dziesięć kiło.

Obydwie roześmiały się ze zrozumieniem.

- Ostatniego lata, gdy John skończył szkołę średnią, dotarło do mnie, że wszyscy mają jakieś plany - oprócz mnie. I powiedziałam sobie: dość tego! Postanowiłam, że nie będę wynajmować tego domu, tylko sama tu przyjadę.

- To już bardziej podobne do tej Emmi, którą kiedyś znałam.

- Tak myślisz? - zaśmiała się przyjaciółka. - Może. Poprzedniego lata wszystko było nowe i ekscytujące. Pani Lovie zaangażowała mnie w opiekę nad żółwiami i znów poczułam się szczęśliwa. Ale w tym roku czegoś mi brakuje.

- Na przykład Toma.

- No tak - odrzekła Emmie i zarumieniła się. Sięgnęła po butelkę i pociągnęła długi łyk piwa, a potem przyjrzała się jej w zamyśleniu. - Pamiętasz, jak kiedyś graliśmy w butelkę?

- Jasne, że pamiętam - uśmiechnęła się Cara.

- Tylko że to nie była butelka po piwie, a po coli. Jak prorocstwo.

Emmi popatrzyła na butelkę, pociągnęła jeszcze jeden łyk i odstawiała ją z powrotem na stół.

- Miałyśmy wtedy tyle planów na przyszłość.

- I co się z nimi potem stało? Pracowałaś kiedyś?

- Tak, pracowałam. W domu.

- Chodzi mi o inną pracę. O taką poza domem. W głosie Emmi pojawiły się obronne tony.

- Tylko mi nie mów, że ty też należysz do tych kobiet, które uważają życie gospodyni domowej za puste i bezbarwne. Miałam mnóstwo różnych zajęć, a ponieważ Tom zawsze dużo podróżował, to ktoś musiał być w domu. W każdym razie wtedy, gdy chłopcy byli jeszcze mali.

- Przecież cię nie osądzam, pytam tylko z ciekawości. Kiedyś chciałaś zostać biologiem.

- A ty baletnicą.

- To nie to samo - roześmiała się Cara.

- Może nie - mruknęła Emmi i dodała poważnie: - Ale zdaje się, że wybrałyśmy w życiu różne drogi.

- Chyba tak. Ale tak bardzo się nie różnimy. Ja miałam swoją pracę, a ty swoją. Czas mijał, a teraz obydwie mamy po czterdzieści lat i coraz częściej wracamy myślą do przeszłości. Obserwujemy ze smutkiem, jak nasze ciała wiotczeją i martwimy się, czy przyjmujemy wystarczającą ilość wapnia, żeby nie dostać osteoporozy. Kupujemy buty z takim entuzjazmem, z jakim kiedyś kupowałyśmy bieliznę. Coraz uważniej słuchamy, gdy ktoś zaczyna mówić o jodzie, estrogenach, kolagenie, kwasach owocowych czy czymkolwiek innym, co ma opóźnić starzenie. No i oczywiście o operacjach plastycznych - nawet gdy chodzi o podniesienie biustu, a nie o twarz.

- Na razie - roześmiała się Emmi.

- Na razie. Obydwie przyglądamy się osiemnastoletnim dziewczynom i próbujemy sobie przypomnieć, jak to jest być tak młodą. - Podniosła wzrok i spojrzała na przyjaciółkę ciepło. - A potem nagle spotykasz kogoś z dawnych lat, kto sprawia, że na chwilę czas staje w miejscu...

Ze śmiechem stuknęły się butelkami.

- Wydaje mi się - powiedziała Emmi - że skoro już będziesz tu przez całe lato, to mogłabyś trochę pozwiedzać okolice wyspy. Zróbmy coś, czego nigdy nie robiłyśmy w dzieciństwie.

- Wydawało mi się, że robiłyśmy tu wszystko - zdziwiła się szczerze Cara.

- Wcale nie. Byłyśmy takimi snobkami na odwrót. Zachwycaliśmy się teatrem i poezją, a gardziłyśmy prostymi rozrywkami, takimi jak żeglowanie, łowienie ryb, golf czy inne rzeczy, które pochłaniały mnóstwo ludzi, na przykład naszych ojców.

- Ja często pływałam łodzią z ojcem i Palmerem.

- Skarbie - westchnęła Emmi - a zapuściłaś się kiedyś głęboko na bagna?
A łowiłaś kraby na wyspie Capers?

Cara otworzyła usta, znów je zamknęła i potrząsnęła głową.

- Tak właśnie myślałam. Ja też nigdy tego nie robiłam, dopóki nie przyjechałam tu z synami. Wcześniej w ogóle nie miałam pojęcia, ile tracę. - Emmi wycelowała palec wskazujący w pierś Cary. - Wiesz, co powinnaś zrobić?

Przyjaciółka popatrzyła na nią podejrzliwie.

- Popłynąć na jednej z tych łodzi. Mówię zupełnie poważnie. Jedna pływa na Capers i w wiele innych ciekawych miejsc.

- Ale po co?

- Bo urodziłaś się i wychowałaś tutaj i to wstyd, że jeszcze tam nie byłaś! Poza tym, co masz innego do roboty? Przez całe popołudnie siedzisz beczynn timer i się nudzisz.

- To prawda - westchnęła Cara.

- No, to jedź!

Cara podniosła ręce w geście poddania.

- Dobrze, już dobrze! Popłynę tą łodzią.

Gdy żółwica znosi jaja, z jej oczu płyną potoki łez.

*Te żółwie lzy uwalniają jej organizm
od nadmiaru soli pochodzącej z wody morskiej.*

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W pełni sezonu turystycznego przejazd przez Palm Boulevard na drugi koniec wyspy nie był prostą sprawą. Przystań Marina, dokąd Cara w końcu dotarła po godzinie nużącego przepychania się między zderzakami, składała się ze sklepu, restauracji i mnóstwa pomostów, przy których cumowały najrozmaitsze łodzie, od małych motorówek po wielkie jachty pełnomorskie.

Zeszła ścieżką na nabrzeże, w stronę drewnianego budynku zbudowanego na palach, gdzie mieściło się biuro EcoTours. Do pomostu obok przycumowana była długa łódź wycieczkowa z dwoma rzędami ławek. Kolejna grupa turystów właśnie wchodziła na pokład. Skład grupy był typowy: emerycy w szortach, kilku mieszczuchów z aparatami fotograficznymi na szyi, rodziny z małymi dziećmi.

Cara przystanęła na pomoście i skrzyżowała ramiona na piersiach, zastanawiając się, czy rzeczywiście ma ochotę na wycieczkę w tego typu towarzystwie.

Przypomniały jej się niezliczone godziny spędzone w samolotach z marudzącymi dziećmi na pokładzie. Naraz poczuła na sobie czyjś cień. Podniosła głowę i ujrzała bardzo wysokiego, opalonego mężczyznę o zrudziałych od słońca włosach i niebieskich oczach.

- To pan - roześmiała się z niedowierzaniem. Mężczyzna uniósł w uśmiechu jeden kącik ust.

- Gdyby nie to, że ucieka pani za każdym razem, kiedy próbuję z panią porozmawiać, to pomyślałbym, że mnie pani śledzi.

- Za każdym razem, gdy zbliżam się do jakiejś łodzi, spotykam pana...

W jego oczach zabłysło rozbawienie.

- Tak się składa, że jestem właścicielem tej właśnie łodzi.

Cara uniosła brwi.

- Eco Tours? A ten kuter do połowu krewetek też należy do pana?

- Nie. Poza sezonem dorabiam sobie, pracując na innych łodziach.

W zasadzie ten mężczyzna nie był w typie Cary, a jednak ją pociągał.

- Chciał pan mnie poznać? - zapytała.

- A czy ma pani coś przeciwko temu?

Na szczęście przed wyjściem z domu włożyła okulary przeciwsłoneczne, mogła więc niespostrzeżenie zerknąć na dłoń mężczyzny. Nie było na niej obrączki.

- Nie, właściwie nie. Jestem tylko trochę zaskoczona. Miałam wrażenie, że moja osoba bardzo pana śmieszy.

Tym razem to on wydawał się zaskoczony.

- Za każdym razem, gdy pana spotykałam, albo się pan do mnie uśmiechał, albo śmiał głośno - wyjaśniła.

W niebieskich oczach błysnęło zrozumienie i rozbawienie. Wskazał na jej buty.

- Nowe sandały?

- Tamte nie były takie złe. Nie odpowiedział.

- Miło mi się z panem rozmawia, ale czy. nie powinien pan teraz zajmować się czymś innym?

Obejrzał się i popatrzył na kolejkę turystów przy pomoście.

- To proszę ze mną. Przecież pani też wybiera się na wycieczkę, prawda?

Cara zawahała się, ale na widok jego szerokiego uśmiechu jej opór osłabł. Pomyślała, że na pewno będzie tego żałować, ale poszła posłusznie za nim.

Stała w kolejce i obserwowała jego swobodne ruchy, gdy wrzucał pieniądze do metalowego pudełka i wypisywał pokwitowania na zwykłych

świszczkach papieru. Może nie jest to najbardziej zaawansowana technologia, ale działa, pomyślała, podziwiając równiutkie litery i cyferki. Gdy nadeszła jej kolej, mężczyzna podniósł głowę i powiedział:

- Nie, dziękuję, nie trzeba.

Cara potrząsnęła głową i wyjęła portfel.

- Ja też dziękuję, ale wolałabym zapłacić.

Po krótkim wahaniu wzruszył ramionami i przyjął od niej pieniądze.

Usiadła na ławce przy rufie między dwiema kobietami w średnim wieku, które chichotały jak nastolatki, głośnym szeptem komentując męską urodę przewodnika. Wszyscy byli w dobrych nastrojach, żartowali i robili zdjęcia. Pośród ogólnego entuzjazmu tylko Cara siedziała cicha i milcząca.

Rozległo się dudnienie silników, łódź zakołysała się i powoli wypłynęła z przystani. Zatoczyli szeroki łuk, a potem wpłynęli do szerokiego kanału, który ciągnął się od Florydy aż po Boston. Przewodnik wyjaśnił, że ten wodny szlak powstał podczas drugiej wojny światowej przez połączenie dwóch istniejących wcześniej kanałów. Dzięki temu okręty z zaopatrzeniem mogły bezpiecznie przebywać drogę wzdłuż wybrzeża, nie narażając się na niebezpieczeństwa typowe dla otwartego oceanu.

Celem wycieczki była wyspa Capers, uznana w całości za rezerwat przyrody. Podczas gdy większość pasażerów podziwiała przybrzeżne mokradła, Cara skupiła się na obserwacji mężczyzny sterującego łodzią. Był o głowę wyższy od wszystkich innych mężczyzn na pokładzie. Zwrócony do niej plecami, stał w szerokim rozkroku. Poły jego koszuli łopotały na wietrze, a podwinięte rękawy ukazywały opalone na brąz ramiona. Co jakiś czas oddawał na chwilę ster pomocnikowi i opowiadał o mijanych krajobrazach. Przedstawił się jako naturalista zafascynowany prawami przyrody i już wkrótce stało się jasne, że nie było to stwierdzenie na wyrost. Mówił krótkimi, prostymi zdaniami, podając mnóstwo faktów dotyczących okolicy, jej historii, flory i fauny. Pasażerowie słuchali go jak zaczarowani. Był raczej typem nauczyciela

niż gawędziarza jak Palmer, ale opowieści o krabach w jego ustach nabierały dramatyzmu godnego najlepszych thrillerów.

Jak prawdziwy profesjonalista, zachował najbardziej interesującą część na koniec. Łódź zatrzymała się pośrodku kanału. Przewodnik sięgnął za burtę i wyciągnął na pokład niewielką czerwoną boję. Do boi przywiązana była lina, na końcu której wisiała duża czarna klatka, a w niej kilka niebieskich krabów z wystawionymi szczypcami. Mężczyzna sięgnął do klatki i wyciągnął kraba gołą ręką. Dzieci zaczęły klaskać w dłonie, a dorośli włączyli kamery.

- Ten jest agresywny - powiedział przewodnik, podnosząc kraba do góry.

- To chyba samica.

Wypuścił kraby do wody i łódź znów ruszyła. Po chwili przewodnik jeszcze raz przekazał ster pomocnikowi, a sam wzrokiem odnalazł Carę i przywołał ją gestem dłoni. Potrząsnęła głową, on jednak uśmiechnął się szeroko i zawołał:

- Proszę tu do nas!

Cara powoli podniosła się i podeszła do steru, odprowadzana zaciekawionymi i zazdrosnymi spojrzeniami sąsiadek.

- Zadowolona z wycieczki? - zapytał.

- Bardzo.

- Muszę powiedzieć, że jest pani ostatnią osobą, jaką spodziewałem się zobaczyć dzisiaj na tej łodzi.

- Dlaczego?

- Po pierwsze dlatego, że jest pani stąd, więc sądziłem, że dobrze zna pani wyspę Capers.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- A skąd pan wie, że tu się wychowałam? Teraz to on wydawał się zdziwiony i rozczarowany.

- Nie pamięta mnie pani?

- A powinnam? - wyjąkała zaskoczona.

- Och, co za rozczarowanie. Ani trochę?

- Chyba nie. Na pewno z nikim mnie pan nie pomylił?

- To wykluczone. Gdy zobaczyłem panią w barze, w pierwszej chwili zastanawiałem się, skąd znam tę twarz, ale przy kutrze przypomniałem sobie bez żadnych wątpliwości. Chciałem podejść i się przywitać, ale zanim zdążyłem to zrobić, pani już uciekła.

- Ale skąd my się znamy? - wykrztusiła.

- Ze szkoły średniej. Widywaliśmy się. Szczerze mówiąc, to byłem tobą zafascynowany - uśmiechnął się, swobodnie przechodząc na „ty”. - Wiecznie miałaś nos wetknięty w jakąś książkę.

- A pamiętasz, jak się nazywam?

- Oczywiście. Cara Rutledge. To znaczy, o ile nie zmieniłaś nazwiska.

- Nie zmieniłam - odrzekła, wciąż nie mogąc ochłonąć z zaskoczenia.

Przez chwilę uważnie przyglądała się jego twarzy. Nie sposób było zapomnieć kogoś o takim wyglądzie. - Bardzo cię przepraszam - powiedziała wreszcie - ale jak się nazywasz?

- Zgadnij - uśmiechnął się szeroko. Cara miała w umyśle zupełną pustkę.

- Może dasz mi jakąś wskazówkę?

- Byłem przewodniczącym klasy.

Zmrużyła oczy, zastanawiając się, kto był przewodniczącym jej klasy. Po chwili przypomniała sobie i spojrzała na niego krzywo.

- Przewodniczącą mojej klasy była Mary Pringle. Mój Boże, Mary, ależ się zmieniłaś...

Roześmiał się i w jego niebieskich oczach rozbłysły wesołe iskierki.

- Przecież nie powiedziałem, że byłem przewodniczącym twojej klasy.

Dam ci jeszcze jedną wskazówkę. Chodziłem do Wando.

- Niewiele mi pomogłeś. To była duża szkoła. Poddaję się, wygrałeś. Kim jesteś?

- Cóż za cios dla mojego ego - skrzywił się komicznie. - Czy mówi ci coś nazwisko Brett Beauchamp? Nic?

Brett... O mój Boże, pomyślała Cara. W ostatniej klasie szkoły średniej kochały się w nim wszystkie dziewczyny, nie tylko z Wando, ale też z liceów Charleston, Ashley Hall, Bishop England, Porter Gaud i chyba wszystkich innych w całej okolicy. Brett miał wszystko, o czym marzą dziewczyny: był przystojny, lubiany, odnosił sukcesy w sporcie, a średnią ocen miał taką, że uniwersytety Ivy League prześcigały się w proponowaniu mu stypendiów.

- Oczywiście, że cię pamiętam - powiedziała, gdy nieco ochłonęła. - Ale tylko z nazwiska. Nigdy nie poznaliśmy się osobiście i dlatego jestem taka zaskoczona, że mnie pamiętasz. Tacy chłopcy jak ty raczej nie interesowali się chudymi kujonkami.

Brett tylko wzruszył ramionami.

- Byłaś inna niż pozostałe dziewczyny. Tajemnicza. Chodziłaś własnymi drogami. Często cię obserwowałem. Zawsze trzymałaś się prosto i wiecznie poprawiałaś te wielkie, czerwone okulary, które zsuwały ci się z nosa.

- Och, Boże, te okulary! Żałosne. Ale to były lata osiemdziesiąte. Pamiętam, że byłam okropnie zazdrosna, gdy usłyszałam o stypendiach, które proponowały ci najlepsze uniwersytety. Uważałam, że to niesprawiedliwe.

- To były stypendia sportowe - odrzekł Brett skromnie.

- Ale bez doskonałych stopni nikogo nie przyjmują do Dartmouth ani Harvardu. Ja wtedy dałabym się zabić za to, żeby trafić do którejś z tych szkół. A ty odrzuciłeś stypendia! Nadal nie mogę tego zrozumieć. Gdzie w końcu poszedłeś?

- Do Clemson. Nie chciałem wyjeżdżać z Karoliny Południowej. Wiedziałem, że tu zostanę. Nigdy nie ubiegałem się o przyjęcie do tamtych szkół. Zawsze planowałem studiować biologię i ochronę środowiska w Clemson.

- Nie ubiegałeś się - powtórzyła Cara z niedowierzaniem.

- A ty gdzie wylądowałaś? - zapytał Brett w rozbrajająco bezpośredni sposób. - Po skończeniu szkoły zupełnie znikłaś.

- Nigdzie. To znaczy, nie poszłam po szkole na studia.

- Naprawdę? Jestem zaskoczony. Byłaś taka... idealnie się nadawałaś na studentkę.

- Chcesz powiedzieć, że wyglądałam na kujona? - uśmiechnęła się. - Wyjechałam do Chicago. Najpierw tylko pracowałam, a dopiero potem poszłam na studia. Przez cały czas utrzymywałam się sama - dodała z dumą.

- Jakoś mnie to nie dziwi.

Jego uśmiech przełamał ostatnie bariery nieufności. Przez chwilę obydwójce pograżyli się w milczeniu. Stali obok siebie i patrzyli na wodę za burta.

- Czas wracać do pracy - rzekł Brett, gdy na horyzoncie pojawił się zarys białej plaży wyspy

Capers. Przejął ster, a pomocnik zajął się przygotowywaniem ekwipunku.

Cara znów usiadła na swoim miejscu i patrzyła, jak Brett zręcznie wprowadza łódź do niewielkiej przystani otoczonej lasem. Turyści zeszli na brzeg i karnie podążali za Brettem, Cara czuła się jak na wycieczce szkolnej. Mijali błotniste zagłębienia z koloniami ostryg, kępy starych dębów i jeziora, w których wypoczywały aligatory.

W końcu zatrzymali się przy pokrytej białym piaskiem plaży Boneyard i Brett dał grupie godzinę wolnego. Cara powoli poszła wzdłuż plaży, od czasu do czasu zatrzymując się nad jakąś muszelką. Była pewna, że Brett ją odnajdzie, i na tę myśl czuła przyjemny dreszczyk podniecenia. Kątem oka zauważyła, że zajęty jest rozmową z dwiema kobietami, tymi samymi, które wcześniej mierzyły ją nieprzyjaznym wzrokiem. Uśmiechnęła się i sięgnęła po kolejną muszelkę.

W chwilę później poczuła nad sobą jego cień.

- To trąbik - powiedział, patrząc na dużą, spiralnie zwiniętą muszlę, którą trzymała w ręku.

- W dzieciństwie znałam wszystkie te nazwy, ale potem wyleciały mi z pamięci - westchnęła, wytrząsając ze środka piasek. - Czy mogę ją sobie wziąć?

- Jeśli chcesz. Ale zwykle proszę, żeby brać tylko po jednej. Chodź, przejdziemy się kawałek.

Cara obejrzała się. Dwie kobiety powoli szły w stronę morza.

- Jak udało ci się ich pozbyć?

Na jego usta powoli wypełził uśmiech.

- Powiedziałem im, że muszę dotrzymać towarzystwa żonie.

Doszli do kępy suchych drzew wyrastających bezpośrednio z piasku. Słońce świeciło jaskrawo i powietrze było tu niezwykle przejrzyste. Brett oparł ręce na biodrach i rozejrzał się dokoła z miną właściciela.

- Powiedz, czy tu nie jest pięknie?

Musiała się z nim zgodzić. Była pora odpływu i plaża ciągnęła się szerokim pasem, dokąd okiem sięgnąć. Panowała tu niezwykła cisza, przełamywana tylko szumem fal i krzykami mew.

- Mam wrażenie, jakbym była o tysiące mil od zwykłego świata. Ale widzę tam namiot. Można tu biwakować?

Brett skinął głową.

- To publiczna plaża. Niewiele już zostało wysepek, na które wszyscy chętni mają wolny wstęp. Jedna po drugiej przechodzą w prywatne ręce. To wielka szkoda. Jeśli coś się wkrótce nie zmieni, za parę lat niewielu ludzi będzie miało okazję zobaczyć to, co rozciąga się wokół. Ale na tej wyspie można rozbić namiot, przywieźć ze sobą puszkę fasolki i wędkę i to wystarczy, żeby spędzić wspaniałe wakacje. To też dobre miejsce dla zakochanych.

Ostatnie zdanie powiedział tak szybko, że nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

- A czy nie ma tu czasem zbyt dużego tłoku? - uśmiechnęła się.

- Znam jeszcze inne miejsca, gdzie nie ma nikogo. Może ci je kiedyś pokażę. - Na widok jej uniesionych brwi dodał z uśmiechem: - Zabiorę cię na piknik.

- Nie cierpię komarów.

- W niektórych miejscach ich nie ma.

- Brett, czy ty próbujesz zaprosić mnie na randkę?

- O dwadzieścia lat za późno. Tak czy nie? Popatrzyła na muszelkę, którą trzymała w dłoni.

Była symetryczna, gładka i miała ładny pomarańczowy kolor. Pomyślała, że da ją matce.

- Tak.

Gdy Cara była na wycieczce, Palmer zadzwonił do matki i zapowiedział się z wizytą. Uszczęśliwiona Lovie zaprosiła go na lunch i natychmiast wysłała Toy na zakupy. Przygotowała jego ulubione potrawy: sałatkę z krewetek, bułeczki kukurydziane, herbatę malinową, a na deser suflet. Palmer pojawił się punktualnie, ale zachowywał się sztywno i wydawał się nieswój.

- Czy jest ktoś jeszcze w domu? Cara albo ta dziewczyna? - zapytał, rozglądając się niespokojnie.

- Nie - odrzekła Lovie z serdecznym uśmiechem.

- Chciałam, żebyśmy zjedli lunch tylko we dwoje.

Palmer wyraźnie się rozluźnił, zdjął nawet marynarkę i krawat. Lovie wiedziała, że nie znosi tego stroju.

Usiedli na werandzie. Wiatr wiejący od strony morza niósł ze sobą zapach kapryfolium. Palmer zapatrzył się tęsknie na ocean.

- Tak dawno tu nie byłem, że już zapomniałem, jaki to piękny widok. Ta działka jest naprawdę doskonale położona.

- Mówisz, jakbyś był z biura nieruchomości - uśmiechnęła się Lovie.

- Naprawdę? - spłoszył się.

- Pamiętasz, jak pływałeś tu kajakiem? Martwiłam się, że utoniesz albo że zaatakuje cię rekin, ale jednocześnie bardzo lubiłam na ciebie patrzeć. Byłeś taki zwinny i opalony.

- Teraz już taki nie jestem - uśmiechnął się. - Ciekawe, co się stało z tym kajakiem? Może kupię sobie nowy? Mógłbym nauczyć pływać Coopera.

- I Linneę.

- Ja bardziej interesują chłopcy, którzy siedzą w kajakach - roześmiał się.

- Rzadko jeździmy do naszego domu na wyspie Sullivan. Prawie przez cały czas jest wynajęty.

- To po co wam ten dom, skoro sami z niego nie korzystacie?

Palmer nagle zachmurzył się, grzebiąc niespiesznie widelcem w sałatce.

- Mamo, potrzebuję tych pieniędzy. Interesy nie idą zbyt dobrze. Ale nie ma powodu do obaw - dodał szybko.

Lovie nie była tego taka pewna. Już wcześniej kilka uwag Julii wzbudziło jej niepokój.

- Rozmawiałaś z Bobbym Lee? - zapytała. Robert Lee Davis był rodzinnym bankierem i starym, zaufanym przyjacielem.

- Rozmawiałem. Mówi, że musimy przegrupować siły i trochę zacisnąć pasa. Ale ja się z nim nie zgadzam. Uważam, że teraz jest dobry czas na inwestycje. Trzeba korzystać z rozwoju tej okolicy. Znam ludzi, którzy w ciągu roku podwoili swój majątek na handlu nieruchomościami w tym stanie.

Pantera przyczaja się do skoku, pomyślała Lovie. Palmer był jednak bardzo podobny do ojca. Stratton również nigdy nie był zadowolony z tego, co już osiągnął, ani nie miał czasu, by się tym cieszyć. Przez cały czas pragnął powiększać swoje imperium. Podobnie jak ojciec, Palmer również wierzył, że należy mu się życie na odpowiednim poziomie. Czy też, jak sam to określał, w stylu, do jakiego przywykł.

- Może spędzisz tu z Julią i dziećmi Dzień Niepodległości? Urządzimy piknik, upieczemy coś pysznego na grillu.

- Przykro mi, mam, ale nie mogę. Mam już trzy zaproszenia.

- Chciałabym, żebyśmy spędzili trochę czasu wszyscy razem. Ale skoro tak, to znajdziemy inną okazję.

- Jasne! - ożywił się Palmer. - Niedługo coś wymyślimy.

Zapanowało milczenie, podczas którego Lovie układała sobie w głowie to, co chciała powiedzieć, ale jej syn odezwał się pierwszy.

- To naprawdę bardzo piękna działka - powtórzył po raz kolejny i Lovie dopiero teraz uświadomiła sobie, że on wcale nie patrzy na ocean, tylko na pusty kawałek ziemi po drugiej stronie ulicy.

- Nie ma drugiego takiego miejsca na całej wyspie - ciągnął. - Trzy puste działki obok siebie. Popatrz tylko - wyciągnął rękę. - Masz wielkie szczęście, że twój dom stoi akurat naprzeciwko. Nawet gdyby ktoś zabudował tę środkową działkę, to i tak miałabyś widok na plażę po lewej stronie. Cholera, bardzo chciałbym wiedzieć, kto jest właścicielem tego kawałka ziemi.

- Mówiłeś mi przecież, że te działki zostały przekazane Towarzystwu Ochrony Wybrzeża.

- Te dwie pozostałe, owszem, ale nie ta naprzeciwko ciebie. Tę właśnie zamierzam kupić.

- Może właściciel nie chce jej sprzedać.

- Wszystkich można skusić odpowiednią sumą.

- Ale mówiłeś chyba, że nie masz pieniędzy.

Palmer przesunął się z krzesłem tak, że siedział teraz naprzeciwko niej.

- Pieniądz rodzi pieniądz. Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać.

Próbuję wytropić właściciela tej działki i odniosłem już pewien sukces.

Lovie upuściła widelec.

- Och, przepraszam za niezręczność - wymamrotała.

- Dobrze się czujesz?

- Oczywiście, że tak. Po prostu się starzeję. Mówiłeś, zdaje się, coś o tej działce?

- Próbowałem się czegoś dowiedzieć. Te dwie pozostałe przekazał Towarzystwu niejaki Russell Bennett. Może go znałaś? Czy to nie był jeden z tych Bennettów z Richmond?

Lovie zawahała się, mocno splatając dłonie.

- Tak, przypominam sobie, że chyba kiedyś poznałam jego i jego żonę. Miała na imię Eleanor. Jej panieńskie nazwisko brzmiało Huntington.

- Podobno ten facet bardzo się interesował ekologią, a szczególnie żółwiami morskimi - powiedział Palmer, patrząc na matkę. - Przewidział chyba, w jakim kierunku pójdzie rozwój wyspy i przeznaczył te dwie działki na cele ekologiczne.

Lovie milczała.

- Nie wierzę, że o tym nie słyszałaś. To przecież twoja branża.

- Pamiętam, że kiedyś czytałam coś o tym w gazecie. Ale to było tak dawno... Podziwiałam go za to, co zrobił.

- Dziwne, że nie znaliście się bliżej. Obracaliście się przecież w tych samych kręgach.

Lovie zakaszłała i pomachała ręką.

- I co wynika z tego, że te dwie działki należały do niego? - zapytała po chwili. - Może ta trzecia nadal jest własnością rodziny?

- Nie znalazłem żadnego potwierdzenia. Lovie czuła się wyczerpana tą rozmową.

- A co właściwie za różnica, czyja to działka? - spytała ostro. - Przecież i tak nie masz pieniędzy, żeby ją kupić. Sam mówiłeś, że firma nie stoi najlepiej. Niepotrzebnie traciłeś czas, zamiast zająć się czymś konstruktywnym.

- Można byłoby sprzedać obie działki razem albo, tak jak mówiłem ci niedawno, najpierw je zabudować. Mamo, moglibyśmy zbić na tym majątek.

- Nigdy nie sprzedam tego domu - odrzekła Lovie cicho. - Zbyt wiele dla mnie znaczy.

Palmer skrzywił się z rozczarowaniem.

- Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć - rzekł po chwili dziwnie oficjalnym tonem - ale będę musiał zmniejszyć twoją rentę. Tak jak mówiłem, jesteśmy w kiepskiej sytuacji finansowej i coraz trudniej utrzymać ten dom.

Lovie zaczerwieniła się z oburzenia i lęku.

- Wysokość renty została ustalona w testamencie. Nie możesz jej zmienić.

- Mamo, bądź rozsądna. Koszty utrzymania poszły w górę. Dolar traci na wartości. Wiem, że nie znasz się na finansach, ale mówiąc najprościej, po prostu nie mamy tych pieniędzy.

Lovie przymknęła oczy i pieczołowicie złożyła ramiona na piersiach.

- Mamo, o nic się nie martw. Zawsze będziemy się tobą opiekować. Będziesz żyła szczęśliwie w tym wielkim domu ze mną i z moją rodziną. Brakuje nam ciebie. - Pochylił się i przyjrzał się jej uważnie, a potem zmarszczył brwi. - Mamo?

Lovie otworzyła oczy i odpowiedziała mu spojrzeniem na spojrzenie, szukając w ostrych rysach twarzy chłopca, którego kochała. Zawsze sądziła, że z dwojga jej dzieci Cara jest bardziej podobna do ojca, teraz jednak zdała sobie sprawę, że sprawiały to tylko cechy fizyczne - wzrost, kolor włosów i oczu. Z biegiem lat jednak stawało się coraz jaśniejsze, że to Palmer szedł w ślady ojca. Podobnie pochylał ramiona, miał uśmiech, który nie sięgał oczu, a także w podobny sposób formułował żądania wobec innych. Przez wiele lat Lovie martwiła się o Carę, nie dostrzegając zmian, które zachodziły w synu.

- Zostanę tu przez całe lato, Palmer - powiedziała, biorąc się W garść. - Nigdzie się stąd nie przeniosę. A ty rób, co chcesz.

Palmer był wyraźnie zdziwiony jej stanowczością.

- Mamo... - zaczął niepewnie.

- Zostanę tu, bo to moje ostatnie lato. Przez cały czas zastanawiałam się, jak cię o tym poinformować, ale teraz muszę to powiedzieć prosto z mostu. Mam zaawansowanego raka płuc.

Twarz jej syna pobladła, a w oczach odbiło się przerażenie.

- Nie! Nie chcę tego słuchać. Co to znaczy, zaawansowany?

- Sam chyba wiesz. To po prostu znaczy, że umieram.

- Przecież raka można leczyć! Ciągłe piszą w gazetach o nowych metodach. Mamo, w Charlestonie mamy jeden z najlepszych szpitali w kraju. A jeśli oni nie będą potrafili nic poradzić, to pojedziemy gdzie indziej! Nie będę tu siedział spokojnie i słuchał o tym, że umierasz, przecież trzeba coś robić!

- Palmer, chodź tu - westchnęła Lovie i otworzyła ramiona, on jednak gniewnie potrząsnął głową i odsunął się na krawędź werandy.

- Przykro mi, że nie mogłam ci tego oszczędzić. Byłam u lekarzy, przeszłam wszystkie badania. Ani ty, ani nikt inny nic już nie może zrobić. Nie, proszę, nie kłóć się ze mną. Właśnie dlatego nie powiedziałam ci wcześniej. Wiedziałam, że będziesz robił mnóstwo zamieszania, a ja już nie mam siły, żeby z tobą walczyć.

Obrócił się i stanął twarzą do niej.

- Co ze mnie byłby za syn, gdybym nie próbował cię ratować?

- Dobry syn. Syn, który kocha swoją matkę i robi to, o co ona go prosi.

Palmer opuścił głowę. Gdy Lovie znów wyciągnęła do niego ramiona, podszedł do niej, położył głowę na jej kolanach i rozplakał się jak dziecko.

Wieczorem tego samego dnia Cara siedziała na werandzie w towarzystwie Emmi. Siedziały na bujanych fotelach, piły herbatę i jadły truskawki kupione na targu.

- Umówiłam się z kimś na spotkanie - powiedziała Cara w pewnej chwili. Emmi raptownie obróciła głowę w jej stronę.

- I nic mi o tym nie powiedziałaś?

- To było dzisiaj.

- Z kim?

- Z Brettem Beauchampem. Pamiętasz go? To ten, który...

- Wiem, kim on jest! Kiedy go spotkałaś?

- Prowadzi biuro Eco Tours, do którego tak gorliwie mnie wysyłałaś.

Emmi zapało dech ze zdumienia.

- Niesamowite. - Potrząsnęła głową. - Kto by pomyślał, że Brett Beauchamp skończy jako przewodnik wycieczek? Mogłabym się założyć, że jeśli dożyje czterdziestki, to albo będzie miliarderem, albo znajdzie się w więzieniu. Brett Beauchamp - powtórzyła z błyszczącymi oczami. - Czy na tej łodzi ma lodówkę z piwem?

- Prawdę mówiąc, to bardzo się zmienił od szkolnych czasów - rzekła Cara. - I nie jest zwykłym przewodnikiem wycieczek, tylko właścicielem Eco Tours. Jest specjalistą od ochrony środowiska.

- Specjalista od ochrony środowiska - powtórzyła Emmi, przeciągając słowa. - Trudno mi to sobie wyobrazić. To był zupełny wariat. Jak go rozpoznałaś? Czy nadal jest tak zabójczo przystojny?

- Właściwie to nie ja go rozpoznałam, tylko on mnie. - Na widok zdumionej miny przyjaciółki Cara musiała się roześmiać. - W czasach szkoły myślałam, że on mnie w ogóle nie zauważa. Nie obracaliśmy się w tych samych kręgach. Teraz jest znacznie łagodniejszy i bardziej wyluzowany. Owszem, nadal jest przystojny, ale wyszlachetniał i na szczęście nie wygląda jak słodki chłopiec.

- Ale na pewno nadal ma mięśnie jak futbolista.

- Ja zawsze wołałam walory intelektualne - rzekła Cara kpiąco.

- Brett ma takie i takie - uśmiechnęła się Emmi.

- Dobrze się bawisz, prawda?

- Po prostu lśnię światłem odbitym i pławię się w twoim blasku. Muszę coś robić, skoro moje własne życie uczuciowe legło w gruzach.

- A jak może być inaczej, skoro twojego męża tu nie ma?

Emmi znieruchomiała na bujaku.

- Tak jest nie tylko wtedy, gdy go nie ma. Również wtedy, gdy jesteśmy razem.

- Och, daj spokój. Ty i Tom jesteście modelową parą Ameryki. Sympatia ze szkoły średniej i tak dalej.

- Każda historia kiedyś się kończy - westchnęła Emmi i znów zaczęła się bujać.

- Mam nadzieję, że tylko żartujesz.

- Nie. Mówię bardzo poważnie. Od jakiegoś czasu mam wrażenie, że Tom wyczekuje chwil, gdy znów będzie mógł wyjechać z domu. I prawdę mówiąc, ja też ich wyczekuję.

- Ale Tom cię kocha. Zawsze cię kochał. Emmi wzruszyła ramionami.

- Może mnie kocha, ale nie tak jak kiedyś. Ja też go nie Kocham tak jak kiedyś. Trudno mi pielęgnować uczucia do niego, skoro ciągle nie ma go w domu. Nie mamy już żadnych wspólnych zainteresowań. Nawet dzieci nas nie łączą. Ani namiętność. Po dwudziestu latach w tej dziedzinie trudno o jakieś miłe niespodzianki. - Wyciągnęła przed siebie nogi i poruszała palcami stóp. - Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby znów wejść do tej wody, choćby po to, by się przekonać, jakie to uczucie.

- Emmi!

- Nie patrz tak na mnie. Dlaczego nie? Wiem, że Tom to robi.

- Nie mogę w to uwierzyć. - Cara potrząsnęła głową. - Tom zawsze był nieśmiały i taki... konserwatywny. Jedyne chłopak, jakiego znałam, który nie uznawał seksu przedmałżeńskiego.

- Uznaje za to pozamałżeński.

- To niemożliwe!

Emmi popatrzyła na nią bez słowa. Cara była wstrząśnięta.

- To okropne, co mówisz. Jesteś pewna?

- Zostawiłam mu pięć wiadomości w hotelu. O różnych porach nocy.

Nawet Tom nie pracuje tak długo.

Zapadło długie milczenie. Cara rozpaczliwie próbowała znaleźć jakieś usprawiedliwienie dla Toma, ale nic jej nie przychodziło do głowy.

- To zresztą nie był pierwszy raz - ciągnęła Emmi. - Oczywiście gdy Tom przyjeżdża do domu, w ogóle o tym nie wspominam. Żyjemy sobie dalej, jakby nigdy nic. Nie jestem tchórzem, tylko po prostu jestem leniwa. Łatwiej jest udawać, że niczego się nie domyślam, niż przeprowadzać konfrontacje. A żeby było zabawniej, po jakimś czasie sama zaczynam w to wątpić. Do następnego razu, gdy znów dzieje się to samo.

- Nie miałam pojęcia - westchnęła Cara, nie wiedząc, co powiedzieć.

Emmi postukała palcami w poręczę fotela.

- Dobrze. Nie mam ochoty więcej o tym rozmawiać. To nudny temat.

- Jesteś pewna?

- Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz - mruknęła

Emmi. - Teraz ważniejsza sprawa to ta, dokąd Brett zamierza cię zabrać na pierwszą randkę?

- Jedziemy na piknik.

- O mój Boże. Pozwól, że zgadnę. Ty, on, łódź i podróż na jakąś polanę na odludziu. Słyszałam o tych piknikach jeszcze w liceum. Weź ze sobą. olejek przeciwko komarom i wysmaruj się nim wszędzie.

Cara znów się roześmiała, ale poczuła dreszcz podniecenia. Ona też słyszała o piknikach Bretta.

*Po złożeniu jaj samica przysypuje je piaskiem,
używając do tego tylnej łapy, a następnie
rozgrzebuje piasek dookoła gniazda, by je zamaskować.
Po skończonej pracy samica wraca do bezpiecznego morza.
Nigdy już nie zobaczy swojego gniazda.*

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Brett podpłynął do moła małą, płaskodenną łódeczką, przy której łódź przeznaczona do przewozu turystów wyglądała jak transatlantyk. Wyciągnął rękę do Cary i pomógł jej wsiąść.

- Lubisz skrajności - zauważyła.

- Tylko łódka z płaskim dnem dopłynie tam, gdzie się wybieramy - odrzekł. - Usiądź, jeśli nie chcesz za chwilę znaleźć się w wodzie.

Usiadła na metalowej ławce, trzymając się rękami za obie burty. Brett przesunął na tył łódki turystyczną lodówkę, wędkę, gumowe buty i rękawice, żeby zrobić towarzysze więcej miejsca. Nie były to typowe akcesoria, jakie zabiera się na randkę. Zauważył jej zaciekawiony wzrok i mrugnął do niej kpiąco, a potem zapalił silnik.

- Gdzie właściwie płyniemy? - zapytała.

- To tajemnica.

- Ale przecież gdy zobaczę to miejsce, to już nie będzie tajemnica.

- Miałabyś kłopoty, żeby trafić stamtąd z powrotem do domu - odparował z gładkim uśmiechem.

- Na pewno nie jestem pierwszą osobą, którą tam zabierasz.

- Nie - roześmiał się. - Moi przyjaciele wciąż próbują odnaleźć to miejsce.

A potem ja muszę ich odnajdywać, gdy się zgubią.

Cara niepewnie popatrzyła na bagna, które jak okiem sięgnąć ciągnęły się po obu stronach łodzi.

- Można się tutaj zgubić?

- Niektórzy to potrafią. Teraz trzymaj się mocno - ostrzegł.

Silnik zaryczał głośniejsze i łódź wpłynęła do kanału, zmagając się z przeciwnym prądem odpływu. Silny wiatr zerwał czapeczkę z głowy Cary. Brett pochwycił ją zręcznie i wetknął pod jakieś pakunki na dziobie. Cara czuła się jak na rozpędzonym motocyklu. Twarz pokrywały jej kropelki słonej wody.

Minęły ich dwie duże barki i łódka zakołysała się tak mocno, że Cara znów musiała się przytrzymać burty. Brett tylko nonszalancko pomachał ręką i nawet nie odwrócił głowy. Silnik ryczał tak głośno, że nie dało się rozmawiać, Cara rozluźniła się więc i podziwiała krajobraz. Zauważyła kilka flamingów brodzących po płyciznach i pelikana, który przeleciał nad ich głowami. Kilka kilometrów dalej Brett dotknął jej ramienia i wskazał na delfina, który płynął zaledwie o kilka metrów od nich, dotrzymując tempa łodzi. Wyglądało to, jakby chciał się z nimi bawić - wynurzał się z wody z głośnym gwizdem. W chwilę potem obok niego, jeszcze bliżej łodzi, pojawił się drugi.

Cara roześmiała się głośno. Twarz Bretta również rozświetlił szeroki uśmiech.

Brett wprowadził łódź w wąski boczny kanał. Delfiny oddaliły się i zniknęły. Manewrowali teraz w labiryncie kanałów między kępami roślinności. Cara rozglądała się na prawo i lewo z lekkim niepokojem. Wysokie trawy nie pozwalały dostrzec żadnych punktów orientacyjnych. Już po kilku minutach nie miała pojęcia, gdzie jest. Oby przechwałki Bretta, że potrafi znaleźć drogę powrotną, nie okazały się jedynie blefem.

Im dalej płynęli, tym bardziej obniżał się poziom wody. Niektóre miejsca były już zupełnie suche, inne pokrywały płytkie kałuże, w których ptaki szukały pożywienia. Brett wprawnie manewrował łodzią w dżungli traw. Wyglądamy

jak Katharine Hepburn i Humphrey Bogart w „Afrykańskiej królowej”, pomyślała Cara.

- Czy już jesteśmy na miejscu, panie Allnut? Brett uśmiechnął się szeroko i wskazał na niedaleką kepe drzew.

- Już niedaleko, Rosie! - odkrzyknął.

Uśmiechnęła się. Tą odpowiedzią zarobił u niej kilka punktów.

W końcu przybili do brzegu zalesionej wysepki. Brett wyłączył silnik i natychmiast otoczyła ich cisza. Cara miała wrażenie, że od reszty ludzkości oddzielają ich tysiące mil.

- Chyba jesteśmy daleko od suchego lądu - powiedziała niepewnie, patrząc na pas błota przed nimi.

- Dalej już nie da się wpłynąć łodzią. To niedaleko. Szybko dojdziemy na miejsce.

- Dojdziemy? - powtórzyła ze zdumieniem, pewna, że się przesłyszała. - Brett, przecież utopimy się w tym błocie! I kto wie, co tam może siedzieć pod spodem?

- To właśnie jest najciekawsza strona bagien - odrzekł, zrzucając sandały i sięgając po gumowe buty. - To błoto tętni życiem. Jest w nim wszystko: ostrygi, ślimaki, kraby - rodzą się, żyją i umierają w błocie. Ze już nie wspomnę o owadach i larwach.

Cara patrzyła z przerażeniem, jak Brett wciąga na nogi buty sięgające bioder, a potem wrzuca do płóciennej torby gumowe rękawice, młotek i sieć.

- Nic mnie nie obchodzi, co te stworzenia tam robią. Po prostu nie chcę mieć z nimi żadnego kontaktu.

Brett podniósł się i postąpił o krok w jej stronę, a gdy cofnęła się z przerażeniem, roześmiał się głośno i wyszedł z łódki prosto w błoto.

Natychmiast zapadł się aż po kostki.

- Wskakuj - powiedział, stając plecami do niej.

- Chyba żartujesz!

- Nie żartuję. Zaniosę cię.
- Nic z tego!
- Chyba że wolisz iść sama.
- Nie! Zaczekaj. Co ja mam zrobić?

Spojrzał na nią przez ramię z wesołością w oczach.

- Już nie pamiętasz, jak się jeździ na barana?
- Jasne, że pamiętam, ale przecież nie jesteśmy już dziećmi. Jestem za ciężka.

Brett obrzucił wzrokiem jej szczupłą postać i prychnął lekceważąco.

- Wskakuj. Myślę, że sobie poradzę.
- Dobrze, ale nie mów, że cię nie ostrzegałam - ustąpiła Cara. Ostrożnie wyszła z łódki i wspięła się na plecy Bretta.

- Możesz to wziąć? - zapytał, wskazując na torbę i sieć. - Złapiemy sobie kolację.

- Oczywiście - oznajmiła. - Czy mam zabrać coś jeszcze?

Brett sięgnął po lodówkę.

- Boże drogi, Brett, czy to też będziesz niósł? - zdumiała się.
- A masz jakiś inny pomysł?
- Ale to jest przecież ciężkie! Dasz radę?
- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać - mruknął, przyciskając lodówkę do piersi.

Cara wstrzymała oddech i mocniej uchwyciła się jego ramion. Ku jej zdziwieniu, Brett ruszył przez błoto zupełnie swobodnie.

- Jak się pan czuje, panie Allnut?
- W porządku, Rosie - odrzekł, odwracając głowę w jej stronę. Jego kark znajdował się tuż przed jej twarzą i Cara walczyła z pokusą, by musnąć ustami rudobrzazowe kosmyki.

- Jak głębokie jest to błoto?
- Miejscami całkiem głębokie. Parę razy zapadłem się aż do kolan.

- To jak na wydmach - zauważyła. - I co wtedy zrobiłeś?

- Jediną rzecz, jaką można zrobić. Przewróciłem się na plecy i tarzałem się, dopóki nie wyciągnąłem nóg z błota.

- Ale teraz trzymasz na plecach mnie.

- Aha.

Zaśmiała się cicho, gdy mocniej ścisnęła go udami.

- Ale poważnie - powiedziała, starając się opanować zdenerwowanie. - Co będzie, jeśli się przewrócisz? Co ja mam wtedy robić?

- Chyba wstać i wytrzeć tę zgrabną pupę z błota. I nie martw się o pijawki - dodał po kilku krokach. - Mam ze sobą sól.

Cara zeszywniała i w jej umyśle pojawiły się wizje Humphreya Bogarta, który, cały pokryty pijawkami, ciągnął towarzyszkę przez bagno.

- Strasznie jesteś spięta - odezwał się Brett. - Czuję to. Musisz się nauczyć luzu.

- Proszę, nie zrzucaj mnie w błoto. Brzydzę się pijawek - jęknęła.

Brett wyraźnie bawił się coraz lepiej.

- Tylko żartowałem z tymi pijawkami - uspokoił ją. - Tu ich nie ma. I na tej wyspie błoto nie jest zbyt głębokie. Między innymi dlatego tak bardzo ją lubię. Lepiej ci teraz?

Rozluźniła się i z westchnieniem oparła głowę na jego plecach.

- To nieładnie tak straszyć miejską dziewczynę.

- Chciałem się tylko trochę zabawić. Przy całej twojej inteligencji jesteś jednak bardzo łatwowna. Sama powinnaś wiedzieć, jak tu jest. Przecież tu się wychowałaś.

Jeszcze nigdy w życiu nikt nie nazwał jej łatwowną.

- Możliwe, że masz rację - odrzekła. - Szczerze mówiąc, to trochę się boję.

Brett milczał przez chwilę.

- Nie bój się - powiedział wreszcie już bez śladu kpiny w głosie. - Ja się tobą zaopiekuję.

Cara nie pamiętała, by jakikolwiek mężczyzna wcześniej obiecywał, że się nią zaopiekuje. Zawsze była dumna ze swej samodzielności i niezależności. Nie należała do kobiet, którymi mężczyźni chcieliby się opiekować. Czuła jednak, że Brett należy do mężczyzn, którzy rzeczywiście opiekują się kobietami i szanują je. Czuł się dobrze w swojej skórze, był wystarczająco pewny siebie, by nie obawiać się zagrożenia ze strony silnej kobiety. A przez to również i ona czuła się przy nim bardziej kobieco. Oparła podbródek na jego ramieniu i zrozumiała, dlaczego Brett łamał serca wszystkim dziewczynom z wybrzeża Karoliny.

Dotarli w końcu do suchego lądu. Brett postawił ją na ziemi i rozmasował ramiona.

- Jak na tak szczupłą osobę, to wcale nie jesteś lekka - zauważył.

- Dziękuję - odrzekła uprzejmie. - Ale jeśli myślisz, że wrócę do łodzi piechotą, to bardzo się mylisz. Spodobał mi się ten środek transportu.

- W takim razie zachowuj się grzecznie. Chodź, pokażę ci moje miejsce.

Ruszył trawiastą ścieżką w stronę lasu na wzgórzu. Słońce właśnie zaczynało zachodzić i powietrze nabierało lekko fioletowego odcienia, który był zarazem egzotyczny i niepokojący. Las zaczynał się pasem niskich zarośli, a dalej miejscami był tak gęsty, że pnie drzew wyglądały jak mur i panował tam zupełny mrok. Brett prowadził ją zygzakowatym szlakiem między krzewami.

Pośrodku lasu znajdował się rajski ogród, pełen dębów, sosen, cedrów i palm. Tu i tam w ostatnich promieniach słońca błyskały żółte i czerwone kwiaty.

Niespodziewanie wyszli na dużą polanę, otwierającą się na niebo jak amfiteatr.

- To magiczne miejsce! - zawołała Cara. - Nic dziwnego, że zachowywałeś je w tajemnicy!

Brett uśmiechnął się, w pełni usatysfakcjonowany jej reakcją.

- To było kiedyś indiańskie obozowisko. Znalazłem kawałki ceramiki i sterty muszli. Zwierzęta też lubią tę polanę. Jelenie, oposy, ptaki.

- Jelenie? Jak się tu dostają?

- Przypływają.

- Niewiarygodne. Ze stałego lądu?

- Pływają w jedną i w drugą stronę. Widziałem je wiele razy. Tu jest wszystko, czego potrzebują: jedzenie, schronienie, gąszcze, w których samice rodzą młode. Po deszczu na liściach i w kałużach między wydłami zbiera się świeża woda.

- Rozumiem, dlaczego Indianom się tu podobało. To sielankowe miejsce. I takie odosobnione, jak świątynia. Kiedyś na pewno odprawiano tu jakieś obrzędy. - Cara zerknęła na Bretta i usta jej zadrgały w uśmiechu. - Przypuszczam, że ty również w ciągu lat wypracowałeś tu kilka własnych rytuałów.

- Owszem, na przykład rytuał jedzenia. Rozbijemy obóz. Zdaje się, że zaprosiłem cię na piknik.

Zajął się rozpakowywaniem zawartości lodówki, a Cara zaczęła zbierać drewno na ognisko. Ułożyli je pośrodku polany. Następnie Brett wziął rękawice i młotek i wyciągnął spod krzaka stare drewniane wiadro.

- Tu są zapałki - podał jej. - Spróbuj rozpalić nieduże ognisko. Ja zaraz wrócę.

- Dokąd idziesz? Chyba nie zostawisz mnie tu samej?

- Jesteś zupełnie bezpieczna. Pijawki nie wychodzą na brzeg.

- A aligatory?

Roześmiał się i potrząsnął głową.

- Odpręż się, Caro. Aligatory też tu nie przychodzą, ale, uważaj na węże. Najczęściej spotyka się tu nieszkodliwe bezbarwne jaszczurki, ale wystrzegaj się

wszystkiego, co ma jakiś kolor. Ja zaraz wrócę, nazbieram tylko trochę ostryg na kolację.

- Młotkiem?

- Naprawdę nigdy tego nie robiłaś? One żyją w koloniach na błotnistych miejscach, tylko że są bardzo mocno zrosnięte ze sobą i trzeba je rozdzielać młotkiem.

- Idę z tobą - zdecydowała Cara, podnosząc się na nogi. - Węży brzydzą się tak samo jak pijawek, a może i bardziej.

- No, to chodź.

Na skraju lasu czuło się już wieczorną bryzę. Brett wszedł w błotniste zagłębienie i młotkiem odłupywał pojedyncze ostrygi. Mniejsze odrzucał na bok, a większe zbierał do wiadra. Cara patrzyła na niego, stojąc w rozkroku, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach. Gdy wiaderko było już wypełnione do połowy, Brett wyprostował się i zapatrzył na zachodzące słońce. Po chwili wziął wiadro do ręki i wyszedł na suche miejsce.

- Ściemnia się już - powiedział. - Chodź, rozpalimy to ognisko. Zrobimy sobie ostrygi z rusztu.

Już po niedługiej chwili siedzieli przy ogniu wśród porzucanych dokoła skorup, z puszkami piwa w rękach, spowici aromatem dymu z cedrowych gałęzi. Cara ułożyła się na kocu, który Brett rozpostarł na trawie, i zapatrzyła w niebo, na którym właśnie pojawiały się już pierwsze gwiazdy. Księżyc na nowiu wyglądał jak ciemna biała kreska. Płonący ogień rzucał cienie na ich twarze.

Brett ułożył się obok niej z głową opartą na dłoni.

- Czy pani jest zadowolona?

- Pani za chwilę pęknie z tego zadowolenia. Nie sądziłam, że potrafię zjeść tyle ostryg naraz. Przyznaję tej kolacji pięć gwiazdek. - Spojrzała na niebo i poprawiła się: - Albo raczej milion gwiazdek. Ale czy ostryg nie powinno się jadać tylko w miesiącach, które mają w nazwie „r”?

- Nadają się do jedzenia przez cały rok, ale smaczniejsze są jesienią i zimą. Teraz się rozmnażają, więc mają okres ochronny. Nie wolno ich zbierać w ilościach handlowych. Ale tu nikt ich nie zbiera, więc można sobie na to pozwolić.

- Czy jest coś, czego ty byś nie wiedział?

- Urodziłem się i wychowałem na tych bagnach. Mój ojciec był pilotem portowym, podobnie jak jego ojciec. Wprowadził chyba więcej statków do portu w Charlestonie niż ktokolwiek inny. Zna tu każdą łachę i płyciznę. Nauczył mnie wszystkiego o tych wodach. I oczywiście oczekiwał, że podtrzymam tradycję rodzinną. Nie każdy może być pilotem. To trudna praca, czasami niebezpieczna, i piloci muszą sobie wzajemnie ufać. Przy tych wielkich tankowcach nie można sobie pozwolić na żaden błąd. Niektóre mają ponad dwieście metrów długości.

- Niewiarygodne.

- A ja widziałem, jak mój ojciec przeprowadził jeden z nich pod mostem z taką łatwością, jakby to był kajak.

- Więc dlaczego nie zostałeś pilotem? Przecież kochasz wodę i statki, widać to.

- Zastanawiałem się nad tym. Ojciec tego chciał, a poza tym jest to nieźle płatne zajęcie. Ale piloci muszą być dyspozycyjni dwadzieścia cztery godziny na dobę. To nie dla mnie. Poza tym bardziej interesowało mnie to, co żyje w wodzie, niż to, co po niej pływa.

- I dlatego poszedłeś do Clemson.

- Tak. Skończyłem biologię morską i przez dłuższy czas prowadziłem rozmaite badania na tym wybrzeżu. Pracowałem też w agencji państwowej. To była ciekawa praca, szczególnie w terenie, tylko że biurokracja to nie dla mnie. Lubię towarzystwo, ale w gruncie rzeczy jestem samotnikiem, tak jak ty. Chyba to mnie do ciebie przyciągało jeszcze w czasach szkolnych.

- Patrząc na twoje zachowanie wtedy, trudno byłoby się tego domyślić - prychnęła Cara. - Nie sprawiałeś wrażenia samotnika. Zawsze ciągnął się za tobą orszak kolegów i wzdychających dziewczyn.

- No tak. Byłem wtedy młodym niewolnikiem hormonów.

- A teraz?

- No wiesz, hormony nadal są aktywne, jeśli o to pytasz. Ale utemperowane, pod kontrolą. A co do reszty, to sam nie wiem. Otworzyłem firmę turystyczną dziesięć lat temu i na razie jakoś sobie radzę.

- Z tego, co słyszałam, radzisz sobie nawet lepiej niż dobrze.

Brett wzruszył ramionami.

- Otworzyłem dwie filie i myślę o jeszcze jednej. Po raz pierwszy w życiu zależy mi, żeby mieć trochę więcej pieniędzy. Z drugiej strony nie uśmiecha mi się perspektywa utknięcia za biurkiem, nad stertą papierów.

- Zauważyłam, że masz ciekawy sposób księgowania dochodów.

- A tak - uśmiechnął się Brett z zażenowaniem. - Chyba przydałaby mi się jakaś pomoc w tej dziedzinie. Nigdy dotąd nie musiałem podejmować decyzji, opierając się na przesłankach finansowych i nie zamierzam teraz zaczynać. Coś za coś, jak ze wszystkim. Teraz jestem już starszy i zależy mi na czym innym.

Te słowa wzbudziły czujność Cary. Wyczuła w nim człowieka, który mógłby być jej bliski.

- Po czterdziestce czasem tak się dzieje - westchnęła.

- Stara teoria roweru Tołstoja.

- Nie znam - zaśmiała się, patrząc na niego wyczekująco.

- Tołstoj napisał „Wojnę i pokój”, gdy miał czterdzieści lat. A po sześćdziesiątce nauczył się jeździć na rowerze. Ta historia ma być inspiracją.

- Dla mnie jest - odrzekła Cara, przewracając się na plecy. - Zastanawiam się, co takiego mogłabym zacząć robić, czego jeszcze nigdy nie robiłam? Może mogłabym nauczyć się sterować łodzią? Albo łapać ryby? Albo zbierać ostrygi? Skoro już znam tajemne miejsce...

- Jesteś pierwszą osobą, którą tu przywiozłem i przy której zaczynam się martwić, że może je sama odnaleźć - zaśmiał się Brett. Obrócił się na brzuch, oparł twarz na splecionych rękach i popatrzył na nią uważnie. - To teraz ty opowiedz mi coś o sobie.

- A co?

- Powiedz mi coś o swoim życiu. O tych dwudziestu latach, o których nic nie wiem.

- A co chcesz o nich wiedzieć?

- Miałaś kiedyś męża?

- A ty miałaś żonę?

- Ja zapytałem pierwszy.

- Nie, nigdy nie wyszłam za mąż. Nie chciałam. Masz rację, jestem samotnikiem. - Popatrzyła mu prosto w oczy, wyczekując reakcji. - Czy jesteś tym zdumiony?

- Nie. A powinienem?

Cara spodziewała się dezaprobaty, a gdy jej nie usłyszała, odetchnęła z ulgą.

- Po prostu większość mężczyzn, a i kobiet też, nie wierzy, by kobieta mogła nie wyjść za mąż, a mimo to być zadowolona z życia. Wydaje im się, że wszystkie samotne kobiety są sfrustrowane i nieszczęśliwe. - Gdy Brett nic nie odpowiedział, spojrzała na niego i dodała: - Teraz twoja kolej.

- Ja też nigdy się nie ożeniłem. Raz niewiele brakowało. Byliśmy bardzo młodzi, zaraz po college'u. Ona chciała stabilizacji i dzieci, a ja wołałem pracę w terenie i podróże po całym świecie.

- I co się stało?

Twarz Bretta pociemniała. Odrzucił na bok źdźbło trawy, które wcześniej obracał w palcach.

- Skończyło się.

W ciemnościach rozległ się przeszywający głos jakiegoś zwierzęcia. Cara usiadła i popatrzyła przed siebie, ale dźwięk ucichł. Teraz znów słyszeć było tylko trzaskanie ognia i cykanie świerszczy.

- Jesteś pewien, że nikt poza tobą nie zna tego miejsca?
- Nigdy tu nikogo nie widziałem. W każdym razie nikogo żywego.
- Co to... aha, mówisz o Indianach. Więc jesteśmy tu zupełnie sami.

Gdyby coś nam się stało, nikt by się o tym nie dowiedział.

Przez twarz Bretta przemknął kpiący uśmiech.

- Nikt, a w każdym razie przez bardzo, bardzo długi czas.
- Mhm. To chyba znaczy, że jestem zdana na twoją łaskę?

W jego oczach pojawiły się iskierki, ale wystarczyło mu rozsądku, by nie odpowiedzieć.

- Powiedz szczerze, ile kobiet już tu przywiozłeś? Dziesięć?

Dwadzieścia? Sto?

Ciekawa była, czy usłyszy prawdę, choć nie miała pewności, czy chce ją poznać.

- Nie przywiozłem tu dotychczas jeszcze żadnej kobiety.
- Mam w to uwierzyć? Twoje pikniki są słynne na całą okolicę.
- Pikniki można urządzać w różnych miejscach - uśmiechnął się Brett, wpatrując się intensywnie w jej usta. Napięcie między nimi stawało się coraz wyraźniejsze.

Cara założyła ramiona pod głowę.

- Słyszałam, że ostrygi to afrodyzjak?

Brett przysunął się bliżej. Teraz jego twarz znajdowała się tuż obok jej twarzy. Gdy się odezwał, poczuła jego ciepły oddech.

- To zależy.
- A od czego?
- Od tego, czy wierzy się w przesady, czy nie. Jeśli w nie wierzyć, to obydwójce powinniśmy być teraz bardzo podnieceni.

- A jeśli ja w nie nie wierzę?

- Pewien stary poławiacz ostryg powiedział mi kiedyś, że albo ma się to w sobie jeszcze przed zjedzeniem ostryg, albo nie ma się wcale.

Cara zapatrzyła się w jego oczy, intensywnie niebieskie w blasku ognia.

- Więc kto ma rację? - zapytała przez zaciśnięte gardło. - Przesady czy stary poławiacz?

Brett pochylił się i pocałował ją w szyję.

- Myślę, że trzeba tu przeprowadzić praktyczne badania terenowe.

Przymknęła oczy, czując, jak fala przyjemności przenika całe jej ciało.

- Będziemy badać florę czy faunę?

Usta Bretta powędrowały w dół wzdłuż jej szyi.

- Zdecydowanie faunę. Dzikie zwierzęta.

Cara wysunęła ręce spod głowy i objęła mocno jego barki. Brett przysunął się jeszcze bliżej. Jedną rękę podłożył pod jej głowę, a drugą przesunął powoli po jej plecach. Jego ciało było mocne i twarde. Krew w żyłach Cary krążyła coraz szybciej. Długo i bez pośpiechu całował jej szyję, w końcu dotarł do ust i Cara zaczęła drżeć. Wsunęła ręce pod jego koszulę, i dotykała gładkiej skóry ramion, barków, pleców.

Brett uniósł głowę i popatrzył na jej twarz. Śmiało oddała mu spojrzenie i gdy znów się nad nią pochylił, uniosła usta do pocałunku. On jednak tylko cmoknął ją w czubek nosa.

- Chodź, dzikusko - uśmiechnął się. - Musimy się stąd wynosić, bo za chwilę przypływ odetnie nas od łodzi.

Podniósł się szybko i wyciągnął do niej rękę. Cara z oszołomieniem otrzepała spodnie. O kilka kroków dalej Brett gasił już ognisko i zbierał rzeczy do torby. Nie była pewna, co się stało. Czyżby dawała mu niejasne sygnały? A może była zbyt agresywna?

Brett zarzucił worek na ramię.

- To chyba wszystko - mruknął, rozglądając się. - Możemy iść?

- Mhm, tak - wykrztusiła. - Mam coś ponieść? W jego oczach zamigotały isierki.

- Zdaje się, że to ja tu jestem od noszenia.

Nie była pewna, czy powinna się uśmiechnąć, czy zachowywać rezerwę. Uświadomiła sobie, że za chwilę znów będzie musiała wdrapać się na jego plecy, i ta myśl wprowadziła ją w zażenowanie. Brett podał jej sieć i rękawice, a sam sięgnął po lodówkę.

- Idziemy - zakomenderował i ruszył w stronę drzew.

RS

*Jaja spoczywają w piasku od pięćdziesięciu pięciu do sześćdziesięciu dni. Przez cały ten czas grozi im niebezpieczeństwo ze strony drapieżników. Jaja żółwi są przysmakiem szopów praczy i krabów *Ocypode quadrata*, a także psów, kotów, dzików i sępów. W niektórych okolicach również ludzie zbierają żółwie jaja.*

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Nawet w łagodnie rozproszonym porannym świetle było widać, w jak opłakanym stanie znajdował się dom. Cara obeszła go dokoła, popijając kawę. Światło słońca bezlitośnie obnażało łuszczącą się farbę i Pozapadane deski podłogi. Pod werandą zalegały tony śmieci, które jej matka uważała za skarby. Ogród wyglądał jeszcze gorzej. Jednym z najmiłszych letnich wspomnień Cary było, jak siedziała w bujanym fotelu na werandzie, słuchając bzyczenia pszczół i wdychając zapach jaśminu, kapryfolium i róż kwitnących w ogrodzie matki. Teraz przerośnięte i zdziczałe krzewy wymagały ręki dobrego ogrodnika.

Odstawiła kubek po kawie, wzięła do ręki papier i ołówek i zaczęła sporządzać listę. Lubiała robić listy. Im dłuższe, tym lepsze. Pozwalały jej uporządkować myśli i dawały poczucie kontroli nad chaosem. Najpierw wypisywała same liczby. Jeden, dwa, trzy i tak dalej. Potem, rozglądając się dokoła, zaczęła się zastanawiać nad hierarchią ważności prac. Pisała szybko, starając się nadażyć za własnymi myślami, i po krótkiej chwili zanotowała dziewiętnaście punktów.

Poczuła, że znów ma przed sobą jakiś cel. Wsunęła listę do kieszeni i znalazła stare robocze rękawice matki. Zamierzała zacząć od uporządkowania rupieci zalegających pod werandą.

Godziny mijały szybko i około południa dokoła domu było już zupełnie czysto, a wszystkie wyciągnięte stamtąd przedmioty leżały na trawniku w dwóch stertach - większe, do wywiezienia których potrzebna była duża śmieciarka, i mniejsze. W tej drugiej kupce znajdowały się zardzewiałe narzędzia ogrodnicze, kulawe składane krzesła, stare pędzle, puszki po farbie i temu podobne. Cara miała nadzieję, że matka rozstanie się z tymi skarbami bez większych protestów. Właśnie ciągnęła stary, zardzewiały klimatyzator na większą stertę, gdy usłyszała za plecami przerażony głos matki:

- Chyba nie zamierzasz tego wszystkiego wyrzucić?

Oparła ręce na kolanach i z ciężkim westchnieniem odwróciła głowę.

- Owszem, mam. To się już do niczego nie nadaje.

- Niektóre z tych rzeczy mogą się jeszcze przydać! Może komuś je oddamy? Na przykład opiece społecznej? Albo może...

- Nikomu się to na nic nie przyda. Taniej będzie kupić nowe rzeczy, niż naprawiać taki złom.

Lovie z rozpaczą patrzyła na górę przedmiotów na trawniku, bezradnie wykręcając ręce. Cara poczuła się bardzo rozczarowana. Harowała jak wół przez całe przedpołudnie i oczekiwała odrobiny wdzięczności, a nie gradu protestów. Wiedziała jednak, że sprawa jest delikatna. Lovie nigdy niczego nie wyrzucała, a kiedyś omal nie dostała ataku serca, gdy Cara wyniosła do śmieci puste puszki, w których, zdaniem jej matki, zostało jeszcze trochę farby na dnie.

- Te graty stwarzały ryzyko pożaru. Poza tym dom wyglądał okropnie - powiedziała Cara, wstrzymując oddech.

Matka podeszła do jednej ze stert. Odrzuciła na bok kilka zardzewiałych śrubokrętów, popsutą piłę łańcuchową, stoczoną przez korniki ławkę i stare metalowe wiadro bez rączki i wyciągnęła spod spodu stary trójkołowy rowerek.

- Och, Cooper mógłby na nim jeździć!

Cara miała ochotę powiedzieć jej, że Cooper jest już za duży na trzy koła, a poza tym na pewno ma w domu błyszczący nowy rowerek, ale nie chcąc

wszczynać kłótni, westchnęła tylko i odprowadziła pojazd z powrotem pod werandę. Jednak gdy Lovie zaczęła wyciągać ze stosu zbutwiały wiklinowy bujak, nie wytrzymała.

- Mamo, zostaw to. Obiecuję, że kupię ci nowy. Nie, tylko mi nie mów, że jeszcze można go naprawić! Brakuje połowy oparcia. Zostaw to, proszę cię!

Lovie zmarszczyła czoło, ale posłusznie puściła bujak i stanęła przed stertą śmieci ze splecionymi dłońmi i z twarzą smutnego dziecka. Cara podeszła bliżej i objęła ją.

- Poczekaj, a zobaczysz, czego tu razem dokonamy. Mamy całe lato na to, żeby doprowadzić dom do dawnego stanu. Nie chciałabyś tego? Pamiętasz, jak tu było pięknie w letnie wieczory? Chcę wykarczować niepotrzebne zarośla, przyciąć krzewy, wykopać korzenie i może jeszcze posadzić róże. Pamiętasz swoje róże?

Twarz Lovie złagodniała i pojawił się na niej lekki uśmiech.

- Nie dawałam już rady. Próbowałam je podlewać...

- Wiem, wiem. To było za wiele jak na ciebie jedną - przerwała jej Cara szybko. - Ja sama nie jestem pewna, czy sobie ze wszystkim poradzę. Ale do niektórych prac można kogoś wynająć.

- Chyba nie wiesz, na co się porywasz - pokręciła głową Lovie. - Przecież nie masz pojęcia o pracy w ogrodzie. W dzieciństwie nigdy nie miałaś do tego cierpliwości. Zawsze jęczałaś, gdy prosiłam cię o wypielenie jakiejś grządki.

- Myślę, że to będzie tak samo jak z żółwiami - zaśmiała się Cara. - Możesz mnie przecież wszystkiego nauczyć. Nigdy nie słyszałaś o rowerowej przygodzie Tołstoja? To zadziwiająca historia. Nauczył się jeździć, gdy był w twoim wieku. Więc chyba ja też mogę się nauczyć ogrodnictwa.

W oczach Lovie rozbłysło światło.

- Oczywiście, że możesz. Naprawdę cię to interesuje?

- Chyba warto spróbować.

- Jest tu dużo książek o uprawie ogrodu. Możesz z nich korzystać.

- Mam nadzieję, że są tam zdjęcia i nauczę się rozpoznawać rośliny.

Wszystkie opisy brzmią dla mnie tak samo, ale gdy coś zobaczę na obrazku, to już nigdy nie zapominam.

- Nie martw się, pomogę ci.

Na widok entuzjazmu matki Cara postanowiła iść za ciosem.

- Zamierzam też wyremontować werandę. Deski w niektórych miejscach przegniły i śnią mi się koszmary, że ty albo Toy wpadacie do dziury. No i trzeba odmalować cały dom. Myślisz, że uda mi się dostać taki sam odcień żółtego?

Lovie skinęła głową, wskazując na pojemnik na śmieci, do którego Cara wrzuciła kilka puszek po farbie.

- Na którejś z tych puszek powinien być wypisany numer odcienia. Rozumiesz teraz, dlaczego ja niczego nie wyrzucam? Wszystko może się jeszcze przydać.

Cara przewróciła oczami.

- W dzisiejszych czasach można dobrać odcień na podstawie kawałka złuszczonej farby. A okiennice mogłybyśmy pomalować na ciemnozielono. Chyba że wolałabyś zamontować przeciwburzowe?

- Tyle planów, Caro. Pomyśl, ile to wszystko będzie kosztowało. Palmer wypłaca mi bardzo niewielką rentę.

Cara poczuła złość, ale nie chciała psuć nastroju rozmową o Palmerze.

- Nie martw się o pieniądze. Ja pokryję wszystkie koszty.

- Ale jak? Przecież nie masz pracy. Nie mogę teraz brać od ciebie pieniędzy.

- Niczego nie musisz ode mnie brać. Sama chcę ci to dać. Proszę, mamo, pozwól mi na to. To będzie dla mnie wielka przyjemność.

Lovie rozejrzała się po zarośniętym ogrodzie, a potem zatrzymała wzrok na twarzy córki. Cara wyglądała znacznie lepiej niż wtedy, gdy przyjechała na wyspę. Policzki miała zaróżowione, a oczy błyszczące. A poza tym chciała zrobić coś dla swojej matki.

- Właściwie nie wiem, po co trzymałam to wszystko przez tyle lat - wzruszyła ramionami. - Mam przecież wiele ważniejszych pamiątek. I miło byłoby znów zobaczyć ten dom w dobrym stanie, zanim...

Cara szybko odwróciła głowę, żeby matka nie zobaczyła jej łez.

- Chodź tu, mamó, chcę ci coś pokazać - powiedziała i pociągnęła ją za rękę przed dom, gdzie rosła kępa starych oleandrów. Uniosła jedną z gałęzi i odsunęła ją od podmurówki werandy.

- Wyciągałam korzenie chwastów i znalazłam to. Zobacz!

Lovie przycupnęła obok krzewu i pośród połamanych drewnianych krutek zauważyła cienki pęd pnącej róży przebijający się w górę do słońca.

- Nie uwierzyłabym, gdybym nie zobaczyła na własne oczy - roześmiała się radośnie. - Jak to znalazłaś?

- Pamiętałam, że w tym miejscu rosły kiedyś róże, więc zaczęłam szukać. Ale prawdę mówiąc, bardzo się zdziwiłam, gdy znalazłam: Tu prawie nie dochodzi powietrze ani światło. A potem przypomniałam sobie pergolę. Przecież pnące róże rosły tu na całej długości werandy. Bardzo lubiłam tę pergolę. Co się z nią stało?

- Huragan Hugo. Zniszczył nie tylko pergolę, ale też dużą część werandy z przodu domu. Za pieniądze z ubezpieczenia udało mi się naprawić tylko dach. Ten dom był nisko ubezpieczony. Ojciec się nim nie interesował i żałował mi każdego grosza. Udało mi się go namówić tylko na wymianę schodków.

- Miałaś szczęście, że Hugo nie zabrał całego domu. Lovie skinęła głową.

- Tak. Dom mój i Flo ocalały, ale dalej wzdłuż ulicy nie zostało prawie nic. I wszystko było doszczętnie zalane. W drzwi domu Billa Wilsona wbiła się wielka łódź. To racja, miałam szczęście. Teraz myślę, że to była boska interwencja. Niektóre domy to coś więcej niż tylko miejsca do mieszkania. A Stratton nigdy by się nie zgodził na odbudowę. Nie wiem, co bym przez te wszystkie lata zrobiła bez tego domu. Po prostu nie wiem.

- Właśnie dlatego musimy go wyremontować. Mamo, ten dom jest ważny nie tylko dla ciebie. Dla mnie też. I dla Toy. I nawet dla Palmera, chociaż on nie chce tego przyznać. I stanie się bardzo ważny również dla Linnei i Coopera, jestem tego pewna.

- Tak myślisz? - zapytała Lovie ze szczerym zdziwieniem.

- Tak myślę.

- Nie masz pojęcia, jak wiele dla mnie znaczy to, że tak mówisz. - Lovie jeszcze raz obrzuciła dom czułym spojrzeniem i powiedziała krótko: - Więc od czego zaczniemy?

Następnego ranka, gdy Toy biedziła się nad maszyną do szycia, zadzwonił telefon. Cara i Lovie poszły na plażę obejrzyć żółwie gniazda, dziewczyna wyszła więc na korytarz, po drodze zerkając na ścienny zegar. Była dziewiąta - za późno na doniesienia o nowym gnieździe.

- Halo? - odezwała się, podnosząc słuchawkę.

Nikt nie odpowiedział.

- Halo?

- Miło cię słyszeć.

Toy z wrażenia zaparło dech.

- Darryl, przecież prosiłam, żebyś tutaj nie dzwonił!

- Dlaczego tak się denerwujesz? Nie chcesz, żebym od czasu do czasu sprawdzał, co u ciebie słychać? Przecież sama ciągle mi powtarzałaś, że to nasze wspólne dziecko.

- To dziecko nic cię nie obchodzi. Ja też cię nie obchodzę.

- Och, Toy, nie opowiadaj takich rzeczy. Przecież wiesz, że cię kocham. Nie mówiłem ci tego?

- Tamtej kobiecie też to mówiłeś?

- A czego się spodziewałaś? Zostawiłaś mnie bez jednego słowa, nawet nie miałem okazji z tobą porozmawiać. Mogliśmy sobie wszystko wyjaśnić, ale

zniknęłaś na cztery miesiące i nie miałem pojęcia, gdzie się podziewasz. Już myślałem, że cię więcej nie zobaczę. Bardzo to przeżyłem.

- I dlatego zadawałeś się z innymi dziewczynami?

- Przecież ciebie nie było! A mężczyzna ma swoje potrzeby. Gdybyś tu była, nie potrzebowałbym żadnych innych kobiet. - Gdy Toy nie odpowiedziała, Darryl dodał: - Brakuje mi ciebie.

Toy mocno zacisnęła powieki.

- Ale przecież może być inaczej. Pozwól, żebym do ciebie przyjechał.

- Nie. Nie możesz.

- Skarbie, daj spokój. Wiesz, że tylko na tobie mi zależy.

- A na dziecku?

- Dobra, dobra, o dziecku też powinniśmy porozmawiać. Co tylko chcesz, żebyśmy mogli być razem, jak kiedyś.

- Mówisz serio?

- Jasne, że tak. Może przyjadę i porozmawiamy? Gdzie ty jesteś? Jaki tam jest adres?

- Nie możesz tu przyjechać, Darryl. Pani... Nie spodobałoby im się to.

- A kogo obchodzi, co im się podoba, a co nie? Przecież i tak już tam nie będziesz mieszkać.

- Nie wiem. Jeszcze nie podjęłam żadnej decyzji.

- Ale ja podjąłem - odrzekł Darryl, podnosząc głos. Toy słyszała jego przyśpieszony oddech i oczami wyobraźni widziała, jak trzyma papierosa w szczupłych palcach i wypuszcza wielki kłęb dymu. - Pozwalasz, żeby jacyś obcy ludzie mówili ci, co masz robić. Powinnaś słuchać mnie, nie ich. Kto to w ogóle jest? Jakaś twoja rodzina?

- Nie. Pracuję u nich.

- Co to za praca?

- Coś w rodzaju opiekunki albo gosposi. Jeszcze wozila starszą panią, ale teraz jej córka tu jest i ona prowadzi samochód, żeby ja mogła więcej odpoczywać. Obie są miłe.

- A dobrze ci płacą?

- Tak - powiedziała Toy ostrożnie. - Całkiem nieźle. I w dodatku nie płacę za swoje utrzymanie, więc mogę odłożyć więcej na czas, gdy dziecko się urodzi. Wiesz przecież, że to kosztuje. I muszę kupić dziecku wyprawkę, łóżeczko, pieluchy, kocyki... Dobrze by było, gdybyś mógł mi trochę pomóc. W końcu to twoje dziecko.

- Więc nie chcesz mnie, ale chcesz moich pieniędzy, tak? Co za suka z ciebie.

- Coś ty powiedział?

- Skoro chcesz, żeby płacił na dzieciaka, to musisz wrócić do domu. To bardzo proste.

Toy oparła się o ścianę i zapatrzyła w sufit.

- To jak będzie? Znow zacisnęła powieki.

- Muszę się zastanowić.

- To zastanów się, a ja zaraz przyjadę.

- Nie, nie chcę, żebyś tutaj przyjeżdżał!

- Dlaczego nie? Wstydzisz się mnie czy co? A może masz jakiegoś innego faceta? To o to chodzi, tak? Toy?

- Mówisz, jakby wszyscy dokoła uganiał się za mną. Darryl, przecież ja jestem w ciąży!

- Niektórzy faceci lubią kobiety w ciąży.

- Jesteś obrzydliwy!

- Coś ty powiedziała? - wybuchnął Darryl po krótkiej chwili milczenia.

Ten jego ton zawsze oznaczał kłopoty i Toy natychmiast zaczęła go łagodzić.

- Nic takiego.

- Nie, powtórz to. Uważasz, że jestem obrzydliwy, czy tak?

- Nie chodziło mi o ciebie.
- To na drugi raz uważaj, co mówisz!
- Dobrze - odrzekła potulnie.

Znów zapadła długa chwila milczenia. Po twarzy Toy zaczęły płynąć łzy. Miała wrażenie, że za chwilę się udusi.

- Toy, wiesz, że wpadam w szal, gdy próbujesz nas skłócić.
- Nie próbuję - chlipnęła.

- Nie? To dlaczego mówisz, że nie możemy być razem? Nie rozumiesz, że tym ludziom nie zależy na tobie tak jak mnie? Chodzi im tylko o tanią pomoc domową. Nie potrzebujemy ani ich, ani ich śmierdzących pieniędzy. Przecież zawsze się tobą dobrze opiekowałem.

Toy usłyszała ciężkie kroki na werandzie i wpadła w panikę.

- Darryl, ktoś idzie. Muszę kończyć.
- Zaczekaj, jeszcze chwilę!
- Muszę kończyć! Nie powinnam w ogóle z tobą rozmawiać.
- Cholera jasna. Dość tego. Nikt ci nie będzie zabraniał rozmawiać ze mną. Zaraz tam przyjadę i...

- Darryl, nie! Obiecuję, że zadzwonię do ciebie później! Na razie - wysapała i w popłochu odłożyła słuchawkę.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich Cara z pudłem paczków i wielką butlą mleka. Za jej plecami Lovie otrzepywała sandały z piasku. Obydwie miały na sobie jednakowe zielone koszulki z żółciem i szorty w kolorze khaki.

- Cześć - zawołała Cara do Toy. - Zobaczyłam te paczki na stacji benzynowej i nie mogłam się oprzeć. Są świeżutkie. Możesz je ode mnie wziąć?
- Gdy Toy podeszła bliżej, Cara uważnie spojrzała na jej twarz. - Co się stało? Dobrze się czujesz?

W ciągu ostatnich miesięcy Toy nauczyła się od pani Lovie jednego: że nawet w najgorszych chwilach należy zachowywać pogodną twarz. A Toy

bardzo chciała stać się taka jak pani Lovie. Odepchnęła więc od siebie myśli o Darrylu i weszła do salonu z uśmiechem.

- Czuję się dobrze. Doskonale.

Od pikniku z Brettem minęły już trzy dni, a on jeszcze nie zadzwonił. Cara bez wytchnienia pracowała w ogrodzie, obsesyjnie dostarczając sobie nowych zajęć, żeby rozładować frustrację. Teraz właśnie niszczyła korzenie zardzewiałym kilofem, który wyciągnęła ze sterty złomu. Dzień był wyjątkowo upalny. Wszystkie mięśnie w jej ciele drżały z wysiłku, a po plecach spływały jej strugi potu. Kończąc bitwę z przerośniętym oleandrem, usłyszała na drodze chrzęst żwiru i z ciekawością wytknęła głowę spomiędzy gałęzi.

Na drodze stała biała półcieżarówka, z której właśnie wysiadał mężczyzna w zielonej czapeczce baseballowej z emblematem Eco Tours. Daszek miał opuszczony nisko na oczy, ale nie sposób było nie rozpoznać charakterystycznych szerokich ramion. O rany, jęknęła Cara w duchu, prostując się z trudem i czując przeszywający ból w plecach. Nie mógł przyjechać o godzinę później? Zastałby ją wykąpaną i pachnącą, a nie brudną i spoconą jak teraz. Odgarnęła włosy z twarzy, zostawiając na niej brudną smugę.

Zauważył ją i zbliżył się powoli z rękami w tylnych kieszeniach spodni.

- Cześć! - zawołał.

- Cześć - odpowiedziała z całą godnością, na jaką w tych okolicznościach potrafiła się zdobyć.

Zatrzymał się po drugiej stronie krzaka i uważnie przyjrzał się gałęziom.

- Pewnie mi nie uwierzysz, jeśli ci powiem, że padł silnik łodzi wycieczkowej? Siedziałem przy nim dzień i noc, żeby był gotowy na dzisiaj - powiedział z błagalnym wyrazem oczu.

- Wierzę ci - wzruszyła ramionami, otrzepując rękawice.

- Ale myślisz, że i tak mogłem zadzwonić.

- Brett, skąd możesz wiedzieć, co ja myślę?

Uśmiech zniknął z jego twarzy. Przez chwilę patrzył na nią badawczo, jakby próbował wysondować jej nastrój.

- W porządku. Nie mam żadnego usprawiedliwienia. Przepraszam.

To była właściwa odpowiedź. Cara skinęła głową z lekkim uśmiechem.

- Przeprosiny przyjęte.

- Jesteś głodna? Zamierzałem zaprosić cię na kolację.

Cara wskazała na wielką stertę gałęzi.

- Dzisiaj chyba nie mam siły na następny piknik. Jestem kompletnie wykończona.

- Miałem na myśli raczej gotowane kraby u mnie w domu.

- W takim razie zgoda - uśmiechnęła się. - Ale najpierw muszę to skończyć. To wojna. Już prawie udało mi się wygrać pierwszą potyczkę.

Schwyciła wystający z ziemi korzeń i pociągnęła go z całych sił, mrużąc pod nosem przekleństwa.

- Pomogę ci - zaoferował się Brett i odsunął ją na bok. - Zasada numer dwa - perorował, zapierając się nogami o ziemię - brzmi następująco: mężczyzna nigdy nie patrzy obojętnie, gdy kobieta wykonuje pracę fizyczną.

Cara cofnęła się o kilka kroków i patrzyła z podziwem, jak Brett wyrwał cały krzew z ziemi jednym mocnym szarpnięciem.

- Posprzątaj gałęzie, a ja wykarzczuję tę dżunglę - powiedział do niej.

- Nie musisz tego robić. Pobrudzisz się. Dam sobie radę sama.

- Przecież należy mi się jakaś pokuta - odrzekł kpiąco i Cara nie potrafiła powstrzymać szerokiego uśmiechu, choć bardzo próbowała zachować powagę.

- Skoro tak twierdzisz, to pod werandą znajdziesz motykę i sekator.

Brett ciągnął na stertę gałęzi wielki konar dębu, którego Cara nie była w stanie nawet ruszyć z miejsca. Popatrzyła na niego z rozbawieniem, a potem z wysiłkiem powlokła się do domu. Tuż za drzwiami poczuła zapach czosnku i sosu pomidorowego. To stała przy kuchence i mieszała coś w rondlu.

- Ładnie pachnie - zawołała Cara.

- Dziękuję - odkrzyknęła dziewczyna, nie odwracając głowy.

Cara poczuła niepokój. Od kilku dni Toy zachowywała się bardzo dziwnie. Wykonywała swoje obowiązki i odpowiadała, gdy ktoś się do niej zwrócił, ale sama nie inicjowała rozmów i gdy tylko mogła, wycofywała się do skorupy. Wiezorami siedziała w swoim pokoju, szyjąc ciężowe sukienki. Niestety nie wychodziło jej to najlepiej.

- Nie będzie mnie dziś na kolacji. Zjedzcie beze mnie - powiedziała Cara.

- Dobrze - odrzekła Toy głosem bez wyrazu. Lovie, siedząca na kanapie, podniosła głowę znad książki.

- A z kim wychodzisz?

- Och, nie znasz go. Poznałam go kilka dni temu. Jej matka wyraźnie się ożywiła.

- Mężczyzna? Naprawdę?

- Jestem okropnie brudna. Powiem ci więcej, gdy wezmę prysznic - rzuciła szybko Cara i uciekła do łazienki, nie czekając na zalew pytań.

Zmyła z siebie brud ciężkiej pracy, a potem ubrała się w białe dżinsy i lśniąca czarna koszulkę. Włosy rozpuściła luźno na ramionach.

- Wychodzę! - zawołała, chwytając po drodze torebkę.

Ale dom był pusty. Ani matki, ani Toy nie było nigdzie widać, choć stół był nakryty dla dwóch osób. Przez otwarte okno z podwórza dobiegały wybuchy śmiechu. Cara wybiegła przed dom, przerażona na myśl o tym, co może zobaczyć.

Powietrze zaczynało już pachnieć wieczorem. Wszystkie wykarczowane krzaki i obcięte gałęzie leżały przy ścieżce, ułożone w schludne sterty. Obok ścieżki uśmiechnięty Brett rozmawiał z Olivią. Wyglądali jak para starych znajomych. Cara zbiegła ze schodków i podeszła do nich.

- Widzę, że już się poznaliście - powiedziała do matki.

- Och mój Boże, nie powiedziałaś mi, że idziesz na kolację z Brettem Beauchampem! Przecież znamy się od dawna - wykrzyknęła rozpromieniona Lovie. - Ile to już lat, Brett?

- Nie mam pojęcia, pani Lovie. Przynajmniej z dziesięć, może piętnaście.

- Ale skąd wy się znacie? - zdumiała się Cara.

- Wyspa jest jak małe miasteczko - odrzekła Lovie. - Brett pomagał Florence w remontach domu. Zna się na wszystkim i wszystko potrafi zrobić.

Cara rzuciła mu wymowne spojrzenie. Uniósł brwi, ale udało mu się zachować powagę.

- Naprawdę - unosila się zachwycona Lovie. - Widziałaś, jaką ma piękną werandę? To Brett ją zbudował. I altankę też. Brett, rozmawiałeś ostatnio z Florence?

- Nie, proszę pani. Nie widziałem jej już dawno. Muszę do niej zajrzeć. Jak się miewa starsza pani Prescott?

- Miranda? Ostatnio nie najlepiej. Ale na pewno bardzo się ucieszy, gdy ich odwiedzisz. Ciągle o tobie mówi. Chyba złamałeś jej serce.

- Mam nadzieję, że nie odczuwa żadnych poważnych kłopotów ze zdrowiem?

- Gdy się ma pięćdziesiąt lat, każda choroba jest poważna. Ale mamy nadzieję, że to tylko lekkie przeziębienie i że wkrótce poczuje się lepiej. Tylko żółwie trzymają ją przy życiu. Gdy zaczną się wykluwać młode, Flo nie uda się utrzymać matki z dala od plaży.

Cara uśmiechnęła się lekko.

- A kto się tobą teraz opiekuje? - dopytywała się Lovie. - Nie rozumiem, jak to możliwe, że żadna kobieta jeszcze nie złapała cię na haczyk. Taki przy- stojny mężczyzna...

Brett zarumienił się lekko.

- Mamo... - powiedziała Cara ostrzegawczo, Lovie jednak nie dawała tak łatwo zbić się z tropu.

- Nadal mieszkasz przy Hamlin Creek?

- Tak, proszę pani. Na szczęście kupiłem ten dom przed laty. Teraz chyba nie byłoby mnie na to stać.

- Coś o tym wiem. Kto by pomyślał, że te działki osiągną takie ceny? To była mądra inwestycja. Słyszałam, że twoja firma też radzi sobie całkiem nieźle. Cara wróciła z wycieczki zachwycona, chociaż nie wspomniała mi ani słowem, że płynęła na twojej łodzi. Dumna jestem z ciebie, synu. I twój ojciec na pewno też jest z ciebie dumny. Pilotujesz statki, tak jak on.

- No cóż, jego statki są trochę większe, ale mimo wszystko dziękuję pani.

Cara spojrzała przez ogród na dom Florence Prescott. Weranda rzeczywiście była bardzo ładna, dobrze zaprojektowana i solidnie wykonana, a ponadto stylem komponowała się z całością domu.

- Posłuchaj, Brett, może interesuje cię kolejna praca? Nieduża... - wtrąciła się do rozmowy, jak zwykle szybko podejmując decyzję.

Na jego twarzy odbiło się zaciekawienie.

- Prawdę mówiąc, już od dość dawna nie mam czasu na dodatkowe zlecenia. Ale pani Lovie to co innego. A o jaką pracę ci chodzi?

- O zbudowanie werandy od frontu. I jeszcze pergoli - dodała, patrząc z uśmiechem na matkę, która ze zdziwienia szeroko otworzyła oczy.

Reakcja Lovie nie uszła uwagi Bretta. Spojrzał na Carę pytająco, a potem podszedł do przedniej ściany domu i zaczął ją dokładnie oglądać. Obydwie kobiety poszły za nim. Brett obejrzał ścianę od rogu do rogu, a potem stanął z rękami skrzyżowanymi na piersiach i przez chwilę milczał, zamyślony.

- Da się zrobić - powiedział w końcu.

- To wspaniale! - ucieszyła się Lovie.

- Czy chciałaby pani mieć coś takiego jak przedtem, przed huraganem?

- Nie mogę uwierzyć, że pamiętasz jeszcze tamtą werandę - zdumiała się Cara. - Przecież to było tak dawno!

- Oczywiście, że pamiętam. Jeszcze zanim przeprowadziłem się na wyspę, przyjeżdżałem tu w lecie do pracy na budowach. Przejeżdżałem obok tego domu i zawsze podziwiałem pergolę z kwitnącymi różami. To był niezapomniany widok, pani Lovie. Wielka szkoda, że huragan zniszczył pergolę i róże.

- Właśnie mówiłam mamie to samo - wtrąciła Cara.

- Myślę, że wiem, czego by pani chciała - pokiwał głową Brett. - Coś o tradycyjnym wyglądzie, ale solidnego. Może znajdzie pani jakieś stare zdjęcia, które mógłbym obejrzeć? Problem tylko w tym, że mam niewiele wolnego czasu, więc trochę to potrwa.

- A czy udałoby ci się skończyć jeszcze tego lata? - zapytała Lovie.

Brett potarł podbródek.

- Może do jesieni. W lecie mam najwięcej pracy.

- To musi być wcześniej - upierała się Cara. - Im wcześniej, tym lepiej.

Weź kogoś do pomocy. Zamów wszystko, co ci potrzebne. Pieniądze nie są problemem.

Brett zmarszczył brwi i Carze wydawało się, że zauważyła w jego oczach błysk gniewu.

- Pieniądze może nie, ale mój czas jest problemem.

- Przepraszam, Brett, nie chciałam na ciebie naciskać. Tylko że... - wskazała matkę wzrokiem - czas jest tu bardzo istotny.

Zapadła długa chwila milczenia. Brett i Cara patrzyli na siebie. W końcu na jego twarzy zaświtało zrozumienie i przeniósł wzrok na Lovie.

- W takim razie jest tylko jedno wyjście. Powinienem zacząć zaraz, jak najszybciej, zanim sezon na dobre się rozkręci. Ale musi pani wynająć pomocników, myślę, że nawet dwóch. Ja narysuję plany i będę sprawował nadzór. Znam kilka osób, które mogę polecić. Pracują dobrze i nie żądają wielkich pieniędzy.

- Wezmę każdego, kogo tylko polecisz - odrzekła Lovie.

Cara była bardziej bezpośrednia.

- Więc zgadzasz się? - zapytała bez ogródek. Na widok jego krzywego uśmiechu zrozumiała, że wygrała. Zaraz jednak się okazało, jaką cenę przyjdzie jej zapłacić za to zwycięstwo.

- Zgadzam się, pod warunkiem, że ty też przyłączysz się do ekipy.

Lovie roześmiała się ze zdziwieniem.

- Ja? - zdumiała się Cara. - Ale ja nawet nie umiem wbić gwoźdźcia! Będę tylko przeszkadzać.

- A kto mówił coś o gwoździach? Myślałem raczej o puszcze z farbą i pędzlu.

RS

*Temperatura piasku podczas inkubacji jaj
determinuje płeć zarodków. Przy niższych
temperaturach wylęgają się samce,
a przy wyższych samice.*

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Nie ma jak w domu - oznajmił Brett, prowadząc Carę po wykruszzonej cementowej ścieżce. - Wejdz i rozgość się, a ja się zajmę kolacją.

Cara przystanęła przed progiem i ze zdumieniem zapatrzyła się na domek.

- On jest różowy! - wykrzyknęła, nie wierząc własnym oczom.

- Nazywa się Pod Różowym Flamingiem - uśmiechnął się Brett, wskazując na metalową figurkę ustawioną obok wejścia. Na widok spojrzenia Cary wybuchnął głośnym śmiechem. - Nie patrz tak na mnie! Przecież jesteśmy na wyspie. Co innego, gdybym pomalował dom na różowo na Północy, ale tutaj jest jak na Bermudach!

- Wiem, ale ciężko mi sobie ciebie wyobrazić w różowym domu, gdziekolwiek by się on znajdował - zaśmiała się.

Domek był kwadratowy, nakryty spadzistym, szarym dachem. Przed nim na zadbanym trawniku rósł wielki stary dąb.

- Śliczny domek - uśmiechnęła się kpiąco.

- Śliczny? Teraz dopiero poczułem się urażony - prychnął Brett, przekręcając klucz w zamku.

- Wejdz, zanim powiesz kolejne głupstwo.

Wnętrze było typowo kawalerskie. Ściany pomalowano szarą farbą, żarówki tkwiły w samych oprawkach, a meble bez wątpienia pochodziły ze sklepu z używanymi sprzętami. Przy drzwiach stał rower, a obok niego leżał kombinezon do nurkowania i kajak. Miejscem pracy Bretta był stół w jadalni,

zarzucony listami, papierami i książkami. Cara szybko przesunęła po nim wzrokiem i zapatrzyła się w przeszklone drzwi zajmujące całą ścianę, z imponującym widokiem na Kanał Śródlądowy. Poczwała, że zakochuje się w tym miejscu.

Brett stanął za nią i objął ją ramionami. Gdy położył dłonie na jej brzuchu, drgnęła i z westchnieniem przymknęła oczy. Czyżby wreszcie się zdecydował?

- Głodna jesteś? - zapytał.

- Okropnie - przyznała nieśmiało.

- Zaraz zrobię kolację - powiedział i odszedł.

Popatrzyła za nim, oszołomiona. Każdy inny mężczyzna na jego miejscu po prostu wsunąłby dłonie pod jej bluzkę, potem położył ją na podłodze, a dopiero potem pomyślał o kolacji. On tymczasem rozsunął szklane drzwi i poszedł na brzeg kanału, w miejsce, gdzie znajdował się pomost do cumowania łodzi. W chwilę potem wrócił, niosąc ociekającą wodą metalową klatkę pełną krabów.

Czyżby naprawdę umiał coś z nich przyrządzić?

Mężczyźni, których znała wcześniej, potrafili tylko wyjąć jedzenie z lodówki albo zamówić pizzę przez telefon. Oparła się o drzwi i wybuchnęła śmiechem. Bogu dzięki, Brett nie był podobny do żadnego z mężczyzn, których znała wcześniej.

Razem ugotowali kraby w dużym garnku z nierdzewnej stali. Cara roztopiła masło, a Brett przygotował kukurydzę. Gotowanie odbywało się na werandzie, na palniku gazowym. Zachodzące słońce rzucało różowe blaski na wodę w kanale.

Potem siedzieli w ostatnich promieniach słońca, jedli kolację i pili piwo prosto z puszek. W latarniach sztormowych migotały płomyki świeczek. Rozmowa toczyła się swobodnie. Rozmawiali o pracy, o żółwich gniazdach, o

budowie werandy i o wielu innych rzeczach. Godziny mijały i Cara odkrywała, że Brett podoba jej się coraz bardziej. Skupienie, z jakim jej słuchał, szczerzy śmiech i mimika twarzy, gdy coś opowiadał. Czowała się przy nim bardzo dobrze i zastanawiała się, czy on tak samo czuje się w jej towarzystwie.

Sprzątnęli puste skorupy i gdy znów usiedli przy stole nad piwem, Cara opowiedziała Brettowi o Toy i Darrylu. Zareagował tak, jak się spodziewała: mocno zacisnął usta i ze złością zgniół pustą puszkę.

- Niech ten gówniarz tylko spróbuje pokazać się w tej okolicy, a gorzko pożałuje. Prawdę mówiąc to chciałbym, żeby się tu pokazał.

- Ciekawa jestem, dlaczego mężczyźni tak bardzo lubią bójki?

- Cara, ja nie żartuję. Nie znoszę tego rodzaju kolesi. Jeśli taki nie uderzy kobiety, to nie czuje, że jest mężczyzną. Chciałbym zobaczyć, jak by się zachował na widok kogoś silniejszego od siebie.

- Rozumiem, ale wołałabym, żebyśmy w ogóle nie musieli go oglądać. Z takim nigdy nie wiadomo, czy nie wyciągnie zniecka noża albo pistoletu.

- Dałbym sobie radę. Dlaczego tak na mnie patrzysz? Nie wierzysz?

- Przeciwnie - uśmiechnęła się. - Wierzę i właśnie dlatego tak na ciebie patrzę. Jeszcze przy żadnym mężczyźnie tak się nie czułam.

- Jak?

- Bezpiecznie - odrzekła ze zdziwieniem. - Mój ostatni chłopak... - Urwała i przyłożyła dłoń do policzka. - Boże, co to za okropne słowo? Chłopak, w moim wieku?

Brett zmarszczył brwi.

- Co chciałaś o nim powiedzieć? - zapytał z napięciem. Cara odniosła wrażenie, że jest trochę zazdrosny, i sprawiło jej to satysfakcję.

- No cóż - powiedziała powoli, zastanawiając się, na ile może się odsłonić. - Pracowaliśmy w tej samej firmie. Rozmawialiśmy o wszystkim, co wiązało się z pracą, i wydawało mi się, że dobrze się rozumiemy. Lubiliśmy swoje towarzystwo. Wiesz, jak to jest, gdy łączą cię z kimś wspólne

zainteresowania. Ale nic mu nie mówiłam o moich sprawach osobistych. To nie była świadoma decyzja, po prostu nie miałam na to ochoty. Z zasady nie opowiadam nikomu o moich osobistych sprawach. Ale teraz, gdy o tym myślę, zdaję sobie sprawę, że to instynkt mnie ostrzegł. Nigdy nie byłam pewna, czy Richard nie użyje tych informacji przeciwko mnie. I okazało się, że moje obawy były słuszne.

- A co się stało?

- On dostał awans, a mnie wyrzucono z pracy. Nie winię go za to, ale wiedział o tym wcześniej, a mimo to mnie nie ostrzegł.

- Wyrzucono cię z pracy? Kiedy?

- W zeszłym miesiącu, przed przyjazdem tutaj.

- I to wszystko, co chcesz mi powiedzieć?

- A co mam ci jeszcze powiedzieć? To się zdarza. Jaka to dla ciebie różnica?

- Bardzo wielka. Przecież nie mogę wziąć od ciebie pieniędzy, skoro nie masz pracy. Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś?

- Czy to kolejna z twoich zasad? Mężczyzna z Południa nigdy nie bierze pieniędzy od kobiety, którą chwilowo opuściło szczęście?

- Nawet jeśli wcześniej nie miałem takiej zasady, to teraz już mam.

- Nie martw się - uspokoiła go. - Nie jest ze mną tak źle. Może nie wystarczyłoby mi pieniędzy na budowę całego domu, ale werandy, owszem.

- Nie.

- Brett, proszę, nie upieraj się - westchnęła. - To jest mi bardzo potrzebne. Nie wiem, jak ci to wyjaśnić. Muszę zrobić coś, żeby pomóc mamie, żeby poczuła się lepiej. Przez wiele lat kontakty między nami pozbawione były jakiegokolwiek treści. Wiem, że ta weranda sprawi jej wielką radość, i chcę, żeby dostała ją ode mnie. Nie interesuje mnie, ile to będzie kosztowało, bo wiem, że jeśli tego nie zrobię, koszty emocjonalne będą większe.

Brett zastanawiał się przez chwilę.

- To nie będzie kosztowało dużo.

- Nic z tego. Żadnych specjalnych cenników. Twój czas ma swoją wartość. Doceniam ciężką pracę i solidne wykonanie. Ale dziękuję, że mi to zaproponowałaś.

- Nie zapominaj, że mnie też zależy na samopoczuciu pani Lovie. Jest bardzo chora, tak?

Cara obawiała się tego pytania, wiedziała jednak, że nie da się go uniknąć.

- Ma raka.

Brett pochylił głowę. Cara położyła dłoń na jego dłoni.

- Brett, ogromnie ci dziękuję, że zgodziłeś się przyjąć to zamówienie.

Wiem, że byłam natarczywa, i przepraszam cię za to, ale wpadłam w panikę. Lekarz mówi, że to może potrwać nie dłużej niż do końca lata, a ja chciałam odbudować jej tę werandę jeszcze zanim... jeszcze wcześniej.

- Przypuszczałem, że to może być coś w tym rodzaju. Twoja mama wygląda bardzo krucho.

- Wiem. Serce mi się ściska, gdy na nią patrzę. Nie chce jeść, co chwila musi się zatrzymywać, żeby złapać oddech. I zaczęła kaszleć, zauważyłeś? Boję się. Czuję się zupełnie bezradna. Zawsze gdy jest jakiś problem, mam ochotę coś zrobić, a tu nic nie mogę działać.

- Nikt nie może. To natura. - Brett dotknął jej dłoni. - Powiem ci szczerze, co myślę, i mam nadzieję, że nie poczujesz się tym urażona. Wszyscy patrzymy na śmierć jak na jakąś aberrację natury. Jak na coś, co trzeba koniecznie naprawiać. Ja obserwuję naturę na co dzień i nie wszystko w niej jest ładne. Życie jest niebezpieczne, a czasem również okrutne. Ale zarazem i piękne. Szczególnie w trudnych chwilach warto o tym pamiętać. Ciężko nam patrzeć na chorobę pani Lovie, bo ją kochamy. Ale jeśli przyszedł na nią czas, to musimy jej pomóc przez to przejść, a nie walczyć z tym. Bo nasza walka będzie jej tylko wszystko utrudniać.

- Ale ona ma dopiero sześćdziesiąt dziewięć lat! To niesprawiedliwe!

- A kto powiedział, że życie jest sprawiedliwe? A czy sprawiedliwe jest, gdy umiera dziecko? A czy sprawiedliwe są wojny i epidemie? Albo gdy krab chwyta małe żółwiątko, które dopiero co się wykluło? Czy to jest sprawiedliwe?

- Och, proszę cię - odrzekła Cara ostro, zabierając rękę. - Nie chcę słuchać takich wzniosłych banałów. To nie jest jakaś tam teoretyczna, abstrakcyjna dyskusja.

Brett wydawał się urażony.

- Posłuchaj - westchnęła Cara. - Gdy czytam w gazetach o tragedii, w której ktoś ginie, jest mi smutno przez krótką chwilę. Nawet gdy umiera ktoś z dalszych znajomych, po prostu wracam do własnego życia. Ale tu chodzi o moją matkę. Bardzo to przeżywam i złość się, że nie mogę nic poradzić. Nie chcę, żeby moja mama umarła - zakończyła, zakrywając twarz rękami.

Brett usiadł obok niej i otoczył ją ramionami. Przytuliła się do niego z ufnością, znajdując pociechę w bliskości.

- Tak się boję. I naprawdę nic nie mogę zrobić.

- Robisz bardzo wiele. Przyjechałaś tutaj, to na pewno było dla niej bardzo ważne. A teraz remontujesz dom. To ważne dla was obojgu. Nie trzeba być geniuszem, żeby dostrzec symbolikę twych poczynań.

- Mam wrażenie, że wszystko wymyka mi się spod kontroli.

- Może po prostu zmienia ci się perspektywa. Cara pociągnęła nosem.

- Może. Sama nie wiem. Za dużo się dzieje, nie potrafię sobie tego poukładać. Boję się, że to dopiero początek. Czuję się bardzo samotna.

- Nie jesteś sama. Będę przy tobie.

Nie powiedział nic więcej, tylko wzmocnił uścisk. Gdy pochylił się nad jej twarzą, Cara nie czuła żadnego zdenerwowania ani nie zastanawiała się, czy wysyłała właściwe sygnały. Wiąż między nimi wydawała się naturalna i mocna jak prąd wody za oknem.

Gdy Cara i Lovie wróciły z plaży następnego ranka, dom wydawał się nienaturalnie cichy. Z odtwarzacza CD nie płynęła muzyka, a Toy nie krzątała się w kuchni. Lovie stanęła pośrodku salonu z głową przechyloną na bok i pomachała do córki, by ta podeszła bliżej.

- Posłuchaj - szepnęła. - Czy ona płacze?

Z pokoju Toy dobiegały stłumione westchnienia. Ostatnio dziewczyna była bardzo milcząca i gdy tylko mogła, zamykała się w swojej sypialni. Cara napotkała zmartwione spojrzenie matki i powiedziała cicho:

- Od jakiegoś czasu Toy miewała bardzo zmienne nastroje. To pewnie skutek ciąży.

- Zmienne nastroje to jedno, a płacz to zupełnie co innego - stwierdziła Lovie i zdecydowanym krokiem podeszła do drzwi sypialni.

Cara poszła za nią. Drzwi były uchylone. Zerkając do środka przez szparę, ujrzały Toy żałośnie zgarbioną nad wielkim kłębem materiału, który utknał pod igłą wciąż warczącej maszyny do szycia.

Lovie pchnęła drzwi i weszła do środka. Dziewczyna podniosła na nią wzrok.

- Zmarnowałam cały materiał - jęknęła. - Próbuję i próbuję, ale nic mi nie wychodzi. Nienawidzę szycia!

Lovie położyła dłoń na jej ramieniu i zapytała łagodnie:

- Skarbie, dlaczego mnie nie poprosiłaś o pomoc?

- Nie chciałam sprawiać pani kłopotu, myślałam, że poradzę sobie sama. Nie sądziłam, że to będzie takie trudne! Ten materiał jest okropnie śliski!

- Dziecko drogie, skąd mogłaś wiedzieć, że tę tkaninę szyje się wyjątkowo ciężko - westchnęła Olivia.

- Bo ja jestem głupia.

- Wcale nie jesteś głupia - zaprotestowała Cara.

- To dlaczego mi nie wychodzi? Przecież mnóstwo ludzi potrafi szyć.

- To nie twoja wina - uspokoiła ją Lovie, patrząc na wzór. - Każdy miałby z tym kłopoty. To trudny fason. Czy uczyłaś się kiedyś szycia?

- Tylko podstaw, w siódmej klasie. Robiliśmy poduszkę czy coś takiego. Myślałam, że jakoś dam sobie radę, ale te zakładki... to takie trudne.

- Ja bardzo lubię szyć. To wcale nie takie trudne. Ale żeby zbudować dom, najpierw trzeba nauczyć się wbijać gwoździe - tłumaczyła Lovie.

- Mama ma rację - potwierdziła Cara. - Ona bez problemu wszystkiego cię nauczy.

Toy milczała pochmurnie.

- Na początku wszystko wydaje się trudne - ciągnęła Olivia. - Nauczę cię z wielką przyjemnością. Myślę, że tego materiału nie da się już bardziej zepsuć.

Nie patrz na mnie tak ponuro. Może pojedziemy do sklepu i wybierzemy coś innego? Na przykład gładką bawełnę. Coś, co nie jest śliskie i nie będzie się marszczyć pod igłą.

- Ja wezmę Lovie na zakupy - zaoferowała się Cara. - Dla ciebie podróż do miasta może być zbyt męcząca.

- No dobrze. Aha - przypomniała sobie Lovie, spoglądając na Toy błyszczącymi oczami - podobno niedługo masz urodziny! Dlaczego sama mi o tym nie powiedziałaś?

- To nic ważnego. Nie czekam na żadne prezenty.

- Ależ oczywiście, że coś dostaniesz! To przecież twoje osiemnaste urodziny, bardzo ważna rocznica!

Toy poczerwieniała i poruszyła się niespokojnie.

- Jeśli naprawdę chce pani mi coś dać w prezencie, to, hm, byłabym wdzięczna, gdyby to było coś dla dziecka. Ja sobie jakoś poradzę, ale dla niego nie mam nic, a będę potrzebować wielu rzeczy. Składam wszystkie pieniądze na wyprawkę.

Cara poczuła się głęboko poruszona. Przypomniała sobie czasy, gdy była w wieku Toy i próbowała zacząć nowe życie w Chicago, nie mając grosza przy duszy. Dobrze pamiętała ten lęk.

- Dostaniesz mnóstwo rzeczy dla dziecka, gdy się już urodzi - powiedziała, obiecując sobie w duchu, że dopilnuje, by Toy miała wszystko, co będzie jej potrzebne. - Ale na osiemnaste urodziny powinnaś dostać coś dla siebie.

- Kupimy ci kilka sukienek, dobrze? - zaproponowała Lovie. - Żebyś czuła się ładna.

- Nie, proszę pani, bardzo dziękuję, ale nie. Sukienki mogę sobie uszyć sama.

Lovie popatrzyła wymownie na zmięty kłęb materiału. Toy zauważyła jej spojrzenie i wybuchnęła płaczem.

- Nie ma sensu się upierać - zaśmiała się Cara. - Mama nie odpuści ci tak łatwo. A potem jeszcze czeka cię druga runda, ze mną. Po prostu zgódź się i pozwól, żebyśmy kupiły ci coś na urodziny. Sprawisz nam tym wielką przyjemność.

Na twarzy Toy odbiło się niezdecydowanie. Carze było jej żal. Dziewczyna wyraźnie walczyła z własną dumą.

- Proszę cię, Toy - powtórzyła. - Nie ustąpimy, dopóki się nie zgodzisz.

Toy otarła oczy i z zażenowaniem wzruszyła ramionami.

- No dobrze. Skoro to ma uszczęśliwić panią Lovie, to zgadzam się na jedną sukienkę.

Po południu tego samego dnia Cara i Toy siedziały przy stoliku pod parasolem i jadły lunch. Obok stolika stały wielkie torby pełne sukienek ciężowych, szortów i koszulek z lekkiego, połyskliwego materiału, w rodzaju i gatunku, jakiego Toy dotychczas nigdy jeszcze nie nosiła. Aż do tego dnia nie

miała pojęcia, że istnieją nawet kostiumy kąpielowe dla kobiet w ciąży! Kupiły również trochę ubranek dla dziecka.

Cara wiedziała, że powinna oszczędnie gospodarować pieniędzmi, ale tego dnia postanowiła zaszaleć. W Chicago wiecznie była tak zajęta, że nie miała czasu na zakupy. Ekspedientki z kilku zaprzyjaźnionych sklepów odkładały dla niej ubrania, a prezenty zamawiała przez telefon od razu z dostawą. Toteż dzień spędzony na zakupach z Toy był dla niej zupełnie nowym doświadczeniem. Podniecenie dziewczyny na widok każdej nowej sukienki sprawiało jej wielką przyjemność. W dziale z ubrankami dziecięcymi długo oglądały pastelowe malutkie śpioszki i sweterki w misie i kotki. Toy ze śmiechem przyłożyła do brzucha żółtą koszulkę w haftowane kaczuszki i Cara z miejsca ją kupiła. Im częściej Toy powtarzała, że niczego nie chce, w tym większy szal zakupów wpadała Cara.

Patrząc na brzuch Toy, uświadomiła sobie, że dziewczyna mogłaby być jej córką. Nie miała jednak pojęcia, co to znaczy być matką, jakie to uczucie. Na pewno oznaczało utratę niezależności. Właściwie Cara nigdy nie podjęła decyzji, że nie będzie mieć dzieci, tylko przez wszystkie swoje dorosłe lata zajęta była karierą i jakoś nie zdążyła pomyśleć o potomstwie. Naraz uderzyła ją myśl, że po prostu zapomniała o tej sferze życia. Jakże żalodne...

- Szkoda, że pani Lovie nie mogła z nami przyjechać - stwierdziła Toy znad kanapki. - To jedzenie na pewno by jej smakowało. Może zabierzemy jej taką kanapkę do domu?

- To chyba nie ma sensu - pokręciła głową Cara. - Ta kanapka jest za ostra, a mama i tak ostatnio prawie nic nie je.

- Wiem! - zawołała dziewczyna z wielkim przejęciem. - Próbuję gotować rozmaite rzeczy, a ona i tak wszystko zostawia na talerzu!

- Nie czuj się osobiście urażona, Toy. To przez chorobę. Rozmawiałam ostatnio z lekarzem. Na razie mama trzyma się nieźle, ale ostrzegł mnie, że to już nie potrwa długo.

- Nie mogę uwierzyć, to takie okropne - wymamrotała dziewczyna, odwracając głowę w bok.

Cara odłożyła widelec.

- Wiem. To będzie bardzo trudne. Będziemy musiały się nawzajem wspierać.

Toy poważnie pokiwała głową i znów sięgnęła po kanapkę. Po chwili wskazała na talerz Cary.

- Nie jesz już więcej? Czuję się przy tobie jak wielka krowa.

- Jestem umówiona na kolację z Brettem, więc nie chcę się przejadać.

- Znowu?

- Będziemy uzgadniać projekt werandy. Brett sądzi, że uda mu się zacząć pracę pod koniec tygodnia.

- Myślę, że dla ciebie gotów byłby przynieść góry.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Widziałam, jak na ciebie patrzy - odrzekła Toy, wycierając usta serwetką.

Cara powstrzymała uśmiech.

- Nie dlatego zgodził się przyjmując to zlecenie. Powiedziałam mu o chorobie mamy.

- To bardzo dobry człowiek. Spokojny, ale silny. Nie ma takich wielu na świecie.

- Wiem - odrzekła Cara poważnie.

- Darryl chyba nigdy nie patrzył na mnie tak, jak Brett patrzy na ciebie.

- A co cię teraz obchodzi, jak na ciebie patrzył? Toy poruszyła się niespokojnie.

- Jest coś, o czym zamierzałam ci powiedzieć. Ale nie chciałam martwić pani Lovie, więc dobrze, że jesteśmy same. Chodzi o Darryla. Zadzwoiłam do niego kiedyś. Tylko po to, żeby zapytać, co u niego słychać - dodała pośpiesznie na widok spojrzenia Cary. - W końcu długo byliśmy razem i...

- I co ci powiedział? - zapytała Cara, usiłując zachować spokój.

- Niewiele. To skończony drań. Była z nim jakaś inna dziewczyna i wcale go nie obchodziło, że ja to słyszę. Myślę, że nawet chciał, żebym słyszała. To miała być kara dla mnie - prychnęła.

- Mimo wszystko musiało cię to zabołec - powiedziała Cara ze współczuciem, myśląc o Richardzie.

Toy ponuro skinęła głową.

- Tym lepiej, że się go pozbyłaś, prawda? Dziewczyna spuściła wzrok.

- Tylko że on zidentyfikował numer, spod którego dzwoniłam, to znaczy wasz numer, i znów do mnie zadzwonił. Odłożyłam słuchawkę.

- Rozumiem - powiedziała powoli Cara. - I jak myślisz, co on teraz może zrobić?

- Darryl? Jest nieprzewidywalny, a w dodatku uważa, że jestem jego własnością.

Serce Cary zaczęło bić szybciej.

- Więc myślisz, że może tu przyjechać?

- Nie wiem - odrzekła Toy z lękiem. - Mówiłam mu, żeby tego nie robił.

- No dobrze. A co on powiedział? Dokładnie?

- Dokładnie nie pamiętam, ale coś w tym stylu, że nie będę mu mówić, co może robić, a czego nie i że jeśli przyjedzie, to zabierze mnie z powrotem ze sobą. - Jej głos zaczął drżeć. - Mówił to takim tonem... wiem, że był wściekły.

- Tylko bez paniki - uspokajała ją Cara. - To nie jest dobre dla dziecka. Napij się soku, a potem opowiedz mi coś więcej o Darrylu.

Toy skinęła głową i sięgnęła po szklankę.

- Czym on się zajmuje? - spytała Cara.

- Najważniejszy jest dla niego zespół. Są naprawdę dobrzy. Grają country rocka. Darryl pisze też piosenki. Napisał jedną o mnie... Ciągłe mówi o wyjeździe do Kalifornii. Ma nadzieję, że tam ktoś ich zauważy, bo tutaj nie mają

żadnych szans. Potrzebna im tylko mała pomoc, by jakoś zaistnieć, a potem już sobie poradzą.

Ton dumy w jej głosie nie spodobał się Carze.

- A czy on zarabia na życie tą muzyką?

- Nie. To znaczy, jeszcze nie. Pracuje w różnych miejscach. Ostatnio był sprzedawcą w sklepie ze sprzętem muzycznym. Wcześniej barmanem. Lubi miejsca, w których ma kontakt z muzyką.

- Był barmanem? To ile on ma lat?

- Dwadzieścia cztery.

- Dwadzieścia cztery?! Ale przecież ty jeszcze nie skończyłaś osiemnastu! Ile miałaś lat, gdy zaczęliście się spotykać?

- Szesnaście, ale zamieszkałam z nim, dopiero gdy skończyłam siedemnaście - wyjaśniła Toy szybko. - Wcześniej mówił, że jestem jeszcze za smarkata.

- I nie przyszło mu do głowy, że szesnastoletnia uczennica jest za młoda dla dwudziestodwuletniego mężczyzny? Czy on nie zna prawa? Toy, jeden fałszywy ruch z jego strony wystarczy, żeby go wsadzić do więzienia!

- Ale ja nie chcę tego robić! Mówiłam ci, że go kocham. Był dla mnie naprawdę dobry! Zaopiekował się mną, gdy rodzice wyrzucili mnie z domu!

Cara wolała sobie nie wyobrazać, jacy musieli być rodzice dziewczyny.

- Czy sądzisz, że on nadal cię kocha? - zapytała. Toy wzruszyła ramionami, nie podnosząc wzroku.

- To może zapytam inaczej. Czy on nadal uważa, że należysz do niego? Bo jeśli tak, to prawdopodobnie się tutaj pojawi.

- Nie chciałam tego, naprawdę. Po prostu brakowało mi go i pragnęłam usłyszeć jego głos. Nie sądziłam, że mnie odnajdzie. Czy on może zdobyć mój adres?

- Jeśli się postara, to owszem. Musimy być na to przygotowane. Nie chcę, żeby mama musiała się przez niego denerwować.

- Och, nie martw się, on nie zrobi nic złego pani Lovie ani tobie! Nie jest aż takim szaleńcem! Jeśli tu przyjedzie, to tylko po mnie. A ja z nim pojedę, więc nie będziecie miały z nami żadnego kłopotu.

- Owszem, jeśli jemu się wydaje, że może cię tak po prostu zabrać, to będą kłopoty - obruszyła się Cara.

- Cara, ja nie chcę żadnych awantur - wykrztusiła Toy z oczami pełnymi lęku. - Może sama powinnam stąd wyjechać.

- Wiem, że nie chcesz nam sprawiać kłopotów - odrzekła Cara łagodniej. - Ale czy masz dokąd wyjechać? Choćby na kilka dni? Nie ze względu na nas, ale dla własnego dobra. Może mogłabyś zanoćować na jakiś czas u rodziców?

- Nie. Oni nie chcą mnie widzieć, a ja też tam nie wrócę. Właśnie dlatego na początku wylądowałam w schronisku. Jeśli muszę gdzieś się wynieść, to tylko do schroniska. Albo mogę wrócić do Darryla.

- To absolutnie wykluczone. Poza tym prędzej czy później znów znalazłabyś się w takiej samej sytuacji. Najlepiej zostań tu, gdzie jesteś. Goś wymyślimy.

- Cara, jest mi bardzo dobrze z tobą i panią Lovie, nigdy w życiu nie miałam lepszego domu. Ale może lepiej, żeby teraz wyjechała z Darrylem.

Cara oparła łokcie na stole i postukała palcami w usta. Na twarzy Toy odbijała się ta sama determinacja, którą zauważyła u niej już przy ich pierwszym spotkaniu.

- Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie. Czy ty chcesz do niego wrócić?

Dziewczyna popatrzyła na nią z niezdecydowaniem i wzruszyła ramionami.

- Och, Toy... - westchnęła Cara.

- Ja już sama nie wiem, co mam zrobić! - zawołała dziewczyna z desperacją. - Nadal go kocham i nie chcę go stracić. Jest ojcem mojego dziecka. A teraz ty jesteś na mnie wściekła.

- Nie, Toy, nie jestem na ciebie wściekła. To twoje uczucia. Mogą mi się nie podobać, ale one przez to nie znikną. Interesuje mnie tylko bezpieczeństwo twoje i dziecka.

- Toteż ja wcale się nie boję o siebie, tylko o dziecko.

- A powinnaś. Nie zapominaj, że on już raz podniósł na ciebie rękę. Nie możesz mu pozwolić, by tak cię traktował.

- Nie pozwolę, on już więcej tego nie zrobi.

- Chcesz zaryzykować zdrowie dziecka?

- Nie.

- Moim zdaniem to znaczy, że nie jesteś gotowa, by do niego wrócić.

Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Toy potrząsnęła głową.

- W takim razie wszystko jasne. Zostaniesz z nami. Ale powiesz mi, jeśli on znowu zadzwoni?

- Nie zadzwoni.

- A jeśli to zrobi?

- Powiem ci.

Cara mogła tylko mieć nadzieję, że dziewczyna dotrzyma słowa.

- Chciałam cię jeszcze o coś zapytać - powiedziała, zmieniając temat. -

Czy ty skończyłaś szkołę?

Toy potrząsnęła głową.

- Nie mogłam. To znaczy mogłam, ale w ciąży to było dla mnie zbyt kłopotliwe. I Darryl nie chciał, żebym chodziła do szkoły. Powiedział, że nie jest mi to do niczego potrzebne. Więc postanowiłam zająć się tym nieco później.

- A chciałabyś skończyć szkołę? Dziewczyna ze zdziwieniem podniosła głowę.

- Chyba tak.

- To dobrze, bo powinnaś ją skończyć. Sprawdzimy, czy pozwolą ci zdać egzaminy eksternistycznie. Jeśli się przyłożysz, to możesz spróbować nawet pod koniec lata. Ja ci pomogę.

- Dlaczego chcesz to dla mnie zrobić? Cara złożyła dłonie na stole.

- Bo właśnie przyszło mi do głowy, że gdybym urodziła dziecko będąc w twoim wieku, to ono miałoby teraz tyle lat co ty. Wiem, wiem - zaśmiała się. - Ja też bardzo się zdziwiłam, gdy sobie to uświadomiłam. Ale spodobała mi się ta myśl. Chciałabym mieć taką córkę jak ty.

- Nigdy nie sądziłam, że tak o mnie myślisz - wymamrotała Toy z zażenowaniem.

- Początek naszej znajomości był trochę wyboisty, ale chyba obie przekonałyśmy się, że możemy sobie ufać. I że się lubimy. Prawda?

Toy skinęła głową.

- Ja zmieniłam zdanie o tobie, gdy usłyszałam, co powiedziałaś Palmerowi.

- Pewnie nigdy nie będę miała dziecka - westchnęła Cara. - Ani wnuków. Więc chciałabym przynajmniej pomóc tobie.

Toy oparła rękę na wielkim brzuchu.

- Może to dziwne, ale gdy moi rodzice się kłócili, to przykrywałam głowę kocem i marzyłam, żeby adoptowała mnie jakaś inna rodzina. Dobra rodzina, z ładnym domem, taka, gdzie wszyscy się do siebie uśmiechają i rozmawiają uprzejmie, i mówią do widzenia, wychodząc z domu. - Podniosła wzrok i westchnęła. - Jestem z wami bardzo szczęśliwa. To jak spełnienie tamtych marzeń. Czuję się, jakbyście mnie adoptowały. Ale oczywiście tak nie jest - dodała szybko. - Jestem już dorosła i sama będę miała dziecko. Chcę tylko powiedzieć, że to bardzo wiele dla mnie znaczy. Bardzo, bardzo wiele.

Cara poczuła ściskanie w gardle. Wiedziała, ile to wyznanie kosztowało Toy. Wyciągnęła rękę i położyła dłoń na dłoni dziewczyny. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że imituje gest własnej matki.

Na południowo-wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych corocznie zakłada gniazda około osiemdziesięciu tysięcy żółwi, z tego najwięcej we wschodniej części Florydy. Żółwie morskie pokonują dalekie dystanse między obszarami, na których znajdują pokarm, a miejscami, gdzie składają jaja. Choć istnieje wiele teorii na ten temat, nikomu jeszcze nie udało się wyjaśnić, w jaki sposób żółwie znajdują drogę.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Pośród hałasu pił, młotków i głośnych okrzyków, Brett i jego ekipa zakończyli prace przy werandzie oraz pergoli pod koniec czerwca. Cara wynajęła jeszcze ekipę malarzy, którzy odmalowali cały dom.

Lovie była zachwycona. Odmłodziła i wyraźnie przybyło jej energii. Na początku remontu próbowała się trzymać z boku, ale Cara szybko wciągnęła ją w proces podejmowania decyzji. Lovie dobierała odcień farby, znajdowała najlepsze miejsce, by posadzić palmy w miejsce tych, które huragan Hugo powrywał z ziemi, przeglądała niezliczone katalogi i jeździła z Toy do sklepów ogrodniczych, by wybrać odpowiednie gatunki pnących róż. A przede wszystkim Cara nieustannie powtarzała matce, że dom jest i na zawsze pozostanie jej własnością.

Metody Cary okazały się skuteczne. Lovie znów poczuła, że żyje; w gruncie rzeczy już od wielu lat nie była równie ożywiona. Nadzorując sadzenie siedmiu nowych palemek, przypomniła sobie czasy, gdy kupiła ten domek i dopiero zaczynała go urządzać. Na wyspie było wówczas mnóstwo drzew i zaledwie kilka domów.

W ciągu trzech tygodni trwania remontu Lovie każdego ranka po obudzeniu odmawiała modlitwę dziękczynną. Przede wszystkim cieszyła się, że dane jest jej w ogóle się obudzić i przeżyć jeszcze jeden dzień. Cieszyły ją również drobne obowiązki, codzienna rutyna i bliskość pozostałych kobiet.

Pierwszego lipca, zaraz po przebudzeniu, Lovie przywołała do siebie Toy i Carę i oznajmiła z wielkim podnieceniem:

- Z okazji ukończenia remontu planuję urządzić tu przyjęcie na czwartego lipca! Chciałabym, żebyśmy zebrali się tu wszyscy, cała rodzina i przyjaciele!

- Mamo, ale to już za cztery dni! - przeraziła się Cara.

- To mnóstwo czasu. Czyżbyś miała jakieś inne plany?

- Nie, tylko myślałam, że...

- Ja też nie mam żadnych innych planów - wtrąciła Toy i pod stołem kopnęła Carę w kostkę.

Entuzjazm Lovie był zaraźliwy i już wkrótce wszystkie trzy kobiety wertowały książki kucharskie i sporządzały długą listę zakupów. Lovie kipiała pomysłami.

- Zrobię chlebek kukurydziany według przepisu ciotki Libby. I smażone kurczaki mojej babci. Aha, i sos do pieczeni dziadka Claytona. Toy, czy mogłabyś przygotować tę twoją sałatkę ziemniaczaną? Była znakomita. Mam nadzieję, że to wszystko zmieści nam się w lodówce.

- Zmieści się - zapewniła ją Toy. - A jak nie, to możemy przechować część jedzenia u Flo.

Lovie odłożyła ołówek i powiedziała ze smutnym uśmiechem:

- Przede wszystkim chciałabym spędzić trochę czasu z Linneą i Cooperem. Prawie ich teraz nie widuję. Może poszlibyśmy wszyscy na plażę? Cara, już nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałam cię w wodzie. Popływasz...

- Oczywiście, mam. Możemy zrobić wszystko, co tylko zechcesz. Ale muszę dzisiaj skończyć malowanie pergoli, bo inaczej nie zdąży wyschnąć.

- Ja ci pomogę - zaoferowała się Toy.

- Dziękuję - ucieszyła się Cara. - A ja ci pomogę przygotowywać jedzenie.

Lovie uśmiechnęła się serdecznie.

- A ja tymczasem mam coś do załatwienia. Jest zbyt gorąco, żeby piec ciasto w domu. Wybieram się dzisiaj z Flo do miasta, więc przy okazji kupię kilka ciast, a po drodze zamówię białe, czerwone i niebieskie kwiaty.

- Tylko nie przemęczaj się za bardzo - ostrzegła Cara.

- Och, nie martw się. Czuję się wspaniale. I Flo będzie ze mną. - Lovie znów wzięła do ręki ołówek. - A teraz zastanówmy się nad listą gości. Jeszcze dzisiaj zadzwonię do Palmera i Julii. Oni zawsze są bardzo zajęci, a to już za parę dni. Mam nadzieję, że jednak będą mogli przyjechać.

- Przyjadą - mruknęła Cara z żelazną determinacją w głosie.

- Dalej oczywiście Florence i Miranda.

- Emmi dostanie szalu, jeśli jej nie zaprosimy - dodała Cara.

- Emmi, oczywiście! Czy Tom też przyjdzie?

- Jeszcze go tu nie ma - odrzekła Cara i napotkała badawczy wzrok matki.

- A chłopcy? Nie wybierają się tu na weekend? Może Emmi ma już jakieś inne plany?

- To ich przyprowadzi - odrzekła Cara, zatrzymując wzrok na Toy. - Są w podobnym wieku co ty. Może o rok czy dwa starsi. I bardzo przystojni.

- Akurat się mną zainteresują - prychnęła Toy. Lovie niepewnie obracała ołówek w palcach.

- Myślisz, że Brett zechciałby przyjść?

- Na pewno tak. Jest dumny z tej werandy chyba bardziej niż ty.

- To taki dobry chłopak.

- Jakby tylko dlatego tu przychodził - prychnęła znów Toy. Cara rzuciła jej wymowne spojrzenie.

- Zdaje się, że między wami iskrzy - rzekła Lovie pogodnie. - Już od paru tygodni przyglądałam się, jak na siebie patrzyliście na tej werandzie. Jeszcze

nigdy nie widziałam, żeby dwie osoby tak często na siebie wpadały. Chyba obydwójecie jesteście trochę niezręczni, no, takie dwie ofiermy...

- Przyjaźnimy się.

Matka tylko uniosła brwi. Cara poczuła irytację.

- Dlaczego tak trudno ci w to uwierzyć? Mężczyzna i kobieta nie zawsze muszą zmierzać do ołtarza.

- Ale tak się dzieje, gdy spotykasz tego właściwego mężczyznę - rzekła Toy z wielką pewnością w głosie. - Ja tam przyjaźnię się tylko z dziewczynami. Mam biegać wokół faceta, tylko po to, by zechciał się ze mną zaprzyjaźnić? To niewarte zachodu.

- A ja się przyjaźnię głównie z mężczyznami - odparowała Cara. - I jeśli kiedykolwiek będę chciała wyjść za mąż, to ten mężczyzna musi być przede wszystkim moim przyjacielem.

Toy popatrzyła na nią takim wzrokiem, jakby podobna myśl nigdy nie zaświtała jej w głowie. Lovie jednak uśmiechnęła się szeroko.

- Cara, po raz pierwszy w życiu wspomniałaś o wyjściu za mąż!

- Nie rób sobie wielkich nadziei, mamó. Mówiłam ogólnie.

- Nie rezerwuję jeszcze sali na wesele, ale bardzo się cieszę, że znalazłaś kogoś tak dobrego i troskliwego jak Brett. Zawsze go lubiłam. On umie dawać, nie tylko brać. Najpierw myśli o innych, a dopiero potem o sobie. W tych czasach to bardzo rzadka cecha. A ty pasujesz do niego. Brett to statek, który potrzebuje silnego sternika.

- Mamó, na litość boską...

- Cara, nie wzywaj imienia Pana nadaremno!

- Dobrze, przepraszam. Ale dlaczego mówisz takie rzeczy? Ani Brett, ani ja niczego nie znaleźliśmy, bo żeby znaleźć, musielibyśmy coś wcześniej zgubić.

Usta Lovie zadrgały śmiechem.

- No cóż, skoro stawiasz sprawę w ten sposób... Toy jednak stanowczo potrząsnęła głową.

- Moim zdaniem, gdy się mówi, że się kogoś znalazło, to znaczy, że wcześniej szukało się odpowiedniej osoby.

- Miłości nie da się kontrolować, a tobie się to nie podoba - dodała Lovie.

- A może ja nie wierzę w miłość?

- Chyba zwariowałaś - oburzyła się Toy. - Każdy ma kogoś, kto jest mu przeznaczony!

- Brett i ja bardzo się lubimy - westchnęła Cara. - Lubimy ze sobą przebywać. To bardzo atrakcyjny mężczyzna. Ale żadne z nas nie szuka stałego związku. Może sądzony nam tylko letni romans.

- Jedno lato może zmienić całe życie - powiedziała cicho Lovie, patrząc na córkę, ale twarz Cary była zupełnie nieprzenikniona. Lovie westchnęła i znów utkwiała spojrzenie w liście gości.

- No dobrze. To razem mamy trzynaście osób.

- Trzynaście? A to nie będzie pech? - zapytała Toy.

- Może nie, ale na wszelki wypadek przygotuję danie z czarnej fasoli - uśmiechnęła się Olivia.

- Lovie, czy to ty skradasz się po mojej kuchni?

- Miranda! Wstałaś już z łóżka? To wspaniale! Czujesz się trochę lepiej? - zapytała Lovie, podchodząc bliżej, by uścisnąć starszą panią, która właśnie weszła do kuchni, wspierając się na balkoniku. Kiedyś była wysoką, postawną kobietą o dominującym sposobie bycia, ale niestety czas nie obszedł się z nią łaskawie, a zwłaszcza przez dziesięć ostatnich lat. Miała teraz dziewięćdziesiąt lat, zarówno umysł, jak i ciało zaczynały szwankować, ale w dobre dni, takie jak dzisiaj, jej jasne oczy lśniły ciepłem i mądrością.

- Byłam ostatnio na herbatce u Jezusa, ale na razie jeszcze wróciłam - powiedziała. - Nie mam czasu na chorowanie. Przecież muszę zobaczyć małe

żółwici. Od pierwszych dni spędzonych na wyspie Miranda całym sercem oddana była sprawie żółwi. Szukanie śladów, przenoszenie gniazd czy czekanie na plaży, aż pojawią się pierwsze małe, nigdy jej nie męczyło.

- Urządzam piknik z okazji czwartego lipca. Przyjdiesz? - zapytała Lovie.

- Co ty mówisz?

- Urządzam piknik. Czwartego - powtórzyła Olivia głośniej, Miranda jednak nadal patrzyła na nią z niezrozumieniem.

- Słyszałam, że jedziecie dziś do miasta, dziewczynki.

Lovie omal nie zakrztusiła się śmiechem, słysząc to określenie.

- Mamy kilka drobiazgów do załatwienia. Może masz ochotę wybrać się z nami?

- Ja? Broń Boże. W taki upał? Zresztą nie lubię miasta w lecie. Posiedzę sobie na werandzie i pooglądam bajki.

W sąsiednim pokoju rozległ się głos Flo. Gdy po chwili pojawiła się w drzwiach, powietrze wokół niej wydawało się naładowane elektrycznością.

- Cześć, skarbie! Ładnie ci w tej niebieskiej sukience - zawołała promiennie na widok Lovie. - To jedziemy do banku, tak? Gotowa jesteś?

Lovie ze zdenerwowaniem przycisnęła torebkę do piersi. Pomimo upału miała na sobie pończochy, czółenka i sweter, który miał ją uchronić przed chłodem klimatyzowanego wnętrza.

- Gotowa - odrzekła.

Flo przyjrzała się jej uważnie.

- Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? Po tylu latach, właśnie teraz?

Lovie zdecydowanie skinęła głową.

- Jeśli nie teraz, to kiedy? Bobby Lee Davis będzie na mnie czekał.

Zadzwoił również po mojego prawnika. Wszystko już umówione. On mówi, że to bardzo proste, muszę tylko podpisać kilka dokumentów. A poza tym -

uśmiechnęła się - przygotowujemy właśnie piknik z okazji Dnia Niepodległości. Nie sądzisz, że to stosowna data?

*Zbliża się czas wylęgu. Małe żółwiki rozbijają skorupkę
jaja guzem rogowym i jeszcze przez kilka dni
pozostają w gnieździe, by wchłonąć pozostałości
białka, które dostarczają im energii do przetrwania.
Przez ten czas ich skóra wygładza się i twardnieje.*

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Przez cały ranek w ogrodzie pracowały zraszaczki. Lovie wypożyczyła długie stoły do ustawienia na werandzie i we trzy nakryły je niebieskimi papierowymi obrusami. Naczynia i sztucce były jednorazowe - żadna z kobiet nie miała ochoty tracić czasu na zmywanie. Cara i Toy zrobiły dekoracje z białej, niebieskiej i czerwonej bibuły i powiesiły w rogach werandy baloniki z przyczepionymi do nich flagami.

Cara weszła do salonu po taśmę klejącą i zauważyła, że matka układa na stoliku swoje albumy ze zdjęciami.

- Co tam jest? - zapytała ciekawie.

Lovie podniosła głowę i uśmiechnęła się do niej z dumą.

- To owoce mojej kilkumiesięcznej pracy. Pozbierałam wszystkie zdjęcia rodzinne i w końcu je uporządkowałam. Nie miałam pojęcia, że aż tyle tego jest. Od lat nikt ich nie wyjmował z pudełek. Chodź i zobacz - dodała, wyciągając dwa albumy.

- Oddzieliłam zdjęcia twoje i Palmera, każde w osobnym albumie. Pomyślałam, że może zechcecie je zabrać.

Cara usiadła obok matki na sofie i wzięła do rąk album oprawiony w miękką granatową skórę, z wytłoczonym złotymi literami napisem „Caretta”.

- Bardzo ci dziękuję - powiedziała ze wzruszeniem. - Jest piękny.

- Pozostałe zdjęcia ułożyłam chronologicznie. Tak wydawało się najprościej - wyjaśniła Lovie.

Cara zatrzymała wzrok na stosie albumów. Było ich ponad dziesięć, a każdy zawierał dziesięć lat życia rodziny.

- Tyle lat - zdumiała się. - Dokonałeś wielkiego wyczynu.

- Jeszcze nie skończyłam - zarumieniła się Lovie, zaglądając córce przez ramię. Na zdjęciach mała Cara uczyła się pływać na desce, łowiła ryby z Palmerem, grała na pianinie na szkolnych koncertach, wsiadała do autobusu, który miał ją zawieźć na letni obóz, i przebierała się w najrozmaitsze dziwne kostiumy na Boże Narodzenie, Wielkanoc oraz Halloween.

- Popatrz na to - zaśmiała się naraz Cara, wskazując na jedną z fotografii. Dumny Palmer, niewiele starszy od Coopera, bez przedniego zęba, oburącz trzymał koło sterowe łodzi. - Wygląda tu zupełnie jak ojciec!

Lovie również się roześmiała i przysunęła się bliżej. Przejrzały album strona po stronie, a potem sięgnęły po następny.

- Kto to jest? - zapytała Cara w pewnej chwili, wskazując na zdjęcie wysokiego, jasnowłosego mężczyzny w szortach i koszuli z podwiniętymi rękawami.

Obok niego stała Lovie w słomkowym kapeluszu, a za nimi po plaży przechadzał się wielki żółw. - Bardzo przystojny!

Lovie przez chwilę patrzyła na zdjęcie w milczeniu.

- Nie jestem pewna - rzekła w końcu. - To chyba ktoś, kto przyjeżdżał badać żółwie.

Cara, zaskoczona brakiem dalszych komentarzy, spojrzała na matkę uważniej. Twarz Lovie była lekko zaróżowiona.

- Ten mężczyzna wydaje mi się znajomy - stwierdziła z przekonaniem.

- Zatrzymałam to zdjęcie ze względu na żółwia - mruknęła Olivia i chciała przewrócić kartkę, Cara jednak przytrzymała jej rękę.

- Zaczekaj. Chyba sobie przypominam. Któregoś lata często go widywaliśmy, a potem zniknął. Emmi i ja żałowałyśmy, że przestał przyjeżdżać. Był bardzo miły, nie odganiał nas jak inni dorośli. Zaraz, jak on miał na imię? Coś na R. Robert? Randolph?

- Chyba Russell - mruknęła matka, przewracając kartkę. - To było bardzo dawno temu.

- Ale gdy się patrzy na te zdjęcia, wydaje się, jakby to było wczoraj, prawda?

Lovie zamknęła album i powiodła palcami po gładkiej oprawie.

- Tak - uśmiechnęła się z goryczą. - To prawda.

Julia pojawiła się przed południem. Przywiozła ze sobą Linneę i Coopera. Dzieci wybiegły z samochodu w klapkach i z ręcznikami na ramionach.

- Babciu Lovie, idziemy na plażę! - wykrzyknął Cooper, wpadając w jej ramiona.

- Oczywiście - zawołała Lovie, obejmując go mocno. Linnea natychmiast podbiegła do niej z drugiej strony.

- Uspokójcie się, bo przewrócicie babcię - zawołała do nich Julia, która szła za nimi wolniejszym krokiem, niosąc w obu rękach duże naczynie żaroodporne. - Linnea, kochanie, idź do samochodu i przynieś te kwiaty, które przywiozłaś dla babci. - Przystanęła na werandzie i z westchnieniem potrząsnęła głową. - Dzień dobry - zwróciła się do Lovie. - Gdzie mam to postawić?

Cara podeszła do niej.

- Daj, ja to wezmę. Co słyszać, Julio? Wyglądasz, jakbyś przyjechała tu prosto z pola golfowego.

- Z kortów tenisowych - sprostowała Julia zwięźle. - Dzieci mnie wykończyły. Od wczoraj wieczór przez cały czas marudziły, że chcą tu

przyjechać. W końcu powiedziałam Palmerowi, że nie będę ich zmuszać do pójścia na te wszystkie przyjęcia, na które byliśmy dzisiaj zaproszeni. Dość już się tam nachodziliśmy przez te wszystkie lata. Dzisiaj jest dzień mamy Lovie. Próbowałam go namówić, żeby przyjechał z nami, ale wiesz, że dla niego interesy zawsze są najważniejsze. Powinien niedługo wpaść.

- Lepiej, żeby nic tam nie jadł - mruknęła Cara, kryjąc oburzenie. Dobrze wiedziała, że jej brat pojawi się na wyspie dopiero późnym wieczorem. - Od trzech dni nic nie robimy, tylko gotujemy.

- Mamo, ja chcę iść na plażę! - zawołał Cooper z werandy.

- To idź i włóż spodenki kąpielowe!

Cara i Toy wybrały się na plażę razem z Julią i dziećmi. Lovie została w domu. Pragnęła odpocząć i pobyć chwilę w samotności, a poza tym czekała na Palmera, z którym chciała porozmawiać sam na sam. Od jakiegoś czasu zaczęła się też dużo modlić - nie w swojej intencji, lecz dzieci. Pragnęła zostawić je na tym świecie szczęśliwe i zadowolone z życia.

Wyszła na nową werandę, oparła się o świeżo pomalowaną na biało barierkę i popatrzyła na rząd pnących róż i niedawno posadzone palmy. Dom wyglądał teraz zupełnie inaczej i Lovie miała wrażenie, jakby cofnęła się w czasie. Usiadła na ulubionym bujanym fotelu i patrzyła na ocean.

Tu właśnie znalazł ją Palmer.

- Hej, mamo! - zawołał donośnie, wyrywając ją z zamyślenia.

Lovie drgnęła i odwróciła głowę w jego stronę. Gdy pochylił się i pocałował ją w policzek, poczuła od niego mocny zapach bourbona. To nie wróżyło dobrze. Alkohol bez problemu roznieca ogień złości.

- Nie poznaję tego domu - powiedział, rozglądając się dokoła. -

Podjechałem tu i nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Ta weranda wygląda zupełnie tak jak kiedyś! O, w tym kącie całymi godzinami graliśmy z Carą w Monopol. Jak ci się udało zrobić to wszystko tak szybko? Julia nie potrafi dopilnować wymiany rozbitej szyby!

- Wszyscy włożyliśmy wiele pracy w ten remont, ale to była prawdziwa przyjemność.

Palmer oparł się o drewniany słup podpierający dach i spróbował pchnąć go mocno, a potem z uznaniem pokiwał głową.

- Ten, kto to zbudował, zna się na rzeczy. Powinno wytrzymać nawet huragan.

- Pamiętasz Bretta Beauchampa? - uśmiechnęła się Lovie. - To jego robota.

Twarz Palmera rozjaśniła się.

- Ten stary drań? Nie widziałem go od lat. Trudno mi w to uwierzyć. A co on teraz porabia oprócz budowania werand?

- Na przykład spotyka się z twoją siostrą.

- Możesz to powtórzyć?

- Brett i Cara spotykają się - powtórzyła Lovie wyraźnie. - Z daleka widać, że między nimi iskrzy.

- Podobno przeciwności się przyciągają, ale ja nie byłbym tego taki pewien. Od jak dawna to trwa?

- Dopiero kilka tygodni, ale mam spore nadzieje. Brett to doskonały kandydat na męża.

Palmer potrząsnął głową.

- Ale Cara to zatwardziała stara panna. Nic z tego nie będzie. Poza tym na świecie nie ma takiej kobiety, która mogłaby usidlić Bretta. Chyba już wszystkie próbowały to zrobić.

- Zobaczymy - odrzekła krótko Lovie. Palmer znów rozejrzał się po ogrodzie i z zadowoleniem oparł ręce na biodrach.

- Taak, rzeczywiście nieźle to wygląda. Ładnie pomalowane, nowe okiennice i do tego jeszcze uporządkowany ogród. Coś mi się wydaje, mam, że jednak zdecydowałaś się sprzedać ten dom.

Zauważyła w jego oczach podniecenie, toteż czym prędzej ostudziła jego zapał.

- Nie, synu, absolutnie nie mam takiego zamiaru. Przeciwnie, zrobiliśmy to dla siebie.

Blask ożywienia zniknął z oczu Palmera. Zacisnął usta i powoli usiadł w drewnianym fotelu, nie spuszczając wzroku z matki.

- Myślałem, mam, że już o tym rozmawialiśmy - powiedział po długiej chwili tonem, który Lovie uznała za lekceważący.

- Owszem, rozmawialiśmy. Ale ponieważ jesteśmy teraz sami, to uważam, że powinniśmy porozmawiać o tym jeszcze raz.

- Jeśli chcesz - zgodził się szybko Palmer. - Ja już nic więcej nie mam do dodania. Wiem, że chcesz zatrzymać ten dom, ale tak jak mówiłem, finansowo nie ma to żadnego sensu.

- Ciekawe - stwierdziła Lovie chłodno. - Robert Davis użył dokładnie tych samych słów.

Palmer raptownie podniósł głowę.

- A co Bobby Lee ma z tym wspólnego?

- Byłam u niego. Po naszej rozmowie chciałam mieć dokładny obraz mojej sytuacji finansowej. Bobby to miły człowiek i taki uprzejmy. Bardzo długo mi wszystko wyjaśniał, żebym dokładnie zrozumiała. I teraz już rozumiem. To nie jest aż tak skomplikowane. Najtrudniej było mi zrozumieć, dlaczego rachunki się nie zgadzają. Może nie jestem tak dobra w arytmetyce jak ty, Palmer, ale widzę, kiedy dwa i dwa nie równa się cztery. Z mojego konta wycofano za dużo pieniędzy.

Palmer pobladł.

- Chyba nie sądzisz, że cię okradam? To tylko przekładanie pieniędzy z konta na konto. Czasami muszę tak robić, żeby nie stracić płynności, ale zawsze w końcu wszystko się wyrównuje!

Lovie patrzyła na niego surowo.

- Niestety, już od bardzo dawna nic na to konto nie wpłynęło.

- Mogę ci powiedzieć, gdzie jest każdy cent z tych pieniędzy. Wszystko dostaniesz z powrotem, przysięgam! Mamo, ty nie rozumiesz zasad postępowania w interesach. Jak mam ci to wytłumaczyć?

- Bobby'emu Lee ta sztuka się udała, więc może i ty spróbujesz?

- Transport to dość skomplikowana dziedzina biznesu - powiedział Palmer powoli. - A ostatnio nie szło mi najlepiej. Jeśli brakuje mi pieniędzy na koncie, gdy zbliża się termin spłaty kredytu, to zdobywam je, gdzie tylko mogę. To są tylko tymczasowe pożyczki.

- Oczywiście, rozumiem. Czyli po prostu udzielam ci nieoprocentowanego kredytu?

Palmer uśmiechnął się bez humoru.

- Chyba można tak powiedzieć. Myślałem, że to sprawa całej rodziny. Widocznie się myliłem. Czy chcesz, żebym wypisał ci czek? Mogę to zrobić nawet w tej chwili.

- Nie, Palmer, to nie jest konieczne. Prawdę mówiąc, nie chcę z powrotem ani centa z tych pieniędzy. Nawet nie chcę wiedzieć, gdzie one są. Daję ci je.

Palmer zastygł w zdumieniu.

- Dam sobie radę bez nich - ciągnęła Lovie równym tonem. - Ale poprosiłam Bobby'ego Lee, żeby przeniósł resztę moich pieniędzy na nowe konto, którym będę zarządzać osobiście.

- Co takiego?! Mamo, przecież ty od czterdziestu lat nawet nie wypisałaś żadnego czeku! Nie dasz sobie z tym rady!

- Owszem, dam. Cara mi pomoże. Ona dobrze się orientuje w sprawach finansowych. - Lovie urwała na chwilę. - Nie chciałabym podważać prawdziwości twoich wyliczeń, ale Bobby Lee zapewnił mnie, że wcale nie muszę się wyprowadzać z tego domu. Wystarczy mi pieniędzy, by tu pozostać, jak długo zechcę - uśmiechnęła się. - Czy to nie są dobre wiadomości?

Palmer zmienił się na twarzy.

- Chcesz powiedzieć, że mi nie ufasz?

Lovie westchnęła. Tak było w istocie, ale nie potrafiła się zdobyć na to, by powiedzieć mu to wprost. Poczulby się bardzo zraniony, a ona zanadto go kochała, by celowo sprawić mu przykrość

- Powiedzmy po prostu, że wolę ufać sobie.

- Wygląda mi to na robotę Cary. To ona cię do tego namówiła, tak? - skrzywił się Palmer. - Dowiedziała się, ile jest warta ta posiadłość, i wciąła się w interes na pięć przed dwunastą! Założę się, że namówiła cię też na tę wizytę w banku! Przez cały czas pamiętałem, by mieć się na baczności przed Toy, tymczasem to Cara nastawiła cię przeciwko mnie!

- Cara przeciwko nikomu mnie nie nastawiała - odrzekła Lovie karcąco. - Nikt tu nie występuje przeciwko nikomu innemu. Tylko ty rzucasz jakieś oskarżenia.

- Naprawdę nie ona namówiła cię, żebyś sama zajęła się własnymi finansami?

- Owszem, radziła mi to zrobić - przyznała Lovie szczerze, ale na widok błysku oburzenia na twarzy syna dodała natychmiast: - Dla niej tego rodzaju niezależność jest czymś naturalnym. Nie zapominaj, że twoja siostra odniosła sukces w świecie mężczyzn. Ale nie namawiała mnie do niczego. Nie musiała. Przez tych kilka tygodni, które z nią spędziłam, natchnęła mnie odwagą do stawienia czoła własnym lękom. Dobrze wiesz, że takie konfrontacje nigdy nie przychodziły mi łatwo. Przez całe życie oddawałam ster w ręce mężczyzn. Przypuszczam, że całe moje pokolenie zostało tak wychowane. Dlatego nie obwiniaj Cary. Możesz mieć pretensje tylko do siebie.

- A niby dlaczego? Dlatego, że doradzałem ci, żebyś sprzedała ten dom? Albo że cię prosiłem, żebyś znów z nami zamieszkała i żebyśmy mogli się tobą opiekować? Czy to było takie okropne?

- Szczerze mówiąc, tak. Mówiłam ci wiele razy, że nie chcę już mieszkać w mieście. Tutaj jestem szczęśliwa. Potrzebuję teraz spokoju i samotności. Ale

ty chcesz, żebym robiła to, co twoim zdaniem powinnam. Wiem, tak byłoby ci łatwiej i wygodniej, lecz w ogóle nie zastanawiasz się nad tym, czego ja chcę i potrzebuję. A Cara zrobiła cały ten remont za własne pieniądze, w ogóle nie myśląc o sobie. Zrobiła to, bo wiedziała, że mnie uszczęśliwi.

- I oczywiście nie miała przy tym żadnych ukrytych motywów - rzekł Palmer sarkastycznie.

- Wystarczy już, Palmer - uniosła się Lovie. - Ten dom jest mój, tylko on mi jeszcze pozostał. Tutaj zawsze byłam szczęśliwa. Obroniłam go, gdy twój ojciec chciał mi go wydrzeć siłą. Wiedział, że kochałam ten dom, i wiedział, dlaczego. Był bezwzględny, ale to tylko zwiększało moją determinację. Oddałam mu mój dom, moje pieniądze, i jak teraz widzę, również moją godność. Ale nigdy nie oddałam mu serca, wspomnień ani tego domku. A teraz ty chcesz, żebym oddała go tobie? Po tak długiej walce? Palmer, naprawdę sądzisz, że mogłabym siedzieć spokojnie i patrzeć, jak go sprzedajesz? Dziecko, nie zapominaj, że walczyłam już ze znacznie silniejszym przeciwnikiem!

Palmer wydawał się ogłuszony.

- Nie mam pojęcia, co się tutaj dzieje - wybuchnął. - Jeszcze nigdy nie słyszałem, żebyś mówiła takie rzeczy! Nigdy nie powiedziałaś złego słowa o ojcu! Dlaczego chciał ci wszystko odebrać? Przecież byłaś jego żoną przez czterdzieści lat!

- O czterdzieści za długo.

- Więc powiedz mi, dlaczego?

- To nie twoja sprawa, Palmer. Wydawał się urażony.

- Dobrze. Nie moja sprawa. Ale Carze na pewno to powiedziałaś. Nie wiem, o co tu chodzi, ale odkąd Cara wróciła do domu, wszystko jest inaczej.

To prawda, pomyślała Lovie. Palmer miał rację, mylił się jedynie co do motywów ich obydwu.

- Wybij sobie z głowy wszelkie pomysły dotyczące tej działki - powiedziała twardo. - Widziałam się również z Ashtonem Etheridge'em i

poleciałam mu sporządzić odpowiednie dokumenty. Ten dom po mojej śmierci będzie należał do Cary. Ona jest moją córką i wydaje mi się, że to jak najbardziej sprawiedliwe rozwiązanie.

Oczy Palmera zabłyśły dziwnym blaskiem.

- Wiem, że w twoim przekonaniu nie doceniam tego wszystkiego, co dla mnie zrobiłeś. Ale mylisz się. Doceniam. Wiem, że ciężko pracujesz i dbasz o swoją rodzinę. Ale, Palmer, życie nie składa się tylko z dóbr materialnych. Najwięcej szczęścia dają pozornie bezwartościowe drobiazgi. Pomyśl o tym, co zostawił ci po sobie twój ojciec. Czy takie samo dziedzictwo chcesz przekazać swoim dzieciom?

Lovie przerwała i zaniósła się długim, wyczerpującym kaszlem. Palmer patrzył na nią z przerażeniem.

- Mamo, ja...

- Cicho... wszystko w porządku - wykrztusiła, łapiąc oddech. - Nie trać czasu na zamartwianie się o mnie. Twoje dzieci są na plaży, idź tam i pobaw się z nimi. One cię potrzebują i ty ich też. To są twoje prawdziwe skarby.

- Potrzebuję mocnego drinka - mruknął Palmer. Wstał z fotela i zaczął się nerwowo przechadzać po werandzie. W końcu przystanął przed fotelem Lovie.

- Muszę ci przyznać, mamo, że przygotowałaś prawdziwe fajerwerki na to przyjęcie - rzekł ostro. - I jaki masz dalej program? Powinniśmy teraz wszyscy razem usiąść przy stole jak wielka, szczęśliwa rodzina?

Lovie otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale w tej chwili przy drzwiach wejściowych rozległ się donośny baryton Bretta.

- Już idę! - zawołała, rzucając po drodze wymowne spojrzenie Palmerowi.

Brett trzymał oburącz wielki garnek duszonych krabów.

- Znowu jedzenie? Brett, jest już tyle, że nie mieści się na stole! Mam nadzieję, że przynajmniej ty jesteś głodny!

- Proszę się o to nie martwić. Od rana pływałem z turystami i nagadałem się tyle, że zsiniałem. Resztę dnia zamierzam poświęcić na jedzenie - odrzekł Brett.

Postawił garnek na szafce w kuchni i dopiero teraz zauważył Palmera. Na jego twarzy pojawił się szeroki, szczery uśmiech,

- Cześć, Palmer! - zawołał, wyciągając rękę. Lovie zauważyła z ulgą, że Palmer zdołał opanować wzburzenie i powitał drugiego mężczyznę przyjaźnie. - Jak tu cicho - zdziwił się Brett. - Gdzie są wszyscy?

- Na plaży - wyjaśniła Lovie. - Właśnie mówiłam Palmerowi, żeby do nich poszedł. Może ty też się przyłączysz?

- Przykro mi, ale nie mogę iść teraz na plażę - rzekł Palmer oficjalnym tonem. - Muszę jeszcze wpaść w kilka innych miejsc. Zobaczymy się później.

Zdawkowo pocałował matkę w policzek i wyszedł. Lovie stłumiła gorzkie rozczarowanie i wyszła za nim na werandę.

- Kolacja będzie o szóstej.

- Nie czekajcie na mnie. Nie wiem, kiedy wrócę.

- Palmer!

Odwrócił się, już na schodkach.

- Przyjdź na kolację. Dzieci będą bardzo zawiedzione.

- Niech się przyzwyczajają. Ja też musiałem.

Odwrócił się i odszedł. Lovie patrzyła za nim ze ściśniętym sercem.

*Małe żółwiki w ciągu dnia siedzą spokojnie w gnieździe,
ale nocą przekopują się przez piasek i skorupki jaj,
używając do tego tylnych łap. Dno jamy zaczyna się
stopniowo podwyższać, aż w końcu wypiętrza się
nad poziom wydmy.*

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Było już po kolacji. Florence, Lovie i Miranda siedziały na werandzie i rozmawiały. Brett przez chwilę dotrzymał im towarzystwa, a potem dołączył do Cary, Emmi i Julii przy ogrodowym stole. Toy i Linnea usiadły razem na schodkach. Copper też odpoczywał.

Wszyscy byli rozluźnieni i swobodni i choć nieobecność Palmera ciążyła na atmosferze wieczoru, nikt nie komentował tego głośno. Cara jednak czuła, że coś zaszło między jej bratem a matką w czasie, gdy wszyscy pozostali członkowie rodziny byli na plaży. Po powrocie zastali Lovie siedzącą na werandzie i melancholijnie wpatrzoną w fale oceanu. Cara zauważyła, że matka miała zaczerwienione oczy.

Julię jednak nieobecność męża niewiele obeszała.

- Och, jego nigdy nie ma - powiedziała ze wzruszeniem ramion, i to było wszystko.

Linnea też nie wyglądała na zaniepokojoną, a Cooper cały wieczór spędził przyklejony do Brett. Chłopiec wyraźnie szuka męskiego wzorca, pomyślała Cara ze smutkiem, zastanawiając się, czy Palmer zdaje sobie sprawę, co traci.

Emmi, Julia i Cara zajęte były pakowaniem resztek jedzenia, gdy w kuchni pojawiła się Florence, wyraźnie czymś zaniepokojona.

- Czy ktoś widział moją matkę? - zapytała głośno. Cara rozejrzała się dokoła.

- Myślałam, że jest z tobą na werandzie - stwierdziła ze zdziwieniem.

- A mnie się wydawało, że weszła do domu - mruknęła Flo.

Cała rodzina zaczęła przeszukiwać dom, ale Mirandy nigdzie nie było. Napięcie rosło. Wszyscy wiedzieli, że starsza pani chwilami miewała kłopoty z pamięcią.

- Zobaczę u mnie w domu - powiedziała Flo i szybko poszła do drzwi. Brett od razu ruszył za nią, jednak po chwili obydwójce wrócili z jeszcze bardziej zmartwionymi minami.

- Nie ma jej tam! - zawołała Flo. - Sprawdziliście tutaj dokładnie?

- Przeszukaliśmy cały dom i ogród. Tu też jej nie ma - odrzekła Cara.

- Może powinniśmy zadzwonić na policję - zaproponowała Emmi.

Cara popatrzyła na dzieci, które na dźwięk słowa „policja” szeroko otworzyły oczy.

- Zaraz, zastanówmy się najpierw - powiedziała, próbując się zdobyć na spokój. - Kto ją widział ostatni i kiedy to było?

- Jakies pół godziny temu. Podziwialiśmy zachód słońca - odrzekła Flo.

- Mówiła o żółwiach - dodała Lovie. - O tym, że młode najczęściej wychodzą z gniazda w godzinę po zachodzie słońca.

- I co było dalej?

- Weszliśmy do domu po kawę - podjęła Flo.

- Ostrzegałam mamę, że po kofeinie nie będzie mogła zasnąć, ale ona chciała doczekać fajerwerków. A potem obydwie z Lovie czekałyśmy w kuchni, aż kawa się zaparzy. - To trwało nie dłużej niż kilka minut. Wyszłyśmy z kawą na werandę i już jej tam nie zastałyśmy.

- Zdaje się, że młode z pierwszego gniazda mogą lada dzień wyjść na powierzchnię? - zauważyła Emmi. - Miranda zawsze lubiła sprawdzać, co się dzieje przy gniazdach.

Na twarzy Flo odbiła się ulga.

- Na pewno tam poszła. Boże, mam tylko nadzieję, że nie zgubi się nigdzie po drodze - zawołała i natychmiast pobiegła do drzwi.

Emmi bez wahania ruszyła za nią.

- Które to gniazdo, przy Szóstej czy Dwudziestej Siódmej Alei?

- Miranda pilnuje tylko gniazd po tej stronie plaży, więc to musi być przy Szóstej - wyjaśniła Lovie, idąc za nimi.

Cara dołączyła do nich na werandzie.

- Mamo, czy jesteś pewna, że wystarczy ci sił, żeby po całym dniu jeszcze raz iść na plażę?

- Oczywiście - odrzekła Lovie z entuzjazmem.

- Miranda ma szósty zmysł, jeśli chodzi o żółwie.

Skoro akurat dzisiaj przyszło jej do głowy, żeby sprawdzić gniazdo, to mogę się założyć, że młode wyjdą na powierzchnię. A to muszę zobaczyć! Nie martw się o mnie.

Julia i dzieci również pobiegli za całą grupą. Cara szybko zgarnęła z werandy kilka kocy plażowych i czerwone wiaderko.

- Idziesz, Toy?! - zawołała w głąb domu.

- Nie. Ja chyba mam dosyć na dzisiaj. Zostanę w domu.

Brett dogonił Carę o kilka kroków od werandy. Wziął ją za rękę i razem pobiegli na plażę, w stronę żółwiego gniazda:

Toy stała przed lusterkiem i powoli szcztokowała włosy. Po wizycie u fryzjera, do którego zabrała ją Cara, miały złotobrazowy odcień i miękko układały się wokół twarzy. Lusterko odbijało tylko jej głowę i ramiona. Widziana w takiej perspektywie, Toy niczym nie różniła się od innych dziewczyn.

Na łóżku leżały podręczniki szkolne. Cara przyniosła je przed paroma tygodniami wraz z programem nauki dla eksternistów. Co wieczór obydwie

siadały przy stole i przerabiały kolejne lekcje. Lovie przysłuchiwała się im z kanapy. Gdy Toy dobrze napisała pierwszy test, Cara aż podskakiwała z podniecenia.

- Gdy zdobędziesz świadectwo szkoły średniej, będziesz mogła pójść do college'u! - zawołała.

Toy nic wówczas nie powiedziała, ale wcale nie miała zamiaru iść do college'u. Studia były nie dla takich jak ona. Musiała przecież zajmować się dzieckiem i znaleźć jakąś pracę.

Wyciągnęła się na łóżku i leniwie otworzyła podręcznik do algebry. Była zmęczona, ale w ostatnich dniach uczyła się niewiele, uznała więc, że powinna trochę nadrobić zaległości. „Zakasać rękawy”, jak mawiała Cara. „Nie marnować czasu”. Toy zapamiętała wiele podobnych powiedzeń swej mentorki. Szczególnie starała się zapamiętywać dłuższe i trudniejsze słowa. Sprawiało jej satysfakcję, że potrafiła ich właściwie użyć.

Rozwiązywała właśnie równanie z dwiema niewiadomymi, gdy jej uwagę przykuł jakiś dźwięk z za okna. Przez chwilę leżała nieruchomo, nasłuchując, ale dźwięk się nie powtórzył. Toy nie przestraszyła się; w tym domu czuła się bezpiecznie, a poza tym mnóstwo ludzi przyjechało tego wieczoru na wyspę, by podziwiać pokaz sztucznych ogni na plaży. Wzdłuż drogi za domem stał bardzo długi rząd zaparkowanych samochodów.

W chwilę później rozległy się charakterystyczne trzaski, oznaczające, że pokaz już się rozpoczął. Toy wyszła na werandę i podniosła głowę. Nad wyspą Sullivan rozprysnął się właśnie wielki czerwony kwiat, a po nim dwa następne.

- Och, mały, gdybyś tylko mógł to zobaczyć - powiedziała Toy z zachwytem, kładąc rękę na brzuchu. - Wystarczy mi, że widzę ciebie.

Drgnęła i wpatrzyła się w mrok ogrodu, czując, że serce zaczyna jej bić coraz mocniej.

- Darryl! - zawołała z niedowierzaniem.

Usłyszała chrzęst żwiru i po chwili stanął przed nią na schodkach, z rękami w kieszeniach dżinsów. Wiedziała, że powinna się rozzłościć, ale nic nie mogła poradzić na to, że na jego widok poczuła przyjemny dreszcz podniecenia. Już dawno nikt nie patrzył na nią tak jak on - jak mężczyzna na kobietę.

Wyglądał bardzo porządnie. Włosy miał krótsze niż kiedyś, dżinsy całe i niepoplamione, a buty wypolerowane do połysku.

- Zrobiłaś coś z włosami - zauważył.

Toy zarumieniła się i odruchowo wsunęła luźny kosmyk za ucho.

- Chciałam wyglądać trochę... doroślej - wyjąkała.

- Wyglądasz inaczej. Powiedziałbym, że... ładnie. Zalała ją fala przyjemnego ciepła. Napięcie, jakie odczuwała wcześniej, powoli zaczynało mijać.

- Co ty tu robisz? - zapytała. - Przecież ci mówiłam, żebyś nie przyjeżdżał.

- Nie chciałem sprawiać ci kłopotów. Po prostu gram na sąsiedniej wyspie, więc pomyślałem, że wpadnę i zobaczę, co u ciebie. Tylko tyle, Toy, słowo daję.

W jego oczach było coś, co zawsze ją przyciągało. Wyglądał jak mały chłopiec spragniony opieki matki.

- Koncert w takim dniu to chyba dobry interes - zauważyła.

Darryl podszedł o kilka kroków bliżej.

- Tak. To może być przełom. Nigdy nie wiadomo, kto jest wśród publiczności.

Stał teraz tuż przed nią, z rękami opuszczonymi wzdłuż boków. Nie był zbyt wysoki, chyba nawet niższy od Cary, ale Toy zawsze wydawał się wielki.

Poczuła zapach jego wody po goleniu i znów ogarnął ją przypływ pożądania.

- Myślałem o tobie, Toy. Zawsze we mnie wierzyłaś. Byłaś jak talizman.

Toy poczuła, że zaczyna brakować jej tchu.

- Pojedź tam ze mną.

Przymknęła oczy i oparła się o niego brzuchem. W ciemnościach usłyszała jego śmiech.

- Mówiłem, że ten mały stoi pomiędzy nami.

W jego głosie nie było złości. Toy uśmiechnęła się z drżeniem.

- Jest coraz większy - powiedziała.

- To będzie wielki koleś.

Dziwnie się czuła, rozmawiając z nim w ten sposób o dziecku - o ich dziecku. Nie wiedziała przecież, czy to będzie chłopiec, czy dziewczynka. Naraz jednak zobaczyła oczami wyobraźni małego Darryla i gardło jej się ścisnęło. Stali tu obok siebie, wszyscy troje - prawie jak rodzina.

- Kiedy on ma się urodzić?

- Około piętnastego września. Będzie spod znaku Panny.

- Czy to dobrze?

- Wszystkie znaki są dobre. Panny są bystre i dbają o szczegóły. A ja jestem spod Bliźniąt. Bliźnięta są wrażliwe.

- A ja? - zapytał zmysłowym tonem. Toy oblizła usta.

- Ty jesteś Lwem.

- Brakuje mi ciebie, Toy. Bez ciebie nic nie jest takie samo jak przedtem - powiedział, lekko dotykając jej ramienia czubkami palców.

- Mnie też ciebie brakuje - odrzekła Toy cicho.

Zobaczyła jego twarz tuż nad swoją i przymknęła oczy.

- Chcesz pojechać i posłuchać, jak gram? - zapytał Darryl po chwili, odrywając się od niej.

Pokusa była nie do przezwyciężenia.

- Poczekaj chwilę - szepnęła Toy. Wpadła do swojej sypialni, jeszcze raz przesunęła szczotką po włosach i szybko nałożyła błyszczący na usta. Zgarnęła z łóżka torebkę i zgasła światło. Na łóżku została tylko zapomniana książka do algebry.

*Samce i samice żółwia różnią się również tym,
że samce mają długie ogony i dłuższe płetwy.
Szponiaste płetwy służą im do przytrzymywania
samicy podczas kopulacji. Gody żółwi są burzliwe.
Samce walczą ze sobą o samicę, która następnie
obdarza afektem zwycięzcę pojedynku.*

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Na zachmurzonym niebie załśnił księżyc. Noc była mglista. Pokaz sztucznych ogni dobiegł już końca i tłum zgromadzony przy moło powoli zaczął się rozchodzić. Na szczęście żółwie zaczekały, aż plaża trochę opustoszeje, i dopiero wtedy zaczęły wychodzić z gniazda. Chmury i dymy pozostałe w powietrzu po fajerwerkach przesłaniały blask księżyca. Niemal niewidoczne, żółwiątka powoli pełzły po piasku w stronę morza.

Cara przyklekła przy gnieździe i z podnieceniem liczyła wyłaniające się z niego drobne kształty. Było ich prawie osiemdziesiąt.

- Caretta, czy to już wszystkie? - zapytał Brett, podchodząc do niej od strony oceanu.

- Chyba tak. Są takie śliczne - westchnęła. - Ale pewnie dla ciebie to słowo brzmi idiotycznie.

- Wydaje mi się zupełnie stosowne - uśmiechnął się szczerze.

- Przypomniałam sobie tę noc, gdy razem z mamą obserwowaliśmy żółwicę składającą jaja. Była wtedy pełnia. Widziałyśmy wszystko doskonale. Żółwica była ogromna, a te małe są takie malutkie. Trudno uwierzyć, że aż tak urosną.

- O ile przeżyją. To się uda tylko jednemu na tysiąc.

- Naprawdę? Jakie to smutne...

- Ale takie są prawa natury. Cara objęła się ramionami.

- Czasami natura jest bardzo okrutna.

Obydwoje wiedzieli, że ma na myśli chorobę matki, lecz nie było sensu teraz o tym rozmawiać. Przez chwilę patrzyli na ocean. Zaczął się przyplływ i fale sięgały coraz dalej, coraz zachłanniej wdzierały się w głąb plaży.

- Chcesz się przejść? - zapytał Brett.

Cara spojrzała w stronę gniazda. Julia, Miranda i dzieci poszły już do domu. Matka i Flo też zbierały się do odejścia. Noc była łagodna i przyjazna, a jednak Cara trochę się wahała. Brett wciąż pozostawał dla niej zagadką. Na początku sądziła, że wszystko potoczy się zwykłym trybem: szybki seks i jeszcze szybsze rozstanie. Brett jednak pokierował ich znajomością zupełnie inaczej. Wciąż ją zaskakiwał i przez to coraz bardziej intrygował.

- Dobrze - zgodziła się w końcu.

Wziął ją za rękę i ruszyli wzdłuż brzegu. Po chwili ich kroki zgrały się ze sobą we wspólnym rytmie. Od aksamitnej czerni powietrza odcinał się tylko rząd białych świateł na molo. Nastrój był bardzo romantyczny.

- Często tu przychodzisz? To znaczy, nocą? - zapytała Cara i natychmiast się zreflektowała: - Głupio pytam, przecież tu mieszkasz.

- Prawdę mówiąc, to właśnie dlatego, że tu mieszkam, rzadko bywam na plaży. Chyba uznałem ocean za coś oczywistego. Popatrz tam - wskazał na rząd domów na plaży. - Widzisz migające światła w oknach? Wszyscy siedzą w domach i oglądają telewizję. Nie tylko ja przyzwyczailem się do oceanu.

- Moje mieszkanie wychodzi na jezioro Michigan i przyznaję, że rzadko podchodzę do okna po to, by podziwiać widok na jezioro. Ale wiem, że tam jest, czuję to. Co jakiś czas podnoszę wzrok i naprawdę je zauważam. Wtedy czuję, że to dar. To może być tylko krótka chwila, ale przez tę chwilę moje życie staje się lepsze. Myślę, że z ludźmi tutaj na wyspie jest podobnie.

- Tęsknisz za Chicago?

Cara zastanawiała się przez chwilę. Już od dłuższego czasu w ogóle nie myślała o Chicago, zupełnie jakby zamknęła jakieś drzwi w umyśle.

- Nie - odpowiedziała szczerze. - Ale pewnie któregoś dnia zacznę tęsknić za miastem, ruchem, różnorodnością. Za tempem życia. Bardzo zwolniłam - zaśmiała się. - Mam dużo zajęć, ale już nie żyję w takim pośpiechu.

- Nie ma takiej potrzeby. Życie w wolniejszym tempie smakuje lepiej.

- Nie dziwi mnie, że tak myślisz - odrzekła z lekką kpina w głosie.

- O, a dlaczego tak mówisz?

- Mówi o tym twoja postawa. Wybór zawodów. Podejście do seksu.

Brett zatrzymał się jak wryty.

- Co takiego??

Cara omal nie ugryzła się w język. Pociągnęła go za rękę, ale on się nie poruszył. Opuściła ramiona i niepewnie zaczęła grzebać w piasku czubkiem sandała. Brett spokojnie czekał na odpowiedź.

- No cóż, sam chyba przyznasz, że sytuacja między nami nie rozwija się zbyt szybko - wymamrotała.

- Wydawało mi się, że rozwija się w dobrym kierunku - rzekł Brett z odcieniem urazy w głosie.

- Bo tak jest - zapewniła go szybko. - Stajemy się dobrymi przyjaciółmi. Przyjaciółmi - powtórzyła z naciskiem.

Brett nadal milczał.

- Ale miałam nadzieję, że do tej pory będziemy już czymś więcej - wykrztusiła Cara.

- Naprawdę? A co dokładnie miałaś na myśli? - zapytał Brett, podchodząc o krok bliżej.

- No cóż... Spotykamy się już od jakiegoś czasu i chociaż czuję się z tobą świetnie, naprawdę, to... to miałam nadzieję, że dojdziemy do czegoś... do czegoś więcej.

- To bardzo interesujące, co mówisz - powiedział Brett, przesywając ją wzrokiem na wylot. - I doszłaś do wniosku, że ja nie liczę na to samo?

Cara porzuciła lekki ton i odrzekła całkiem szczerze, niemal nieśmiało:

- Nie byłam pewna. Zastanawiałam się, czy w ogóle uważasz mnie za atrakcyjną kobietę. Albo czy zachowywałam się zbyt śmiało. Wiem, że bywam zbyt bezpośrednia, i martwiłam się, że to cię mogło zniechęcić.

- A dlaczego tak myślałaś?

Sądząc po głosie, wydawał się szczerze zaskoczony.

- Bo nigdy... to znaczy... - Boże, dlaczego ta rozmowa musi być taka trudna? Cara czuła, że policzki ją palą, i nie mogła się nadziwić własnej nieporadności i głupocie. Miała przecież wielu kochanków, a jednak teraz rumieniła się jak uczennica. - Od kilku tygodni całujesz mnie, ale nigdy nie próbujesz posunąć się dalej - powiedziała wprost, marząc, by już zakończyć tę rozmowę.

Brett stał w ciemnościach o kilka kroków od niej, tak blisko, że widziała, jak na jego ustach powoli pojawił się uśmiech.

- Cara - powiedział, wsuwając kosmyk jej włosów za ucho. - Cara, ja się do ciebie zalecam.

Popatrzyła na niego, niepewna, czy dobrze usłyszała. Zalecał się do niej? Czy na tym świecie, w tych czasach istnieją jeszcze mężczyźni zalecający się do kobiet? Nie miała pojęcia, co o tym myśleć, ale była oczarowana.

- Naprawdę? - zapytała z szerokim uśmiechem.

- A czy masz coś przeciwko temu?

- Nie! Tylko że... nie rozumiałam, co się dzieje - odrzekła i chcąc jakoś zatuszować własne zmieszanie, zapytała kpiąco: - Czy to kolejna z twoich zasad? Dżentelmen z Południa zaleca się do damy?

- To zależy od damy.

Uśmiech Cary stał się jeszcze szerszy. Bardzo jej się podobała ta odpowiedź.

- Co robisz jutro? - zapytał Brett.
- A dlaczego pytasz?
- Chcesz się wybrać na biwak?
- A dokąd? - zapytała ostrożnie.
- Czy to ma jakieś znaczenie?
- Może. Nie jadę na żadne bagna. Nie mam ochoty spać z aligatorami i węzami.

Brett parsknął śmiechem.

- Myślałem o czymś lepszym. Powiedz, że się zgadzasz.

Nie była pewna, co o tym myśleć, ale Brett, z głową przechyloną na bok i z tajemniczym błyskiem w oczach miał tyle chłopięcego uroku, że nie potrafiła mu odmówić.

- Dokąd płyniemy? - zapytała następnego ranka, gdy odbijali od pomostu. Łódka była jeszcze bardziej wyładowana sprzętem niż podczas ich poprzedniej wycieczki.

- Na wyspę Capers - wyjaśnił Brett.

Cara uśmiechnęła się. Od czasu pierwszej wycieczki na wyspę miała nadzieję, że Brett jeszcze kiedyś ją tam zabierze.

Był ciepły, jasny dzień. Słońce przypiekało ramiona i policzki. Płynęli kanałem w stronę niewielkiej rafy koralowej ciągnącej się wzdłuż wybrzeża Karoliny.

Wyspa Capers była zupełnie pusta. Biały pas plaży oznaczony był jedynie śladami ptaków. Brett wyniósł sprzęt na wydmę, która wznosiła się nad plażą. Potem rozbili namiot w miejscu osłoniętym od wiatru przez kępę sosen.

Żadne z nich nie miało szczególnego nastroju do rozmowy, dlatego większość dnia spędzili, wygrzewając się na słońcu w zgodnym milczeniu.

Trochę pływali, a potem znów wracali na piasek. Cara miała wrażenie, że słońce

roztapia jej mózg; skoncentrowanie się na jakiegokolwiek myśli było zupełnie niemożliwe.

- Tutaj wszystko jest takie proste - powiedziała do Bretta, przewracając się na brzuch i opierając brodę na splecionych dłoniach. - Nie trzeba podejmować żadnych ważnych decyzji, nikt niczego ode mnie nie chce ani nie prosi, żebym rozwiązała jakiś problem. Nie trzeba zarabiać pieniędzy. Absolutna pełnia szczęścia. Czy moglibyśmy zostać tu na zawsze, jak ta dwójka dzieciaków w filmie? Wiesz, w tym, gdzie oboje wychowywali się razem, robili biżuterię z muszli i zostali kochankami?

- Nie widziałem tego. Brzmi jak historyjka dla młodych dziewcząt.

Cara wyciągnęła rękę i uszczypnęła go w ramię.

- Co za stereotyp. To tak, jakbym ja powiedziała, że mężczyźni oglądają tylko filmy, w których jest mnóstwo szpiegowskich zabawek i krwi.

- No tak. I co z tego?

- Jesteś beznadziejny - uśmiechnęła się.

- A co powiesz o „Tarzanie”?

- Dobry film.

- Ten akurat widziałem. To o facecie, który przetrwał sam w dżungli.

- Tak, ale naprawdę zaczął żyć dopiero wtedy, gdy pojawiła się Jane!

Brett zaśmiał się głośno, podniósł się na nogi i pociągnął ją za rękę.

- Chodź, Jane. Tarzan głodny.

Zaprowadził ją nad mały strumyk, który wcinał się w wyspę jak nóż. Cara stała na brzegu i patrzyła, jak Brett rozplątał sieć, pomagając sobie zębami, a potem wyrzucił ją w powietrze pełnym wdzięku ruchem. Sieć rozpostarła się jak płatki kwiatu, opadła na wodę, i zatonała z pluskiem. Cara pomyślała, że Brett naprawdę jest jak Tarzan: pięknie zbudowany, żyjący w zgodzie z naturą, spokojny. Tylko czy ona przypominała Jane? Chyba nie, chociaż nauczyła się już kilku rzeczy niezbędnych do przetrwania na odludziu. Mimo to nadal czuła

się dziewczyną z miasta. Nie potrafiłaby wyrzec się na zawsze komputera, kawy z mlekiem, kina i restauracji po pracy.

Dobrze się jednak czuła w roli Jane, zanurzając w wodzie szyjkę kurczaka przywiązaną do końca żyłki i poruszając nią tak, jak nauczył ją Brett. Po chwili do szyjki przywarło kilka krabów. Cara nie potrafiła łowić z takim wdziękiem jak Brett, czuła jednak satysfakcję na myśl, że ona również będzie miała swój udział w kolacji.

Gdy słońce zaczęło zachodzić, nazbierali na plaży naniesionego przez fale drewna i pod wieczór rozpalili ognisko. Jedli gotowane kraby i krewetki i popijali je schłodzonym winem. Na niebie pojawił się księżyc w pełni. Brett wziął Care za rękę i podciągnął ją do góry.

- Co będziemy robić? - zapytała.

- Tańczyć.

- Chyba żartujesz. Nie tańczę zbyt dobrze - spłoszyła się. - Mam dwie lewe nogi.

- Chodź.

- Brett, ostatni raz tańczyłam w liceum!

- To jak z jazdą na rowerze. Gdy raz się nauczysz, już nigdy nie zapomnisz.

- Tylko że ja właściwie nigdy się nie nauczyłam.

- To ja cię nauczę.

Włączył magnetofon, który przywiózł ze sobą, i w ciszy wieczoru rozległy się dźwięki muzyki.

- W szkole nigdy z tobą nie tańczyłem - powiedział. - Pomyślałem, że dziś to nadrobie.

- Czuję się, jakbym znów miała szesnaście lat - zaśmiała się Cara.

- Dobrze, że wtedy nie znaliśmy się bliżej. Chyba bym ci się nie spodobał.

- Bardzo lubię, kiedy mówisz poważnie - zakpiła. Brett odgarnął kosmyk włosów z jej twarzy.

- Mówię zupełnie poważnie. Cieszę się, że poznałem cię lepiej dopiero teraz, Caretto.

Przez długą chwilę patrzył jej w oczy, a potem wziął ją za rękę i zaczęli tańczyć. Jak na tak wysokiego mężczyznę, Brett miał zadziwiająco płynne ruchy. Nucać, prowadził ją po wydmach.

- Teraz obróć się. W drugą stronę! - komenderował. - Dobrze! I kto powiedział, że nie umiesz tańczyć?

Cara roześmiała się. Z chwili na chwilę szło jej coraz lepiej. Muzyka była dziwną mieszanką rhythm and bluesa, popu i jazzu. Gdy się w końcu zatrzymali, Brett z tęsknotą zajął jej w oczy. Nie musiał już o nic pytać, tylko bez słowa poprowadził ją przez wydmy w stronę białego namiotu pod sosnami.

RS

*Małe żółwie kierują się w stronę najjaśniejszego
światła. W naturze jest to światło księżyca
lub gwiazd odbijające się w oceanie. Sztuczne światła
mogą je zmylić i doprowadzić do śmierci
w plątaniu wydmowych traw
lub na ruchliwej ulicy.*

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

- Będiesz jadła te frytki?

Toy popatrzyła na frytki polane keczupem. Dziecko zajmowało już tyle miejsca, że żołądek miała zupełnie ściśnięty. Ciągle była głodna i ciągle coś podjadała, ale musiała się zadowolić małymi porcjami. Przesunęła frytki po stole w stronę Darryla.

- Możesz je zjeść.

Był piątkowy wieczór i w Burger Kingu panował tłok. Toy popatrzyła na kropkę keczupu na brodzie Darryla.

- Na co tak patrzysz? - zapytał z pełnymi ustami.

Zauważyła to. Zauważyła również, że ma rozpruty rękaw koszulki. Ostatnio zaczęła zauważać takie rzeczy. Nic mu jednak nie powiedziała, bo naprawdę był dla niej bardzo miły i wciąż powtarzał, że ją kocha. Co prawda nie prawil jej komplementów, tak jak kiedyś, ale kto by się zachwycał ciężarną kobietą?

- Masz keczup na brodzie - odpowiedziała. Darryl otarł brodę palcem.

- Powinniśmy wyjechać dwudziestego września - rzekł. - Myślisz, że zdążysz do tego czasu?

Toy zmarszczyła brwi. Wiedziała, co Darryl ma na myśli: czy zdąży urodzić dziecko i czy będzie już mogła wyjechać razem z nim. Prawie wcale nie

wspominał o dziecku, ona jednak widziała, że nadal go nie chce. Uważał, że maleństwo będzie mu kulą u nogi. Szykował się do zrobienia wielkiej kariery, bo jego zespół właśnie nagrał pierwszą płytę.

Obiecała mu, że odda dziecko i pojedzie do Kalifornii razem z nim. Właściwie nawet nie było to kłamstwo. Chciała po prostu dać mu trochę czasu, by mógł się oswoić ze swoim ojcostwem i przyzwycząić do myśli, że wkrótce on, Toy i maleństwo staną się prawdziwą rodziną. Nie okłamywała również pani Lovie i Cary. Wychodząc na spotkania z Darrylem, mówiła im, że idzie do kina. Takie drobne niedopowiedzenia nikomu przecież nie mogły wyrządzić krzywdy.

Poza tym nie miała pojęcia, co ze sobą począć po urodzeniu dziecka. Cara zamierzała wrócić do Chicago, pani Lovie była umierająca, a Darryl wybierał się do Kalifornii. Toy miała zamęt w głowie. Gdy próbowała się nad tym wszystkim zastanowić, do oczu nabiegały jej łzy. Wiedziała tylko, że kocha swoje dziecko i że musi poczekać z decyzją, dopóki ono się nie urodzi. A wtedy wszystko na pewno jakoś się ułoży.

- Hej - zawołał Darryl i rzucił w nią frytką. - Co się z tobą dzisiaj dzieje? Zadaję ci pytania, a ty siedzisz i milczysz.

- Myślę - odrzekła, strącając frytkę z piersi. - Jeszcze nawet nie zaczął się sierpień. Nie mam pojęcia, co będzie we wrześniu.

- Przecież jest już koniec lipca. Wrzesień niedaleko. Muszę to i owo zaplanować.

- Lekarz mówi, że dziecko może się urodzić o dwa tygodnie wcześniej albo później, rzadko kto rodzi w wyznaczonym terminie. Więc nie wiem, co będzie dwudziestego września. Poza tym nie mogę przecież wskoczyć do samochodu i wyjechać zaraz po porodzie. Muszę odpocząć przynajmniej kilka dni.

- To odpoczniesz w samochodzie. To kilka tysięcy kilometrów, będziesz miała sporo czasu. Jezu Chryste - jęknął Darryl.

- Nie wymawiaj imienia Pana nadaremno! - upomniała go odruchowo.

Darryl popatrzył na nią, jakby zwariowała, a potem roześmiał się głośno, potrząsając głową.

- Słyszałem, że kobiety w ciąży zachowują się bardzo dziwnie, ale nie bardzo wierzyłem. Cóż, to jednak prawda.

Toy pochyliła się nad koktajlem mlecznym.

- Nie wiem, co ci powiedzieć, mała - rzekł Darryl, potrząsając głową z powątpiewaniem. - Chłopcy zaczynają się niecierpliwić. Są gotowi wyruszyć nawet jutro.

- To niech jada - mruknęła.

- Nie. Wszyscy pojedziemy razem samochodem Hala. Zresztą nieważne, czym. Hal też musi najpierw wyjaśnić sobie parę rzeczy ze swoją starą.

- Czy Amber spodziewa się dziecka? Darryl popatrzył na nią tak, jakby oszalała.

- Do diabła, nie - odrzekł ze złością. - Ona nie jest taka głupia.

Toy poczuła ostry skurcz i rozmasowała sobie brzuch.

- Jezu, oby już było po wszystkim - powiedział Dany, przeciągając się na krześle. Przymrużył oczy i spojrzał na nią uważniej: - Co się z tobą dzieje?

Toy wbiła się w oparcie krzesła.

- Nic.

- Przepraszam cię - westchnął. - Chyba robię się niemiły. To dlatego, że mi ciebie brakuje. Jak długo można jeść same frytki?

Toy roześmiała się i pod stołem lekko kopnęła go w kostkę.

- Mnie też ciebie brakuje. Bardzo. Lekarz mówi, że możemy, no wiesz, być razem w jakiś tydzień po urodzeniu dziecka.

- Wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze? Że muszę co wieczór odwozić cię do tego domu. Może wróciłabyś teraz do mnie?

- Nie mogę - powiedziała Toy. - To znaczy, nie mogę tak zostawić pani Lovie. No i dziecko ma się urodzić już za miesiąc. Zresztą teraz i tak ci się nie

podobam. Mówiłeś to przecież. Taka gruba i ciężka, tylko bym cię denerwowała.

Darryl skrzywił w uśmiechu kącik ust.

- Masz rację.

- Jeszcze tylko kilka tygodni, a potem już będziemy razem. Ty, ja i... - urwała, wstrzymując oddech.

Darryl poruszył się niespokojnie i pochylił się do niej nad stolikiem.

- Ty i ja, kropka - powiedział ostrzegawczo.

- Tak, jak było do tej pory. I zawsze tak będzie. Tylko ty i ja.

Toy poczuła, że zbiera jej się na płacz.

Sierpniowy księżyc wznosił się wysoko nad lśniącem oceanem. Na wybrzeżu światła na werandach błyszczały jaśniej od gwiazd.

Członkinie Towarzystwa Miłośniczek Żółwi były poruszone i zdenerwowane.

- Chyba tam pójdę i porozbijam im żarówki - prychnęła Flo. Siedziały przy kolejnym gnieździe i opędały się od komarów. - Byłam tam już któregoś wieczoru - ciągnęła, smarując sobie nogi olejkiem. - Najuprzejmiej jak umiałam, prosiłam, żeby gasili światła na werandzie. No i same widzicie! Świeci się jak choinka na Boże Narodzenie.

- Czyj to dom? - zapytała Emmi.

- Wynajęty jakimś wczasowiczom. Teraz z kolei Emmi sięgnęła po olejek.

- Większość turystów, z którymi rozmawiałam, była bardzo przejęta i podniecona możliwością zobaczenia wylęgu żółwi. Przeważnie chcą pomóc, trzeba im tylko wytłumaczyć, jak.

- Ja jestem załamana po wczorajszym dniu - mruknęła Cara.

- Czy żółwicy naprawdę trafiły na ulicę?

- To była katastrofa. Ktoś zadzwonił na policję o piątej rano i powiedział, że samochody rozjeżdżają małe żółwie. Policja zadzwoniła do mamy, mama obudziła mnie i Flo i natychmiast tam pobiegłyśmy. Widok był żalospny. Przez parę godzin przeszukiwałyśmy wszystkie wydmy między plażą a ulicą.

Znalazłyśmy piętnaście martwych żółwików i około dwudziestu żywych.

- Ledwo żywych - poprawiła ją Flo. - Te biedactwa czołgały się po piasku przez parę godzin. Wrzuciłyśmy je do oceanu, ale były już bardzo zmęczone i wątpię, czy przeżyły.

- Więc nie dziw się, że jestem wściekła - dodała Cara.

- Dobrze, pójdę tam i jeszcze raz poproszę, żeby zgasili światło - westchnęła Flo, podnosząc się z piasku. - Zostań tu, mamu, i obserwuj gniazdo. Ja zaraz wrócę.

- Ja się nigdzie nie wybieram - odrzekła Miranda.

Jej towarzyszki roześmiały się. Miranda była niezmordowana. Czuwała już przy czwartym gnieździe, które znajdowało się na „jej” kawałku plaży.

Linnea podeszła do Cary i oparła się o jej ramię.

- Gwiazdy świecą dzisiaj bardzo jasno. Myślę, że żółwki i tak znajdą właściwą drogę, prawda, ciociu?

Cara uśmiechnęła się do dziewczynki. Linnea czuwała z nimi już nie pierwszy raz i zawiązała się między nimi przyjaźń. Coopera nocne wysiadywanie na plaży nudziło i wolał zostać w domu, Linnea jednak stale trzymała się ciotki. Razem chodziły na zakupy, malowały paznokcie, piekły ciasteczka i przytulały się do Lovie na sofie przy czytaniu ulubionych książek. Cara nie przypuszczała, że może tak mocno pokochać jakiegokolwiek dziecko.

- Myślisz, że wyjdą z gniazda dzisiaj? - zapytała Linnea po raz dziesiąty.

- Może - roześmiała się Cara. - A może nie. Poczekamy, zobaczymy.

- A jeśli wyjdą, to o której? - nie ustępowała mała.

- Nie wiem. Może to będzie jeszcze dzisiaj, a może dopiero jutro.

- Wyjdą dzisiaj - stwierdziła Linnea kategorycznie. - Skąd wiesz tyle o żółwiach?

- Nauczyłam się wszystkiego od twojej babci Lovie.

Mała spoważniała i zaczęła rysować palcem wzory na piasku.

- Czy babcia Lovie umrze? - zapytała naraz.

Cara w pierwszej chwili nie wiedziała, co powiedzieć. Nie miała doświadczenia w takich rozmowach. Rozejrzała się po przyjaciółkach, szukając pomocy, ale wszystkie odwróciły wzrok. Westchnęła i otoczyła małą ramieniem.

- Tak - odrzekła szczerze. - Twoja babcia umiera.

- Tak myślałam. Słyszałam, jak mama i tato o tym rozmawiali. Ale potem tato powiedział mi, że nie. Dlaczego?

Cara również się nad tym zastanawiała.

- Niektórym ludziom trudno jest się pogodzić z czyjąś śmiercią.

- Och. A dlaczego ona umiera?

- Ma raka.

- Czy to boli?

- Czasami, ale nie tak bardzo.

- Kiedy babcia umrze?

- Nikt nie wie dokładnie, kiedy. To jak z żółwim gniazdem. To się zdarza wtedy, gdy ma się zdarzyć.

- Aha.

- Skarbie, czy mama nie rozmawiała o tym z tobą?

- Nie.

- Rozumiem - powiedziała Cara w zamyśleniu.

A więc Julia również chowała głowę w piasek. Cara nie miała ochoty wkraczać na cudze terytorium, ale było jasne, że dziewczynka poszukuje odpowiedzi na gnębiące ją pytania. - Czy ty rozumiesz, co to jest śmierć?

- Oczywiście - odrzekła Linnea z niezachwianą pewnością dziecka. - To znaczy, że babcia pójdzie do nieba.

Obydwoje z bratem w każdą niedzielę chodzili do kościoła, toteż Cara przypuszczała, że jej dziewięcioletnia bratanica ma wyraźne wyobrażenia Boga i nieba. Śmierć jednak często była dla dzieci czymś niepojętym, podobnie zresztą, jak dla dorosłych.

- Czasem trudno zrozumieć, czym jest niebo, prawda? Ja sama nie jestem pewna, czy to rozumiem.

- To wcale nie jest trudne - stwierdziła Linnea. - Niebo to tam, gdzie się idzie, gdy się umiera. Przecież wszyscy to wiedzą. Tylko że nie wiemy dokładnie, jak tam jest, ale na pewno jest dobrze. Mama mówiła mi, że Bóg jest wysoko w chmurach i że są tam piękne domy, w których będziemy mieszkali. Jeśli będziemy dobrzy na ziemi, to dostaniemy większy dom, bo sobie na to zasłużyliśmy. Myślę, że babcia dostanie wielki pałac. No i są jeszcze anioły.

- No tak - pokiwała głową Cara, zazdroszcząc małej wiary.

- A czy żółwie, które umierają, też idą do nieba? Cara znów spojrzała na Emmi i Mirandę, one jednak tylko się uśmiechały, nie przejawiając żadnej chęci przyłączenia się do rozmowy.

- Nie wiem, bo nigdy tam nie byłam - powiedziała w końcu.

- Ja myślę, że tak. Babcia czułaby się bez nich samotna - odrzekła dziewczynka drżącym głosem.

- Będziesz bardzo tęsknić za babcią, prawda? - zapytała Cara łagodnie.

Linnea skinęła głową, nie odrywając oczu od ziemi.

- Kochanie, ja też będę za nią bardzo tęsknić - powiedziała Cara, przytulając dziewczynkę do siebie. - Musimy się trzymać razem, ty i ja. Chcesz się przyłączyć do Miłośniczek Żółwi?

- A mogę? - ożywiła się dziewczynka.

- Oczywiście. Bardzo nam się przydasz. Linnea rozpromieniła się i zaczęła z ożywieniem rozprawiać o wszystkim, czego nauczyła się w ciągu tego lata. Zmiana nastroju przyszła jej zupełnie naturalnie. Dziewięć lat, pomyślała Cara, jaki to piękny wiek.

Sezon lęgowy żółwi osiągnął kulminację. Skończyły się poranne telefony z doniesieniami o nowych gniazdach i Cara mogła teraz spać dłużej. W sumie na wyspach Palms i Sullivan powstało czterdzieści gniazd.

Poranki były spokojne, za to noce obfitowały w wydarzenia. Najczęściej cała ekipa Miłośniczek Żółwi pilnowała gniazd, szukała w pobliżu jam krabów i odpędzała grupki turystów. Mimo to przeoczyły kilka lęgów. Czasami wielkie stada żółwiątek pojawiały się gdzieś nieoczekiwanie po porannym deszczu, innym razem młode wypełzały z gniazda dopiero o świcie, gdy wszystkie opiekunki poszły już spać. Następnego dnia jedynie dziesiątki drobnych śladów prowadzących w stronę oceanu świadczyły o tym, że wielka ucieczka tym razem się powiodła.

Cara odkryła, że przez całe życie marzyła o takich wakacjach. Polubiła poranki pełne ptasich głosów i obowiązki na plaży. Nigdy jeszcze nie czuła tak wielkiego spokoju wewnętrznego. Radość sprawiało jej również towarzystwo pozostałych kobiet i spędzane razem z nimi na chłodnym piasku godziny wypełnione rozmowami o wszystkim i o niczym.

Do tego jeszcze był Brett, który w ciągu kilku tygodni nauczył ją spontaniczności. Wskakiwali do oceanu, trzymając się za ręce, gdy przyszła im na to ochota. Zaśmiewali się aż do łez albo na cały głos śpiewali swoje ulubione piosenki. Czasami podczas wieczornego spaceru po plaży Brett prowadził ją na wydmy, w miejsce osłonięte wysokimi trawami, i kochali się pod gołym niebem. A gdy nie było go przy niej, myślała o nim. Rozmawiając przez telefon, nieświadomie wypisywała jego imię na świstkach papieru. Spała w koszulce, którą kiedyś jej pożyczył, żeby czuć jego zapach i móc o nim śnić. Gdy słyszała

w radiu piosenkę o miłości, była pewna, że napisano ją specjalnie dla niej. Wszystkie te uczucia były dla niej zupełnie nowe.

Czy była szczęśliwa? Nie potrafiła powiedzieć. Nadeszła połowa sierpnia i turyści powoli zaczęli się rozjeżdżać. Lato mijało szybko i Cara czuła dreszcz na myśl o tym, co przyniesie jej jesień.

Pewnego ranka obudziła się i z przerażeniem stwierdziła, że matki nie ma w domu. Nie było jej również w ogrodzie, ale na werandzie brakowało czerwonego wiaderka. Cara błyskawicznie wskoczyła w szorty i koszulkę i pobiegła na plażę. Wstawał świt.

Znalazła matkę na brzegu oceanu, spowitą w złoto-różowe światło. Jej drobna figurka w porannej mgłę wydawała się niemal przezroczysta. Podeszła do niej cicho, nie chcąc zakłócać jej spokoju.

- Mamo? - powiedziała cicho.

Lovie powoli obróciła głowę. Po jej policzkach spływały łzy.

- Mamo, co się stało?

- Odeszły - odrzekła Lovie.

- Kto odszedł?

- Żółwie. Samice. Matki. Już ich tu nie ma. Czuję to. Już po wszystkim. I bardzo mi ich brakuje - powiedziała drżącymi ustami.

Cara nie potrafiła znaleźć żadnych słów pocieszenia. Wiedziała, że dla matki żółwie odeszły już na zawsze, i poczuła pieczenie pod powiekami.

- Szkoda, że nie mogę odejść razem z nimi - mówiła Lovie, patrząc na grzbiety fal. - Chciałabym płynąć z prądem, podążając za instynktem, tak jak one. Zostawić wszystko za sobą. Czy to nie byłoby piękne?

- Jeszcze nie - szepnęła Cara i objęła matkę mocno. - Proszę, mamó, nie odpływaj jeszcze.

Lovie pogładziła ją po włosach.

- Kochana Caretta. Jak to dobrze, że tu jesteś. To wielka pociecha.

Gdy matka szlochała w jej ramionach, Cara miała wrażenie, że role się odwróciły i teraz to ona stała się matką, silną i wszechmogącą, a Lovie kruchym, wrażliwym dzieckiem. To wrażenie było głęboko poruszające i przerażające zarazem.

Matka i córka stały razem na plaży, dopóki słońce nie wzeszło, i płakały z żalu za wszystkimi odchodzącymi matkami.

Gdy wszystkie żółtvice wyruszyły już w swoją samotną podróż, zdrowie Olivii zaczęło się gwałtownie pogarszać, jakby jej wola życia rzeczywiście odpłynęła. Dotychczas przyjmowała swój stan z takim spokojem, że Cara, Toy i pozostałe kobiety wbrew wszystkiemu miały nadzieję na ustąpienie choroby. Jeszcze niedawno wydawało się, że Lovie będzie żyła wiecznie, teraz jednak energia i optymizm zupełnie ją opuściły. Zobojętniała na wszystko i zasklepiła się w skorupie. Gdy Cara próbowała wyciągnąć ją na plażę, tylko potrząsała odmownie głową. Schudła i wydawało się, jakby się skurczyła. Całymi godzinami siedziała na werandzie w swoim ulubionym fotelu na biegunach i patrzyła na ocean. Ataki kaszlu stawały się coraz dłuższe i coraz bardziej ją wyczerpywały. Któregoś dnia Cara i Toy przybiegły do jej pokoju, przerażone, że kaszel ją zadusi. Po tym wydarzeniu Cara wzięła sprawy w swoje ręce i stanowczo oznajmiła, że muszą pojechać do lekarza.

- On jest taki zajęty - protestowała Lovie. - Nie warto zawracać mu głowy.

- Mamo, to jego praca. A poza tym jak mamy ci pomóc, nie zawracając mu głowy?

- Nie powie nam niczego, czego byśmy same dotychczas nie wiedziały.

Cara popatrzyła na matkę w milczeniu.

Wkraczały na ciemny, nieznaną obszar - i potrzebowały pomocy.

Minuty potrzebne na dotarcie z gniazda do oceanu należą do najniebezpieczniejszych w życiu małych żółwi. Na plaży żerują kraby, poszukujące pokarmu. Tylko jeden żółw na tysiąc zdoła osiągnąć pełną dojrzałość.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

W dwa dni później Cara siedziała w poczekalni przychodni onkologicznej przy miejscowym szpitalu wśród tłumu pacjentów wertujących stare czasopisma. Niektórzy z nich mieli na plecach butle z tlenem, dźwięczące przy każdym ruchu, a kilku było ubranych w szpitalne szlafroki. Cara bardzo się starała nie dotknąć żadnego z pism, podobnie jak poręczy krzesła. Siedziała skulona, nieruchoma, wpatrując się we własne ręce.

Nie cierpiała szpitali. Wszystkie wyglądały tak samo: zimne i sterylne, z długimi korytarzami wyłożonymi linoleum i z labiryntem drzwi. A najgorsze było w nich to, że były pełne chorych ludzi. Czuli się jak więzień zamknięty w olbrzymim magazynie zarazków. Należała do osób, które odsuwają się jak najdalej, gdy ktoś zakaszle obok nich w kinie. Kaszel matki i szpital wydawały jej się czymś w rodzaju czyścica, jakim ukarano ją za popełnione grzechy.

Ale nie skarżyła się. Miłość do matki była silniejsza niż odraza, jaką wzbudzały w niej choroby. Siedziała więc pokornie na metalowym krześle i czekała, aż Lovie przejdzie wszystkie badania. Myślała o Toy, która wysiadywała tak miesiącami po poczekalniach i korytarzach, podczas gdy ona sama wiodła spokojne życie w Chicago. Toy była święta. Cara mogłaby przysiąc, że Pan Bóg już przygotował dla niej specjalne miejsce w niebie.

Po dwóch i pół godzinach z gabinetu wyszła pielęgniarka i poprosiła ją na rozmowę z doktorem Pittmanem. Cara zerwała się z krzesła i weszła do

gabinetu. Matka, ubrana w zielony szpitalny kitel, siedziała przy stole i rozmawiała z lekarzem z nienaturalnym ożywieniem.

Doktor Pittman był młodym człowiekiem o pociągłej twarzy i wyglądzie mola książkowego. Nosił okulary z grubymi szklami. Rozmawiała z nim wcześniej przez telefon, ale po raz pierwszy stanęła z nim twarzą w twarz.

- Proszę, niech pani usiadzie - wskazał jej krzesło.

- Dziękuję, wolę stać - odrzekła, podchodząc do matki.

- Więc jaki jest werdykt? - zapytała Lovie ze sztucznym optymizmem.

Milczenie lekarza było bardzo wymowne.

- Nie podoba mi się to, co zobaczyłem dzisiaj - powiedział w końcu.

Lovie odwróciła głowę. Wyglądała, jakby uszło z niej całe powietrze.

Cara wzięła ją za rękę.

- Nowotwór rozszerza się szybciej, niż zakładaliśmy. Zaatakował już tchawicę. Stąd ten uporczywy kaszel.

- Czy możliwa jest operacja? - zapytała Cara.

- Tchawicy nie da się operować. Nowotwór jest... wszędzie.

Cara poczuła ucisk w żołądku, ale udało jej się zachować spokój.

- Na pewno coś jeszcze można zrobić! Lekarz westchnął.

- Można spróbować jeszcze jednej serii naświetlań.

- Nie - oświadczyła Lovie stanowczo.

Doktor Pittman spojrzał na Carę ze współczuciem i uśmiechnął się blado.

- To już ostatnia faza choroby. - Cara była mu wdzięczna za szczerłość. -

Pani mama zdaje sobie sprawę z tego, że w tej chwili możemy jej zaproponować tylko opiekę paliatywną.

Lovie poklepała Carę po rękę.

- On próbuje nam powiedzieć, że nic się nie da zrobić.

- To prawda, jeśli chodzi o leczenie. Ale możemy pani pomóc w inny sposób. Nie ma żadnego powodu, żeby pani cierpiała. Skoro zdecydowała się pani pozostać w domu, to skieruję do pani pielęgniarkę, która będzie

przychodzić regularnie i przynosić tlen. To powinno pomóc w chwilach, gdy będzie pani miała kłopoty z oddychaniem. Proszę się nie obawiać używania butli. Możemy również porozmawiać o morfinie, ale to nie musi być już dzisiaj.

Lekarz zwrócił się z kolei do Cary.

- Musi pani dobrze rozumieć, co się dzieje, bo tylko wtedy będzie pani w stanie pomóc mamie. Trzeba ocenić sytuację realistycznie, nie porywać się z motyką na słońce. Pewne rzeczy będzie pani mogła robić sama w domu, w innych przyda się czyjaś pomoc. Potrzebna będzie grupa wsparcia. Czy pani Sooner jeszcze z wami mieszka?

- Tak. Bardzo nam pomaga.

- To dobrze. Ale jej dziecko ma się wkrótce urodzić, prawda?

- Piętnastego września.

- Aha - skomentował lekarz.

- Cara da sobie radę - zapewniła go Lovie z dumą w głosie. - Jest bardzo dobrze zorganizowana.

- To świetnie. Ale proszę nie brać wszystkiego na siebie. Zbyt często widuję bardzo dobrze zorganizowane córki lub żony, którym wydaje się, że same poradzą sobie ze wszystkim, i w końcu zupełnie się wypalają. Nie ma potrzeby tak się forsować. Dobry opiekun dba również o siebie. Bardzo ważne jest, by mieć dwustopniowy system wsparcia. Pierwszy stopień to pracownicy służby zdrowia. Zorganizujemy wizyty pielęgniarek, pracowników opieki społecznej i hospicjum. Pani musi zorganizować grupę przyjaciół, którzy będą otaczać opieką obydwie panie. Dobrych słuchaczy, którzy będą obu paniom służyć pomocą w razie potrzeby.

Cara i Lovie wymieniły spojrzenia.

- Towarzystwo Miłośniczek Żółwi - powiedziały jednocześnie.

Gdy wieści o chorobie Lovie rozeszły się po wyspie, telefon dzwonił nieustannie. Co chwila ktoś pytał, czy może przynieść zapiekanekę, zupę albo

cokolwiek innego do jedzenia. Brett zajmował się trawnikiem. Emmi dzwoniła przed każdym wyjściem z domu, sprawdzając, czy nie trzeba im czegoś załatwić. Nawet Miranda przychodziła, by posiedzieć z Lovie i dotrzymać jej towarzystwa przy oglądaniu telewizji. Flo wpadała dwa razy dziennie, za każdym razem przynosząc coś do czytania.

Obcy ludzie przynosili im do domu wszelkiego rodzaju drobiazgi związane z żółwiami. Biżuteria, koszulki, świece, kapelusze, kubki, chorągiewki, breloczki do kluczy - Cara nie miała pojęcia, skąd brali wszystkie te rzeczy. Lovie była wzruszona i rozmawiała z każdym, kto wpadał choćby na chwilę. Niektórzy wybuchali płaczem i musiała ich pocieszać. Nim minął pierwszy tydzień, Cara zauważyła, jak bardzo te wizyty wyczerpują matkę i dołożyła starań, by trochę je ograniczyć. Tłumaczyła gościom, że Lovie przede wszystkim potrzebuje odpoczynku, i stopniowo do domu powrócił spokój.

Nic jednak nie mogła poradzić na to, że sypialnia matki coraz bardziej zaczęła przypominać salę szpitalną. Obok łóżka stał masywny wózek z butlą tlenową, na stoliku stała szklanka i buteleczki z lekarstwami, a obok znalazł się telewizor i półka na książki. Cara zamierzała zamówić łóżko z regulowaną wysokością, ale Lovie nie chciała o tym słyszeć. Wołała swoje stare łóżko z baldachimem, to samo, w którym wcześniej spała jej matka, a jeszcze przed nią jej babcia.

Porządek życia wszystkich domowników został wywrócony do góry nogami. Lovie spędzała większość czasu w swoim pokoju. Spała, czytała, oglądała telewizję i układała zdjęcia w albumach. Te zdjęcia stały się jej obsesją. Nadal próbowała uczestniczyć w życiu domu i zajmować się sprawami dotyczącymi żółwi, ale były to próby skazane na niepowodzenie.

Cara spędzała teraz więcej czasu w kuchni. Toy robiła, co mogła, ale ruchy miała już bardzo powolne i niezręczne, a poza tym puchły jej nogi i często musiała odpoczywać. Prawie co wieczór popadała w dziwne rozdrażnienie i wychodziła z domu, twierdząc, że chce wyrwać się stąd na chwilę. Przeważnie

chodziła do kina. Tak oto Cara stała się domowym strażnikiem, kucharką, praczką, gospodynią domową i szoferem. Przygotowywała posiłki, podawała lekarstwa, wysłuchiwała skarg, umawiała wizyty u lekarza, robiła zakupy i płaciła rachunki. Kilka osób oferowało jej pomoc, ale nie przyjęła jej. Nie chciała zawracać nikomu głowy swoimi problemami, a poza tym wydawało jej się, że będzie prościej i szybciej, jeśli zajmie się wszystkim sama. Był jednak ktoś, kto jej zdaniem powinien trwać u jej boku.

Palmer otworzył drzwi i uśmiechnął się ze szczerą radością, zaraz jednak jego twarz zeszywniała i przybrała wyraz chłodnej uprzejmości. Był opalony i dobrze wyglądał w niebieskiej koszulce polo, która podkreślała kolor jego oczu. Zapewne wrócił właśnie z łodzi albo z partyjki golfa.

- Cześć, Cara - powiedział z zaskoczeniem.
- Cześć, Palmer.
- Co cię tu sprowadza?
- Chciałam porozmawiać z tobą o mamie.

Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu. Cara przestąpiła z nogi na nogę. A więc nie zamierzał jej niczego ułatwiać.

- Wejdz - powiedział wreszcie, otwierając drzwi szerzej.

Weszła, starając się zamaskować niepewność. Nie była tu od czasu pamiętnej kolacji. Palmer nie zapraszał ich więcej ani nie odwiedzał od czasu przyjęcia z okazji Dnia Niepodległości.

- Gdzie są dzieci? - zapytała Cara, rozglądając się po wyłożonym marmurem holu.

- Bawią się gdzieś na dworze.

- Szkoda - odrzekła z rozczarowaniem, zaraz jednak pomyślała, że może to i lepiej, nie będą miały okazji usłyszeć rozmowy, jaką zamierzała przeprowadzić z ich ojcem.

Weszła do salonu. Palmer wskazał jej jeden z dwóch foteli wyściełanych piękną włoską tkaniną.

- To nowe? - zapytała z podziwem.

- Nie, to te, które kiedyś stały w gabinecie ojca. Miały takie zakardowe obicia, pamiętasz?

- Teraz wyglądają zupełnie inaczej - stwierdziła, siadając na jednym z foteli.

- Julia się tym zajęła - odrzekł obojętnie, zajmując drugi fotel, stojący naprzeciwko.

- Co u niej słyhać? Dawno jej nie widziałam. W ogóle do nas nie zagłada.

- Jest w szkole, na zebraniu jakiegoś komitetu. Ciągłe coś tam robi. Szkoła niedługo się zacznie i prawie codziennie są jakieś zebrania.

- U nas też dużo się dzieje - stwierdziła Cara, czekając na reakcję Palmera, ale on tylko obojętnie skinął głową. Uznała, że dość tych uprzejmości i pochyliła się w jego stronę. - Dwa tygodnie temu dzwoniłam do ciebie w sprawie mamy. Wydaje mi się, że powtórzyłam ci dokładnie, co powiedział lekarz, ale widocznie nie zrozumiałeś. Więc przyjechałam, żeby jeszcze raz o tym porozmawiać.

- Dobrze zrozumiałem, co mówiłaś, tylko że się z tobą nie zgadzam.

- A z czym tu można się nie zgadzać? Mama ma raka i umiera.

- Nie wierzę, że umiera.

Cara patrzyła na niego ogłuszona. Nie była przygotowana na coś takiego.

- Chcesz zaprzeczyć oczywistym faktom?

- To twoje zdanie. Ja też rozmawiałem z lekarzami w szpitalu i żaden mi nie powiedział, że mama umiera. Gdyby tak było, nie pozwoliliby jej wrócić do domu.

Cara sama nie wiedziała, co ma o tym myśleć. Albo lekarze nie chcieli powiedzieć Palmerowi prawdy, albo on nie słuchał ich dokładnie.

- Mama nie zamierza iść do szpitala. Pragnie umrzeć w domu.
 - Ona nie umiera - powtórzył.
 - Posłuchaj mnie, Palmer. Jest źle. Mama chce cię zobaczyć. Przez cały czas o ciebie pyta. I o dzieci też.
 - Chcielibyśmy odwiedzać was częściej, ale sama wiesz, jak to jest. Julia ciągle jest zajęta. Zresztą byliśmy na wyspie w zeszłym tygodniu.
 - To znaczy dzieci były. Ty nie widziałeś mamy już ponad miesiąc - odrzekła Cara tonem oskarżenia.
 - Byłem zajęty - powiedział Palmer bezbarwnie.
 - To ty masz dużo czasu. Poza tym mama ciebie wyznaczyła na swoją opiekunkę. Ciebie i tę dziewczynę.
 - Nie mogę uwierzyć, że traktujesz to tak lekko! - zawołała Cara ze wzburzeniem. - Jesteś zbyt zajęty, żeby odwiedzić mamę? To niebywałe! Czego tak się boisz? Boisz się przekonać na własne oczy, że ona naprawdę umiera?
 - Mówiłem ci już...
 - A może jesteś na nią zły? - przerwała mu i gdy zacisnął usta, zrozumiała, że trafiła w dziesiątkę.
 - Wiem, że posprzeczaście się czwartego lipca. Zdenerwowałeś ją wtedy. Ale nie chciała mi powiedzieć, o co chodziło, a ja nie naciskałam. Nic mnie nie obchodzi, o co się pokłóciliście, ale chyba masz dość charakteru, żeby zapomnieć o takich głupstwach, gdy mama umiera!
- W oczach Palmera rozbłysnął gniew.
- Pozwól, że sam będę podejmował decyzje. Zajmowałem się mamą o wiele dłużej niż ty.
 - Nikt temu nie zaprzecza, a przede wszystkim mama. Ale teraz jesteś jej potrzebny. Mnie też.
 - Zdaje się, że doskonale sobie ze wszystkim radzisz. Poustawiałaś sobie sprawy dokładnie tak, jak chciałaś.
 - Nie jestem pewna...

- Radzisz sobie bardzo dobrze - powtórzył Palmer, wstając. - Niedługo do was zajrzę. A gdyby coś się wydarzyło, to zadzwoń, dobrze? Teraz muszę już wyjść.

Wyrzucił ją z domu! Nie mogła w to uwierzyć. Podniosła się i z ciężkim westchnieniem poszła za nim przez hol.

- Co się z tobą dzieje? - zapytała ostro przy drzwiach. - Nic cię nie obchodzi własna matka?

- Jak śmiesz osądzać moje uczucia do matki! - wykrzyknął Palmer. - Za kogo ty się właściwie uważasz? Co ty wiesz o uczuciach? Kto się zajmował mamą przez te wszystkie lata, gdy ty siedziałś w Chicago? Ja! Bo ciebie nie było!

- Wyrzucili mnie z domu!

- Tylko dlatego, że za ostro stawiałś się ojcu!

Stali naprzeciwko siebie, patrząc jedno na drugie z nieskrywaną złością. W końcu Cara cofnęła się i przyłożyła dłoń do skroni. Palmer z rozmachem otworzył przed nią drzwi.

- Wracaj na tę waszą cholerną wyspę i zostaw mnie w spokoju.

Następnego dnia doręczyciel przyniósł wielki bukiet kwiatów z bilecikiem o następującej treści: „Wracaj szybko do zdrowia! Kochamy Cię! Julia i Palmer”. Cara miała ochotę wyrzucić bukiet do kosza na śmieci, przekonana, że matka przejrzy gierki Palmera i poczuje się zdruzgotana.

Zaniosła jednak kwiaty do kuchni, wstawiła je do wody i ze sztucznym uśmiechem poszła do pokoju Lovie.

- Popatrz, co Palmer ci przysłał! - zawołała przez ściśnięte gardło.

Lovie uniosła się na łokciu.

- Naprawdę? Och, jakie piękne kwiaty! Co za wydatek! Postaw je tutaj, żebym dobrze czuła ich zapach!

Cara zacisnęła usta i bez słowa postawiła wazon na stoliku obok łóżka.

- Kochany Palmer - zachwycała się Lovie, unosząc twarz do kwiatów. -
Cara, czy mogłabyś mi przynieść papeterię? Chciałabym mu podziękować.
Może niedługo się tu pojawi?

Cara weszła do salonu i zobaczyła, że Toy ze wszystkich sił wali pięściami w poduszki sofy.

- Spokojnie, dziewczyno. Co cię tak rozzłościło? - zapytała, podchodząc do biurka, w którym Lovie przechowywała przybory do pisania.

- Wszystko słyszałam. Nie mogę uwierzyć, że pani Lovie jest tak zaślepiona i nie dostrzega podłości Palmera. Krew mnie zalewa, gdy o tym pomyślę. Nawet jej nie odwiedził! Czy ona tego nie widzi? Jej własny syn! Przysłać kwiaty to żadna sztuka, to może każdy!

- Ona chyba nie chce tego zauważyć. To dla niej zbyt bolesne. I niech tak zostanie. I bez tego wystarczająco cierpi.

- A ciebie to nie złości?

Cara miała ochotę opowiedzieć Toy o swojej rozmowie z bratem poprzedniego dnia, ale ugryzła się w język.

- Jestem za bardzo zmęczona, żeby się na niego złościć. Szkoda sił.

- Ja bym się wściekła. Ona ciągle wychwala go pod niebiosa, a on nic nie robi, tylko siedzi na tyłku i przysyła kwiaty, a wszystko jest na twojej głowie.

Cara otworzyła szufladę, w której leżał stosik eleganckich bilecików z niebieskim monogramem. Pamiętała ten wzór jeszcze z dzieciństwa. Zawsze gdy dostała jakiś prezent, matka kazała jej od razu pisać podziękowanie. Teraz też. Palmer miał otrzymać bilecik za swój żaloszny bukiet, a ona sama, za czuwanie przy matce przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, nie dostawała nawet dobrego słowa. Zawsze tak było. Jego prace szkolne, oceniane na cztery z minusem, wisały na lodówce, żeby wszyscy mogli je podziwiać, a jej piątki uznawane były za coś naturalnego.

Podniosła rękę do czoła, zdumiona siłą własnej złości. To było niedorzeczne, nosić w sercu żal sprzed trzydziestu lat! Było jej wstyd - a

jednak dłoń wyraźnie drżała. Popatrzyła na sofę, podeszła bliżej i z zaciętą twarzą ona również zaczęła walić w nią pięściami. Obok siebie usłyszała śmiech Toy.

- Jeszcze! Dobrze robi, prawda?

Cara oparła ręce na biodrach i skinęła głową, oddychając głęboko.

- Masz rację. Jestem wściekła. Na matkę i na Palmera. Przede wszystkim dlatego, że znów dzieje się to samo. Wyjechałam z domu, żeby od tego uciec, a teraz wpadłam w to samo bagno.

- W nic przecież nie wpadłaś. Robisz to, co trzeba zrobić, opiekujesz się swoją mamą. Gdy odejdzie, będziesz miała pewność, że wykonałaś, co do ciebie należało. A Palmer nie będzie mógł tego powiedzieć.

Cara westchnęła, przesuwając ręką po włosach.

- Chyba tak. Ale żal mi go. Wiem, że kocha mamę.

- Może nie potrafi znieść widoku jej choroby. Niektórzy ludzie tacy są.

- Przez całe życie był rozpieszczany... Najpierw przez mamę, a teraz przez Julię. Przyzwyczał się, że to kobiety zajmują się takimi sprawami.

- Bo to mężczyzna. Większość mężczyzn uważa, że takie sprawy należą do kobiet.

- Tak nie powinno być. Opieka nad chorym rodzicem jest obowiązkiem - nie, przywilejem każdego dziecka.

- Ja nigdy nie będę się opiekować moimi rodzicami - mruknęła Toy buntowniczo.

- Nigdy nie mów nigdy. Ja w twoim wieku też tak uważałam. Ale teraz, w dwadzieścia lat później... I Bogu dzięki. Nie wybaczyłabym sobie, gdybym nie miała okazji powiedzieć mamie przed śmiercią, że ją kocham.

Toy skrzywiła się boleśnie.

- Och, Toy, nie chciałam...

- Wiem - uspokoiła ją szybko dziewczyna. - Moja mama musiała się zajmować swoim chorym ojcem przed jego śmiercią. Był okropnym pijakiem, ale ona go kochała. Przynajmniej miała do pomocy siostrę.

- A ja mam ciebie.

Toy niespokojnie odwróciła wzrok, mnąc w rękach ścierkę do naczyń.

- Co ze mnie za pomoc, szczególnie ostatnio. Przepraszam, że tak często wychodzę wieczorami. Nie powinnam zostawiać cię samej.

- Potrzebujesz czasu dla siebie. Jesteś młoda i czeka cię wielka zmiana.

- Zastanawiam się nad tyloma rzeczami - powiedziała Toy z poczuciem winy. - To takie skomplikowane. Niedługo będę matką, ale sama jeszcze jestem dzieckiem... Ja... ja... Co ja mam zrobić z tym dzieckiem? - zapytała łamiącym się głosem. - Jak mam się nim zajmować?

Och, Boże, jęknęła Cara w duchu. Tyle się ostatnio działo, że prawie zapomniała o Toy, zepchnęła myśli o niej w jakiś dalszy kąt umysłu. Teraz gorączkowo zaczęła się zastanawiać, jak mogłaby pomóc dziewczynie i czy jest w stanie poradzić sobie z jeszcze jedną trudną sprawą. Czowała się pusta i bezradna, zupełnie wyprana z sił.

Opadła na sofę i wskazała Toy miejsce obok siebie. Dziewczyna usiadła niechętnie, podsuwając sobie poduszkę pod plecy.

- Co właściwie planujesz zrobić? - zapytała Cara. Toy wzięła głęboki oddech.

- Najpierw chcę zdać egzaminy. Myślę, że sobie poradzę. A potem, nie wiem, chyba zacznę szukać jakiejś pracy.

Chyba? - zdumiała się w duchu Cara.

- Myślałaś już o czymś konkretnym?

- Cokolwiek, byle przyzwolicie płacili i dali mi ubezpieczenie zdrowotne. Wszystko mi jedno, co będę robić.

- Umiesz coś? Masz jakieś doświadczenie? Robiłaś wcześniej coś, co ci się podobało? - dopytywała się Cara z desperacją.

Toy spuściła wzrok i wzruszyła ramionami.

- A kto będzie się zajmował dzieckiem, gdy ty pójdziesz do pracy?

- Nie wiem - szepnęła ledwo słyszalnie.

- Sprawdzałaś żłobki? Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Toy - westchnęła Cara z frustracją. - To co właściwie porabiałaś do tej pory?

- Chyba myślałam przede wszystkim o egzaminach, no i...

Cara przymknęła oczy. Było znacznie gorzej, niż przypuszczała. Toy nie miała żadnych planów.

- Wiesz, że możesz przez jakiś czas tutaj zostać - powiedziała po chwili.

- Wiem. Ale wiem też, że nie mogę tu zostać na zawsze. Pani Lovie... no cóż, ona już niedługo odejdzie. A ty pewnie wrócisz do Chicago?

- Tak.

- Więc muszę się zastanowić, co ze sobą począć. Cara coraz głębiej pogrążała się w panice.

- Nie martw się - powiedziała z wysiłkiem. - Mamy jeszcze trochę czasu. Coś wymyślimy.

Toy skinęła głową, skubiąc brzeg poduszki. Wszelki optymizm i nadzieja opuściły Carę. Jej serce przepełniały rozpacz i strach.

Tego wieczoru Carze puściły nerwy.

- Nie jestem matką Toy! - krzyczała, kurczowo trzymając się ramion Bretta. - Nie jestem matką mojej matki! Nie jestem niczyją matką! Brett, ja już nie daję rady. Albo wybuchnę i rozsypię się na kawałki, albo stąd ucieknę.

Leżeli na posłanym łóżku. Brett uniósł się na łokciu i popatrzył na jej twarz.

- Nikt nie mówi, że jesteś jej matką - powiedział niskim, głębokim głosem.

- Nikt nie musi mi tego mówić. Ja się tak czuję - odrzekła, zasłaniając twarz dłońmi. - I to uczucie jest okropne. Nie można być matką własnej matki. To nienaturalne. Czuję się jak jakiś potwór. A ona czasami zachowuje się jak małe dziecko. Wypluwa tabletki albo chowa je pod poduszkę. Gdy przynoszę jej wodę, zaciska usta. Nie chcę jej takiej widzieć!

Brett w milczeniu odsunął poduszkę, którą Cara zasłoniła twarz.

- A Toy... Ona też mnie traktuje jak matkę. Mnie! Co za ironia.

- Dlaczego?

Cara spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Tylko na mnie popatrz! Czy ja wyglądam na kobietę o wybujałym instynkcie macierzyńskim? Nie nadaję się na niczyją opiekunkę!

- A nie sądzisz, że zajmowanie się matką i martwienie się o Toy świadczą o tym, że masz mocno rozwinięty instynkt opiekuńczy? - zapytał łagodnie.

Cara poczuła irytację.

- To nie to samo. Jak mogę się nimi opiekować, skoro nie potrafię zadbać nawet o siebie? Ja już nie mam siły. Staram się coraz bardziej, a coraz gorzej mi wszystko wychodzi. Przeważnie jestem tak wyczerpana, że patrzę tępo w ścianę i powstrzymuję płacz.

- Za dużo na siebie wzięłaś. Musisz poprosić kogoś o pomoc.

Przypomniała sobie rozmowę z Palmerem i roześmiała się gorzko.

- Prosiłam o pomoc mojego brata, a on przysłał bukiet kwiatów. Brett, te obowiązki nie mają końca. Nie daję rady. Nigdy nie chciałam być niczyją matką.

- A co cię tak przeraża w byciu matką?

- Nic mnie nie przeraża, tylko nie lubię być na siłę obsadzana w nieodpowiedniej roli. Zresztą nie chcę więcej o tym mówić.

Brett usiadł na łóżku i położył dłoń na jej ramieniu, obracając ją twarzą do siebie.

- Czy mogę ci jeszcze coś powiedzieć?

- Jasne.

- Myślę, że kiedyś będziesz doskonałą matką.

Wpatrzyła się w niego bez słowa, wyczuwając, że to jeszcze nie wszystko, co chciał jej powiedzieć.

- A może nawet i dobrą żoną - dodał z uśmiechem, Cara jednak widziała w jego oczach, że te słowa nie przyszły mu łatwo, i zabrakło jej tchu.

- Nie, nie ja - odrzekła pośpiesznie, również siadając.

Brett wydawał się zbity z tropu.

- Dlaczego nie?

Chciał ją objąć, ale zeszywniała i odsunęła się.

- Bo się do tego nie nadaję, tak samo jak ty. Tacy jak my nie nadają się do małżeństwa ani do dzieci. Obydwoje jesteśmy samotnikami, prawda?

- Ja nigdy nie ślubowałem starokawalerstwa i bezdzietności. Po prostu dotychczas jakoś się nie składało. Może takim jak my potrzeba na to więcej czasu.

Nie była w stanie myśleć o tym teraz. Odrzuciła prześcieradło, wstała i zaczęła się ubierać.

- Dokąd idziesz?

- Muszę wracać. Toy znów wybiera się do kina.

- Chciałem...

- Muszę się pośpieszyć - przerwała mu, odwracając twarz.

- Cara, zaczekaj. Nie idź jeszcze. Chcę z tobą porozmawiać. Odwiozę cię.

- Mam już dość rozmów na dzisiaj, Brett - pokręciła głową. - I przyjechałam tu rowerem.

Potykając się, pobiegła do drzwi, zostawiając Bretta siedzącego nieruchomo na łóżku.

W domu panował błogi spokój. Matka spała, a Toy uczyła się w swojej sypialni. Cara poszła do kuchni, zaparzyła sobie filiżankę herbaty i wyniosła ją

na werandę. Zapaliła świecę zapachową i usiadła na bujaku, a potem, nie wiadomo dlaczego, rozplakała się żałośnie.

Po chwili na schodkach rozległy się czyjeś kroki. Cara szybko otarła oczy i podniosła głowę. W świetle świecy dostrzegła aureolę białych włosów.

- Witaj - powiedziała Flo. - Przechodziłam tędy i zauważyłam światło.

Nie przeszkadzam ci?

- Oczywiście, że nie. Siadaj. Florence usiadła obok niej.

- Co słyhać?

- Wszystko w porządku.

- Jak tam Lovie?

- Śpi.

Flo spojrzała jej prosto w twarz.

- Więc co się stało?

- Nic. - Po chwili jednak Cara dodała: - Wszystko. - Pociągnęła nosem i znów otarła oczy. - Czuję się idiotycznie.

Flo wyciągnęła z kieszeni paczkę chusteczek i podała jej.

- Jeszcze z czasów mojej pracy został mi zwyczaj noszenia przy sobie chusteczek. Zdaje się, że tobie często się przydają.

- Och, nie zwracaj na mnie uwagi. Jestem po prostu zmęczona. Miałam ciężki tydzień.

- Może potrzebujesz pomocy?

- Dziękuję, ale na razie jakoś daję sobie radę.

- Właśnie widzę - mruknęła Flo. Cara potrząsnęła głową.

- Sama nie wiem, co się ze mną dzisiaj dzieje. Albo płacę, albo wybucham.

- Oho - mruknęła Flo z uśmiechem. - A przed kim wybuchłaś?

- Przed Brettem.

- Masz ochotę o tym opowiedzieć?

- Sama tego nie mogę zrozumieć. Rozmawialiśmy o mamie i Toy. Nie mam pojęcia, w jaki sposób zesłaliśmy na temat małżeństwa i macierzyństwa. Wpadłam w panikę. Nie byłam w stanie rozmawiać z nim o tych sprawach. Miałam ochotę uciec...

- I uciekłaś. Skinęła głową.

- Nie rozumiem, co w tym takiego okropnego.

- Bo nie widziałaś jego twarzy. Zraniłam go, Flo.

- Wydaje mi się, że ty też cierpisz. Chcesz z nim skończyć?

- Nie. W żadnym wypadku.

- To powiedz mu to. Zadzwoń do niego. Porozmawiaj z nim. Wytłumacz, co się z tobą dzieje. Nie zrozumie cię, dopóki się przed nim nie otworzysz.

- Nie jestem dobra w takich rozmowach. Co mam mu powiedzieć?

- Na początek możesz mu powiedzieć „cześć” - uśmiechnęła się Flo.

Brett odebrał telefon dopiero po kilku sygnałach.

- Halo? - usłyszała w końcu.

- Brett, to ja, Cara. Obudziłam cię?

- Nie. Nie mogłem zasnąć.

- Ja też - odrzekła, szukając właściwych słów.

- Myślałam o tym, co się zdarzyło wieczorem. Nie podziękowałam ci, że wysłuchałeś mojego biadolenia. Wiesz, byłam bardzo zdenerwowana. -

Usłyszała jego cichy śmiech i poczuła ulgę. - Jesteś jedyną osobą, przy której mogę wyrzucić z siebie całą frustrację - westchnęła. - Masz pecha, co?

- Cieszę się, że tak czujesz.

- Może to dziwny komplement, ale komplement. Brett, czuję się przy tobie bezpiecznie. I chciałam ci podziękować.

- Dobrze.

Czekała, ale gdy nie dodał nic więcej, zapytała nieśmiało:

- Nie masz ochoty o tym rozmawiać?

- Chyba nie.

- Och - mruknęła z rozczarowaniem i już chciała się pożegnać, gdy Brett jednak się odezwał:

- Każdemu zdarza się czasem gorszy moment. Ja przeważnie wybieram się wtedy na ryby.

W jego tonie zabrzmiało wyraźne zaproszenie.

Gdy małe żółwie dopelzają do oceanu i po raz pierwszy zanurzają się w słonej wodzie, budzi się w nich instynkt, który każe im wykonywać mocne uderzenia przednimi łapami. Przez dwadzieścia cztery godziny płyną jak w transie, by dotrzeć do Golfsztromu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Co roku na początku września, gdy zaczyna się okres jesiennych burz, mieszkańcy południowo-wschodniego wybrzeża włączają radia i telewizory i nasłuchują prognozy pogody.

Cara i Brett usłyszeli zapowiedź burzy, wracając z wyprawy na ryby. Tropikalny sztorm uformował się w pobliżu Afryki i zmierzał w stronę Karaibów.

- Czy myślisz, że z tego może być huragan? - zapytała Cara z lękiem.

Brett wydawał się zupełnie spokojny.

- Kto wie? - Wzruszył ramionami. - A dlaczego pytasz? Boisz się?

- Nie, wcale nie - skłamała.

- Mhm - mruknął z uśmiechem.

- Chodzi mi o to, że teraz, gdy mama jest chora, a Toy ma urodzić lada dzień...

- Nie martw się. Takie ostrzeżenia podawane są co roku, ale większość z tych burz rozchodzi się nad oceanem na długo przed tym, zanim zdążą dotrzeć do wybrzeża.

Cara postanowiła wierzyć mu na słowo. W końcu wiedział o tutejszej pogodzie więcej niż ona. Wyrzała przez okno; niebo było czyste, z kilkoma zaledwie niewielkimi obłoczkami. Nie wyglądało na to, by miała nadejść burza.

- Mimo wszystko lepiej się przygotować - dodał Brett. - Zgromadzić zapasy. W sezonie zawsze trzeba być przygotowanym.

- Świetnie - jęknęła Cara. - Dopiszę to do mojej listy rzeczy do zrobienia.

Zerknęła na zegarek. Była za kwadrans piąta. Po popołudniu spędzonym na rybach była brudna i spocona, ale już od dawna nie czuła się tak świetnie. Złapali kilka pstrągów i teraz zamierzali urządzić sobie ucztę. Na myśl o pstrągu z rusztu, skropionym cytryną, Cara poczuła, że ślinka napływa jej do ust.

- Ja oczyszczę te ryby, a ty dopilnujesz grilla, dobrze? - zaproponował Brett jak zwykle, wyjmując z samochodu torby z zakupami, które zrobili po drodze.

- Dobrze - skinęła głową Cara. Wyjęła z bagażnika dwie ostatnie torby i zatrzasnęła klapę. - Mam nadzieję, że Toy zostawiła nam trochę swojej słynnej surówki. Jestem taka głodna, że...

Naraz zatrzymała się jak wryta, omal nie wpadając na Brett, który również stanął w progu domu z torbami w objęciach. Za drzwiami stała matka. Jeden rzut oka na jej twarz powiedział Carze, że coś jest nie tak.

- Mamy gościa. Zobacz, kto przyjechał - zawołała Lovie ze sztuczną radością.

Cara wyminęła Brett, weszła do środka i zaniemówiła na widok dwóch twarzy, które spośród wszystkich na całym świecie najmniej spodziewałaby się tutaj zobaczyć. Palmer i Richard. Omal nie wypuściła toreb z rąk. Dom wydał jej się naraz za ciasny. Już od miesięcy ani razu nie pomyślała o Richardzie. Co on tutaj robił? Skąd się tu wziął?

Tymczasem mężczyzna podszedł do niej i wyjął zakupy z jej rąk.

- Witaj, kochanie. Na pewno jesteś zdziwiona, że mnie widzisz.

- Zdziwiona? To za mało powiedziane - odrzekła i zerknęła na Brett, który stał nieruchomo jak skała, trzymając w rękach kilka wypchanych toreb i turystyczną lodówkę. W tej chwili niczym nie różnił się od miejscowych rybaków - pomięte płócienne szorty, stare sandały, potargane włosy wymykające się spod baseballowej czapeczki.

- Brett, to jest mój były kolega z pracy, Richard Selby. A to mój przyjaciel, Brett Beauchamp - powiedziała automatycznie.

Richard uśmiechnął się półgębkiem.

- Przyjaciele Cary są również moimi przyjaciółmi. Uścisnąłbym ci rękę, ale... - popatrzył wymownie na torby.

Brett tylko skinął głową, krótko i sztywno. Richard obrzucił go kpiącym spojrzeniem.

- Podobno byliście na rybach? Słyszałem, że miejscowi są w tym dobrzy.

Brett wpatrzył się w niego lodowato, ale na szczęście w tym momencie Lovie wkroczyła do akcji.

- Chodźcie, chłopcy, postawcie te zakupy tutaj, w kuchni.

Obydwaj niechętnie poszli za nią. Cara przeniosła wzrok na Palmera, który najwyraźniej doskonale się bawił.

- Nie patrz tak na mnie - prychnął ze śmiechem. - Szukał cię u mnie, więc go tu przywiozłem. Specjalnie przyjechał z Chicago.

- Rozumiem - mruknęła. - I osobiście się pofatygowałeś, żeby go tu przywieźć?

- To taka przyjacielska przysługa. Wyjaśnił mi, co was łączy.

Cara już otwierała usta, żeby zapytać, co właściwie łączy ich zdaniem Richarda, ale zamilkła, widząc, że on sam się do nich zbliża. Jak zwykle był nienagannie ubrany w szare spodnie, granatową płócienną marynarkę i jedwabną koszulę bez krawata. Każdy włos miał na swoim miejscu i pomimo

upału wyglądał tak świeżo, jakby przed chwilą wyszedł spod prysznica. Cara poczuła się jeszcze bardziej brudna i przesiąknięta zapachem ryb.

- Bardzo się cieszę, że cię znowu widzę - powiedział, podchodząc do niej.

Cofnęła się o krok. Zauważył to i również przystanął.

- Richard, co ty tu robisz?

- To chyba oczywiste. Przyjechałem, żeby się z tobą zobaczyć.

- Nie mam pojęcia, po co.

Richard spojrział przez ramię na pozostałe osoby, które przysłuchiwały się tej rozmowie, i oczami dał Carze sygnał, że nie chce mówić przy nich. Mieli swój własny kod, opracowany w firmie na potrzeby komunikacji w obecności klientów, i zwykle rozumieli się bez słów.

- Trochę tu ciasno. Czy mógłbym zaprosić cię na kolację?

- Mam już plany na wieczór.

- Są ważne sprawy, o których muszę z tobą porozmawiać.

- Przykro mi.

- Cara, mogę tylko zgadywać, co o mnie myślisz.

- Gdybyś wiedział, co o tobie myślę, to nigdy w życiu nie ośmieliłbyś się pokazać w tym domu.

Richard uśmiechnął się z odrobiną skruchy.

- No właśnie. Właśnie dlatego musimy porozmawiać. Sam na sam.

- Richard... - zaczęła Cara ostro.

- A na osłodę - ciągnął, jakby jej w ogóle nie usłyszał - mogę ci powiedzieć już teraz, odkładając na razie na bok wszelkie sprawy osobiste, że przyjechałem w sprawie służbowej.

To wzbudziło jej zainteresowanie. Spojrzała na Bretta, który słuchał ich uważnie ze zmarszczonym czołem.

- Miałam już inne plany...

- To jest ważniejsze.

- Idźcie i pogadajcie - wtrącił jowialnie Palmer. - A ja chciałbym porozmawiać z mamą.

Cara popatrzyła na niego z irytacją. Obydwoje dobrze wiedzieli, że nie przyjechał tutaj z powodu matki.

- Hej, Brett - ciągnął Palmer niezrażony złym humorem siostry. - Może przyrzadzimy to, co masz w tej lodówce?

- Innym razem, Palmer - odrzekł Brett, idąc do drzwi. - Jestem bardzo zajęty. Ale weź sobie te ryby. Większość z nich i tak złapała Cara. Pani Lovie, cieszę się, że tak dobrze pani wygląda. Toy, miło mi było znów cię zobaczyć.

Jeszcze raz spojrzął na Carę, a potem nałożył ciemne okulary i wyszedł.

Cara miała wrażenie, że przechodząc przez drzwi restauracji w centrum miasta, znalazła się w innym życiu. Światło świec migotało w kryształowych kieliszkach do wina. Dokoła rozlegał się przytłumiony gwar rozmów i szcęk sztuców. Cara po raz pierwszy tego lata miała okazję włożyć czarną sukienkę, którą w pośpiechu wrzuciła do walizki przed wyjazdem z Chicago. Na szyi miała perły, a na przegubie zegarek od Cartiera zamiast timeksa, którego nosiła na plażę.

- Wyglądasz cudownie - skomplementował ją Richard ze szczerym uznaniem. - Jak ładnie się opaliłaś! Grasz w golfa?

- Nie - roześmiała się. - Zostałam opiekunką żółwi.

- Czym? - zdumiał się.

Wyjaśniła mu to pokrótce, świadoma, że temat żółwi nie zainteresuje go w najmniejszym nawet stopniu.

- Dużo spaceruję po plaży. Poza tym pracuję w ogródku, chodzę na ryby i pływam łódką.

Tym razem to Richard się roześmiał.

- Ty? Nie mogę uwierzyć. Przecież nie cierpisz rozrywek na świeżym powietrzu.

Cara poczuła irytację. Ona sama przestała już tak o sobie myśleć.

- To nieprawda. Tu żyje się zupełnie inaczej. Kto wie, może i tobie by się to spodobało.

- Dlaczego miałyby mi się nie spodobać? Miasto jest piękne, pogoda fantastyczna, a dokoła mnóstwo pierwszej klasy pól golfowych. Restauracje też są znakomite. O tej, w której jesteśmy, czytałem w fachowych pismach. Dostała pięć gwiazdek.

- A czy bardzo byś się zdziwił, gdybym ci powiedziała, że odkąd tu przyjechałam, po raz pierwszy jem coś w mieście?

- Chyba żartujesz. Biedactwo, musisz być wygłodzona. Przecież nie cierpisz domowego jedzenia.

Cara przypomniała sobie kraby i krewetki, które Brett dla niej przyrządzał, improwizowane pikniki na plaży, eksperymenty Toy ze zdrową żywnością i przepisy mamy i uśmiechnęła się na myśl, że nigdy w życiu nie jadła lepiej.

- Jak się czuje twoja mama?

- Richard, ona umiera. Jak może się czuć? Uśmiech znikł z jego twarzy.

- Po prostu próbuję być uprzejmy - wzruszył ramionami.

- Daj sobie spokój. Posłuchaj, nie jestem w stanie udawać, że to zwykła kolacja dwojga przyjaciół. Gdy się widzieliśmy ostatnim razem, pocałowałeś mnie na pożegnanie i odleciałeś do Nowego Jorku. O ile pamiętam, to przepraszałeś mnie za to, że zapomniałeś o moich urodzinach, chociaż tak naprawdę zapomniałeś o czymś zupełnie innym, nie powiedziałeś mi, że następnego dnia wylecę z pracy. A może to miała być niespodzianka na urodziny? - dokończyła Cara z ironicznym uśmiechem.

- Naprawdę musiałem wtedy polecieć do Nowego Jorku. I nie mogłem powiedzieć ci wcześniej o zwolnieniu, bo to była tajemnica służbowa.

- Och, proszę cię. Richard uniósł dłoń.

- Cara, posłuchaj. Daj mi przynajmniej szansę, żebym mógł to wyjaśnić. Nie chciałem cię zranić.

- Aha. No ale mnie zraniłeś. To był poważny cios i nie miałam niczyjego wsparcia. Po prostu zostawiłeś mnie na lodzie.

- Nie przypuszczałem, że wyjedziesz z miasta! Przez te ostatnie miesiące szalałem z niepokoju, zastanawiając się, gdzie jesteś i jak się czujesz! Próbowałem do ciebie dzwonić na domowy numer, na komórkę, musiałaś chyba dostawać moje wiadomości! Dlaczego nie oddzwoniłaś? Oszczędziłabyś mi wiele cierpienia i sama znacznie wcześniej dowiedziałabyś się, co się właściwie stało!

- Przysporzyłam ci miesięcy cierpienia? O, to ciekawe.

- Jeśli od tego poczujesz się lepiej, to tak, przyznaję, że cierpiałem. Zostawiłaś mi wiadomość; że zadzwonisz, gdy dotrzesz do domu. Czekałem więc przez kilka dni, a gdy przeciągnęło się to do kilku tygodni, zacząłem cię szukać. Nikt nie wiedział, gdzie się podziałaś. Zupełnie jak kamień w wodę. Jednak ja zachowałem spokój, bo wiedziałem, że lubisz podróże, a poza tym na pewno jesteś na mnie wściekła.

Cara nie dała się zwieść. Wiedziała, że ona sama ani jej los w najmniejszym nawet stopniu nie obchodzi Richarda. Chciał czegoś od niej i musiała tylko poczekać, żeby to jasno powiedział.

- To już stare dzieje - skostatowała chłodno.

- No tak, ale gdy przez całe lato nie dawałaś znaku życia, przestraszyłem się, że straciłem cię na dobre. Przychodziło mi nawet do głowy, żeby wynająć prywatnego detektywa. A wiesz, jak cię w końcu znalazłem? Byłem na lunchu z Adele i ona mi powiedziała, że jesteś u matki w Charlestonie, ale nie chciała dać mi numeru telefonu. Wróciłem więc do biura, znalazłem wszystkich Rutledge'ów w książce telefonicznej - zdajesz sobie sprawę, ilu ich jest? - i w końcu trafiłem na twojego brata. No i jestem.

- Imponująca opowieść. Mogę się tylko zastanawiać, po co zadałeś sobie tyle trudu.

Richard przymrużył oczy i rozpostarł dłonie na stole.

- Kochanie, wiem, że jesteś na mnie zła. Przepraszam, rzeczywiście zawiniłem, nie informując cię o tym zwolnieniu. Naprawdę jest mi z tego powodu bardzo przykro, ale musisz mi uwierzyć, że miałem już gotowy plan ponownego ściągnięcia cię do firmy. To była tylko kwestia przeczekania. I właśnie o tym chcę z tobą porozmawiać. - Jego brązowe oczy zalśniły w blasku świec. - Chodzi o tę kampanię reklamową barów szybkiej obsługi, nad którą pracowałaś. Projekt przeszedł i teraz oni chcą, żebyś właśnie ty pokierowała całą kampanią. Naszej firmie też na tym zależy, więc naprawdę powinnaś do nas wrócić. Jesteś nam potrzebna. - Odczekał chwilę i dokończył z emfazą:

- Jako wiceprezes i dyrektor działu.

Cara znieruchomiała.

- Chyba nie mówisz poważnie - wymamrotała, wpatrując się w jego twarz.

- Ależ jak najbardziej - odrzekł z szerokim, promiennym uśmiechem.

- Chcę to mieć na piśmie.

- Cara...

- Chcę zobaczyć kontrakt z wyszczególnieniem wszystkich tych rzeczy, o których przed chwilą mówiłaś, jak również tych, o których jeszcze nie wspomniałaś. Przyślij mi to przesyłką kurierską. Nie faksem, bo nie mam tu faksu. Jeśli kontrakt mi się spodoba, to polecę do Chicago i pozwolę ci się zaprosić na kolację. A potem, po kilku dniach negocjacji, jeśli spodoba mi się to, co usłyszę, to będę z tobą pracować.

Richard uśmiechnął się z mieszaniną irytacji i podziwu.

- Ty chyba żartujesz?

- W sprawach związanych z pracą i pieniędzmi nigdy nie żartuję. Ani nie kłamię.

Richard wybuchnął nieprzyjemnym śmiechem. Cara nie miała pojęcia, co właściwie widziała w tym mężczyźnie. Ale biznes to biznes. Jeśli Richard przyleciał tu tylko po to, by znów ściągnąć ją do firmy, należało rozważyć jego ofertę.

Zgarnęła torebkę i podniosła się.

- Dokąd idziesz? - zapytał zaskoczony Richard.

- Powiedziałeś, co miałeś do powiedzenia, więc nie widzę sensu zostawać dłużej. Miło mi było spotkać się z tobą. Mam nadzieję, że zobaczymy się znowu w Chicago. W firmie.

- Ale kolacja...

- Podobno jedzenie jest tu doskonałe, ale na mnie czeka w domu pstrąg.

Och, i skoro już tu jesteś, to wybierz się na partyjkę golfa. Wyglądasz trochę blado. Do widzenia!

Wsunęła torebkę pod ramię i wyszła z restauracji z miłą świadomością, że Richard podąża wzrokiem za każdym jej ruchem.

W domu panowała cisza.

- Halo! - zawołała, Cara stawiając torebkę na stole. Kuchnia była wysprzątana na wysoki połysk. Cara pociągnęła nosem, ale nie poczuła zapachu ryb.

Toy wyszła ze swojej sypialni w piżamie, chociaż było dopiero wpół do ósmej.

- O, cześć, Cara - zdziwiła się na jej widok. - Jak poszło?

- Doskonale. Dlaczego tak tu cicho? Gdzie jest Palmer?

- Wyjechał chwilę po twoim wyjściu.

- A mama?

- Tu jestem! - zawołała Lovie ze swojego pokoju. Poszły tam obydwie.

Okna były szeroko otwarte, ale i tak czuć tu było lekarstwami. Lovie leżała pod maską tlenową i oglądała telewizję. Cara podeszła do łóżka.

- Jak się czujesz? - zapytała, siadając na krawędzi.

Matka wskazała na maskę. Toy szybko zakręciła tlen.

- Dobrze, dobrze. Ta maska trochę pomaga.

Cara wiedziała, że matka używa jej z dnia na dzień coraz dłużej.

- Porozmawiałaś sobie z Palmerem? Podobno szybko wyjechał?

- Pogadaliśmy chwilę o tym i owym. On nie lubi rozmawiać na poważne tematy. Śpieszył się gdzieś, a ja, szczerze mówiąc, nie miałam nic przeciwko temu. Nie mam już sił na długie wizyty. Toy, kochanie, wyłącz ten telewizor, dobrze? - Usiadła na łóżku i uważnie spojrzała na córkę. - Więc czego on chciał?

- Nie uwierzysz - zaśmiała się Cara. - Zaproponował mi pracę w mojej starej firmie, ale na wyższym stanowisku! Projekt, nad którym pracowałam, zanim mnie wyrzucili, wchodzi do realizacji i klient chce, żebym to ja go prowadziła!

- To fantastycznie! - zawołała Toy z entuzjazmem.

- Włożyłam w ten projekt mnóstwo pracy. Och, mamo, to dla mnie wspaniała wiadomość!

Lovie wydawała się zaskoczona.

- To znaczy, że ten młody człowiek przyleciał tu z tak daleka tylko po to, żeby ci zaproponować pracę?

- Tak. A ty czego się spodziewałaś?

- Chyba raczej tego, że zaproponuje ci natychmiast małżeństwo!

- Małżeństwo? - zdumiała się z kolei Cara.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? W moim pokoleniu, gdy mężczyzna wpadał gdzieś z niezapowiedzianą wizytą, zwykle miał ku temu bardzo romantyczne powody! - prychnęła Lovie. - A w twoim, to nie wiem. Wszystko się pozmiało. Myślałam, że ci na nim zależy. Chyba to właśnie z nim byłaś związana przez kilka lat?

- Tak - odpowiedziała Cara powoli. - Ale nigdy nie miałam zamiaru zostać panią Selby.

- A dlaczego nie?

- Bo teraz już wiem, że mamy różne oczekiwania od życia!

- A czy chciałabyś się nazywać Beauchamp? - wtrąciła Toy.

Odpowiedź Cary zaskoczyła obydwie kobiety.

- Zastanawiałam się nad tym. Ale w chwili gdy usłyszałam ofertę Richarda, zrozumiałam, czego chcę. Zgodziłam się ją przyjąć.

Lovie skrzywiła się boleśnie.

- Brett to fantastyczny mężczyzna i tak bardzo do siebie pasujecie! Czy jesteś pewna, że rzeczywiście chcesz wrócić do pracy?

- Tak.

- Caro, ale samotność jest dla kobiety bardzo ciężka do zniesienia. Każda z nas potrzebuje mężczyzny, który by ją kochał i ochraniał. Nie jesteś już taka młoda - zaczęła zrzędzić matka. - Gdybyś tylko znalazła sobie jakiegoś dobrego męża...

Cara poczuła się zdruzgotana. W pierwszej chwili miała ochotę po prostu ugryźć się w język i wyjść, ale przysięgła sobie, że nie będzie już powtarzać starych błędów, wzięła więc głęboki oddech i popatrzyła na matkę.

- Mamo, ty naprawdę tego nie rozumiesz, prawda?

- Czego nie rozumiem?

- Jak wygląda życie kobiety we współczesnym świecie. Twoje pokolenie było uprzywilejowane. Teraz jest inaczej. Nikt nie płaci naszych rachunków, same musimy zarabiać na utrzymanie. Czasem chyba zapominasz, że ja od dawna jestem niezależna finansowo. Akurat w tej dziedzinie musiałam szybko wydorosnąć.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Cara patrzyła jej prosto w oczy.

- To, że ty i tato nie płaciliście za mój college. Nie kupiliście mi pierwszego samodzielnego mieszkania. Po wyjeździe z Charlestonu nie

dostałam od was nawet jednego dolara. Miałam wtedy osiemnaście lat. Tyle, co Toy teraz. Przez wiele lat musiałam ciężko harować, żeby otrzymać taką propozycję, jaką złożył mi dzisiaj Richard. To wielka chwila w moim życiu - dodała urywanym głosem. - A ty mi mówisz, że wszystko, czego sobie życzysz, to żebym znalazła dobrego męża? Czy nie rozumiesz, jak bardzo w ten sposób lekceważysz wszystko, co do tej pory osiągnęłam? - Lovie patrzyła na nią, nic nie rozumiejąc.

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby się z kimś związać - ciągnęła Cara. - Mogłabym nawet wyjść za mąż, dlaczego nie. Ale nie potrzebuję mężczyzny po to, żeby mnie utrzymywał. Ani żeby mi zapewnił bezpieczeństwo. Pod tym względem zawsze będę liczyć wyłącznie na siebie.

Lovie patrzyła na nią, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu.

- Tak mi przykro - powiedziała cicho. - Nie miałam pojęcia... Zawsze pisałaś takie optymistyczne listy, mówiłaś, że wszystko układa ci się doskonale... Chciałam w to wierzyć. - Otarła oczy i powtórzyła:

- Nie miałam pojęcia...

Na widok łez matki Cara zawstydziała się. Po co wyciągała te wszystkie stare żale?

- Och, mamo, to już teraz nie ma żadnego znaczenia - powiedziała, stając tuż obok łóżka. - Nie przyszłam tu po to, żeby się z tobą kłócić. Tylko odniosłam wrażenie, że zupełnie nie doceniasz mojej kariery zawodowej.

- Nie... nie - pokręciła głową Lovie. - Nie chciałam tego powiedzieć. Tylko... zawsze mi się wydawało, że kobieta, która ma męża, jest szczęśliwsza i bardziej spełniona.

- A czy ty możesz zupełnie szczerze powiedzieć, że byłaś szczęśliwa w małżeństwie?

Lovie podniosła na nią zaczerwienione oczy, ale nie odezwała się ani słowem.

- Czy to znaczy, że niedługo wrócisz do Chicago? - zapytała Toy, zmieniając temat.

Cara popatrzyła na nią. Dziewczyna niepewnie stała w progu, jakby nie wiedząc, czy ma wejść, czy wyjść.

- Nigdzie nie wyjadę, dopóki nie urodzisz dziecka - uspokoiła ją. - Ale potem będę musiała polecieć do Chicago, na początku tylko na kilka dni, najwyżej tydzień. Myślę, że poradzisz sobie tu sama, jeśli zapewnię ci jakąś pomoc.

Znów przysiadła na skraju materaca i uściśnęła dłoń Lovie.

- Kocham cię i nie zostawię cię tu. Rozumiesz? Matka zdobyła się na blady uśmiech.

- Oczywiście, że rozumiem.

- Dobrze się czujesz? Jadłyście kolację? Nie czuję zapachu ryb.

- Nikt nie miał siły ich skrobać. Zjadłyśmy zupę i wczorajszą zapiekankę. Cara poczuła burczenie w brzuchu.

- Ja nie jadłam kolacji i jestem okropnie głodna. Przebiorę się i poszukam czegoś w lodówce.

Przebrała się w dżinsy i koszulkę, zastanawiając się, co też porabia teraz Brett. Podniosła słuchawkę, wykręciła jego numer i odczekała kilka sygnałów, ale nikt nie odebrał. Na pewno czyścił krewetki gdzieś obok domu i zapomniał włączyć sekretarkę. To było do niego podobne. Cara podjęła szybką decyzję. Wsunęła stopy w tenisówki i sięgnęła po torbę.

- Mamo? - zawołała. - Idę do Brett. Nie czekajcie na mnie.

- Dobrze - odzysknęła Toy ponad dźwiękami telewizora, w którym właśnie nadawano prognozę pogody. Wychodząc z domu, Cara zdążyła jeszcze usłyszeć, że sztorm na Karaibach zaczyna przechodzić w huragan.

*Małe żółwie zmierzają w stronę głębokich i ciepłych wód
Golfsztromu, które zapewniają im względne bezpieczeństwo.
Mogą się ukryć i żerować wśród wielkich wodnych polaci
pełnych glonów sargassowych.*

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Cara zatrzymała samochód i natychmiast dostrzegła Bretta. Ubrany w czarną skórzaną kurtkę stał obok wielkiego, czarnego harleya.

- Nie wiedziałam, że masz motocykl - powiedziała, podchodząc do niego.

- Teraz rzadko na nim jeżdżę. Nie mam czasu.

Na dźwięk jego oschłego tonu podniosła wzrok. Nie pocałował jej na powitanie, nie objął, nawet się nie uśmiechnął.

- Jestem strasznie głodna - stwierdziła. - Ty już jadłeś?

- Zdawało mi się, że poszłaś na kolację z tym... jak mu tam?

- Z Richardem? Owszem, poszłam. To znaczy, poszłam z nim do restauracji, ale szybko omówiliśmy, co było do omówienia, i wyszłam.

- A co mieliście do omówienia?

- Richard zaproponował mi pracę.

Brett nie skomentował tego, tylko pochylił się nad motocyklem. Cara po raz drugi tego wieczoru poczuła się rozczarowana. Oczekiwała przynajmniej uprzejmego pytania, jaka to praca, czy choćby mruknięcia.

- Miałam nadzieję, że trafię na gotowane krewetki - spróbowała jeszcze raz, ale Brett potrząsnął głową.

- Zjadłem jakąś mrożoną pizzę.

- Och - mruknęła, zastanawiając się, czy on jest zazdrosny o to, że poszła na kolację z innym mężczyzną, czy zły, że nie została, by pomóc mu przyrządzać pstrągi.

- Wybierasz się na przejażdżkę?

- Mhm - mruknął, wciąż na nią nie patrząc. Wszedł do garażu i wrócił z czarnym kaskiem w rękę.

To przeważyło szalę. Cara poczuła wściekłość. Nie zasłużyła sobie na takie traktowanie.

- O co ci chodzi? - zapytała gniewnie.

- Mnie? O nic.

- To dlaczego tak się zachowujesz?

Brett położył kask na siodelku motocykla i wpatrywał się weń przez chwilę.

- Masz rację - odrzekł wreszcie, podnosząc wzrok.

- Nie zasłużyłaś sobie na to. Jestem po prostu trochę wytrącony z równowagi.

- Z powodu Richarda?

Nie odpowiedział.

- Brett, nie miałam pojęcia, że on tu przyjedzie. A już na pewno go nie zapraszałam. Między nami wszystko już skończone, w każdym razie z mojej strony. Po dzisiejszym wieczorze jest to absolutnie jasne.

Popatrzył na nią, ale nie potrafiła rozszyfrować tego spojrzenia. A potem, ku jej zaskoczeniu, znów wszedł do garażu i przyniósł drugi kask, mniejszy i biały.

- Nałóż to - powiedział.

Wsiadł na motocykl i wskazał jej miejsce za sobą. Objęła go w pasie i oparła stopy na podpórkach.

- Trzymaj się - zawołał.

- Dokąd jedziemy?

- Chcę ci coś pokazać.

Potężny silnik zaryczał i Cara mocniej przycisnęła się do pleców Brett'a. Nie miała nawet czasu powiedzieć mu, że to jej pierwsza przejażdżka na

motocyklu. Wcześniej siedziała tylko na motorowerze. Żwir pryskał spod kół, gdy skręcili w Palm Boulevard. Słońce zapadało już nad mokradłami i Cara pomyślała, że nigdzie na świecie zachody słońca nie są tak piękne jak w Karolinie Południowej.

Przejażdżka była fantastyczna. Księżyc bliski pełni oświetlał srebrnym blaskiem drogę. Przejechali przez most na wyspę James i sunęli dalej krętą drogą wśród olbrzymich omszałych dębów. Jechali tak prawie przez godzinę, aż wreszcie dotarli do miejsca, gdzie droga zaczęła wic się seria ostrych zakrętów. Brett zwolnił i po chwili zatrzymał motocykl.

- To tu.

Cara zdjęła kask i z trudem zeszła z siodelka. Brett powiesił oba kaski na kierownicy i odszedł na pobocze, gdzie w trawie stał niewielki biały krzyż. Sięgnął za pazuchę kurtki, wyciągnął stamtąd trochę zgniecioną żółtą różę i położył ją przy krzyżu. Cara patrzyła na niego z odległości kilku kroków.

Przez długą chwilę stał pod krzyżem z pochyloną głową. Powoli zaczął im się dawać we znaki nocny chłód. Obok przejechało kilka samochodów, omiatając ich światłami reflektorów. W końcu Brett obrócił się i gestem przywołał ją do siebie..

Gdy stanęła obok niego, objął ją i powiedział:

- Nazywała się Ashley Carter. Poznaliśmy się na pierwszym roku studiów i spotykaliśmy się przez kilka lat. Była bardzo inteligentna i nie lubiła studenckich imprez. Trochę tak jak ty. Chciała być leśnikiem. Nasze randki polegały na zbieraniu próbek roślin bagiennych - zaśmiał się i urwał, znów popadając w zamyślenie. Cara spokojnie czekała na ciąg dalszy.

- Nie znałaś mnie wtedy - podjął. - Może nie byłem złym chłopakiem, raczej niebezpiecznym. Ciągle ryzykowałem, próbowałem przekraczać wszelkie granice. Byłem gotów na wszystko, co moim zdaniem gwarantowało dobrą zabawę. Chyba dlatego wyżywałem się w sporcie. Skakałem z mostu, podpływałem łodzią do wielkich statków i tak dalej. Wiele razy byłem bliski

śmierci, choć i tak szczęście nie zawsze mi dopisywało. Raz złamałem nogę, dwa razy rękę, kilkakrotnie miałem połamane palce. Ale to tylko sprawiało, że tym bardziej wierzyłem w swoją szczęśliwą gwiazdę. Sam nie wiem, jak udało mi się przebrnąć przez szkołę średnią. Na studiach prawie co wieczór byłem pijany i do tego szczerze wierzyłem, że dobrze jeżdżę po pijaku. Gdy teraz o tym myślę, dreszcz mi przechodzi po plecach. Ale Ashley nigdy; mnie takim nie widziała. Przy niej byłem inny. Ironia sytuacji polega na tym, że w dniu wypadku nic nie piłem. Wracaliśmy do domu z zajęć plenerowych, był biały dzień i nigdzie nam się nie śpieszyło. Wszedłem w zakręt niezbyt szybko, ale ciężarówka jadąca z przeciwka ścięła zakręt i wjechała prosto na nas. Ostro skręciłem w bok, straciłem przy tym równowagę i wyrzuciło mnie razem z motocyklem na pobocze. Ashley miała mniej szczęścia. Gdyby wylądowała na ziemi, pewnie by przeżyła. Ale tamtego dnia wszystko się przeciwko nam sprzysięgło. Uderzyła w ten wielki dąb. Powiedziano mi, że zginęła na miejscu.

- Tak mi przykro, Brett - westchnęła Cara. Skinął głową i zapatrzył się na dąb.

- Nie możesz siebie za to winić. To był wypadek. Przecież nic nie piłeś.

- Łatwo ci mówić. Bardzo długo się o to obwiniałem. Byłem przekonany, że po prostu wyczerpałem już swój limit szczęścia. Tyle razy mi się udawało, a tym razem dopadł mnie wreszcie pech. Musiałem zapłacić za głupotę. Tylko że to nie ja zapłaciłem, a Ashley. I wiem, że mój dzień jest już wyznaczony, tak samo jak był wyznaczony dzień Ashley. Drugi września 1984.

- Dziś jest rocznica - szepnęła Cara.

- Tak - skinął głową Brett. - Sam przyjazd tego Richarda nie zdenerwował mnie tak bardzo jak fakt, że pojawił się właśnie dzisiaj. Poczułem się zagrożony - nie przez niego, tylko przez los. Pomyślałem, że znowu stracę kogoś, kogo... - urwał j wziął głęboki oddech - na kim mi zależy.

Cara objęła go mocno. Otoczył ją ramionami i przycisnął do siebie z całych sił, wtulając twarz w jej włosy. Obok nich przejechał kolejny samochód.

Carze wydawało się, że poprzez chrzęst żwiru usłyszała niewyraźnie wyszeptane słowa: Kocham cię.

Wrócili na wyspę Palms, przebrali się w kostiumy kąpielowe i poszli popływać, a potem położyli się na ręcznikach rozciągniętych na piasku. Cara położyła głowę w zagłębieniu ramienia Brett'a.

- Cara, tam, przy krzyżu - powiedział, odgarniając wilgotne włosy z jej karku - nie byłem z tobą do końca szczery.

- Och? - podniosła głowę.

Wzjął ją za rękę i marszcząc brwi, bawił się jej palcami.

- Chciałem tam pojechać nie tylko dlatego, że dziś jest rocznica wypadku. Chciałem pożegnać się z przeszłością. Podjąłem ważną decyzję, ale bardzo się bałem. Nadal się boję. I ten Richard wcale mi nie pomógł. Próbowałem ci to już raz powiedzieć, ale nie chciałaś słuchać. Mam nadzieję, że teraz mnie wysłuchasz.

Wyczuła, co się zbliża, i serce zaczęło bić jej mocniej.

- Brett... - szepnęła, wdzięczna, że mrok nie pozwalała mu wyraźnie dostrzec jej twarzy.

- Kocham cię - powiedział, a właściwie boleśnie z siebie wyrzucił. - Wiem, że to bez sensu. Tyle razy sobie obiecywałem, że już nigdy się nie zakocham. Jedyne wytłumaczenie, jakie mi przychodzi do głowy, to że miałem się w tobie zakochać w wieku szesnastu lat, ale wtedy żadne z nas nie było gotowe i musieliśmy pójść swoimi odrębnymi drogami, zanim się znowu spotkaliśmy. Teraz. Gdy mamy po lat czterdzieści.

Zatrzymał na niej wzrok i uśmiechnął się niespodziewanie.

- To znowu rower Tolstoja. Kocham cię, Cara, i chcę się z tobą ożenić.

Serce przestało jej bić i nie była w stanie wykrztusić ani jednego słowa.

- Czy jesteś przerażona? - zapytał, przechylając głowę na bok.

- Jeszcze jak.

- Nie przypuszczałaś, że coś takiego usłyszysz?

- Może i czegoś się spodziewałam, ale... Brett, tyle razy powtarzałeś, że jesteś samotnikiem...

- Myliłem się.

- Naprawdę?

- Ty mówiłaś to samo o sobie.

Cara wzięła głęboki oddech i wysunęła dłoń z jego dłoni.

- Ale ja się nie myliłam.

Brett przez chwilę patrzył na nią z niezrozumieniem, a potem w jego oczach pojawił się cień.

- Co próbujesz mi powiedzieć? Że nie chcesz wyjść za mąż?

- Chyba nie. Jeszcze nie. Przykro mi.

- Myślałem...

- Nie chodzi o to, co do ciebie czuję. Kocham cię. - Usiadła na piasku, ze skrzyżowanymi nogami, drżąc z zimna. Brett narzucił jej na ramiona swoją kurtkę. Właśnie takie drobne gesty sprawiały, że tak trudno było jej powiedzieć to, co sobie umyśliła.

- Nie chciałbyś mieć takiej żony jak ja - westchnęła. - Nie jestem łatwa we współżyciu. Rano budzę się zirytowana. Lubię pracować do późna w nocy. Nie jestem też specjalnie wesoła ani towarzyska. Umiem tylko pracować i zupełnie się nie znam na prowadzeniu domu. Moja matka może ci coś o tym powiedzieć. Wszystkie ubrania kurczą mi się w suszarce i przypalam nawet wodę. Uciekaj ode mnie jak najdalej, Brett.

- Już od dawna sam sobie gotuję i sprzątam. Nie tego szukam w kobiecie.

- Ujął jej twarz w dłonie i przysunął do swojej. - Dlaczego zawsze musisz wszystko utrudniać? Powiedz po prostu „tak”.

Cara westchnęła.

- Powiedziałaś ci dzisiaj, że Richard zaproponował mi pracę. Nawet nie zapytałeś, jaką.

- Nie chciałem wiedzieć.

- Instykt słusznie cię ostrzegł - zauważyła ostrożnie. - Ale zabolalo mnie to, że nie zapytales.

Brett podniósł się i usiadł obok niej. Jego twarz wydawała się nieprzenikniona.

- Dobrze, to teraz pytam. Co to za praca?

- Zaproponował mi wielki awans. I w dodatku połączony z nadzorem nad projektem, na którym mi bardzo zależało i który kosztował mnie mnóstwo pracy. Nad moim własnym projektem. Chcę, żeby wróciła do pracy!

- Ja też ciebie chcę. Cara zacisnęła usta.

- Powiedziałam mu, że się zgadzam.

- W takim razie gratuluję - mruknął Brett, odwracając wzrok.

Nikt więcej nie pogratulował jej awansu, ale nie ucieszyła się.

- Przecież to wcale nie musi być powód do smutku! - zawołała. - Nie musimy ze sobą zrywać! Ja będę tu często przyjeżdżać, ty też możesz czasem wpaść do Chicago. Nie musimy brać ślubu, żeby się widywać!

Brett jednak stanowczo potrząsnął głową.

- Nie. To mi nie wystarczy. Za daleko zaszedłem, żeby zgodzić się na taki układ.

- A co w nim jest złego? Obydwoje cenimy swoją niezależność, własne terytorium. Powiedz mi, ale tak zupełnie szczerze, jaki jest pożytek z zawarcia ślubu? Bo chyba nie masz na myśli podatków. Ludzie tacy jak ty i ja lepiej się czują sami.

- W takim razie ja też zadam ci jedno pytanie. Dlaczego ciągle porównujesz nas do jakichś par filmowych? Mr. Allnut i Rosie, Tarzan i Jane czy tych dwoje dzieciaków na wyspie. Oni wszyscy byli razem, bo razem czuli się szczęśliwsi i silniejsi niż osobno.

- To tylko filmy. W prawdziwym życiu jest zupełnie inaczej.

- Skąd wiesz, jak jest w prawdziwym życiu, skoro nawet nie chcesz spróbować? Powiem ci coś o prawdziwym życiu. Zwierzęta łączą się w pary dla podtrzymania gatunku i przeważnie zaraz potem się rozstają. Ale czy obserwowałaś kiedyś gatunki, w których obydwoje, samiec i samica, opiekują się małymi? To takie piękne, że można się przy tym wzruszyć.

- I rzadkie - dodała Cara.

- Przez to tym cenniejsze.

- Nie zapominaj, że mam na imię Caretta. Od żółwia. Żółwie są samotnikami.

Brett w milczeniu sięgnął po ubranie i wstał.

- Gdzie idziesz?

- Prześpię się pod gwiazdami - rzekł, wsuwając stopy w sandały.

- Nie odchódź! - zawołała za nim. - Dlaczego ty musisz być taki?
Zatrzymał się i obejrzał przez ramię.

- Jaki?

- Uparty!

- Cara, przykro mi, jeśli robię coś nie tak, ale jesteś jedyną kobietą, której się oświadczyłem. A ty dałaś mi kosza. Więc jeśli możesz, to zostaw mnie teraz samego.

- Poczekaj. A gdybym zgodziła się za ciebie wyjść, to czy pojechałbyś ze mną do Chicago?

- A dlaczego musielibyśmy tam jechać?

- Bo ja mam tam pracę.

- A ja mam tu firmę.

- Rozumiem. Czyli odpowiedź brzmi „nie”.

- Cara...

- Dlaczego ty możesz powiedzieć „nie”, a mnie odmawiasz tego prawa? - wybuchnęła. - Brett, dlaczego wszystko nie może po prostu zostać tak, jak jest?

- Bo ja tak nie umiem. Cara aż sapnęła ze złości.

- Czyli ma być tak, jak ty chcesz, bo inaczej nici z naszego układu?

Na jego twarzy malowało się takie przygnębienie, że Cara miała ochotę się rozplakać.

- Powiedziałem już wszystko, co mężczyzna może powiedzieć w takiej sytuacji. A ty odpowiedziałaś na moje pytanie. Dobranoc, Caretto.

- Brett...

Bez słowa oddalił się i zniknął w mroku.

Małe żółwie dopływają do zachodnich wybrzeży Afryki, gdzie pozostają przez około dziesięć lat. Przez cały ten czas rosną i przybierają na wadze. Tuż po wykluciu małe mają około pięciu centymetrów długości. Dorosłe osobniki ważą od 130 do 200 kilogramów, a długość ich skorupy może przekraczać metr. Potrzebują od 20 do 30 lat, by osiągnąć takie rozmiary i dojrzeć, nikt jednak nie wie na pewno, jak długo żyją - przypuszcza się, że nawet do 100 lat.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Huragan otrzymał imię Brendan. Nieprzewidywalny jak większość tego typu burz, jednego dnia słabł, a drugiego przybierał na sile, powodując zamieszanie w prognozach pogody i zdenerwowanie wszystkich mieszkańców Wschodniego Wybrzeża. Na wyspie Palms nadal utrzymywała się ładna pogoda, ale powietrze stało się dziwnie ciężkie i parne.

Toy stała na werandzie i patrzyła na ocean, nad którym kłębiły się dziwne niebieskawe chmury. Był wieczór i zachodzące słońce podświetlało je od tyłu na czerwono. Widok był piękny, a zarazem przerażający. Toy zadrżała. Wszystko wydawało się jakieś inne.

Oddychając głęboko, delikatnie zataczała palcami kółka na brzuchu, a jej myśli były równie skłębione jak chmury na niebie. Musiała podjąć jakąś decyzję. Darryl zadzwonił niedawno i z wielkim przejęciem krzyczał do słuchawki, że w stronę wyspy zmierza huragan i że chłopcy z jego kapeli postanowili wyruszyć w drogę, zanim żywioł zaatakuje z całą mocą.

- Nic ich nie obchodzi, chcą jechać i już. A ja nie pozwolę ci zostać na tej wyspie ani minuty dłużej, rozumiesz? Natychmiast stamtąd uciekaj, zanim zacznie się huragan! Pakuj się, przyjadę po ciebie, koniec dyskusji!

Toy próbowała oddechem rozpędzić kolejny skurcz. Powietrze było parne jak w łaźni. Do terminu porodu zostały jej jeszcze dwa dni, ale nietypowa pogoda robiła swoje. Dziecko prawie się dzisiaj nie poruszało, Toy czuła tylko, że ułożyło się niżej, gotowe do startu. A może to tylko nerwy, zastanawiała się. Co będzie, jeśli zacznie rodzić w samochodzie?

Znów poczuła napływające do oczu łzy. Musiała pojechać z Darrylem, nie miała innego wyjścia, nie miała nikogo innego. Był ojcem tego dziecka i powinna dać mu szansę, nawet jeśli już go nie kochała. Może Darryl zmieni się pod jej wpływem, tak jak ona zmieniła się pod wpływem pani Lovie. A zresztą i tak nie miała żadnego wyboru.

W oknie sypialni pani Lovie paliło się światło. Obydwie z Carą oglądały telewizję. Do uszu Toy dochodziła kolejna prognoza pogody. Huragan w tej chwili szalał na Bahamach.

- Jest już ostrzeżenie dla okolic Charlestonu - powiedziała Cara. - O, cholera. Obowiązkowa ewakuacja ze wszystkich wysp.

Toy słuchała tych słów z rosnącym przerażeniem.

- Nie ma co panikować. Mamy jeszcze mnóstwo czasu - odrzekła Lovie spokojnie.

- Ale lepiej wyjechać zaraz jutro rano.

Toy cofnęła się o krok i złożyła ramiona na piersiach. Bała się o siebie, o dziecko, o panią Lovie i o Careę. Miała ochotę dołączyć do nich i upewnić się, że zabiorą ją ze sobą i wszystko będzie w porządku.

Ale nie mogła tego zrobić. Położyła dłoń na poręczy werandy i pochyliła się w stronę okna.

- Do widzenia, pani Lovie - szepnęła. - Do widzenia, Caretto.

Tylko tak mogła się z nimi pożegnać. Nie próbowała im nawet tłumaczyć, dlaczego wraca do Darryla. Nie zrozumiałyby tego.

Cicho weszła do domu i wzięła do ręki walizkę, a potem zeszła po schodkach na skraj drogi. Postawiła walizkę na ziemi i czekała. Wiatr przybierał już na sile, niosąc kropelki drobnej mżawki znad oceanu.

Nie musiała czekać długo. Po kilku minutach na drodze pojawiły się światła. To był biały mustang Darryla. Pomachała ręką. Darryl zatrzymał się obok niej i wystawił głowę przez okno.

- Wsiadaj, wynosimy się stąd - mruknął, zaciągając się papierosem. - Pośpiesz się.

Toy szarpnęła zardzewiałe drzwi i wrzuciła walizkę na tylne siedzenie, a sama z trudem usiadła z przodu.

- Jesteś wielka jak dom - mruknął Darryl.

Toy nie odpowiedziała, nawet nie poprosiła, żeby zgasił papierosa, choć od tego smrodu zrobiło jej się niedobrze. Po prostu w milczeniu odwróciła głowę i po raz ostatni popatrzyła na żółty dom na wydmie.

Cara spędziła cały dzień w długich kolejkach w sklepach. Wszyscy kupowali arkusze sklejki, gwoździe, baterie, wodę mineralną i inne zapasy. Tak na wszelki wypadek, powtarzała sobie. Przez most łączący wyspę z kontynentem pełził powoli długi sznur samochodów z rejestracjami z Karoliny Północnej, New Jersey, Ohio, Illinois i innych stanów.

Po wieczorze spędzonym na wysłuchiowaniu prognoz pogody Cara długo nie mogła usnąć, a potem spała niespokojnie. Obudziła się z ciężką głową i brzęczeniem w uszach. Sięgnęła po budzik i ze zdumieniem zauważyła, że była już dziewiąta. Jak to możliwe, żeby tak zasnęła? Dlaczego jest tak ciemno? Czyżby już wyłączono prąd?

Po chwili przypomniała sobie, że poprzedniego wieczoru szczelnie zamknęła i zarygłowała wszystkie okiennice. Po raz pierwszy tego lata nie obudził jej świergot ptaków. Ubierając się, uświadomiła sobie, że być może wkłada strój, w którym będzie musiała opuścić wyspę. Po namyśle wybrała tenisówki zamiast sandałów i rzuciła na łóżko sweter.

Powietrze w domu już stało się zatechłe, a wokół panował ponury półmrok. Cara otworzyła drzwi na werandę i natychmiast uderzyły ją w twarz drobne kropelki deszczu. Niebo miało złowieszczy, ciemny odcień. Dalej nad oceanem chmury były całkiem granatowe. Na ten widok Cara straciła wszelką nadzieję, że huragan jednak ominie wyspę i przejdzie bokiem.

- Mamo! Toy! - zawołała. - Wstawajcie, musimy się zbierać!

- Ja już nie śpię - odkrzyknęła Lovie.

Cara szybko zaczęła uprzątać meble z werandy.

- Toy! - zawołała jeszcze raz, a gdy nikt nie odpowiedział, pobiegła do sypialni dziewczyny i ostrożnie uchyliła drzwi.

Na nietkniętym łóżku leżała biała koperta. Cara poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. Rozerwała kopertę i przeczytała:

Droga Pani Lovie i Caretto!

Wyjechałam z Darrylem. Chcemy stworzyć rodzinę. Przepraszam, że zrobiłam to w tajemnicy. Chciałam się pożegnać, ale musiałam się śpieszyć z powodu huraganu. Darryl już wyjeżdżał, a ja obiecałam Wam, że nie będę sprawiać żadnych kłopotów.

*Nie jestem w stanie podziękować Wam za wszystko, co dla mnie
zrobiłyście. Zawsze będę pamiętać o Was i o wszystkim, czego się tu nauczyłam.
I zawsze będę Was kochać.*

Proszę, nie martwcie się o mnie. Wybaczcie i spróbujcie mnie zrozumieć.

Uściski, Toy Sooner.

PS Przyślę wam zdjęcia dziecka.

Cara przez chwilę patrzyła na list z niedowierzaniem. Jak Toy mogła im to zrobić? W dodatku akurat w takiej chwili? Westchnęła ciężko i pobiegła do sypialni matki. Lovie siedziała na łóżku, ubrana tak samo jak w dniu, w którym Cara przyjechała na wyspę, tylko że teraz spódnica i bluzka były na nią o wiele za szerokie.

- Mamo, Toy wyjechała.

- Jak to? - przeraziła się Lovie. - Dokąd? Do szpitala?

- Nie. Z Darrylem.

Lovie zachwiała się na łóżku. Cara podbiegła i podtrzymała ją.

- Toy, Toy, Toy - powtarzała Lovie z oszołomieniem. - Cara, dlaczego ona z nim pojechała? Dlaczego?

- Bo jest młoda i wydaje jej się, że go kocha. Usiądź i sama przeczytaj, a ja się zastanowię, co robić dalej.

Podeszła do telefonu, żeby zadzwonić na policję, ale linia milczała. Bez komórki były odcięte od świata.

- Telefon nie działa - powiedziała, wracając do sypialni matki. - Nie mogę zadzwonić na policję. Zresztą co bym im powiedziała? Nawet nie znamy nazwiska Darryla ani nie wiemy, jakim samochodem jeździ. Mamo, my nic o nim nie wiemy oprócz tego, że jest skończonym draniem.

- Cara, Ty sama podjęła decyzję - odrzekła Lovie zdumiewająco spokojnie, choć ze smutkiem. List leżał na jej kolanach. - Nie możemy jej niczego zabronić. Wie, gdzie nas znaleźć.

Usłyszały odgłos otwieranych drzwi i wołanie Flo:

- Halo! Halo!

- Tutaj! - zawołała Cara i Flo przybiegła do sypialni.

- Bogu dzięki, że jeszcze jesteście. Próbuję wyjechać, ale mam kłopot z Mirandą.

- A co się stało? - zaniepokoiła się Lovie. - Znowu gdzieś poszła?

- Nie, zupełnie zwariowała. Płacze nad ostatnim gniazdem, które jest akurat naprzeciwko domu. Mówi, że jeśli je tak zostawimy, to huragan je zniszczy.

- Przecież zostało jeszcze wiele gniazd. Nic nie możemy na to poradzić! - wzruszyła ramionami Cara.

- Ona chce, żebyśmy je przeniosły.

- Zwariowała? Nie możemy tego zrobić. To wbrew przepisom.

- Niezupełnie - potrząsnęła głową Lovie. - Przepisy mówią, że osoba uprawniona może przenieść gniazdo, jeśli zaistnieje taka potrzeba podyktowana realnym zagrożeniem.

- Czy to gniazdo naprawdę jest zagrożone? - zapytała Cara.

- Nie ma żadnych wątpliwości - stwierdziła Flo. - Najprawdopodobniej cała wydma zostanie zatopiona. Pozostałe gniazda są dalej od brzegu. Może jakoś ocaleją. No cóż, musimy się zdać na siły natury.

Cara popatrzyła na Lovie.

- Mamo, co chcesz zrobić?

- Sama nie wiem...

- Podejmij jakąś decyzję. Tak albo nie. Lovie podniosła głowę wyżej.

- Tak. Ale tylko to jedno gniazdo. I ja to zrobię. Wy będziecie się przyglądać.

Gdy Lovie odkopywała gniazdo, Cara włączyła telewizor, żeby posłuchać ostatnich prognoz. Dom wyglądał jak skład mebli. Cała podłoga zastawiona była sprzętami z werandy. Przy drzwiach stały walizki i plastikowe kosze z rzeczami do zabrania.

Na dźwięk klaksonu wyszła na werandę. Flo i Miranda siedziały w samochodzie wyładowanym dosłownie po brzegi.

- Chciałam się pożegnać - wyjaśniła Flo. - To numer do motelu, w którym się zatrzymamy. Ty też podaj mi numer do was.

Cara nabazgrała na skrawku papieru telefon do motelu w Columbii, gdzie miały zarezerwowany pokój, i krótko wyjaśniła, którądy zamierzają jechać.

- Zadzwoń, gdy tam dotrzemy - obiecała.

- A gniazdo? - niepokoili się Miranda, kurczowo zaciskając palce na ramieniu Flo.

- Zajmiemy się nim, Mirando. Nie martw się o nic.

- Nie wyjeżdżacie jeszcze?

- Niedługo. Czekam tylko na mamę.

- Jak to? - przeraziła się Flo. - Czy ona wciąż jest na plaży?

- Zaraz po nią pójde.

- Idź natychmiast i przyprowadź ją, nawet gdyby stawiała opór! Wiatr przybiera na sile, niedługo zamkną most! - Po raz ostatni zatrzymała wzrok na domu. - Ciekawe, czy jeszcze go zobaczę. Nie podoba mi się ten huragan. Bardzo mi się nie podoba.

- Jedźcie już - zniecierpliwili się Cara.

Toy siedziała w samochodzie, gdy Darryl ładował rzeczy do bagażnika. Spędzili okropną noc na nadmuchiwym materacu w jego pustym mieszkaniu. Było tak gorąco i parno, że o zaśnięciu nie mogło być mowy. Darryl sprzedał klimatyzator razem z meblami i w mieszkaniu został tylko stary, skrzypiący

wiatrak pod sufitem, który niewiele pomagał. Toy nie posiadała się ze zdumienia, gdy w środku nocy poczuła na sobie ręce Darryla. Tuż przed porodem! Kilka tygodni wcześniej może zacisnęłaby zęby i pozwoliła mu na wszystko, ale tej nocy brzuch miała twardy jak kamień i czuła się tak źle, że stanowczo odepchnęła Darryla. Teraz rzucił torbami, wściekły jak dzieciak. Niebo nad nimi stawało się coraz ciemniejsze. Naprawdę musieli się śpieszyć.

Naraz poczuła przeszywający ból i zaparło jej dech. Przez całą noc męczyły ją bóle, ale nie tak silne jak ten. Gdy po chwili udało jej się złapać oddech, spojrzała na zegarek. Czytała o tym, że należy liczyć czas między skurczami. Odchyliła głowę i próbowała się uspokoić. Po chwili jednak ból powrócił, tym razem tak silny, że zaczęła jęczeć.

Darryl wszedł do samochodu i otarł pot z czoła.

- Ależ gorąco. Jedźmy wreszcie z tego piekła.

- Spojrzał na nią i zaklął. - Czy ty znów płaczesz? Toy - wycedził dobitnie. - Co się dzieje?

- Mam skurcze.

- Co to znaczy? Chyba nie zaczynasz rodzić?

- Nie wiem. Jeszcze nigdy nie rodziłam.

- Ale kobiety chyba powinny wiedzieć takie rzeczy! Cholera!

- Mówię ci przecież, że nie wiem!

Darryl włożył kluczyk do stacyjki i zapalił silnik.

- Spokojnie. Może to minie.

Toy nie mogła uwierzyć, że jest taki głupi.

- Chyba powinienesz zawieźć mnie do szpitala!

- Teraz? Przecież wyjeżdżamy!

Poczuła, że jej twarz czerwienieje z gorąca i wściekłości.

- Nie mam zamiaru rodzić w samochodzie! - wykrzyknęła dobitnie. Nie wiedziała, co dało jej tyle siły, ale w tej chwili gotowa była wysiąść z auta i pójść do szpitala piechotą.

Darryl chyba wyczuł jej stan, bo tylko wymamrotał coś pod nosem i ruszył. Po kilku sekundach Toy poczuła, jak coś ciepłego spływa jej między nogami i krzyknęła z przestachu.

- Co się do diabła znowu dzieje? - zapytał ze złością Darryl.

- Nie wiem. Coś ze mnie wycieka!

Po chwili jednak Toy przypomniała sobie, że czytała na ten temat. Tak, po prostu odeszły jej wody, wszystko przebiegało normalnie. Natychmiast się uspokoiła. Teraz dla odmiany ogarnęła ją fala podniecenia.

- O mój Boże! To się naprawdę dzieje! Zaczynam rodzić! Darryl! -

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia, ale on ją strząsnął.

- Najwyższy czas - powiedział, wyciągając papierosa z paczki zębami. Ręka trzęsła mu się tak bardzo, że nie mógł go zapalić.

Toy skurczyła się i położyła rękę na brzuchu. Patrząc przez łyzy na burzowe chmury za oknem zdała sobie jasno sprawę, że jest zupełnie sama. Nie mogła liczyć na panią Lovie i Careę. Nie mogła liczyć na Darryla. Mogła liczyć tylko na siebie.

Lovie przykucnęła, chroniąc się przed porywem wiatru, i delikatnie włożyła ostatnie jajo do wiaderka, a potem przysypała wszystkie osiemdziesiąt dwa jaja wilgotnym piaskiem, lekko przyklepała i przykryła ręcznikiem. Wiadro było ciężkie i ręka jej drżała, ale szła powoli, starając się nim nie potrząsać. Idąc, nuciła kołysanki jak matka, która usypia dziecko do snu.

Wiatr szarpał jej spódnicę, ale deszcz w każdym razie przestał padać.

- Dzięki Ci, Boże - powiedziała Lovie głośno.

Nie chciała już o nic Go prosić, chociaż znalazłaby się długa lista takich spraw. Jednak głos wewnętrzny mówił jej, że powinna zachować spokój i zaakceptować, cokolwiek przyjdzie.

- Mamo!

Cara biegła w jej stronę po ścieżce.

- Gdzie ty byłaś? Śmiertelnie się przestraszyłam! Tylko popatrz, jesteś zupełnie przemoczona! Daj mi to wiadro i oprzyj się o mnie. Gdzie chcesz je zanieść?

- Do domu.

- Nie pozwolę ci!

- Caretta, nie mam czasu na spory. Fala zniszczyła już wydnię. Na tej plaży nie ma miejsca, które byłoby bezpieczne, a nie mamy czasu szukać gdzieś dalej. Nie pozostaje nic innego.

- A niech to - mruknęła Cara, jedną ręką dźwigając wiadro, a drugą podtrzymując matkę. - Chodź, mamó. Znow zaczyna padać.

Dotarły do domu wśród zacinającej mżawki i przy drzwiach zobaczyły znajomą sylwetkę. To był Brett, okryty oliwkową peleryną. Twarz miał zmartwioną. Na jego widok Cara poczuła taką ulgę, że omal nie rzuciła mu się w ramiona.

- Musiałyśmy je zabrać, bo fala zniszczyła wydnię - wyjaśniła, wskazując na jaja, i zaniósła wiaderko do domu.

- Ja nic o tym nie wiem! - zawołał za nią i ujął Lovie pod ramię. - Powinnyście obydwie już dawno stąd wyjechać.

- To wszystko przeze mnie - wydyszała Lovie. - To ja postanowiłam ratować gniazdo. Cara już dawno była spakowana i gotowa do wyjazdu.

- Miranda i Flo chyba już wyjechały? Pukałem do nich, ale nikt nie otwierał.

- Wyjechały - odrzekła Cara, stając w drzwiach. Zauważyła, że Brett chodzi od okna do okna i starannie ogląda okiennice. - Nie martw się. Przybiłam je gwoździami, bardzo porządnie. - Mamó - zwróciła się do Lovie - jaja są bezpieczne. Idź teraz i przebierz się szybko w coś suchego.

Przyklękła na podłodze i opróżniła jedną z szafek kuchennych. W środku było ciepło, ciemno i sucho.

- Śpijcie dobrze - westchnęła i zamknęła szafkę.

Podniosła się z podłogi i znalazła się tuż obok Brett. Włosy miał mokre, a po czole spływały mu kropelki wody. Jedna z nich zawisała na rzesach.

- Wszystko w porządku? - zapytał. Cara ciężko oparła się o szafkę.

- Toy wyjechała. Z Darrylem. Zostawiła nam list.

Brett skrzywił się boleśnie i zaczął chodzić po kuchni.

- Jesteś pewna, że wyjechała właśnie z nim? Kiedy? Dzwoniłaś na policję? I na kiedy ona ma wyznaczony termin porodu?

- W liście napisała, że wyjeżdża z Darrylem. Nie wiem dokładnie, kiedy to było, ostatniej nocy albo wcześniej rano dzisiaj. Nie ma sensu dzwonić na policję, bo nie znamy nawet jego nazwiska. Nie widziałam go nigdy w życiu i nie mam pojęcia, jak wygląda. Wiem tylko, że ma dwadzieścia cztery lata, gra w jakimś zespole i uderzył kobietę w ciąży. - Cara schowała twarz w dłoniach. - Boże, to moja wina. Byłam tak zaabsorbowana własnymi problemami, że poświęcałam jej za mało czasu. Wyjechała z nim, bo nie miała żadnego innego miejsca, gdzie mogłaby pójść.

Brett zatrzymał się przed nią, ale jej nie dotknął.

- Nie możesz się za to winić.

- Wiem, że bała się przyszłości i potrzebowała czyjś przewodnictwa. Próbowала mi to powiedzieć, ale nie słuchałam. Chciałam, żeby sama nauczyła się podejmować decyzje. A poza tym tyle się działo innych rzeczy. Mama, moja praca, huragan. Myślałam, że jeszcze zdążymy coś wymyślić w sprawie Toy. Przecież bym jej tak nie zostawiła!

Brett bezsilnie zacisnął dłonie w pięści.

- Znajdę ją.

- Jak? Przecież nie wiemy, dokąd pojechała.

- Wszędzie na drogach są teraz korki. Nie mogła zjechać daleko.

Poszukam w schroniskach. Podaj mi adres, gdzie się zatrzymacie.

Cara szybko zapisała mu na kartce adres i telefon motelu.

- Proszę. Nawet jeśli nie uda ci się jej znaleźć, to będę ci bardzo wdzięczna za to, że próbowałeś.

- No, to ruszam - odrzekł Brett, chowając kartkę do kieszeni. - Przed wyjazdem wyłącz gaz i prąd. I ruszajcie już, natychmiast! Zadzwoń do was wieczorem.

W kilka minut później wszystkie bagaże były już w samochodzie. Cara spojrzała na zegarek i jęknęła. Była już druga po południu. Burza mogła nadejść lada chwila. Czarne chmury zakrywały całe niebo, a dudnienie fal oceanu było coraz głośniejsze.

- Mamo! - zawołała, biegnąc do domu. - Pośpiesz się, proszę cię!

Wpadła do sypialni matki i ze zdumieniem stwierdziła, że Lovie leży na łóżku nakryta kocem.

- Chodź już, musimy jechać!

- Jedź sama - pokręciła głową matka. Cara stanęła w progu jak wryta.

- Jak to?!

- Ja tu zostaję.

- Co?? Mamo, przestań wygadywać bzdury, nie mamy na to czasu!

- Nie wygaduję bzdur. Nie zostawię tego domu - rzekła Lovie głosem nabrzmiałym emocjami. - Ale ty jedź już, proszę.

Cara patrzyła na matkę, ogarnięta paniką. Dobrze знаła wyraz, który teraz malował się na twarzy Lovie. W dzieciństwie widziała go wiele razy. Jej matka miała spojrzenie osaczonego psa, który złowrogo szczyrzy kły, gotów rzucić się na każdego, kto spróbuje się do niego zbliżyć.

To spojrzenie przeważało szalę. Cara rzuciła torebkę na podłogę, odgarnęła włosy z twarzy i wykrzyknęła z wściekłością:

- Do cholery z tym wszystkim! Mam już dość! Jeśli ty nie jedziesz, to ja też nie jadę.

Lovie wydawała się szczerze zaskoczona.

- Ale... ale... ty musisz stąd wyjechać!

- Wcale nie.

- Cara, nie rób mi tego! Mnie się tu nic nie stanie. Ten dom przetrwał już wiele sztormów i teraz też wytrzyma.

Cara nawet nie drgnęła.

- Przecież ja muszę tu zostać - lamentowała Lovie, załamując ręce. - Ktoś musi pilnować żółwi!

Cara skrzyżowała ramiona na piersiach i twardo powtórzyła:

- Nie jadę.

Za oknem rozległ się trzask łamanych gałęzi i przeraźliwe skrzypienie wrywanych z zawiasów okiennic w oknie łazienki. Usłyszały kolejny łomot, a potem uderzenie gałęzi o szybę.

- Uciekaj stąd, Cara! - wykrzyknęła Lovie. - Na litość boską, uciekaj! Ja nie chcę wyjeżdżać! Chcę tu umrzeć. Nie boję się o siebie, ale ty jedź!

Cara poczuła, że kłębiące się w niej emocje przerwały tamę samokontroli. Znów miała osiemnaście lat i czuła w piersiach ten sam ciężar, co wtedy. Słowa, przez wiele lat trzymane na uwięzi, wreszcie popłynęły szerokim, niekontrolowanym strumieniem.

- Chociaż raz! Chociaż ten jeden jedyny raz mogłabyś dla odmiany pomyśleć o mnie! - wykrzyknęła, zwijając dłonie w pięści. - Chcesz wiedzieć, dlaczego kiedyś wyjechałam z domu? Chcesz?

Lovie przycisnęła drobne dłonie do piersi.

- Och, Cara...

- Nie tylko z powodu ojca. Dobrze wiedziałam, że on mnie nie kocha. To było przez ciebie! Nie mogłam ci wybaczyć, że nie próbowałaś nas chronić, ani mnie, ani Palmera! Ani nawet siebie! Tego wieczoru, zanim uciekłam, ojciec mnie pobił. Pozwoliłaś mu na to, mamó! Mogłaś mnie bronić, ale tego nie zrobiłaś! Mogłaś obronić nas oboje, ale stałaś bezradnie i patrzyłaś, jak on mnie bije. Dlaczego?

Wzięła głęboki oddech i otarła twarz.

- Wiem, dlaczego. Żeby chronić siebie. I teraz też myślisz tylko o sobie! I o zółwiach! A dlaczego nie o mnie? Mamo, czy ja nie jestem dla ciebie ważna? Dlaczego nigdy się dla ciebie nie liczyłam?

- Nie, Caretto, to nieprawda! To było zupełnie inaczej! - zawołała Lovie, natychmiast jednak uświadomiła sobie, że jej córka ma rację. Nie potrafiła jej ochronić. Cara jednak nie wiedziała, dlaczego tak było.

Rozległ się kolejny głośny trzask. Tym razem gałąź przebiła szybę i odłamki szkła wpadły do pokoju. Lovie krzyknęła głośno, a Cara przycupnęła nisko przy ziemi, osłaniając głowę ramionami. Tylko raz w życiu czuła się równie przerażona - tamtego wieczoru, gdy ojciec ją pobił. Ta scena stanęła jej teraz przed oczami... Rozwścieczony ojciec ze skórzanym pasem w ręce i blada, przerażona twarz matki w drzwiach. Cara kuliła się w kącie i osłaniała głowę ramionami, dokładnie tak samo, jak w tej chwili.

Poczuła na ramieniu dłoń Lovie i wróciła do rzeczywistości.

- Cara? Cara, spójrz na mnie.

Podniosła wzrok. Pomimo zimnego wiatru wpadającego przez rozbite okno Lovie stała wyprostowana, z dziwną stanowczością na twarzy.

- Tak, widziałam wtedy, jak cię bił - powiedziała. - I w tej samej chwili zrozumiałam, że muszę ci pozwolić odejść z domu. Dla twojego bezpieczeństwa. Czułam się okropnie, gdy wyjeżdżałaś, ale musiałam to zrobić, bo kochałam cię bardziej niż siebie i nie chciałam, żeby spotkał cię taki sam los jak mnie. Może powinnam wyjechać wtedy razem z tobą, ale co się stało, to się nie odstanie. Za to teraz mogę być z tobą. Kocham cię, Cara, i jesteś dla mnie bardzo ważna.

Cara zaszlochała i oparła się o jej nogi.

- Mamo...

- Moja mała Cara - powiedziała Lovie miękko, gładząc jej wilgotne włosy. - Chodź, weź mnie za rękę. Powinam ci wyjaśnić wiele rzeczy, ale teraz nie ma na to czasu. Musimy iść.

Trzymając się za ręce, wyszły przed dom. Burza już nadeszła, ale jeszcze nie osiągnęła apogeum. Cara objęła matkę w pól i razem dobiegły do samochodu. Ledwie jednak wyjechały na drogę, zaczęła się ulewa. Deszcz płynął z nieba strumieniami i nawet wycieraczki nie pomagały. Cara zupełnie nic nie widziała. Pochyliła się nisko nad kierownicą i wpatrując się w przednią szybę, jechała powoli naprzód.

- Rany boskie, popatrz - jęknęła w pewnej chwili. W poprzek ulicy leżał olbrzymi dąb, powalony i rozszczepiony na pół. Zatrzymała się tuż przed nim.

- Możesz go jakoś ominąć? - zapytała Lovie.

- Chyba nawet nie będę próbować. Mniejsze uliczki są już zupełnie zatopione.

Lovie oblizwała wyschnięte usta.

- A co z mostem Bena Sawyera? Może udałoby się przejechać tamtędy?

- Słyszałam w radiu, że już jest zamknięty. Jesteśmy w pułapce. I co teraz zrobimy?

- Cara - powiedziała matka mocnym, stanowczym głosem. - Wracajmy do domu. Tam nic nam się nie stanie.

- Ale jeśli będzie powódź...

- Strych jest wysoki, a dom stoi na palach. Nie możemy tutaj zostać. Poza tym musimy wydostać się z samochodu, bo w razie powodzi utkniemy w pułapce bez wyjścia..

Cara drżącymi rękami zmieniła bieg i zawróciła. Nigdy w życiu nie bała się bardziej niż teraz. Udało jej się bezpiecznie dojechać przed dom. Fale przykryły już wydmy i dochodziły do domów po przeciwnej stronie ulicy. Na szczęście właśnie zaczynał się odpływ. Zaparkowała saaba przy tylnej

werandzie, za garbusem matki, i sięgnęła po plastikowy kosz z ważnymi dokumentami.

Matka chwyciła ją za ramię i razem wyszły prosto na deszcz. Wichura uginała palmy aż do ziemi. Cara i matka z trudem wspięły się po schodkach i weszły do środka.

We wnętrzu panował mrok i bezruch. Jak w grobie, pomyślała Cara, ale zaraz odpędziła od siebie tę myśl.

- Ja zapalę lampy, a ty idź się przebrać w coś suchego - powiedziała do matki. - Teraz już musimy tu dotrzeć do końca huraganu.

Gdy Lovie wyszła, Cara zabrała jedną z lamp do łazienki i zabiła okno arkuszem sklejki, a potem zaniósła do pokoju Toy zapas wody mineralnej, żywności i lekarstw. Na koniec dołożyła jeszcze butlę z tlenem.

- Dlaczego przenosisz wszystko tutaj? - zdziwiła się Lovie, wchodząc do pokoju z Biblią w rękę.

- Jeśli wiatr jeszcze przybierze na sile, to będzie najbezpieczniejsze miejsce. Te okna pod ciśnieniem wypadną na zewnątrz, nie do środka, a wtedy możemy jeszcze schować się w szafie.

- Boże, zmiłuj się nad nami.

- Wszystko będzie dobrze - wymamrotała Cara, odnajdując w sobie resztki odwagi. - Połóż się na łóżku, mamo. Na razie tu zostaniemy. Masz ochotę poczytać coś konkretnego?

- Przyniosłam Biblię. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to chciałabym, żebyś mi trochę poczytała.

- Oczywiście - uśmiechnęła się Cara.

Mijały godziny i choć huragan przesunął się na północ, dom wciąż kołysał się pod uderzeniami wiatru. Cara czytała na głos Biblię w świetle latarni sztormowej. Najpierw Księgę Eklezjasty, potem Salomona. W końcu Lovie uścisnęła jej dłoń.

- Odpocznij teraz i wyłącz radio, skarbie. Chciałabym porozmawiać z tobą o czymś, co nie daje mi spokoju.

Młode żółwie żywią się planktonem, ślimakami i innymi bezkręgowcami. Po osiągnięciu wieku dojrzałego ich potężne szczęki są w stanie zmiażdżyć skorupy większych skorupiaków żyjących wśród raf koralowych. Czasami jadają również ryby.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

- Pamiętasz, jak napisałam ci w liście, że trzeba tu uprzątnąć nagromadzone przez lata śmieci? - zapytała Lovie.

Cara zamknęła Biblię.

- Tak, pamiętam.

- Myślałaś pewnie, że mówię o tych wszystkich gratach, które zostały w domu w Charlestonie.

- Mamo, już o tym rozmawialiśmy. Wiem, że chodziło ci o nas, o ciebie i o mnie.

- Tak. Ale nawet jeszcze nie zaczęłyśmy tej rozmowy. Och, Caretta, zastanawiałam się nad tym przez całe cztery miesiące. W końcu podjęłam decyzję. Chyba nie jest jeszcze za późno. Może Bóg pozwoli mi zrealizować to, co zaplanowałam.

Ujęła obie ręce córki w swoje.

- Pytałaś mnie, dlaczego przez tyle lat znosiłam zachowanie ojca.

- Mamo, nie musisz...

- Muszę. Więc słuchaj i nie przerywaj, dopóki nie skończę. Mam ci dużo do powiedzenia. - Zebrała myśli i zaczęła: - Najpierw musisz zrozumieć, co

oznaczało bycie żoną dla kobiet z mojego pokolenia. To była zupełnie inna rola niż teraz. Inne postawy. Mężczyzna chodził do pracy, kobieta była odpowiedzialna za dom i dzieci. Jeśli pracowała, oznaczało to, że jej mąż nie potrafi utrzymać rodziny. Moja matka wychowała mnie tak, jak sama została wychowana - w przekonaniu, że słowo męża jest święte. Nauczono mnie trzymać się w cieniu i zaspokajać wszystkie jego potrzeby, choćby miała przy tym ucierpieć moja godność osobista.

Cara pochyliła się do przodu.

- Chcesz powiedzieć, że pozwalałaś się źle traktować, bo on był mężczyzną?

Lovie potrząsnęła głową.

- Nie. Chcę ci nakreślić tło, żebyś mogła lepiej zrozumieć to, co powiem za chwilę.

- Przepraszam, już więcej nie będę ci przeszkadzać. Mów dalej.

- Tego lata, o którym chcę ci opowiedzieć, miałam trzydzieści dziewięć lat, prawie tyle, co ty teraz. Stratton był już znanym przedsiębiorcą. Spędzałam lato z wami na wyspie, a on zostawał w mieście albo podróżował, i wszyscy byli z tego zadowoleni. Dużo wówczas podróżował za granicę, rozbudowywał firmę. Przypuszczam, że miał wiele kobiet na boku, ale nauczyłam się przymykać na to oczy. W każdym razie tu na wyspie nie było wtedy Towarzystwa Miłośniczek Żółwi, nikt nie prowadził badań ani nie dbał o gniazda. Tylko ja.

Lovie puściła dłoń Cary, oparła głowę o poduszki i przymknęła oczy.

- Ja i pewien mężczyzna o nazwisku Russell Bennett...

- Russell? To ten z fotografii?

- Tak. Przyjechał na wyspę, by prowadzić badania nad żółwiami. Był przyrodnikiem. Zajmował się również prowadzeniem rodzinnych interesów, ale najbardziej kochał żółwie. Brett trochę mi go przypomina. Nie z wyglądu - Russell był szczuplejszy i miał jasne włosy - ale z charakteru. Spokojny, ale bardzo inteligentny i stanowczy. Miłośnik natury.

Na początku połączyło nas zainteresowanie żółwiami. Byłam jedyną osobą na wyspie, która się nimi zajmowała. Czytałam na ich temat wszystko, co wpadło mi w ręce. Miejscowi o tym wiedzieli i pewnego dnia Russell mnie odwiedził. Widziałam, że moja biblioteka poświęcona żółwiom wywarła na nim spore wrażenie. A ja po raz pierwszy w życiu byłam dumna z czegoś, czego dokonałam zupełnie sama.

Pracowaliśmy razem. Nauczył mnie wielu rzeczy. Ale nie o tym chciałam mówić... Nie chodzi o żółwie. Muszę być z tobą zupełnie szczerą. - Popatrzyła w oczy córki i zawahała się. - Czy znasz to uczucie, gdy spotykasz kogoś, patrzysz mu w oczy i wiesz bez żadnych wątpliwości, że ta osoba jest twoją bratnią duszą, twoją drugą połową? Tak było z nami. Pamiętam wszystko, jakby wydarzyło się wczoraj. Byliśmy na plaży w upalny dzień... osłoniłam ręką oczy od słońca, on popatrzył na mnie... przez chwilę miałam wrażenie, że jesteśmy jedynymi ludźmi na świecie.

Wiedziałam, że będę go kochać jak żadnego innego mężczyznę przed nim... ani po nim.

Przez kilka tygodni widywaliśmy się na plaży, oczywiście by obserwować żółwie. Przynosiłam kawę w termosie i oglądaliśmy zachody słońca, a potem jeździliśmy po wyspie na rowerach, szukając gniazd. Każda chwila spędzona w jego towarzystwie była bezcennym darem... Na początku bardzo się pilnowaliśmy, by ukrywać nasze uczucia. Dopóki nie zaczęliśmy czuwać nocami przy gniazdach... - zaśmiała się.

- A potem... Byliśmy w sobie desperacko zakochani. Zostaliśmy kochankami. Czy to cię gorszy? Zwykle matki nie opowiadają córkom o takich sprawach... Prawie co wieczór spotykaliśmy się na wydmach, na tej działce, którą Palmer tak bardzo chce kupić... Pamiętasz, jak tu wyglądało kiedyś, zanim zbudowano ulicę? Wydmy podchodziły aż pod sam dom. Było tu bardzo spokojnie, nikt tu nie zaglądał... Jak w raju - uśmiechnęła się.

- Wtedy myślałam, że chodzisz sprawdzać gniazda - powiedziała Cara.

- Bo tak było. Przecież nie mogłam ci powiedzieć, że idę spotkać się z mężczyzną, którego kocham... Miałaś dopiero dziesięć lat, a ja wiedziałam, że ten romans musi się skończyć wraz z końcem lata.

- Dlaczego, skoro tak bardzo się kochaliście?

- Pewnie trudno ci to zrozumieć. Nie zapominaj, że byłam mężatką. Russell też był żonaty. Obydwoje pochodziliśmy z rodzin, w których rozwód uważany był za skandal. W naszych kręgach po prostu się tego nie robiło. Poza tym obydwójce mieliśmy swoje zobowiązania, sprawy, za które czuliśmy się odpowiedzialni. Ja nie mogłam zostawić Strattona, a on Eleanor. W każdym razie nie od razu.

Lovie rozkaszała się i opadła na poduszki. Za oknem wiatr wył coraz głośniej.

- Pod koniec lata nasze uczucie jeszcze okrzepło. Russell chciał, żebyśmy powiedzieli o wszystkim rodzinom, żebym rozwiodła się ze Strattonem i wyszła za niego. Bardzo tego pragnęłam, nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, jak bardzo. Pewnej sierpniowej nocy spotkaliśmy się na wydmach po raz ostatni. Płakaliśmy i przysięgaliśmy sobie miłość na wieki. Czułam się jak bohaterka romansu, która musi się wyrzec miłości swojego życia ze względu na honor i obowiązek. Nie mogłam uwierzyć, że już nigdy się nie zobaczymy.

Wtedy obiecaliśmy sobie coś jeszcze. Postanowiliśmy poczekać sześć miesięcy. Gdyby w ciągu tego czasu któreś z nas zdecydowało się opuścić swojego małżonka, miało przyjechać tutaj, na plażę, a jeśli nie zostanie tego drugiego, to po prostu o wszystkim zapomni. Ustaliliśmy datę. To była ostatnia nić nadziei, która dała nam siłę, żeby się rozstać.

Wracając do domu, byłam absolutnie pewna, że pojawię się na tym planowanym spotkaniu. Zamierzałam uporządkować wszystkie swoje sprawy, poprosić Strattona o wolność i związać się z Russellem. Podjęłam decyzję i sądziłam, że najgorsze mam już za sobą.

Nie wiedziałam, że najgorsze miało się dopiero zacząć. W domu czekał na mnie Stratton. Stał pośrodku salonu w ciemnym garniturze, bardzo blady i wściekły. Zaskoczył mnie, bo nigdy wcześniej tu nie przyjeżdżał. Czułam, że wie o moim romansie, choć nie miałam pojęcia skąd. Widziałam to w jego spojrzeniu. Wyglądał jak pies gończy na tropie. Zapytał mnie, gdzie byłam. Odpowiedziałam, że na plaży, przy gniazdach. Starłam się nie pokazać po sobie żadnych uczuć, ale zapomniałam o tym, że nie mam na palcu obrączki. Stratton to zauważył i w tej chwili wszystko stało się dla niego jasne.

„Kim on jest?” - zapytał groźnie.

Zaczęłam się plątać, tłumaczyć, że nigdy nie noszę obrączki na plażę, bo łatwo ją zgubić, zwłaszcza przy kopaniu gniazda...

Rozumiałam jednak, że to nie ma sensu. Stratton nie dał się zwieść. Teraz wiem, właśnie wtedy zaprzepściłam swoją jedyną szansę. Gdybym wyznała prawdę i z miejsca zażądała rozwodu, gdybym zaufała Russellowi i naszemu uczuciu, wszystko mogłoby potoczyć się inaczej. Ale stchórzyłam. Bałam się męża i po prostu skłamałam.

Do dziś nie wiem, skąd się o wszystkim dowiedział. Może to był instynkt. I kiedy zażądał, żebym podała mu nazwisko mojego kochanka, odmówiłam. Wówczas uderzył mnie po raz pierwszy. Złamał mi dwa żebra i nadgarstek. Złamał również mojego ducha. Ale nigdy nie podałam mu nazwiska Russella. Nie powiedziałam o tym nikomu - aż do tej chwili.

Głęboko poruszona Cara położyła dłoń na dłoni matki.

- Nie wiedziałam o tym - szepnęła. - Zawsze się zastanawiałam, czy on cię kiedyś uderzył.

- Na szczęście ty i Palmer nocowaliście wtedy u przyjaciół. Mówiłam potem wszystkim, że upadłam.

- Pamiętam to. Och, mamó, ależ ja byłam naiwna!

- Byłaś dzieckiem, skąd mogłaś wiedzieć? Stratton nie uderzył mnie nigdy wcześniej, ale tej nocy odkrył swoją prawdziwą naturę. Od tej pory żyłam w

nieustannym strachu. Bałam się szczególnie o ciebie. Wiedziałam, że masz hardy charakter i prędzej czy później dojdzie między wami do ostrego starcia.

- Trzeba było pójść na policję.

- Kochanie, to były inne czasy. Nie możesz tego zrozumieć. Uważałam, że zasłużyłam sobie na to.

- Chyba nie mówisz poważnie.

- Złamałam przysięgę małżeńską. Oszukałam go. Dlatego potem znosiłam pokornie wszystkie upokorzenia. Poczucie winy kazało mi milczeć.

- Ale dlaczego z nim zostałam? - zawołała Cara.

- Powiedział, że nigdy nie da mi rozwodu i że jeśli będę próbowała od niego odejść, to odbierze mi dzieci. Ogłosi światu, że jestem dziwką i nie nadaję się na matkę. Szantażował mnie, ale wierzyłam, że jest gotów to zrobić. Był szanowanym obywatelem, miał wielu wysoko postawionych znajomych, a głos kobiety nie znaczył wtedy wiele. Szczególnie kobiety o zszarganej reputacji. Gdy zastanowiłam się, jakie konsekwencje mogłoby to mieć dla całego otoczenia, dla wszystkich osób, które kochałam, podjęłam jedyną słuszną decyzję. Nigdy w życiu nie zostawiłabym z nim dzieci, wiedziałam już, do czego jest zdolny.

Cara patrzyła na matkę nieruchomo. A więc tak wyglądała odpowiedź na wszystkie jej pytania.

- Gdy minęło sześć miesięcy - podjęła Lovie - nie wróciłam do domu na wyspie. To był marcowy dzień, zimny i ponury. Pamiętam go bardzo dobrze. Zamknęłam się wtedy na cały dzień w sypialni, bo nie ufałam sobie. A potem żyłam jak automat. Ty i Palmer byliście dla mnie jedyną radością. Próbowałam chronić was przed prawdą, ale dzieci mają znakomitą intuicję. Szczęścia nie da się stworzyć z bibulek i wstążek. W waszych oczach, szczególnie w twoich, widziałam, że znacie prawdę. Ale nie rozumieliście, dlaczego tak musi być, a ja nie mogłam wam tego wyjaśnić.

Cara podniosła rękę do twarzy.

- Żałuję, że wtedy tego nie wiedziałam. Przez te wszystkie lata uważałam, że ojciec jest okrutny, a ty po prostu słaba. Byłam na ciebie wściekła. Odsunęłam się od ciebie nie dlatego, że cię nie kochałam, ale ponieważ kochałam cię za bardzo.

Lovie omiotła pokój wzrokiem.

- Ten dom był moją oazą i azylem. Stratton wiedział, jak wiele dla mnie znaczył i dlaczego. Próbował mi go odebrać, tak jak odebrał mi wszystko inne. Ale dom był moją własnością i gotowa byłam go bronić za wszelką cenę.

- Ale czy tato nie obawiał się, że znowu będziesz się spotykać z Russellem? Zdziwiona jestem, że pozwalał ci tu przyjeżdżać.

Lovie pokręciła głową.

- Nie rozumiem. Nigdy więcej już go nie widziałaś?

- Nie.

- Więc on też nie pojawił się na umówionym spotkaniu?

- Tej samej wiosny, w maju, przeczytałam w gazecie o jego śmierci. Leciał swoim samolotem wzdłuż wybrzeża, jak zwykle na początku sezonu, i samolot spadł do morza. To był duży artykuł na pierwszej stronie, z fotografią jego żony i dzieci. Chciałam wtedy umrzeć. Babcia Linnea spędziła to lato na wyspie razem z nami, pamiętasz? Chyba była przekonana, że popadam w szaleństwo. Całymi dniami spacerowałam samotnie po plaży. Potem dowiedziałam się, że Russell dotrzymał słowa i stawiał się na spotkanie w umówiony dzień.

Znów się rozkaszała. Cara pomogła jej usadowić się wygodniej na poduszkach.

- Muszę dokończyć - powiedziała Lovie ochryple, z trudem łapiąc oddech. - Następnej jesieni, pod koniec sezonu, odnalazł mnie tu pewien mężczyzna. Nazywał się Phillip Wenworth i był pracownikiem towarzystwa finansowego Morgan Grenfell Trust Limited. Nie wiedziałam, czego ode mnie chce, ale zaprosiłam go na herbatę. Był Brytyjczykiem, dżentelmenem w

każdym calu, bardzo akuratywnym i dokładnym. Okazało się, że Russell pochodził ze starej, bogatej rodziny w Wirginii, bardzo oddanej sprawie ochrony przyrody. Pan Wenworth poinformował mnie, że Russell kupił dwie działki przylegające do plaży i zamierzał przeznaczyć je na teren objęty ochroną. Russell widział, w jakim kierunku zmierza rozwój wyspy, i chciał ocalić przynajmniej tyle. Rozmawialiśmy o tym kilkakrotnie, nie wiedziałam jednak, że kupił również trzecią działkę i złożył dokumenty własności w funduszu powierniczym, na moje nazwisko. Zostawił również pieniądze na opłacenie związanych z tym podatków, żeby cała sprawa mogła pozostać w tajemnicy. Nie musiałam zajmować się żadnymi dokumentami. Prawo na wyspach mówi, że w takiej sytuacji nie wolno zdradzić nazwiska właściciela. Dlatego po śmierci Russella pan Wenworth musiał spotkać się ze mną osobiście.

Cara wstrzymała oddech.

- Ta działka jest twoja?

- Tak, kochanie. Już od wielu lat.

- Palmer chyba umrze z wrażenia, gdy się o tym dowie - roześmiała się ironicznie.

- Caro, on nie może się o tym dowiedzieć - powiedziała Lovie z naciskiem. - Nikt nie może się o tym dowiedzieć. Do tego właśnie zmierzam. Jeszcze nie rozumiesz? Wartość finansowa tej ziemi nigdy mnie nie interesowała, podobnie jak wartość tego domu. Może będziesz się ze mnie śmiać, ale często chodziłam na wydmy, żeby porozmawiać z Russellem. Czuję tam jego obecność. Nigdy nie odnaleziono jego ciała. Myślę, że on tu gdzieś jest, razem z żółwiami, i czeka na mnie. Teraz rozumiesz, dlaczego tak kocham to miejsce?

- Oczywiście, mamo.

- Miałam wielkie szczęście, że dane mi było zaznać takiej miłości.

Lovie zauważyła łzy w oczach Cary. Deszcz dudnił o dach coraz mocniej. Na suficie w kącie pokoju pojawiła się wilgotna plama.

- Może włączymy radio? - zaniepokoiła się Cara, patrząc na krople wody spływające po ścianie.

- Zaczekaj jeszcze chwilę - odrzekła Lovie. - Muszę podjąć pewną decyzję. Co zrobić z tą działką po mojej śmierci? Potrzebuję twojej rady. Oczywiście mogłabym ją zostawić dzieciom albo wnukom. Czasami myślę, że byłaby to odpowiednia rekompensata, bo tyle razy was zawiodłam. Ale jeśli tak zrobię, pojawi się mnóstwo pytań. Przede wszystkim, skąd miałam tę ziemię? Nie chcę, żeby mój sekret wyszedł na jaw po mojej śmierci. Zbyt wielu ludzi zostałoby zranionych. Ja już zapłaciłam sporą cenę i to wystarczy. Czy jestem egoistką, myśląc w ten sposób?

- Nie, mamó, absolutnie nie. Nic nie jesteś nam winna, ani mnie, ani Palmerowi. A co ty sama chciałabyś zrobić z tą ziemią?

- Russell zostawił mi ją, żeby dać mi wolność wyboru. I w pewien sposób ta działka rzeczywiście dała mi wolność, ale teraz już jej nie potrzebuję. - Lovie wzięła Carę za rękę i popatrzyła córce głęboko w oczy. - Chcę ją przekazać na rzecz ochrony środowiska, tak jak miało być od początku. Pragnę umrzeć ze świadomością, że moje dzieci i wnuki zawsze będą mogły cieszyć się tym skrawkiem plaży. I oczywiście ze świadomością, że żółwie będą tu miały dobre miejsce do składania jaj.

- W takim razie zrób to.

- Naprawdę tak myślisz?

Cara z uśmiechem skinęła głową. Na twarzy Lovie odbiła się ulga.

- Miałam nadzieję, że się zgodzisz. Potrzebuję kogoś, komu mogłabym zaufać. Trzeba powiadomić fundusz Morgan Grenfell o mojej decyzji. Czy chcesz zostać moim pełnomocnikiem?

- To będzie dla mnie zaszczyt. Lovie westchnęła i odwróciła wzrok.

- Dziękuję. W pudełku z albumami znajdziesz kartkę papieru z nazwiskiem i numerem telefonu Phillipa. To wszystko, czego ci potrzeba. Oczywiście Phillip nie pracuje już w funduszu, ale możesz być pewna, że

sprawa zostanie załatwiona dyskretnie. Oni mają doświadczenie w tego typu rzeczach. Nawet nie potrafię ci powiedzieć, jaka to dla mnie ulga!

- Możesz się już o nic nie martwić, mamo. Zajmę się tym.

- I jeszcze jedno. Po przeprowadzeniu transferu zostanie jeszcze trochę pieniędzy z funduszu, który zostawił Russell. Niewiele, ale powinno wystarczyć na opłacanie podatków za ten dom w ciągu kilku lat.

- Za ten dom?

- Oczywiście. Zostawiam ci go. Cara była zdumiona.

- Ale ja myślałam... Nie wiem, co myślałam, chyba w ogóle się nad tym nie zastanawiałam. Byłam przekonana, że zostawisz go Palmerowi!

Lovie spojrzała na nią zdziwiona.

- To znaczy, że przez ten cały czas... - zająknęła się. - Chodź tu, uściśnij mnie!

Przytuliła córkę mocno do piersi i dodała:

- Jakie to dziwne. Jesteś tak bystra, przenikliwa i rzeczowa... a jednak nigdy nie straciłaś serca i instynktu. Jesteś moim dzieckiem. Ten dom należy do ciebie. Załatwiłam już wszystko z Bobbym Lee. Palmer o tym wie.

Powiedziałam mu czwartego lipca.

- Ach, to dlatego był taki wściekły - domyśliła się Cara.

- Nie pozwól, żeby się długo na ciebie złościł. On ma dobre serce, tylko za dużo myśli o pieniądzach. Dostał dom w Charlestonie, bo zależało mu na tym bardziej niż tobie. On na razie nie rozumie magii tego miejsca. Ale kiedyś ją poczuje. Bo każde z nas chowa tę magię głęboko w sercu. Przeżyliśmy tu piękne lato, prawda? Mam nadzieję, że ty spędzisz tu jeszcze wiele pięknych lat. Ale jeśli okaże się, że będziesz musiała sprzedać ten dom, zrób to, nie wahaj się. To twoje życie. Nie pozwól, by ktokolwiek czy cokolwiek stanęło na drodze do spełnienia twoich marzeń.

- Och, mamo... Nawet nie wiem, o czym właściwie marzę.

Lovie ujęła jej twarz w dłonie.

- Dowiesz się. Pewnego dnia po prostu to poczujesz.

Żółwie morskie pobierają tlen z powietrza. Mogą spać pod wodą przez kilka godzin, ale w okresie aktywności muszą dość często wynurzać się na powierzchnię. Dlatego wiele z nich wpada w sieci rybackie i pod śruby łodzi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Pielęgniarka była bardzo miła. Przyniosła Toy herbatę w styropianowym kubku i zapewniła, że już niedługo wszyscy będą mogli wrócić do swoich sal na górze. Tymczasem położnice nadal leżały w szpitalnym schronie, gdzie przeniesiono je na czas trwania huraganu. Obsługa jak szalona biegała pomiędzy gęsto ustawionymi łózkami. Tej nocy wiele kobiet urodziło dzieci. Miało to coś wspólnego z ciśnieniem atmosferycznym.

Toy nie narzekała. Od chwili gdy po raz pierwszy spojrzała na twarzyczkę córki, czuła wielki spokój i wiedziała, że to uczucie nie opuści jej już do końca życia. Dziewczynka była śliczna. Gdy Toy wzięła ją w ramiona, mała otworzyła szeroko oczy i wpatrzyła się w nią intensywnie, jakby chciała poznać wreszcie twarz matki.

Na końcu korytarza pojawił się Darryl. Był blady i potargany, wyglądał, jakby przespał ostatnią noc na podłodze, i zapewne tak było. Gdy podszedł bliżej, Toy poczuła ciepło w sercu.

- Cześć, skarbie - powiedział i pochylił się, żeby ją pocałować, a potem znowu nonszalancko wsunął ręce w kieszenie.

- Widziałeś ją? - zapytała.

- Kogo?

- Dziecko, ty głupi!

- A, tak. To znaczy nie. Nie widziałem jej.

- Jest śliczna! Ma takie wielkie oczy i chyba twój nos. Musimy wybrać dla niej imię.

- Nazwij ją, jak chcesz.

- A ty nie masz żadnego pomysłu?

- Dla mnie to nie ma znaczenia - powiedział, ze zniecierpliwieniem odwracając głowę w bok. - Posłuchaj, jak długo będą cię tu trzymać? Okropnie tu duszno.

- Nie wiem. Niedługo mają nas zabrać na górę. Muszę trochę odpocząć, no i szwy....

- Kiedy będziesz mogła wyjechać? Burza już minęła, wszyscy wracają do domów.

Dom. Toy bardzo się podobało brzmienie tego słowa.

- Chciałabym, żeby to było jak najszybciej. Lekarz teraz bada dziecko. Jeśli okaże się, że wszystko jest w porządku, to będziemy mogli...

- Musimy na to czekać? Przecież ktoś chyba po nie przyjdzie? Ktoś z opieki społecznej?

Toy poczuła przyływ paniki.

- Darryl, idź ją zobaczyć. Spójrz na nią chociaż jeden raz.

- Po co?

- Proszę cię. Kiedy ją zobaczysz, na pewno od razu ją pokochasz.

- Daj mi spokój, dobrze?

- Idź ją zobaczyć! - krzyknęła.

- Nie chcę na nią patrzeć! - wrzasnął w odpowiedzi.

Kobiety z sąsiednich łóżek podniosły głowy. Do Toy i Darryla podbiegła pielęgniarka.

- Proszę tu nie krzyczeć - powiedziała, przenosząc surowe spojrzenie z jednego na drugie.

- Dobrze, proszę pani - odrzekł Darryl potulnie. - Po prostu jesteśmy trochę zdenerwowani po tym wszystkim.

Pielęgniarka odeszła, a Darryl przysunął się bliżej. Toy oczekiwała wybuchu złości, on jednak powiedział spokojnie:

- Przepraszam cię, ale nie chcę oglądać tego dziecka. Mówiłem ci to setki razy. Nie nadaję się na niczyjego ojca.

- Naprawdę zamierzasz zostawić ją w szpitalu? Nawet nie chcesz jej zobaczyć?

- Nie, bo może mi się spodobać. A ja muszę wyjechać. To moja wielka szansa. Wiesz, jak ciężko na nią pracowałem i jak długo czekałem. Jeśli teraz nie pojedę, to będę tego żałować do końca życia. Nie chcę utknąć tutaj na wieki.

Wszystkie marzenia Toy w jednej chwili rozpadły się jak domek z kart. Otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

- To jedź - powiedziała w końcu.

- A ty? Nie pojedziesz ze mną? Teraz mi to mówisz?

Przymknęła oczy i poczuła spływające po policzkach gorące łzy.

- Darryl, nic nie będzie tak, jak sobie wymarzyłam. Przez cały czas wyobrażałam sobie, że od razu pokochasz nasze dziecko, staniesz się dobrym mężem i ojcem i stworzymy wspaniałą rodzinę. Teraz już wiem, że tak się nie stanie. Nigdy. Ty mnie nie okłamywałeś, to ja oszukiwałam siebie. Oszukiwałam wszystkich... Jednak odkąd zobaczyłam moją córeczkę, wiem, że jestem jej mamą i nigdy jej nie zostawię. Nie mogę już dłużej polegać na nikim innym. Mogę polegać wyłącznie na sobie. Nie wiem jak, ale jakoś sobie poradzę, bo nie mam innego wyjścia. Muszę stworzyć temu maństwu dobre życie. Może nie będzie miała ojca, ale będzie miała mnie, a ja ją. I to wystarczy.

O drugiej w nocy radio podało, że burza przesunęła się jeszcze dalej na północ. Do rana woda opadła. Powódź oszczędziła tym razem dom Lovie, zalała jednak domy po drugiej stronie ulicy, położone niżej.

O świcie Lovie i Cara, zupełnie wyczerpane, siedziały w salonie i z ulgą wdychały świeże powietrze napływające przez otwarte okno. Wiatr prawie ustał i w gałęziach drzew zaczynały już śpiewać pierwsze ptaki. Burza minęła.

Straty były jednak spore. Połamana pergola leżała na piasku, również schodki ucierpiały, a z siatek w oknach zostały dosłownie strzępy. Woda zalała również samochody, jednak przecież mogło być o wiele gorzej.

Przez cały ranek Cara krzątała się wokół domu, uprzątając, co się dało i odbijając sklejkę z okien. Czyściła właśnie werandę, gdy usłyszała, że za domem zatrzymał się jakiś samochód i po chwili rozległo się wołanie:

- Cara! Caretta!

To był głos Bretta.

- Tutaj jestem! - odkrzyknęła.

Wpadł na werandę, przeskakując po dwa schodki, i porwał Carę w ramiona.

- Ależ mi napędziłaś strachu! Dzwoniłem wieczorem do motelu i powiedzieli mi, że w ogóle tam nie dotarliście. Nie było was w żadnym motelu ani schronisku w promieniu trzydziestu kilometrów! Wiem, bo dzwoniłem do wszystkich, co do jednego!

Twarz miał poszarzałą ze zmęczenia i pokrytą dwudniowym zarostem, włosy potargane, ubranie wymięte i nieświeże. Cara przypuszczała, że w ogóle nie spał. Zresztą ona sama wyglądała podobnie.

- Nie miałam jak cię zawiadomić - wyjaśniła.

- Z nikim nie mogłam się skontaktować. Bałam się - przyznała cicho.

- I słusznie. Ryzykowałyście życie - rzekł Brett z mieszaniną gniewu i ulgi w głosie. - Zresztą ja też. Niech to diabli, Cara, nie musimy brać ślubu. Przenieś się do Chicago. Wszystko mi jedno. Właśnie przeżyłem najdłuższą noc w moim życiu. Martwiłem się o ciebie, nawet nie wiesz, jak bardzo. Cara, kocham cię, nie chcę i nie mogę bez ciebie żyć.

- Ja też cię kocham - wykrztusiła.

Objął ją mocno i dopiero teraz Cara poczuła się bezpieczna.

Po chwili odsunął się nieco i powiedział z szerokim uśmiechem:

- Przywiozłem ci kogoś.

- Flo?

- Zaraz zobaczysz.

Puścił ją i poszedł za dom do samochodu. Usłyszała trzask drzwiczek, skrzypienie żwiru i jakieś głosy. Po chwili zza rogu domu wyłoniła się Toy z dzieckiem w ramionach.

Zmęczenie, emocje i stres zrobiły swoje. Cara przyłożyła dłonie do twarzy i wybuchnęła szlochem. Brett podszedł do niej i znów otoczył ją ramionami. Przez łzy widziała uśmiechniętą twarz Toy i spokojną, śliczną buzię śpiącego dziecka.

- Chcę ją nazwać Olivia - powiedziała Toy.

*Żółwie morskie mają niewielu naturalnych wrogów.
Czasami atakują je rekiny, ale największe zagrożenie
stwarzają dla nich ludzie. Zabudowa terenów przybrzeżnych
i kurczenie się plaż zmniejsza ilość terenów lęgowych.
Wiele ze zwierząt ginie w sieciach rybaków oraz w zetknięciu
ze śrubami łodzi. Badania wykazują, że populacja żółwi
na całym świecie szybko się zmniejsza. Czas pokaże,
czy wysiłki naukowców i ochotników zdołają uchronić
ten liczący miliony lat gatunek od zagłady.*

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Od strony oceanu wiała chłodna bryza. Przez cały dzień w sąsiedztwie słychać było uderzenia młotków i wycie pił. Pod wieczór jednak wszystko ucichło i dom rozświetlił się blaskiem latarni sztormowych oraz świec.

Toy tymczasowo zamieszkała w domu Flo, na nietkniętym przez powódź piętrze. Brett pojechał sprawdzić stan łodzi, obiecał jednak, że wróci następnego dnia i przywiezie zapasy żywności. W domu zostały tylko Cara i Lovie. Siedziały teraz na werandzie, bujając się każda w swoim fotelu, i w milczeniu podziwiałały zachód słońca.

Lovie patrzyła na ocean. Twarz miała bardzo spokojną i Cara wiedziała, że jej umysł w tej chwili bez reszty wypełniają wspomnienia. Były dla niej bardziej realne niż rzeczywistość, można było niemal namacalnie poczuć ich siłę, emanującą z wnętrza Lovie.

Cara pochyliła się i dotknęła ręki matki.

- Mamo, robi się chłodno. Może wejdziemy do domu?

Lovie leciutko potrząsnęła głową.

- W takim razie przyniosę ci koc.

- Caretta?
- Tak, mammo?
- Jesteś dobrą dziewczyną. Cara mocno zacisnęła powieki.
- Dziękuję, mammo.

Nie było jej tylko przez chwilę, ale gdy wróciła na werandę z kocem w rękę, natychmiast poczuła, że coś się zmieniło. Zatrzymała się w progu i popatrzyła na matkę, siedzącą nieruchomo w fotelu. Biblia wysunęła się jej z ręki i upadła na podłogę.

Cara na zawsze zapamiętała pewne szczegóły: łuszczącą się farbę na poręczy fotela, niewielką dziurkę w metalowej siatce na drzwiach, stronę Biblii unoszoną przez wiatr. Powoli zbliżyła się do fotela i uklękła obok matki. Jej dłoń była nadal ciepła. Spomiędzy palców wysunął się kawałek pożółkłego papieru. Cara podniosła go i podeszła do latarni. Był to list, napisany pięknym, kaligraficznym charakterem pisma:

Moja ukochana Olivio,

W najmniejszym nawet stopniu nie mogę cię winić za to, że nie pojawiłaś się na umówionym spotkaniu. Wiem, jak mocno krępują nas nasze zobowiązania i poczucie odpowiedzialności. A jednak miałem nadzieję cię zobaczyć. Czekałem na plaży przez całą noc pod osłoną ciemności jak złodziej, którym w istocie byłem.

Nawet przez chwilę nie zwątpiłem w to, że mnie kochałaś i nadal kochasz. Podjęłaś jednak decyzję, a ja ją uszanuję.

Jeśli kiedyś zmienisz zdanie lub jeśli twoje życie stanie się nieznośne, to chciałbym, byś mogła sobie pozwolić na ucieczkę - nawet jeśli nie przyjdiesz wtedy do mnie.

Poniesiesz ze sobą moją miłość. Będę myślał o tobie każdego dnia. Rozumiem, że rozsądek często przeważa nad sercem, jednak wierzę, że to serce jest prawdziwym przewodnikiem.

Jeśli więc zechcesz kiedyś do mnie przyjść, nie wahaj się ani chwili. Będę na ciebie czekał. Pozostaniesz w moim sercu na zawsze.

Na wieki twój, Russel.

Cara złożyła list i wsunęła go między kartki Biblii, a potem odwróciła się i popatrzyła na ocean. Nad wodą unosiła się szara mgła.

- Idź do niego, mamó - szepnęła, ignorując spływające po policzku łzy. - Jesteś wolna! Nie martw się już o nas. Damy sobie radę. Zaopiekuję się Toy i Palmerem. Idź i nie pozwól, by cokolwiek stanęło na twojej drodze.

Stała na wydmie, czując obok siebie obecność matki. Wyraźnie słyszała w myślach jej słowa: „Pewnego dnia po prostu to poczujesz”.

Popatrzyła na widok, który miała przed sobą. Teraz już wiedziała na pewno. Odwróciła głowę i spojrzała na niewielki żółty dom. Jej dom. Choć nieco nadwyreżony przez huragan, stał dumnie i prosto na szczycie wydmy porośniętej żółtymi i fioletowymi kwiatkami. To był jej dom i tu mieszkali ludzie, których kochała. Stąd pochodziła i to było jej miejsce na ziemi. Jej osobisty raj.

Wiedziała, że nie wróci do Chicago, lecz zamieszka tutaj razem z Toy i jej dzieckiem i pomoże im rozpocząć nowe życie. Pogodzi się z Palmerem i będzie się przyjaźnić z jego dziećmi. Będzie troszczyć się o bliskich tak, jak przez całe lato troszczyła się o młodziutkie żółwie. Będzie żoną, matką, babcią, ciotką i siostrą.

W myślach pożegnała niezwykle lato i na jej twarzy pojawił się uśmiech. Była pewna, że za dwadzieścia lat, gdy żółwie, które wykluły się w tym sezonie, powrócą na wyspę, by złożyć tu jaja, ona sama również przyjdzie na plażę, by powitać je w domu.